

# CHRIS CARTER



## POLOWANIE NA ZŁO

Geniusz zbrodni powraca!



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

**CHRIS  
CARTER**

**POLOWANIE NA ZŁO**

Z języka angielskiego przełożył  
Mikołaj Kluza



*Hunting Evil*

Copyright © Chris Carter, 2019

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2020 for the Polish translation by Mikołaj Kluza (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński/ monikaimarcin.com

Redakcja: Małgorzata Najder

Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-66512-02-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2020

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

W serii ukazały się:

*Krucyfiks*

*Egzekutor*

*Nocny prześladowca*

*Rzeźbiarz śmierci*

*Jeden za drugim*

*Geniusz zbrodni*

*Jestem śmiercią*

*Rozmówca*

*Galeria umarłych*

*Tę powieść dedykuję wszystkim moim czytelnikom  
na całym świecie, w zamian za niesamowite wsparcie,  
jakiego mi udzielacie od tylu lat.  
Dziękuję Wam ze szczerego serca.*

# Jeden

Tego ranka Jordan Weaver potrzebował dokładnie dwudziestu ośmiu minut i trzydziestu jeden sekund, aby przebyć czternaście i pół kilometra dzielące jego dom od miejsca pracy, czyli o jakieś dwanaście minut więcej niż zwykle. Wszystko przez zepsutą ciężarówkę, która częściowo blokowała jeden ze zjazdów z autostrady numer 58. Zaparkowanie samochodu i dotarcie od parkingu do wejścia dla personelu kosztowało go następną minutę i dwadzieścia dwie sekundy. Przebrnięcie przez ochronę, odbicie karty, pozostawienie torby w szafce i szybka wizyta w toalecie zajęły osiem minut i czterdzieści dziewięć sekund. Nalanie kawy z ekspresu i spacer korytarzem prowadzącym do stróżówki to kolejna minuta i dwadzieścia siedem sekund. To oznaczało, że Jordan Weaver – strażnik skrzydła szpitalnego w więzieniu federalnym w Wirginii – potrzebował czterdziestu minut i ośmiu sekund, aby pokonać dystans dzielący jego dom od najgorszych chwil jego życia.

Gdy Jordan wyszedł zza rogu i spojrzał na znajdującą się przed nim stróżówkę, poczuł ucisk w gardle, serce zaś zaczęło mu bić znacznie szybciej. Kwadratowe pomieszczenie z dużymi kuloodpornymi szybami nigdy, przenigdy, nie pozostawało bez nadzoru. Tymczasem teraz nie widział nikogo w środku. To pierwsza rzecz, która go zaniepokoiła. Druga to antywłamaniowe drzwi, które stały otworem, co stanowiło ogromne naruszenie regulaminu. Przeraził się jednak, upuścił kubek z kawą i zaczął się modlić do Boga, aby wszystko było tylko snem, dopiero na widok plam i smug krwi, które dostrzegł na jednej z szyb.

– Nie, nie, nie... – Jego słowa stawały się coraz głośniejsze, gdy przechodził od marszu do najszybszego sprintu. Z każdym krokiem wielki pęk kluczy, wiszący u jego pasa, obijał się z brzękiem o prawe udo.

Strażnik dopadł do wejścia w ciągu dwóch sekund. Wówczas koszmar stał się rzeczywistością.

Na podłodze stróżówki w ogromnej kałuży krwi leżeli Vargas i Bates. Ich odrzucone do tyłu głowy ukazywały straszliwe rany: głębokie rozcięcia biegnące

przez całą szerokość szyi. Zarówno żyła szyjna wewnętrzna, tętnica, jak i krtań zostały rozplątane.

– O kurwa!

Na drugim końcu pomieszczenia znajdował się pielęgniarz Frank Wilson – dwudziestoczteroletni Azjata, który niedawno ukończył Uniwersytet Old Dominion w Norfolk. Jego ciało spoczywało na obrotowym fotelu. Gardło poderżnięto mu z taką gwałtownością, że niewiele brakowało, aby doszło do dekapitacji. W przeciwieństwie do dwóch martwych strażników, mężczyzna miał otwarte, pełne przerażenia oczy. Wydawało się, że wpatruje się prosto w Jordana i nawet po śmierci nadal błaga o pomoc. Cała trójka została rozebrana do bielizny. Broń funkcjonariuszy również zniknęła.

– Jezu Chryste! Co się tutaj stało?

Roztrzęsiony Weaver przeszedł nad ciałem Vargasa, aby dotrzeć do panelu kontrolnego i włącznika alarmu. Gdy uderzył w niego otwartą dłoń, całą placówkę wypełnił ogłuszający ryk syren.

W zachodnim skrzydle szpitalnym znajdowało się osiem cel. Zgodnie z dokumentami obecnie zajęta była tylko ta z numerem jeden. Strażnik natychmiast spojrzał na ekrany zbryzganych krwią monitorów – dokładniej mówiąc, na ten znajdujący się na samym końcu po lewej.

Cela była pusta. Drzwi otwarte na oścież.

– Kurwa, kurwa, kurwa!

Weaver poczuł, jak miękną mu nogi. Pracował jako strażnik w skrzydle szpitalnym od dziewięciu lat, w tym czasie nie uciekł ani jeden więzień.

– Kurwa! – wrzasnął na całe gardło. – Jak to się stało, do ciężkiej cholery?

Ponownie rozejrzał się po stróżówce. Nigdy jeszcze nie widział tyle krwi. To więzienie o zaostrozonym rygorze, ale w ciągu tych dziewięciu lat nie zginął żaden ze strażników.

– Kuuuuurwa!

Nagle Jordan zamilkł, jego mózg zarejestrował coś, co wcześniej mu umknęło.

We wnętrzu uchylonej szuflady mrugało blade, białe światło.

– Co jest?

Ponownie musiał przestąpić nad ciałem Vargasa. Poślizgnął się w kałuży krwi, instynktownie wyciągnął przed siebie ręce, próbując się czegoś chwycić. Lewa dłoń nie napotkała nic na swojej drodze. Natomiast prawa zacisnęła się na uchylonej szufladzie. Starał się stanąć prosto, ale znowu się poślizgnął. Przytrzymał się szuflady, otwierając ją przy okazji do końca.

Nawet przez głośny ryk syren do jego uszu doleciało dziwne kliknięcie.

To ostatni dźwięk, jaki usłyszał, zanim jego głowa eksplodowała, stając się mieszaniną krwi, kości i substancji szarej.



## Dwa

NCAVC, czyli Narodowe Centrum ds. Analizy Przepięstw z Użyciem Przemocy, to specjalistyczny departament FBI, powołany w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, chociaż oficjalnie funkcjonował od czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego. Jego podstawowym zadaniem było wspieranie policji i pozostałych służb w dochodzeniach w niezwykłych lub powtarzających się przestępstwach, nie tylko w kraju, ale i na całym świecie.

Adrian Kennedy, dyrektor tej jednostki, koordynował większość jej działań z kwatery głównej, mieszczącej się w akademii FBI niedaleko miasta Quantico w Wirginii, albo ze swojego przestronnego biura położonego na najwyższym piętrze słynnego budynku J. Edgara Hoovera w Waszyngtonie. Jednak zrzędzeniem losu, gdy tego poranka zadzwoniła jego komórka, Adrian nie przebywał w żadnym z tych dwóch miejsc. Przyleciał do Los Angeles, aby zakończyć prowadzone wspólnie z lokalną policją śledztwo w sprawie seryjnego mordercy.

– Pogrzeb agenta specjalnego Larry’ego Williama odbędzie się w Waszyngtonie za dwa dni – oznajmił Hunterowi i Garcii. Jego głos z natury był zachrypnięty, ale całe dekady palenia tytoniu jeszcze spotęgowały ten efekt. Teraz dodatkowo brzmiało w nim zmęczenie. – Pomyślałem, że może chcielibyście przyjechać.

– Załatwimy co trzeba i stawimy się – odpowiedział Robert. Sprawiał wrażenie równie zmęczonego. Wyraźne worki pod oczami zdradzały, jak mało spał w ostatnich dniach.

Carlos pokiwał głową.

– Na pewno przyjedziemy. Williams był świetnym agentem.

– Jednym z moich najlepszych – przytaknął smutno Adrian. – Przyjaźniliśmy się.

– Praca z nim była zaszczytem – dodał Hunter.

Dyrektor FBI zamilkł, wpatrując się w dal, jakby intensywnie nad czymś myślał. Wówczas poczuł telefon wibrujący w jego kieszeni. Uniósł palec wskazujący lewej

dłoni, dając detektywom znak, żeby zaczekali chwilę, po czym odebrał połączenie.

– Adrian Kennedy – rzucił do słuchawki, a następnie słuchał przez moment. Po chwili na jego twarzy odmalowało się kolejno zdziwienie, niedowierzanie, a na koniec osłupienie.

– Co masz na myśli, mówiąc „zniknął”?

Te słowa sprawiły, że obaj mężczyźni spojrzeli na niego z wyczekiwaniem.

– Kiedy to się stało? – Cień obawy pojawił się w głosie Kennedy’ego.

– Co się dzieje? – zapytał Garcia.

Dyrektor na migi pokazał, aby mu nie przerywali.

– Jak, do ciężkiej cholery, to w ogóle możliwe? – Mówiąc to, wzruszył ramionami. Niepokój w jego głosie zamienił się w gniew. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale to miało być *więzienie o zastrzonym rygorze*, prawda?

– ...

– W jaki sposób więzień takiej placówki mógł sobie wyjść na wolność z pilnie strzeżonego budynku, przekroczyć bramy i wszystkie punkty kontrolne, i nikt go po drodze nie zatrzymał? Co to za cyrk?

– ...

– Przepraszam, gdzie go przeniesiono? – Wściekle spojrzenie Kennedy’ego napotkało zaniepokojony wzrok Huntera.

– ...

– Mimo wszystko ochrona powinna... – Adrian urwał w pół zdania. – Ilu strażników zabił?

Gdy usłyszał odpowiedź, przytknął dłoń do czoła i zaczął masować skronie kciukiem i palcem wskazującym.

– Pułapka w stróżówce? – Otworzył szeroko oczy. – Jakim cudem ją tam umieścił? I z czego ją zrobił?

– ...

– Jak, na litość boską, dostał...? – Ponownie przerwał, zdając sobie sprawę, że pytania „jak” nie mają już żadnego sensu. – Dobra. Natychmiast wydajcie ogólnokrajowy list gończy. *Natychmiast*, rozumiemy się? Ma dotrzeć do każdego komisariatu, nieważne jak małego. Wszyscy mają się tym zająć. Poinformujcie też Departament Sprawiedliwości, że poszukiwania zbiega będą koordynowane nie

tylko przez szeryfów federalnych, ale także przez FBI. Chcę dostać nazwisko naczelnika więzienia. Ktoś beknie za tę niekompetencję. Możesz być pewien... Jest jeszcze coś? Co niby jeszcze może być?

Słuchał w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Czekaaj, czekaaj – przerwał w końcu rozmówcy. – Musisz mi to powtórzyć. Zrób głęboki wdech, uspokój się i powiedz jeszcze raz, ale powoli.

Kennedy zerknął na Huntera, na jego twarzy odmalował się ból.

– Jesteś pewny? – zapytał. – W porządku. – Wydawał się pokonany. – Wyślij mi zdjęcie, jako potwierdzenie. Teraz, słyszysz?

– ...

– Tak, teraz.

Adrian się rozłączył, żeby nie rzucić telefonem o ścianę, głęboko nabrał powietrza i trzymał je w płucach tak długo, jak tylko mógł.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem Robert.

Brak odpowiedzi.

– Adrian. Co, do cholery, się stało?

Gdy mężczyzna w końcu na niego spojrział, miał pustkę w oczach, wyglądał na zagubionego. Detektyw dostrzegł w nich coś jeszcze, ale nie potrafił tego zidentyfikować.

– Zniknął – odpowiedział Kennedy. – Uciekł. Wyszedł z więzienia federalnego o zastrzonym rygorze, zupełnie jakby nikt go nie pilnował. Zabił po drodze trzech strażników i dwóch sanitariuszy.

– Kto uciekł? – dociekał Garcia. Był wyraźnie zdezorientowany. – Na pewno nie morderca, którego właśnie złapaliśmy. Nie został jeszcze skazany, zatem nie mógł trafić do więzienia federalnego, chociaż bez wątpienia to nastąpi.

– Nie, to nie jest morderca, którego właśnie złapaliście – potwierdził Adrian.

– No to kto to jest?

Dyrektor FBI popatrzył na Huntera. Robert ponownie zauważył coś w jego spojrzeniu, tym razem udało mu się to jednak rozpoznać. Mężczyźnie było przykro. W jego oczach kryła się swego rodzaju prośba o wybaczenie.

Detektyw poczuł ucisk w żołądku. Nie musiał pytać. Doskonale wiedział, czyje nazwisko zaraz padnie.

Carlos z kolei nie miał zielonego pojęcia, o kim mówi Kennedy, ale uchwycił nieme porozumienie pomiędzy nim a swoim partnerem.

– Kto uciekł? – naciskał dalej.

– Lucien – oznajmił w końcu Adrian.

– Lucien? – Garcia wodził wzrokiem po obu rozmówcach. – Jaki Lucien?

Hunter otworzył oczy, ale się nie odezwał. Dyrektor podjął się wyjaśnienia.

– Lucien Folter.

Gdy wypowiedział te słowa, postawa Roberta uległa zmianie: teraz sprawiał wrażenie udręczonego.

Carlos nigdy jeszcze nie widział swojego partnera w takim stanie. Gdyby nie znał go tak dobrze, uznałby, że ten się boi.

– Kim, do jasnej cholery, jest Lucien Folter?

## Trzy

Robert był jedynakiem, jego rodzice należeli do klasy średniej. Mieszkali w Compton, dość ubogiej dzielnicy w południowej części Los Angeles. Jego matka przegrała walkę z rakiem, kiedy miał zaledwie siedem lat. Ojciec nie ożenił się ponownie i musiał pracować na dwa etaty, żeby dać radę samotnie wychować syna. Od najmłodszych lat było oczywiste, że Hunter jest inny niż rówieśnicy. Wyciągał wnioski szybciej od pozostałych dzieci. Szkoła go nudziła i frustrowała. Rozwiązał wszystkie zadania z podręczników do szóstej klasy w mniej niż dwa miesiące, więc żeby się czymś zająć, przerobił następnie materiał siódmej, ósmej i dziewiątej klasy. Wówczas dyrektor szkoły skontaktował się z Komisją Edukacji w Los Angeles i po całym szeregu testów i egzaminów, w wieku dwunastu lat, Robert dostał stypendium w szkole dla uzdolnionych Mirman. Gdy miał czternaście lat, ukończył już program z angielskiego, historii, matematyki, biologii i chemii. Czteroletnie liceum udało mu się skończyć w dwa lata i w wieku piętnastu lat opuścił szkołę z wyróżnieniem. Otrzymawszy rekomendacje od wszystkich nauczycieli, Hunter został przyjęty „na szczególnych warunkach” na Uniwersytet Stanforda. Co prawda Robert był przystojnym chłopakiem, ale jego młody wiek, niezwykle szczupła budowa ciała i nietypowy styl sprawiły, że dziewczyny się nim w ogóle nie interesowały, natomiast stał się łatwym celem dla szkolnych osiłków. Nie garnał się do sportu, wolny czas wolał spędzać w bibliotece, niezwykle szybko pochłaniając książki z mnóstwa różnych dziedzin. Właśnie wtedy odkrył w sobie fascynację kryminologią i procesami myślowymi tych, których nazywamy „złymi”.

Utrzymanie najwyższej średniej na studiach nie stanowiło dla niego problemu, w przeciwieństwie do nawiązywania relacji z innymi. Szybko miał dosyć tego, że silniejsi nim pomiatają, biją i nazywają „wykałaczką”. Za radą przyjaciela zapisał się na siłownię i na zajęcia walki wręcz. Nie przejmował się fizycznym wyczerpaniem, ćwiczył niczym profesjonalny kulturysta. Rok intensywnych treningów przyniósł widoczne efekty: jego ciało stało się znacznie bardziej

umięśnione. „Wykałaczką” przeistoczył się w wysportowanego chłopaka, który w niecałe dwa lata uzyskał czarny pas w karate. Zaczepki osiłków ustały, przyciągnął też uwagę dziewcząt.

W wieku dziewiętnastu lat Hunter uzyskał tytuł magistra psychologii – *summa cum laude* – cztery lata później został zaś doktorem kryminalnej analizy behawioralnej i biopsychologii. Dzięki jednemu z profesorów jego praca doktorska zatytułowana *Zaawansowane badania psychologiczne nad działalnością kryminalną* stała się materiałem obowiązkowym w akademii FBI w Quantico w Wirginii.

Zaledwie dwa tygodnie po uzyskaniu doktoratu cały świat Roberta legł w gruzach po raz drugi.

Od trzech i pół roku jego ojciec pracował jako ochroniarz w Bank of America na Avalon Boulevard. Podczas napadu został postrzelony w klatkę piersiową. Operowano go przez kilka godzin, po czym zapadł w śpiączkę. Nic więcej nie dało się zrobić. Można było tylko czekać.

Zatem Robert czekał. Siedział u boku ojca i patrzył, jak jego stan stopniowo się pogarsza. Po dwunastu tygodniach zmarł. Ten czas odmienił Huntera. Mógł myśleć tylko o zemście. Kiedy policja powiedziała, że nie mają żadnego podejrzanego, do Roberta dotarło, że morderca ojca nie zostanie złapany. Poczul się całkowicie bezsilny, to z kolei przepełniło go wściekłością. Po pogrzebie doszedł do wniosku, że studiowanie umysłów przestępców to za mało. Zawsze będzie za mało. Musiał zacząć ich ścigać osobiście.

Po dołączeniu do policji Hunter błyskawicznie awansował: został najmłodszym detektywem w historii Los Angeles. Szybko przeniesiono go również do sekcji specjalnej wydziału zabójstw, która zajmowała się wyłącznie sprawami seryjnych morderców, wymagającymi znacznych nakładów pracy i wiedzy eksperckiej. Jeśli chodziło o morderstwa, Los Angeles to zupełnie niezwykle miejsce. Nie ma drugiego takiego na całym świecie. Z jakiegoś powodu przyciągało, a być może nawet i rodziło szczególnie rodzaj psychopatów, co z kolei skłoniło burmistrza i samą policję do stworzenia jeszcze bardziej elitarniej jednostki wewnątrz sekcji specjalnej. Przepęstwa, które cechowała przytłaczająca wprost dawka sadyzmu i brutalności, oznaczano jako „szczególnie okrutne”. Robert dowodził jednostką, która przejmowała takie właśnie sprawy. W swoim życiu widział więcej okropieństw niż jakikolwiek inny policjant... kiedykolwiek. Nic go nie przerażało ani nie szokowało. Dlatego Garcia był tak zaskoczony.

– Kim, do cholery, jest Lucien Folter? – zapytał ponownie, zerkając na Kennedy’ego i Huntera.

Żaden z nich nie spojrzał mu w oczy.

– Robert. – Tym razem ton Carlosa przypominał ton ojca dyscyplinującego nieposłuszne dziecko. – Kim, do cholery, jest Lucien Folter?

– Mówiąc w skrócie...

Hunter popatrzył w końcu w oczy partnera, jednak odpowiedź nadeszła od Adriana. Jego głos brzmiał jeszcze bardziej złowieszczo niż przed chwilą.

– Lucien Folter to...

Garcia odwrócił się do niego.

– ...zło w ludzkiej postaci.

## Cztery

Zanim poinformowano dyrektora Kennedy'ego o ucieczce więźnia, Lucien Folter zdążył już przekroczyć granicę pomiędzy stanami Wirginia i Tennessee i szybko się zbliżał do miasta Knoxville. Zamierzał dotrzeć do niewielkiej drewnianej chatki, znajdującej się na mokradłach południowej Luizjany. Wiedział jednak, że najgorszą rzeczą, jaką mógł teraz zrobić, była dalsza ucieczka. Do tej pory z pewnością podniesiono alarm w więzieniu o zastrzonym rygorze, z którego się wydostał, i przekazano informacje FBI i prokuratorowi generalnemu. Szeryfowie federalni niechybnie są już w gotowości. Jego zdjęcie nie pojawi się w porannych gazetach – było na to za mało czasu – ale media błyskawicznie przedstawią specjalne komunikaty na temat jego zbrodni. Do południa w całym kraju wprost zaroi się od podobizn Luciena Foltera. Przed dalszą podróżą będzie musiał zmienić wygląd – i to drastycznie – ale do tego potrzebował kilku rzeczy. Na szczęście w mieście tak dużym, jak Knoxville, powinien je bez trudu znaleźć. Najpierw jednak musiał załatwić jeszcze jedną rzecz: pozbyć się srebrnego chevroleta colorado, którym jechał.

Pick-up należał do strażnika więziennego, Manuela Vargasa. Po zamordowaniu wszystkich w stróżówce Lucien zabrał ubrania ofiar, ich broń, portfele i kluczyki do samochodów. Od wszczęcia alarmu nie upłynie dużo czasu, aż zorientują się, że oddalił się jednym z tych aut. Miał absolutną pewność, że każdy gliniarz w kraju szuka w tej chwili tego chevroleta. Musiał go porzucić, i to szybko.

Gdy zbieg zastanawiał się nad dostępnymi możliwościami, los się do niego uśmiechnął. Jakies dwieście metrów przed nim, po prawej stronie, znajdował się zjazd na parking. Widział, że stoi tam tylko jeden samochód: czarne audi A6, jeden z najnowszych modeli.

– Witaj – powiedział pod nosem Lucien i skręcił. Gdy przejeżdżał obok zaparkowanego auta, zobaczył, że siedzi w nim kobieta rozmawiająca przez telefon. Była sama.

– Idealnie.



Zatrzymał się cztery miejsca dalej i bacznie zlustrował wzrokiem okolice. Przyjrzał się dokładnie pobliskim krzakom na wypadek, gdyby jakiś pasażer audi wybrał się tam za potrzebą. Po chwili się uśmiechnął i skierował całą swoją uwagę na czarny samochód. Wszystkie okna były pozamykane. Kobieta za kierownicą wyglądała na jakieś czterdzieści lat. Niewiele brakowało, aby móc nazwać ją piękną: miała nieco zbyt spiczastą brodę, a nos za bardzo okrągły. Czarne włosy nosiła krótko obcięte. Miała na sobie cienką, brązową skórzaną kurtkę.

Aby nie wzbudzać podejrzeń, Lucien wysiadł i zaczął oglądać opony z lewej strony swojego auta. Przez kolejne dwadzieścia sekund ukradkiem ją obserwował. Ręka z telefonem zasłaniała jej usta, zatem nie był w stanie czytać z ruchu warg, ale wyraz twarzy i sposób, w jaki gestykulowała, sugerowały, że się z kimś kłóci.

Folter obszedł pick-upa dookoła i udawał, że sprawdza pozostałe opony, a tak naprawdę wypatrywał innych pojazdów zbliżających się do parkingu. Żadnego nie dostrzegł. Zerknął zatem w stronę audi. Kobieta skończyła rozmawiać, zgarbiła się, zamknęła oczy i oparła głowę o kierownicę. To oczywiste, że kłótnia nie zakończyła się zbyt dobrze.

To jego szansa.

Otrzepta dłonie, przejrzał się w bocznym lusterku i powoli podszedł do drugiego samochodu.

Miał ponad sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, musiał się więc pochylić, aby kobieta mogła zobaczyć w oknie jego twarz.

– Przepraszam panią.

Lucien był doskonałym aktorem: potrafił naśladować dowolny akcent i modulować swój głos tak, jak tylko miał ochotę. Teraz odezwał się łagodnym, głębokim tonem, idealnie odzwierciedlając sposób mówienia charakterystyczny dla mieszkańców Tennessee, który działał niemalże hipnotyzująco.

Kobieta nadal miała zamknięte oczy, dłonie zaś i czoło opierała na kierownicy. Folter widział na jej palcu serdecznym ślad po obrączce. Skóra w tym miejscu była delikatnie odgnieciona.

Nic nie odpowiedziała.

– Proszę pani? – rzucił ponownie, po czym ostrożnie zapukał w szybę.

Nagły dźwięk ją przestraszył. Podskoczyła w fotelu, oddech uwiązał jej w gardle. Przekręciła głowę w lewo i skierowała na niego spojrzenie niebieskich,

załzawionych oczu.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał z troską w głosie.

– Co? – Zaskoczona kobieta nie opuściła szyby. Wydawała się zirytowana tym, że nieznajomy mężczyzna ją zaczepia.

– Bardzo przepraszam – powiedział czarująco Lucien. – Nie chciałem się wtrącać, ale zobaczyłem, że opiera pani głowę na kierownicy, a teraz dostrzegam, że pani płakała. Zastanawiam się, czy dobrze się pani czuje. Wszystko w porządku? Może chce się pani napić wody?

Przez kilka chwil obserwowała go w milczeniu. Bez wątpienia był przystojny: wysoki, umięśniony, miał wydatne kości policzkowe i silnie zarysowaną szczękę. Z jego spojrzenia wycierały dobroć, a także wiedza i doświadczenie. Ciemne włosy zasłaniały mu uszy, miał też gęstą, ale starannie utrzymaną brodę.

Następnie spojrzała na jego ubranie: granatowy strój, przypominający wojskowy mundur. Na prawym ramieniu znajdował się duży symbol, ale nie potrafiła go rozpoznać. Nad kieszenią na piersi widniała naszywka o treści „M. Vargas”. Szeroki, czarny pas otaczał jego talię.

– Jest pan policjantem? – W jej oczach dalej czały się zdziwienie i wahanie.

Mężczyzna widział teraz swoją szansę na to, aby skłonić ją do opuszczenia szyby w oknie. Wskazał na swoje ucho i pokręcił delikatnie głową, jakby bariera szkła w połączeniu z hałasem autostrady wszystko zagłuszała.

– Przepraszam, co pani powiedziała?

Podziałało, a przynajmniej częściowo, ponieważ szyba zjechała do połowy wysokości, po czym kobieta powtórzyła swoje pytanie.

Lucien uśmiechnął się wstydliwie.

– Niezupełnie, proszę pani. – Ustawił się tak, żeby mogła przeczytać napis na prawym ramieniu munduru. – Jestem strażnikiem w więzieniu federalnym Lee. Właśnie skończyłem zmianę. – Nie dał jej szansy na wtrącenie czegokolwiek. – Dlaczego pani pyta? Potrzebna pomoc policji? Dlatego się pani zatrzymała? Mogę wezwać ich przez radio w moim aucie, przyjadą szybciej niż po zgłoszeniu telefonicznym.

Ton jego głosu i mimika wyrażały tak wiele troski, że jej wątpliwości niemalże się rozwiały.

– Nie, nie potrzebuję policji, dziękuję. Zjechałam na ten parking, ponieważ musiałam przeprowadzić rozmowę przez telefon. – Jej głos wyraźnie posmutniał. – W dodatku nieprzyjemną. – Wzruszyła ramionami. – Nie byłam w stanie prowadzić, rozmawiać i... płakać jednocześnie.

Uśmiechnął się do niej, głównie dlatego, że docenił jej poczucie humoru, mimo rozmowy o czymś, co wyraźnie ją bolało.

– Bardzo przykro mi to słyszeć. Czy mogę pani jakoś pomóc? Chce się pani napić wody? A może zjeść batona? Cukier czasami czyni cuda. Mam kilka w samochodzie – rzucił, wskazując kciukiem swój pojazd.

Kobieta opuściła szybę do końca i jeszcze raz mu się bacznie przyjrzała. Zyskał wówczas pewność, że wystarczająco ją urobił, aby mógł posunąć się dalej. Nie postrzegала go już jako zagrożenia. W końcu dlaczego by miała? Przystojny, uprzejmy i wygadany mężczyzna przejawia troskę o jej samopoczucie, w dodatku pracuje jako strażnik więzienia federalnego i zaoferował wezwanie policji przez radio, jeśli tylko by tego chciała.

Uniosła brwi do góry i powiedziała:

– Teraz przydałoby mi się coś mocniejszego niż woda.

Lucien się uśmiechnął.

– Doskonale panią rozumiem. Niestety w tej chwili mogę zaproponować wyłącznie wodę... – Zamilkł i potarł szczękę. – Albo papierosa.

Przestał już palić, ale widział kilka paczek w schowku ukradzionego pick-upa.

– Rzuciłam dwa lata temu – odparła, przechyliwszy głowę na bok. Wydawała się zamysłona. – Wie pan co? Pieprzę. Zrobiłam to, żeby zadowolić tego zdradzieckiego, bezużytecznego gnoja. – Wzruszyła ramionami. – On też niech się pieprzy. – Spojrzała na niego. – Tak, chętnie bym zapaliła.

– W porządku, zaraz wracam.

Folter obrócił się na pięcie i poszedł do swojego auta. Gdy otworzył schowek, usłyszał, jak drzwi audi najpierw się otworzyły, a potem znowu zamknęły. Powstrzymał wypęłzający na wargi uśmiech. Kiedy się odwrócił, kobieta opierała się o samochód, patrząc w dal w kierunku autostrady. Podeszedł do niej z otwartą paczką, z której wysunął jednego papierosa, i ją poczęstował.

– Dziękuję – odparła, przyjmując papierosa.

Lucien wziął również jednego dla siebie, po czym wyciągnął zapalniczkę. Oczywiście najpierw zaoferował ogień kobiecie.

Gdy zaciągnęła się po raz pierwszy, zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu w niemalże zmysłowy sposób. Na jej twarzy malowała się czysta rozkosz, której poddała się niechętnie.

– O Boże! – zawołała, patrząc na papierosa trzymanego w dłoni. – To jest taaakie dobre.

Mężczyzna również się zaciągnął, ale nie wypowiedział ani słowa. Zamiast tego dyskretnie się jej przyglądał.

Kobieta miała jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i bujne kształty. Zadbane paznokcie z pewnością stanowiły dzieło profesjonalnej manikiurzystki. Nosila ubrania i buty od znanych projektantów, a jej prawy nadgarstek zdobił zegarek marki Omega Constellation warty trzy tysiące dolarów.

Folter zerknął w stronę autostrady. Żadne auto nie kierowało się na parking, ale mężczyzna zdawał sobie sprawę z tego, że dalsze igranie z panią Fortuną to wielkie ryzyko. A on nie zamierzał go podejmować.

– Tak, to prawda – odparł w końcu, stając przed samochodem. – Rzuciłem już kilka razy, ale zawsze wracałem. I tak wszyscy w końcu umrzemy, prawda? Możemy chociaż mieć coś przyjemnego z życia.

– Zapalę za to – skomentowała kobieta, zaciągając się ponownie, po czym dołączyła do Luciena.

Ustawiła się dokładnie tam, gdzie chciał. Audi zapewniało teraz osłonę przed ciekawskimi oczami z autostrady.

Kobieta oparła się o maskę auta.

– Jestem Alicia – oznajmiła, wyciągając do niego dłoń. – Alicia Campbell.

– Miło mi cię poznać – odpowiedział, podając jej rękę. – Ja jestem Lucien. Lucien Folter.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Lucien Folter? – zapytała sceptycznie, po czym wskazała na naszywkę z nazwiskiem na jego mundurze. – To kim jest M. Vargas?

Mężczyzna zamknął na moment oczy, zupełnie jakby usiłował sobie coś przypomnieć. Gdy ponownie je otworzył, jego wygląd zmienił się diametralnie.

Kiedy się odezwał, nadal mówił spokojnie, niczym duchowny, ale wcześniejszy akcent Tennessee całkowicie zniknął. Spojrzenie jego oczu przeraziło Alicję.

– Aaa, on? Nie przejmuj się nim. Ten mundur już mu nie będzie potrzebny. Nigdy. – Mrugnął do niej i ścisnął jej dłoń tak mocno, że nie potrafiłaby jej uwolnić. – Tak samo jak ty nie będziesz potrzebowała swojego samochodu. Nigdy.

## Pięć

– Lucien Folter to... zło w ludzkiej postaci.

Zdanie wypowiedziane przez dyrektora Kennedy'ego sprawiło, że powietrze w biurze Huntera i Garcii jakby zgęstniało.

Carlos spojrzał pytająco na swojego partnera, ale ten zdawał się całkowicie pogrążony w myślach.

– Zło w ludzkiej postaci? – zapytał Adriana. W jego tonie pobrzmiewała nutka sarkazmu. – Bez urazy, wiem, że w NCAVC macie do czynienia z bardzo ciężkimi przypadkami, ale my jesteśmy z jednostki SO. Słowa „szczególnie okrutne” nie są przypadkowe. „Zło w ludzkiej postaci” pasuje do każdego mordercy, jakiego ścigamy.

– Bez urazy, ale to nieważne, że pracujesz w SO: nigdy nie ścigałeś takiego mordercy jak Folter – odparł Kennedy identycznym tonem. – Nikt nie ścigał... oprócz Roberta.

Garcia natychmiast odwrócił się do Huntera. Pracowali razem od dziesięciu lat.

– Co to znaczy? Prowadziłeś już dochodzenie w sprawie tego gościa?

Hunter w końcu otrząsnął się z transu, w którym trwał od jakiegoś czasu, jednak nie udzielił przyjacielowi odpowiedzi. Zamiast tego zwrócił się do Adriana.

– W którym więzieniu siedział? – Mówił spokojnie, jego zachowanie nie uległo zmianie. – Powiedziłeś, że zabił trzech strażników i dwóch pielęgniarzy podczas ucieczki. Gdzie go trzymano?

Dyrektor FBI się zawahał.

Robert uniósł brwi.

– W więzieniu federalnym Lee o zaostrzonym rygorze, w Wirginii – odrzekł w końcu Kennedy.

– Więzienie o zaostrzonym rygorze? – Hunter posłał mu pełne powątpiewania spojrzenie. – Co on tam robił?

Cisza.

– Powinien przebywać w więzieniu o maksymalnym rygorze. W całkowitej izolacji. W jaki sposób tam trafił?

Adrian westchnął, przestępując z nogi na nogę.

– Dlaczego Lucien nie siedział w więzieniu o maksymalnym rygorze? – naciskał detektyw.

Dyrektor spojrział mu w oczy.

– Ponieważ chcieliśmy mieć go blisko Quantico. Najbliższe więzienie, o jakim mówisz, znajduje się w Kolorado.

Hunter nie musiał pytać. Doskonale wiedział, dlaczego Kennedy chciał mieć Foltera pod ręką.

– Poza tym, on *był* w izolacji – zapewnił detektywa. – Od samego początku, od momentu, gdy go złapaliśmy. Nawet kiedy trzeba go było przenieść do skrzydła szpitalnego. – Adrian pokręcił ze złością głową. – Nie rozumiem, w jaki sposób udało mu się uciec. Dobra, może to nie maksymalny rygor, ale nadal więzienie federalne. Nie da się z niego ot tak wyjść. Musiał mieć jakąś pomoc. Albo ktoś popełnił największy i zarazem ostatni błąd w swojej karierze. Dowiem się, jak dokładnie do tego doszło, i dopilnuję, żeby winni dostali za swoje. Lucien powinien...

– Co za różnica, jak uciekł? – przerwał mu Robert, po czym oparł się o biurko. – Jest na wolności, teraz zajmą się nim Departament Sprawiedliwości i szeryfowie federalni. Gdy siedział w więzieniu, zapewne codziennie miał styczność z tymi samymi strażnikami, zgadza się? Przynosili mu posiłki, książki, odprowadzali do skrzydła szpitalnego i tak dalej.

– Tak, ale do czego zmierzasz? – zapytał Kennedy.

Detektyw otworzył szerzej oczy, zaskoczony naiwnością przyjaciela.

– Nie rozmawiamy tutaj o pierwszym lepszym mordercy, prawda? Tylko o Folterze, być może najbardziej utalentowanym psychologicznie przestępcy na ziemi. Chciałbyś spróbować zgadnąć, w jakiej jeszcze dziedzinie psychologii się specjalizował? – Nie czekał na odpowiedź. – W hipnozie.

Adrian ciężko westchnął.

– Dla Luciena możliwość codziennej rozmowy z tym samym strażnikiem, to jakbyś mu dał klucze do celi i nabitą splotkę – ciągnął Hunter.

– Przenieśliśmy go zaledwie tydzień temu – bronił się Kennedy.

Robert spojrział na niego tak, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

– Cierpisz na demencję czy po prostu próbujesz ratować własną dupę?

Szczęki dyrektora zacisnęły się mocno. Niewielu ludzi miało czelność tak do niego mówić.

– Ile czasu potrzebuje ekspert, żeby za pomocą hipnozy zdobyć kontrolę nad niczego niespodziewającą się ofiarą? – zapytał detektyw. – Widziałeś już, jak coś takiego się dzieje, prawda?

Adrian odwrócił wzrok, wiedząc, że przyjaciel ma rację.

– Mówiłeś coś o pułapce – wtrącił Carlos. – O co chodzi?

– Nie jestem pewny. Przez telefon mi powiedziano, że Folter najpierw wydostał się z celi i zabił cztery osoby, a potem w stróżówce umieścił jakąś pułapkę, która zabiła kolejnego strażnika, gdy prawie pół godziny później pojawił się na porannej zmianie. Właśnie ten strażnik podniósł alarm.

– Z czego ją skonstruował? – dociekał Garcia.

Kennedy spojrział w stronę okna na ścianie za Robertem.

– Będę mógł tutaj zapalić, jeśli je otworzę? – zapytał.

– Nie – odparł Hunter.

Adrian niecierpliwie przesunął językiem po wardze.

– Wygląda na to, że posłużył się obrzynem, latarką i nylonową linką podobną do żyłki wędkarskiej – odpowiedział w końcu na poprzednie pytanie.

– Żyłki wędkarskiej?

– Nie pytaj. Podobno jeden koniec linki był przywiązany do strzelby, drugi zaś w jakiś sposób przytwierdzony do szuflady. Kiedy strażnik ją otworzył, ukryty za kartonami obrzyn wypalił mu prosto w głowę.

– Jezu! – rzucił zszokowany Garcia.

– To nie ma teraz dla nas znaczenia – przerwał Robert. – Nic na to nie możemy poradzić. Departament Sprawiedliwości i szeryfowie federalni są odpowiedzialni za złapanie go, pozwólmy wykonywać im ich robotę.

– Masz rację – przyznał Adrian. – Złapanie Luciena to ich zadanie, ale nie będą go wykonywać samodzielnie.

Detektyw tego nie skomentował.



– Porozmawiam z prokuratorem generalnym. Znamy się z Nathanem kupę lat. FBI *będzie* brało udział w tym polowaniu. Dodatkowo utworzę osobny oddział specjalny. – Dyrektor wskazał palcem Huntera. – A ty będziesz nim dowodził.

– Hej! – Robert uniósł obie dłonie do góry. – Chwileczkę. Co masz na myśli, mówiąc, że ja będę nim dowodził? Nie jestem agentem FBI, tylko detektywem policji. Rozumiem, że rozmawiamy tutaj o Folterze, ale to nie jest moja sprawa. Już nie.

Carlos spojrział na partnera i zmarszczył brwi.

– Jak już mówiłem, to zbieg, a schwytanie go jest obowiązkiem szeryfów federalnych – ciągnął Hunter. – Jeśli chcesz działać wspólnie z Departamentem Sprawiedliwości, to proszę bardzo. Chcesz utworzyć oddział specjalny? Jak sobie życzysz, ale policja nie ma tutaj nic do rzeczy.

– Czyli nie interesuje cię, czy Lucien siedzi za kratkami, czy nie? – odparował Adrian.

– Tego nie powiedziałem. Gdyby to ode mnie zależało, to wtrąciłbym go do najgłębszego lochu i wyrzucił klucz.

Garcia z zaskoczenia otworzył szeroko oczy.

– I tam właśnie powinien się teraz znajdować – ciągnął Robert. – Ty jednak zdecydowałeś, aby przenieść go do więzienia o zaostrzonym rygorze bliżej Quantico, żebyś mógł go lepiej zbadać, tak? Pogrzebać mu w mózgu? Nie mogłeś sobie odpuścić, prawda? Wszystko, co znaleźliśmy... jego dzienniki, badania... to za mało dla NCAVC i dla ciebie.

– Badać go? – wtrącił się Carlos. – Dzienniki? Badania? Kim, do jasnej cholery, jest ten facet? Kubą Rozpruwaczem?

– Kuba Rozpruwacz to przy Lucienie Folterze grzeczny przedszkolak – odparł Kennedy, po czym zwrócił się ponownie do Huntera. – Tak, chciałem go badać. Ty najlepiej powinieneś to zrozumieć. Jego wiedza o tym, jak działa mózg seryjnego mordercy, jest nieoceniona i nieporównywalna z czyjąkolwiek. To jednak bez znaczenia. Jak sam mówiłeś, jest teraz na wolności i tylko schwytanie go się liczy.

– Zgadzam się. Ale powtarzam: to zadanie należy do Departamentu Sprawiedliwości, a nie do policji. Nie biorę w tym udziału.

– Niestety, mylisz się, kolego. Bierzesz w tym udział.

– Kto tak twierdzi?

Dyrektor wahał się z odpowiedzią.

– Lucien Folter tak twierdzi.

Robert wpatrywał się w Kennedy'ego. Tamten wyglądał jak hazardzista, który przez całe rozdanie trzymał asa i czekał na odpowiedni moment, aby nim zagrać.

– Co to niby znaczy? Czego mi nie powiedziałeś?

Adrian się wyprostował.

– W jego celi znaleziono wiadomość. Zaadresowaną do ciebie.

## Sześć

Lucien jeszcze nigdy nie był w Knoxville, ale jeżdżąc teraz ulicami miasta w poszukiwaniu parkingu, nie mógł wyjść z podziwu nad jego pięknem. Aglomeracja położona na brzegu rzeki Tennessee, w zapierającej dech w piersiach dolinie na zachód od Great Smoky Mountains, istotnie miała nieodparty urok. Dziewiętnastowieczne budynki sąsiadowały z nowoczesnymi budowlami, a na każdym rogu czuło się oddech historii. Folter spędził w centrum Knoxville zaledwie dziesięć minut, lecz tyle wystarczyło, aby zapragnął tutaj wrócić i lepiej je poznać. Jak tylko znajdzie na to czas, rzecz jasna.

Minął trzy parkingi, gdzie samochodami zajmowała się obsługa, zanim na State Street natrafił na bezobsługowy.

– Bingo – powiedział do siebie, skręcając audi A6 w stronę wjazdu. Wziął bilet z automatu i zaczął powoli przemierzać kolejne piętra, szukając nie tylko wolnego miejsca, ale również kamer monitoringu.

Na pierwszym piętrze nie było gdzie zaparkować. Na drugim znalazł kilka stanowisk, ale wszystkie znajdowały się niemal na wprost kamer. Lucien dostrzegł idealne miejsce na trzecim piętrze, na samym końcu: tuż przy ścianie, żadnego monitoringu w pobliżu. Szybko tam wjechał.

– No dobra, zobaczmy, co pani dla mnie zostawiła, pani Campbell – wymruczał pod nosem. Wyłączył silnik i sięgnął po torebkę Alicii leżącą na fotelu pasażera. Najpierw wyjął skórzany portfel marki Bottega Veneta.

– No, ładnie. – Zaśmiał się, po czym go otworzył. – A tutaj mamy... sto dwadzieścia dolarów w gotówce. Całkiem niezłe. – Schował banknoty do kieszeni i zaczął dalej wertować zawartość portfela. – Pięć kart kredytowych, prawo jazdy, kilka monet i wizytówki z napisem „Alicia Campbell, niezależny doradca kredytowy” – przeczytał na jednym z kartoników. – Nie wpadłbym na to. – W ostatniej przegródce znalazł zdjęcie, któremu przyglądał się przez chwilę. – A więc to jest ten gość, który złamał ci serce? – zapytał, zupełnie jakby kobieta

siedziała obok niego. – Może niebawem go odwiedzę i sobie z nim porozmawiam, co ty na to?

Folter wziął prawo jazdy Alicii Campbell i jedną z jej kart kredytowych, po czym schował je do kieszeni. Następnie odłożył portfel do torebki i zaczął ją przetrząsać. Znalazł małą kosmetyczkę, którą zatrzymał – makijaż mógł okazać się przydatny – klucze, prawdopodobnie od domu, dwa długopisy, garść bezużytecznych paragonów i dwa opakowania leków na receptę. Sprawdził ich etykiety: xanax XR (3 mg) i valium (10 mg).

Otworzył oczy ze zdziwienia. Doskonale znał oba specyfiki. Xanax to najlepiej sprzedający się alprazolam w kraju. Alprazolam to benzodiazepin wpływający na neuroprzekaźniki w mózgu, których funkcjonowanie może być zaburzone u ludzi cierpiących na stany lękowe. Leczą nim zespół lęku napadowego i przewlekłą depresję. Valium z kolei było najlepiej sprzedającym się w kraju diazepamem, który należy do tej samej grupy leków. Również stosuje się go w leczeniu stanów lękowych, ale działa też antykonwulsyjnie, zatem leczy się nim zespół odstawienia alkoholowego, skurcze mięśni, ponadto zapobiega atakom drgawek. Obie substancje wykorzystuje się na całym świecie jako środki odurzające. Mówiąc w skrócie: ponieważ benzodiazepiny działają na neuroprzekaźniki w mózgu, połowa tabletki xanaxu albo valium może większości osób dać odlot. Z kolei cała tabletkę potrafi człowieka uśpić. Dla Luciena oba te działania mogły okazać się przydatne. Uśmiechnął się na ten dar od losu.

W torebce nie znalazł już niczego więcej, więc odłożył ją na miejsce pasażera, po czym otworzył schowek. W środku leżały instrukcje samochodowe, plastikowe pudełko z zapasowym kluczykiem i telefon komórkowy Alicii. Nacisnął przycisk i na wyświetlaczu komórki pojawiła się tapeta przedstawiająca las, tarcza zegara i informacja „użyj odcisku palca lub przesun w bok, aby odblokować”.

Przesunął palcem po ekranie, ale telefon zażądał hasła.

– No to użyjemy odcisku palca – powiedział do siebie Folter i nacisnął guzik otwierający bagażnik.

Rozejrzał się dokładnie po garażu, ale nie zauważył nikogo.

Zostawił akurat tyle miejsca pomiędzy autem a ścianą, żeby mógł tam stanąć. Obszedł samochód dookoła, jeszcze raz się rozejrzał, a następnie podniósł klapę. W środku leżało ciało Alicii Campbell – miała skrecony kark. Na jej twarzy nadal

malowało się przerażenie, które ją obezwładniło, gdy Lucien chwycił ją obiema dłońmi, popatrzył prosto w oczy, a potem jednym brutalnym szarpnięciem obrócił jej głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Ten ruch strzaskał kręgi szyjne i jednocześnie przerwał rdzeń kręgowy. Wydarzyły się wówczas trzy rzeczy. Pierwsza: rdzeń kręgowy jest łącznikiem pomiędzy mózgiem a resztą ciała, zatem wszystko poniżej miejsca uszkodzenia zostało sparaliżowane, łącznie z mięśniami odpowiedzialnymi za oddychanie. Druga: kobieta przestała oddychać. Trzecia: ciało utraciło kontrolę nad pracą serca.

Folter bardzo dobrze wiedział, że w przeciwieństwie do tego, co widzimy w produkcjach Hollywood albo filmach walki, skręcony kark wcale nie powoduje natychmiastowej śmierci. Ofiara przeżywa katusze trwające do trzech i pół minuty, w zależności od wytrzymałości organizmu. Pani Campbell żyła minutę i dwadzieścia dwie sekundy, zanim zmarła na skutek niewydolności oddechowej.

Morderca rozważał ukrycie zwłok przy parkingu koło autostrady, ale szybko porzucił ten pomysł. Okoliczne krzaki nie były dość gęste, aby dało się w nich schować ciało – następny podróżny, który by się tam zatrzymał, zaraz dokonałby makabrycznego odkrycia. Zawsze mógł wsadzić zwłoki do chevroleta colorado, którego ukradł strażnikowi więziennemu, ale wszyscy stróże prawa w kraju z pewnością szukają już tego samochodu. Nawet jeśli jeszcze nikt go nie dostrzegł, zmieni się to w ciągu godziny, może nawet szybciej. Wtedy dowiedzieliby się również o Alicii – szybko by ją zidentyfikowali – i tym samym ustaliliby, jakim samochodem się teraz przemieszcza. Musiałby prędko zdobyć jakiś nowy środek transportu, co mu się wcale nie uśmiechało. Chciał dojechać do Luizjany, a wygoda i moc, jaką zapewniało audi, bardzo mu się podobały.

W końcu uznał, że najlepiej ukryć zwłoki w bagażniku i trzymać je tam aż do wyjazdu z Knoxville. Nie zamierzał spędzić tutaj więcej niż godzinę czy dwie – to dość czasu, aby zrobić zapasy i nieco zmienić wygląd. Bez wątpienia znajdzie odpowiednie miejsce do pozbycia się ciała, jak tylko opuści miasto. Teraz jednak zależało mu na tym, żeby odblokować komórkę.

Złapał prawą dłoń Alicii, przytknął jej kciuk do czytnika linii papilarnych w telefonie i gotowe.

Najpierw wybrał „ustawienia”. Wiedział, że bez wpisania hasła nie skonfiguruje aparatu tak, aby cały czas pozostawał odblokowany, zatem zrobił coś innego: zmienił czas automatycznej blokady z pięciu sekund na pół godziny. Teraz

wystarczy, że raz na trzydzieści minut dotknie ekranu, a nie będzie więcej potrzebował linii papilarnych prawowitej właścicielki.

Uporawszy się z tym, Lucien włączył nawigację i do wyszukiwarki wpisał „sklep z kostiumami w centrum Knoxville”. Otrzymał trzy wyniki. Najbliższy z nich był oddalony o niecały kilometr od parkingu.

– No proszę.

Folter osiągnął mistrzostwo w naśladowaniu innych, ale jego zdolności do zmiany wyglądu zakrawały na czary. Potrzebował odpowiedniego sprzętu do makijażu i paru rekwizytów, które z łatwością można kupić w większości sklepów z kostiumami, aby w zaledwie kilka minut stać się zupełnie nową osobą.

Sprawdził w nawigacji trasę i uznał, że skoro i tak będzie musiał zdobyć jeszcze parę rzeczy w innych sklepach, to równie dobrze może się przejść, zamiast jechać. Zamknął samochód i ruszył w drogę.

## Siedem

Hunter wpatrywał się w Kennedy'ego, oczekując dalszych informacji, ale ten uparcie milczał.

– O czym mówisz? – zapytał spokojnie. – Jaka wiadomość?

– Wiem, że nie muszę nikomu tutaj wyjaśniać protokołu – odparł Adrian. – Zdajecie sobie sprawę, że jak osadzony ucieknie, to na samym początku cholernie dokładnie przetrząsa się jego celę, prawda? Szuka się planów, notatek, szkiców, listów wymienianych z kimś na zewnątrz... Wszelkich wskazówek, które mogą skierować pościg na właściwy tor.

Robert przytaknął.

– Cóż, przewrócono celę Luciena do góry nogami, ale i tak nic nie znaleziono.

– Nie było na to szans – skomentował detektyw ze wzruszeniem ramion. – Nieważne, jak skomplikowany plan opracował, z pewnością go nie spisał, tylko trzymał bezpiecznie w pamięci.

– Być może. Ale on nie uciekł ze swojej celi.

– Tak, wiem. Powiedziałeś, że zabił dwóch pielęgniarzy, zatem musiał leżeć w skrzydle szpitalnym?

– Zgadza się – potwierdził Kennedy. – Wczoraj po południu został tam przeniesiony. Podobno z powodu ostrego zatrucia pokarmowego. Nie przestawał wymiotować.

– Taa, na pewno – rzucił Garcia.

– Tak czy siak, w jego szpitalnej celi znaleziono wiadomość. Podobno zostawił ją na poduszce.

– Na poduszce? – dociekał Carlos.

– Tak.

– I ta wiadomość jest zaadresowana do mnie? – spytał Hunter.

Adrian spojrzał na niego i kiwnął głową, ale jakoś bez przekonania.

– Cóż, owszem, ale w dość zawoalowany sposób.

Detektyw uniósł brwi.

Dokładnie w tym momencie dyrektor FBI poczuł, jak komórka wibruje w jego kieszeni. Tym razem były to tylko dwa sygnały, co oznaczało SMS-a.

– Chwileczkę, dobrze? – powiedział, po czym zerknął na wyświetlacz. – Tak – rzucił po chwili. – Wiadomość z pewnością jest zaadresowana do ciebie. Nie ma żadnych wątpliwości. – Wyciągnął rękę z aparatem w stronę Roberta. – Masz, sam zerknij.

Hunter zastanawiał się, co zrobić. Zupełnie jakby wystarczyło nie patrzeć na telefon, aby cały ten koszmar zniknął. Jego partner natomiast nie miał żadnych wątpliwości, natychmiast podszedł bliżej, niczym głodny dzieciak, któremu ktoś oferuje batonik.

Robert pozwolił Carlosowi przeczytać tajemniczego SMS-a, po czym ruszył w jego stronę.

– Nic nie rozumiem – oznajmił Garcia, spoglądając podejrzliwie to na Adriana, to na Huntera.

Kennedy podsunął komórkę drugiemu detektywowi, stojącemu obok z rękami w kieszeniach, aby ten w końcu spojrzął na wyświetlacz. Robert zobaczył kartkę, leżącą na śnieżnobiałej poduszce. Powoli przeczytał wiadomość, która wyglądała, jakby napisano ją krwią.

„Powinieneś mnie załatwić w tamtym samolocie, przyjacielu. Ta szansa już minęła. Teraz moja kolej. Przygotuj się, Świerszczu, ponieważ zagramy razem w pewną grę”.

– Mam rację? – zapytał Adrian. – Ta wiadomość jest do ciebie, prawda?

Hunter pokiwał głową.

– Tak, masz rację – przyznał z wyraźnie słyszalnym zmęczeniem w głosie.

– Mam co najmniej milion pytań – powiedział Carlos. Można było odnieść wrażenie, że wyraz zagubienia na jego twarzy na zawsze już tam zostanie.

– Jestem pewny, że Robert odpowie na wszystkie, jak tylko wyjadę – odparł dyrektor FBI, po czym zerknął na zegarek. – A to nastąpi bardzo szybko. – Ponownie spojrzął na drugiego detektywa. – Znasz Luciena lepiej niż ja. Od wielu lat mam do czynienia z różnymi psychopatami, a to... – kiwnął głową w stronę



telefonu – nie wygląda mi na zaproszenie... A jeśli nawet nim jest, to nie można go ot tak odrzucić. On na to nie pozwoli.

Hunter milczał. Zdawał sobie sprawę z tego, że przyjaciel ma rację. To nie zaproszenie, tylko ultimatum i wyzwanie w jednym.

Kennedy jeszcze raz zerknął na zegarek.

– Muszę już wracać do Waszyngtonu. Jestem pewny, że wrze tam jak w ulu, mimo to odezwę się po południu.

– Nie będę dowodził oddziałem FBI – oznajmił stanowczo Robert.

Adrian zatrzymał się w drzwiach i popatrzył na obu detektywów. Przed wyjściem skinął jedynie głową. Nie powiedział żadnemu z nich, że jego zdaniem to bez znaczenia, czy Hunter chce polować na Foltera. Był absolutnie pewny, że Folter urządzi własne polowanie. A jego zwierzyną będzie Hunter.

## Osiem

Gdy tylko za Kennedym zamknęły się drzwi, Carlos spojrział na Roberta.

– Ja i ty – zaczął, wskazując palcem na siebie i Huntera. – Musimy pogadać.

Przyjaciel przytaknął i usiadł za swoim biurkiem.

Garcia nie poszedł w jego ślady.

– No to zamieniam się w słuch. Kim, do cholery, jest Lucien Folter? – Uniósł prawą dłoń do góry. – I proszę, nie wciskaj mi tego gówna o „złu w ludzkiej postaci”.

Hunter rozparł się na krześle, położył ręce na podłokietnikach i złączył palce przed brodą. Wiedział, że nie da rady się z tego wywinąć.

– Zapewne chciałbyś usłyszeć długą wersję.

– Nigdzie mi się nie spieszy.

Robert zastanawiał się przez chwilę, jak najlepiej opisać Luciena. W końcu wzruszył ramionami.

– Folter to jeden z najbardziej inteligentnych ludzi, jakich spotkałem. Jest zdyscyplinowany, zdeterminowany, skupiony na celu, zaradny i bardzo zdolny. To prawdziwy mistrz w dziedzinie manipulacji psychologicznej i kłamstwa, a przede wszystkim, jak mówił Adrian, jest czystym złem.

Carlos nie był pod wrażeniem.

– Powiedziałeś „spotkałem”? Kiedy? – zapytał.

Hunter wahał się przez chwilę.

– Kiedy miałem szesnaście lat.

Wyraz twarzy drugiego detektywa zmienił się błyskawicznie – teraz malowało się na niej zdumienie.

– Co? Szesnaście?

Robert pokiwał głową.

– Pierwszego dnia na Uniwersytecie Stanforda. Mieszkaliśmy w tym samym akademiku. W jednym pokoju.

Niewiele brakowało, a szczeka Garcii opadłaby aż do samej podłogi.

– Chyba lepiej usiądę – skwitował, po czym oparł się o biurko.

– Tak jak ja, Lucien studiował psychologię.

Nieobecne spojrzenie Huntera powiedziało partnerowi, że ten pogrążył się we wspomnieniach.

– Od razu się zakumplowaliśmy – ciągnął Robert. – Nie spodziewałem się tego.

– Co masz na myśli?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Był miły.

– I to cię zdziwiło?

– Częściowo.

– Dlaczego?

– Jak już mówiłem, miałem wtedy szesnaście lat, o kilka mniej niż wszyscy dookoła. Jako dzieciak nie interesowałem się sportem, ćwiczeniami i tak dalej. Byłem chudy i niezdarly, ubierałem się inaczej niż inni.

– To znaczy?

– Nie mieliśmy pieniędzy – odrzekł Hunter. – Większość moich ciuchów pochodziła ze sklepów z używaną odzieżą. W dodatku rzadko na mnie pasowały. – Uśmiechnął się. – Nosilem jeansy z dziurami, kiedy wyszły już z mody, i koszule w kratę, zanim kapele rockowe je spopularyzowały. – Uniósł brwi. – Czyli byłem młodszy od innych, śmiesznie chudy, kujonowaty i nosilem niedopasowane i podarte rzeczy. – Dał partnerowi chwilę, żeby ten zwizualizował sobie ten opis. – Zaczynasz chwytac? Taki magnes na szkolnych łobuzów.

Patrząc na przyjaciela, Carlos nigdy by nie podejrzewał, że ten jako nastolatek mógł robić tak złe wrażenie. Widział go raczej jako kapitana drużyny zapaśniczej albo mistrza bokserskiego.

– W tamtym czasie Lucien miał dziewiętnaście lat, kochał sport i trenował przynajmniej pięć razy w tygodniu – opowiadał dalej Robert. – Pakerzy jego pokroju przeważnie dawali wycisk chłopaczkom podobnym do mnie. – Zaśmiał się pod wpływem wspomnień. – Pamiętam, jak pierwszy raz wszedłem do mojego

pokoju w akademiku. Niosłem karton książek i torbę z ubraniami. Lucien robił pompki na podłodze.

– Jak go zobaczyłem, przygotowałem się na nieuniknione. – Hunter pokręcił głową. – Ale nic złego się nie stało. Nie powiedział słowa na temat mojej postury, ubrań ani nawet tego, że wyglądałem jak kujon. Żadnych złośliwych uwag. Żadnych docinków, żartów... nic z tych rzeczy. Wstał i pomógł mi z pakunkami.

– W życiu bym nie podejrzewał, że ktoś cię gnębił w szkole.

– Z moim wyglądem ciężko było tego uniknąć. Przywykłem do takiego stanu rzeczy, nie wierzyłem Lucienowi, myślałem, że jest dla mnie miły, bo chce zdobyć moje zaufanie, a w końcu wszystko się zacznie... wygłupy, dowcipy, ponizanie, znęcanie się psychiczne i tak dalej.

– Ale tak się nie stało.

Robert pokręcił głową.

– To prawda. Kilka razy przyszedł mi z pomocą, kiedy inni studenci mnie gnębili. On zachęcił mnie do trenowania sztuk walki, a także doradzał, jak ćwiczyć i się odżywiać, żeby przypakować. Koniec końców przez całe studia był moim najlepszym przyjacielem.

Garcia wyglądał na zmieszanego.

– Czegoś tutaj nie rozumiem. Cały czas słyszę, że ten Folter to zło wcielone, a z twojego opisu wyłania się całkiem porządny facet.

– To jedna z jego sztuczek – wyjaśnił Hunter, po czym opadł na oparcie krzesła. – Oszustwo. On jest w tym najlepszy. – Zamilkł na chwilę, rozważając kolejne słowa. – Nie wiemy, jaka jest dokładna liczba, być może w ogóle jej nie poznamy, ale prawdopodobnie zabił ponad sto osób.

Carlos był pod wrażeniem.

– Co? – Dobrze wiedział, że jego partner nigdy nie żartuje na takie tematy. – To czyniłoby go jednym z największych morderców w historii tego kraju.

– Zgadza się.

– Więc jakim cudem nigdy o nim nie słyszałem?

– Nikt o nim nie słyszał. Działał w ukryciu, dopóki nie złapaliśmy go kilka lat temu.

– Złapaliśmy? – Na twarzy detektywa odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. – Jacy „my”?

– Pomagałem FBI.

– Kiedy?

Robert westchnął.

– Jakies trzy i pół roku temu.

– Trzy i pół roku? – zdumienie Carlosa chyba jeszcze się spotęgowało. – Pracujemy razem od dziesięciu lat, nie przypominam sobie takiej historii.

Hunter milczał.

– A gdzie ja wtedy byłem?

– Na wakacjach.

– Na waka... – Garcia zamilkł i zmarszczył brwi, przywołując wspomnienia. Minęło trzy i pół roku od chwili, gdy zamknęli sprawę seryjnego mordercy, przez którą zarówno on, jak i jego żona Anna niemalże stracili życie. Kapitan Blake kazała im wtedy wziąć urlop: dokładnie dwa tygodnie urlopu. Carlos zabrał Annę do Nowego Orleanu, a jego partner miał polecieć na Hawaje. Doskonale pamiętał ranek, kiedy po powrocie z Luizjany spotkał się z Robertem, właśnie w tym pokoju. Pamiętał również rozmowę, jaką wtedy odbyli, niemalże słowo w słowo.

– Nie opaliłeś się za bardzo, jak na kogoś, kto wrócił właśnie z Hawajów. – Carlos zamilkł na chwilę i zmarszczył brwi. – Wybrałeś się na urlop, prawda?

– Tak jakby – odparł Robert.

– A co to niby znaczy?

– Wziąłem sobie wolne, tylko nie poleciałem na Hawaje.

Garcia uznał, że to dość dziwne – jego przyjaciel zawsze chciał zobaczyć Hawaje, ale jakoś nigdy nie miał okazji.

– A dokąd pojechałeś?

– Po prostu odwiedziłem przyjaciela na wschodzie kraju.

Carlos wówczas więcej nie naciskał, ale teraz wszystko zrozumiał. Odwiedzał przyjaciela: Adriana Kennedy’ego. Na wschodzie kraju: Quantico w Wirginii.

– Czyli to był twój urlop? – zapytał z niedowierzaniem. – Pojechałeś do Quantico, żeby pomagać FBI?

– Nie miałem zbyt wielkiego wyboru – wyjaśnił Hunter. – Walizki były już spakowane, kiedy zadzwoniła pani kapitan.

– Kapitan Blake do ciebie zadzwoniła?

– Zgadza się. Wezwała mnie do swojego gabinetu. Podobno wyskoczyło coś ważnego, co nie mogło czekać. Przyjechałem na miejsce i okazało się, że Kennedy już tam jest. Przyleciał do nas, ponieważ FBI zupełnie przypadkiem aresztowało w Wyoming kogoś, kto mógł być zamieszany w podwójne morderstwo.

– Przypadkiem?

Robert pokiwał głową.

– W wyniku głupiego incydentu.

– Z każdą chwilą robi się ciekawiej – skomentował przyjaciel, po czym usiadł za swoim biurkiem. – Dobra, opowiadaj wszystko od początku.

## Dziewięć

Przez kolejną godzinę Garcia w niemal całkowitym milczeniu słuchał opowieści o wydarzeniach sprzed ponad trzech lat. Hunter nie powiedział jednak wszystkiego: nie wspomniał o pewnych osobistych szczegółach sprawy, które na zawsze odmieniły jego życie, lecz postanowił je zamknąć w swoim umyśle. W ciemnym i zimnym miejscu, wypełnionym żalem i nienawiścią. W ogóle nie dał przyjacielowi po sobie poznać, że coś przed nim ukrywa.

– Czyli chcesz mi powiedzieć – zaczął Carlos, kiedy partner dokończył relację – że ten Lucien przez całe życie zabijał ludzi, bo chciał napisać jakiś... – zamilkł na chwilę, szukając odpowiedniego określenia – podręcznik mordercy czy coś w tym guście?

– Chodziło o coś więcej. On dokumentował wszystko, co tylko mógł: nazwiska i adresy ofiar, swoje plany, motywy zabicia każdej z osób, szczegóły każdego *modus operandi*, jaki zastosował, swój podpis, odczuwane emocje... wszystko. Jego dzienniki stanowią swego rodzaju psychologiczną samoocenę szaleństwa, które ogarnia umysł mordercy przed popełnieniem zbrodni, w trakcie i po zabójstwie. Zatem nie, on nie pisał podręcznika. Tworzył encyklopedię.

– Przypomnij, ile tych dzienników znaleźliście?

– Pięćdziesiąt trzy. Każdy liczył jakieś trzysta stron.

Garcia pokręcił głową.

– To jest popieprzone.

– Dla większości osób tak. Ale dla Adriana Kennedy'ego te zapiski to prawdziwy skarb.

Carlos dotknął dolnej wargi, zastanawiając się nad tym.

– OK, rozumiem dlaczego szef NCAVC chce je mieć, nieważne, jak bardzo obłąkane treści zawierają.

– Tak – przyznał Hunter. – Nie kwestionuję tego, tylko...

– Czekał chwilę – przerwał mu partner, po czym wbił w niego wzrok.

– Co się stało?

– Za pierwszym razem złapaliście go dzięki tym zapiskom, prawda?

– Tak. Porównywaliśmy fałszywe nazwiska, którymi się posługiwał, z nazwiskami ofiar i...

– Tak, tak – ponownie przerwał Garcia. – Złapałem. Powiedziałeś jednak, że zanim wpadliście na to, że podszywa się pod niektóre ze swoich ofiar, sprawdzałeś w dziennikach informacje na temat jego kryjówek, zgadza się?

Robert uważnie spojrzał na przyjaciela. Wiedział, do czego ten zmierza, ponieważ sam już o tym pomyślał.

Opowiedział mu o tym, że Lucien zapisywał w swojej encyklopedii morderstw wszystko, co tylko mógł, łącznie z położeniem odludnych miejsc, które kupił bądź zajął. Miejsc, o których nikt nie wiedział: swoich kryjówek. Były rozsiane po całym kraju. Korzystał z nich głównie do torturowania ofiar, ale mógł też się schować w jednej z nich, gdyby poczuł się zagrożony – to właśnie sugerował Carlos.

Po ucieczce każdy zbieg – nieważne, kim jest – w pierwszej kolejności szuka kryjówki, przynajmniej na pewien czas. Hunter doskonale o tym wiedział, więc gdy trzy i pół roku temu okazało się, że Folter zapisał adresy swoich kryjówek, detektyw polecił Kennedy'emu zebranie zespołu dziesięciu niezwykle szybko czytających osób. Sam był jedną z nich. Wspólnymi siłami w ciągu kilku godzin przewertowali wszystkie dzienniki, szukając wzmianek o każdym z takich odludnych miejsc. W pięćdziesięciu trzech zeszytach odnaleźli informacje o piętnastu kryjówkach, znajdujących się w piętnastu stanach. Wysłane przez FBI oddziały SWAT wdarły się do wszystkich.

– Mówiłeś, że działania SWAT nic wtedy nie dały – ciągnął Garcia. – Nie udało im się złapać Luciena. Ale powiedz mi jedno: czy on wie, że FBI sprawdziło jego skrytki? Wie, że mamy ich adresy?

– Prawdopodobnie nie. A przynajmniej nie może być tego pewny.

– Co masz na myśli?

– Nie sądzę, żeby ktoś mu to wyjawiał.

Carlos uśmiechnął się triumfalnie, jakby właśnie udowodnił swoją rację.

– Ale jednocześnie wie, że FBI znalazło wszystkie jego zapiski – ciągnął Hunter. – Zdaje sobie sprawę, że Adrian i całe NCAVC drobiazgowo przeanalizowało każdą stronę i każde słowo. – Przerwał, po czym zaakceptował



sugestię partnera. – Tak, masz rację. W tej chwili Folter najbardziej potrzebuje schronienia, które uważa za bezpieczne. – Powoli pokręcił głową. – Jednak żadne miejsce, żaden adres, żadne nazwisko wymienione w którymkolwiek z dzienników nie jest już bezpieczne, ponieważ o wszystkich przeczytaliśmy. On nie próbuje się dostać do którejś z piętnastu kryjówek. Jest na to za bystry. Pewnie ma jeszcze jedną albo nawet kilka, o których nikt nie wie. Nikomu o nich nie powiedział, nigdy o nich nie napisał.

– Nie wiesz tego na pewno – zripostował partner. – Ostatnie trzy i pół roku trzymano go w niemal całkowitym odosobnieniu. Z tego, co wiemy, nie miał kontaktu ze światem zewnętrznym. – Przystanął przy drugim biurku. – Nieważne, jak bardzo jest inteligentny. W tej chwili wszyscy stróże prawa w tym kraju go szukają. Masz rację, musi zdawać sobie sprawę, że FBI zna jego fałszywe tożsamości i bezpieczne schronienia, ale teraz jest zdesperowany. Dobrze wiesz, że tonący brzytwy się chwyta: nawet jeśli jest to cholernie ryzykowne.

Hunter nie mógł niczego zarzucić rozumowaniu kolegi. Poza jednym drobnym detalem: Lucien nie jest zdesperowany. On nie panikuje... nigdy.

Musiał jednak przyznać, że warto sprawdzić te kryjówki.

– Moje pytanie brzmi: czy te miejsca jeszcze istnieją, czy FBI zrobiło z nimi porządek na dobre? – drążył Carlos.

Robert wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale to chyba bez znaczenia, prawda?

– Prawda... On i tak o tym nie wie.

Drugi detektyw przytaknął i sięgnął po telefon.

## Dziesięć

Lucien nie mylił się w swoich przewidywaniach: późnym rankiem informacja o jego ucieczce krążyła we wszystkich mediach, do pierwszej zaś po południu każda większa stacja telewizyjna zdążyła już pokazać jego zdjęcie. Co prawda zrobiono je prawie cztery lata wcześniej, ale za bardzo się nie zmienił. Wydawało się, że nawet się nie postarzał, jednak i tak nie miało to żadnego znaczenia. Od chwili, gdy zaparkował na trzecim piętrze całodobowego parkingu na State Street, minęło czterdzieści minut: w tym czasie całkowicie zmodyfikował swój wygląd.

Naprzeciwko parkingu natrafił na sklep, gdzie kupił nożyczki, piankę i maszynkę do golenia, małe lusterko, trzy duże butelki wody, kilka batoników, dwa opakowania suszonej wołowiny, rolkę ręcznika papierowego, czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne. Kawałek dalej natknął się na nieduży sklepik z ubraniami, z którego wyszedł z parą niebieskich jeansów i ciemną koszulką z długim rękawem i biegnącym przez środek nadrukiem „Prosto z Knoxville”. W odległości dwudziestu metrów od sklepu znajdował się duży McDonald.

– Będzie w sam raz.

Folter zamierzał jedynie skorzystać z toalety, ale na jej drzwiach wisiała tabliczka z informacją „Tylko dla klientów restauracji”.

Nie należał do osób przejmujących się takimi znakami czy zasadami w ogóle, lecz nie chciał teraz ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi. Poza tym przydałoby się coś przekąsić.

Miał na sobie czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne – zza ich szkieł przyglądał się czwórce młodych kasjerów. Wybranie celu zajęło mu mniej niż minutę: rudowłosy nastolatek o twarzy usianej pryszczami, który wyglądał, jakby nienawidził swojej pracy, swoich rodziców, a być może i całego swojego życia. Ledwie zerkał na klientów składających zamówienia.

Lucien poczekał, aż przy tej kasie nie będzie nikogo, po czym podszedł i zamówił cheeseburgera, frytki i małego czekoladowego shake’a. Tak jak

wcześniej, chłopak ograniczył kontakt wzrokowy do minimum.

Z tacą w ręku poszukiwany zbieg udał się do stolika w rogu, z dala od okien, i usiadł przodem do ściany, aby pozostali widzieli tylko jego plecy.

Nigdy nie należał do wielbicieli McDonalda, ale minęły już cztery lata, odkąd jadł burgera i frytki. Nie potrafił nawet stwierdzić, kiedy ostatni raz pił shake'a. Może i było to śmieciowe żarcie, ale w tej właśnie chwili smakowało jak posiłek bogów.

Zjadł w niecałe pięć minut, po czym wziął torbę z zakupami i wrócił do rudowłosego kasjera.

– Czy mogę skorzystać z toalety? – zapytał łagodnym, spokojnym głosem.

– Jasne – odparł nastolatek, wzruszając ramionami. – Jak pan podejdzie do drzwi, otworzę je przyciskiem.

Gdy Lucien dotarł do łazienki, usłyszał cichy brzęczyk zwalniający blokadę zamka.

Po wejściu do środka nie tracił czasu: zamknął się w jednej z czterech kabin i położył torbę z zakupami na desce klozetowej.

W ciągu ostatnich miesięcy włosy mu urosły i sięgały obecnie poniżej uszu. Chociaż podobały mu się, musiał się ich pozbyć.

Wziął nożyczki i lusterko, po czym zaczął ścinać włosy możliwie najkrócej. Bardzo uważnie zbierał do siatki każdy kosmyk. Następnie przy użyciu pianki, maszynki, wody i ręcznika papierowego ogolił całą głowę.

Jego broda również znacznie urosła, tworząc gęstą, irytującą i swędzącą szczecinę – coś, czego straszliwie nie znosił. Miała jednak swój cel. Najbardziej wyróżniającym się znakiem szczególnym na jego twarzy była niemal trzycentymetrowa ukośna blizna na lewym policzku. Stanowiła pamiątkę po jednej z ofiar, której przed dwunastoma laty udało się wyprowadzić całkiem udany cios. Lucien zorientował się dość późno, ale i tak odchylił się na tyle, żeby niemalże uniknąć uderzenia. Nie zauważył jednak solidnego, drogocennego kamienia wystającego z pierścionka, noszonego przez kobietę. Pięść chybiła celu, ale pierścionek rozharatał mu policzek. Dlatego właśnie zapuścił brodę.

Folter wiedział, że FBI będzie we wszystkich mediach pokazywało jego zdjęcie wykonane po aresztowaniu, co miało miejsce trzy i pół roku wcześniej. A na nim nie miał zarostu. Wiedział również, jak działa ludzki mózg.

Badania wykazują, że przeciętny człowiek zapamiętuje bardzo niewielki ułamek tego, co zobaczy tylko raz. Dzieje się tak, ponieważ nasze oczy wyszukują rzeczy charakterystyczne w obiektach, które widzimy po raz pierwszy. W przypadku czyjejś twarzy mogą to być różne elementy: na przykład piękne oczy albo idealnie ukształtowane usta, czy czarujący pieprzyk. Może też to być coś, co uważamy za dziwne: haczykowany nos, blizna, brwi o nietypowym kształcie i tak dalej. Kiedy zdjęcie Luciena pojawi się w mediach, ludzie automatycznie najlepiej zapamiętają bliznę na lewym policzku. Doskonale o tym wiedział, dlatego musiał pójść do sklepu z kostiumami: za pomocą odrobiny lateksu albo chociaż odpowiedniego makijażu mógł z łatwością sprawić, że blizna zniknie. Nie wiedział jednak, co uda mu się kupić, dlatego na razie potrzebował irytującej i swędzącej brody.

– To wystarczy – wyszeptał pod nosem, oglądając swoją świeżo ogoloną głowę w lusterku. Efekt nie musiał być idealny, zależało mu na tym, żeby uniknąć rozpoznania przez jakieś dwadzieścia minut, aż dotrze do sklepu, a potem znowu do samochodu.

Następnie zdjął mundur i włożył świeżo nabyte ubrania. Zebrał wszystkie rzeczy do torby i wyszedł z kabiny, aby przejrzeć się w wielkim lustrze na ścianie. Uśmiechnął się do swojego odbicia.

Pierwsza faza metamorfozy ukończona.

## Jedenaście

Adrian Kennedy właśnie wsiadł do prywatnego odrzutowca, należącego do FBI, kiedy zadzwonił do niego Hunter. Od momentu, gdy usłyszał o ucieczce Luciena, czuł tak ogromną wściekłość, że całkowicie zapomniał o kryjówkach mordercy. Trzy i pół roku wcześniej to właśnie Adrian dał zielone światło do rozpoczęcia operacji „Geniusz zbrodni”: piętnaście zespołów SWAT jednocześnie wtargnęło do piętnastu różnych miejsc rozsianych po całym kraju. Miejsc, których adresy wyciągnęli z encyklopedii morderstw.

– To trochę strzał na ślepo – wyjaśniał Hunter. – On wie, że dokładnie sprawdziliśmy jego zapiski, przeanalizowaliśmy każdy adres i każde nazwisko. Próba dotarcia do jednej z tych kryjówek to ryzyko, jakiego on by normalnie nie podjął.

– Rozumiem – odparł Kennedy. – Jednak wydaje mi się, że warto spróbować, nieprawdaż?

– Być może.

– Załatwię to.

– Daj znać, jak poszło.

– Oczywiście.

Robert się rozłączył. Jego partner podszedł do ekspresu i nalał sobie pełny kubek świeżej kawy.

– Jako detektyw naoglądałem się różnych popieprzonych rzeczy, ale w sprawie tego całego Foltera jest coś, czego nie rozumiem – rzucił Garcia.

– Co dokładnie?

– Użył kawałka żyłki i obrzyna, żeby zastawić pułapkę w stróżówce, prawda? – zapytał, pokręcił głową, a następnie wzruszył ramionami. – Po co?

Hunter również wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Bo taki jest Lucien.

Wstał i podszedł do okna. Niebo na zewnątrz wyglądało jak niebiesko-biała mozaika, chmury przesłaniały nieco poranne słońce, dzięki czemu temperatura była całkiem przyjemna.

– On nie przepuści żadnej okazji, aby zademonstrować, do czego jest zdolny. – Robert w końcu zaczął rozwijać swoją wypowiedź. – Każdy inny skazaniec po prostu by uciekł, gdyby dostał nagle taką szansę. Im szybciej zwieje zza tych cholernych murów, tym lepiej. – Założył ręce na piersi. – Ale nie Lucien. Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło w tej stróżówce, ale domyślam się.

– To zazdroścę – skwitował Carlos. – W takim razie mów. Co tam się działo?

Hunter oparł się o ścianę z prawej strony okna.

– Gdyby możliwość ucieczki pojawiła się nagle, niespodziewanie, skorzystałby z niej, bez wątpienia. Ale tutaj było inaczej.

– Myślisz, że to zaplanował?

– Nie wątpię w to. Wszystko, poza zastawieniem pułapki: to właśnie okazja, która pojawiła się nagle.

Garcia wyglądał jednocześnie na zaciekawionego i niepewnego.

– W chwili, kiedy tylko go zamknęli, zaczął szukać jakiegoś sposobu ucieczki. To w jego stylu, jego mózg tak pracuje. I nigdy się nie poddaje. Potrzebował tylko, żeby przeciwnik – FBI, rząd, ktokolwiek – opuścił na chwilę gardę.

– I to się właśnie stało, kiedy przeniesiono go do więzienia w Wirginii – wtrącił Carlos.

– Zgadza się – przyznał drugi detektyw, po czym odwrócił się do okna. – Jego plan zadziałał idealnie: udało mu się dostać do stróżówki bez wywołania alarmu. Gdy był już w środku, zabił wszystkich, w końcu po co miałby ich zostawiać przy życiu?

Garcia dopił kawę i odstawił pusty kubek na biurko.

– A co z tą pułapką?

– Moim zdaniem wszystko poszło jeszcze lepiej, niż się spodziewał. W jakiś sposób zdołał ominąć wszelkie możliwe przeszkody i dotrzeć na miejsce znacznie szybciej.

– Dobra, wyrobił się przed czasem. Super! – skwitował Carlos. – Ale dlaczego po prostu nie ruszył dalej? Po co zastawiać pułapkę na jeszcze jednego strażnika,

który w ogóle mu nie zagrażał? Nawet go tam wtedy nie było, przyjechał pół godziny po ucieczce Luciena.

– Już ci mówiłem, on jest kimś, kto nie przepuści żadnej okazji, aby pokazać, do czego jest zdolny. – Robert uniósł dłoń, aby powstrzymać partnera od dalszych komentarzy. – Wyobraź to sobie: Folter wchodzi do stróżówki znacznie wcześniej, niż zakładał. Może już na etapie planowania wiedział dokładnie, o której zjawi się druga zmiana strażników, a może odkrył to dopiero w tym pomieszczeniu. Tak czy inaczej, ma teraz pewność, że nie musi się spieszyć. Każdy wykorzystałby ten czas na zdobycie większej przewagi nad nieuchronnym pościgiem. Każdy, tylko nie on. Zamiast uciekać, rozgląda się po pomieszczeniu i znajduje strzelbę i żyłkę. – Pstryknął palcami. – Ot tak, nowy pomysł wpada mu do głowy. Poświęca cenne minuty na zastawienie pułapki, ryzykując przybycie kolejnego strażnika, pielęgniarza czy kogokolwiek innego, kto go może nakryć. Widzisz już, po co to zrobił? Nie zamierzał po prostu dołożyć kolejnej ofiary do swojej listy. Nie obchodziło go, czy zabije jedną osobę więcej, czy nie.

– Popisuje się – rzucił przyjaciel. – Pokazuje w ten sposób wszystkim środkowy palec.

Hunter pokiwał głową.

– To też, ale przede wszystkim udowadnia, jak spokojny, wyrachowany, narcystyczny potrafi być, jak bardzo kontroluje sytuację, nawet pod największą presją.

Garcia potarł podbródek i stwierdził:

– Cechy, które sprawiają, że seryjny morderca jest nieskończenie bardziej niebezpieczny. Rozumiem już, skąd Kennedy wiedział, że ta wiadomość od Luciena jest skierowana do ciebie. „Powinieneś mnie załatwić w tamtym samolocie, przyjacielu”. Nawiązywał do chwili, kiedy go złapałeś.

Robert przytaknął.

– Dla pewności zakończył ją bardzo osobistym odniesieniem.

– Chodzi ci o „Świerszcza”? – Carlos planował sam podnieść tę kwestię: zastanawiał się nad tym od samego początku.

– Za czasów studenckich pasjonował nas serial *Kung Fu*. To produkcja z lat siedemdziesiątych, ale i tak była świetna.

– Nie znam. Co z tym serialem?

– W każdym odcinku pojawiało się kilka scen z przeszłości, kiedy stary, niewidomy mistrz z klasztoru Shaolin uczy młodego ucznia. Zawsze zwracał się do niego „Świerszczu”. W żartach Lucien czasami się ze mną droczył i właśnie tak mnie nazywał. Głównie podczas treningów sztuk walki. Całkiem nieźle naśladował chiński akcent i mówił coś w stylu „Musisz być cierpliwy, Świerszczu”.

Carlos zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Czyli w ten sposób próbuje cię psychologicznie cofnąć do czasów studenckich, kiedy on był twoim mistrzem, a ty jego uczniem... w pewnym sensie.

Hunter przytaknął.

– A co kryje się pod „zagramy razem w pewną grę”? Jaką grę? – ciągnął Garcia.

Robert spojrzał mu w oczy, po czym odpowiedział z tak ogromną pewnością w głosie, że partnera przeszedł dreszcz.

– Nie wiem dokładnie, ale o jednym mogę cię zapewnić: to, co dla Foltera jest grą, dla innych jest siódmym kręgiem piekieł.



## Dwanaście

W przeciwieństwie do Los Angeles, niebo nad Knoxville było całkowicie bezchmurne, dzięki czemu kwietniowe słońce ogrzewało miasto ciepłymi promieniami, które odbijały się od dachów samochodów i szyb budynków niczym promienie lasera.

Lucien potrzebował kilku minut, aby dotrzeć do sklepu z kostiumami, którego szukał. Spotkała go przyjemna niespodzianka: lokal miał bardzo dużą powierzchnię oraz niezwykle szeroki asortyment, przeznaczony nie tylko dla dzieci, ale również dla dorosłych.

Mimo ogromnego wyboru towarów Folter uwiął się w zaledwie dziesięć minut i wybrał wszystko, czego potrzebował: prawie półlitrową butelkę płynnego lateksu, dwa różne zestawy do makijażu, dwie peruki, cztery opakowania różnobarwnych soczewek kontaktowych i tubkę podkładu w kolorze jego własnej skóry.

– Urządza pan przyjęcie? – zapytała czarnoskóra sprzedawczyni, kiedy nabiła już ostatni przedmiot na kasę. W jej głosie pobrzmiwała autentyczna wesołość.

– Niezupełnie – odparł, perfekcyjnie naśladowując akcent Tennessee. – Po prostu... chcę się ukryć przed ludźmi.

Kobieta parsknęła śmiechem. Okulary zjechały jej na krawędź nosa, więc poprawiła je palcem wskazującym.

– Doskonale znam to uczucie: towarzyszy mi przez większość czasu.

Uśmiechnął się, wręczając jej banknot.

– Reszta dla pani.

– Bardzo dziękuję. – Sprzedawczyni spojrzała na niego z jeszcze większą radością. – Życzę powodzenia w ukrywaniu się przed ludźmi. Niech się pan nie da znaleźć.

– Taki mam zamiar – odparł, puszczając do niej oczko, po czym wyszedł ze sklepu.

Niecałe osiem minut później dotarł do tego samego McDonalda, w którym wcześniej jadł cheeseburgera. Zaczął się zastanawiać nad ponowną wizytą w toalecie, aby zgolić irytujący zarost i skorzystać ze świeżo nabytych przyborów, za pomocą których mógłby ukryć bliznę, a także uwydatnić nieco kości policzkowe. To z pewnością zapewniłoby mu anonimowość, ale jednocześnie zabrałoby cenny czas. W dodatku nie miał żadnego sensownego powodu do dalszej zmiany wyglądu, poza pozbyciem się swędzącej brody.

Posłuchał głosu rozsądku i poszedł dalej.

Podczas dalszej drogi do Luizjany zamierzał ograniczyć kontakty z ludźmi do niezbędnego minimum. Potrzeby fizjologiczne będzie zaspokajał tylko w razie absolutnej konieczności, w dodatku chętniej skorzysta z krzaków przy drodze niż z łazienki na stacji benzynowej, którą z kolei odwiedzi wyłącznie, aby zatankować paliwo.

Z oczywistych powodów przez kilka pierwszych godzin po ucieczce więźnia wszystkie stacje benzynowe przy autostradach w danej okolicy i w sąsiednich stanach są bacznie obserwowane. Lucien miał wystarczającą przewagę nad władzami, aby ruszyć w dowolnym kierunku, jednak szeryfowie federalni szybko znajdą porzuconego pick-upa przy autostradzie Maynardville, co z kolei powie im, że zbieg udał się na południowy zachód, w stronę Tennessee. A być może nawet już o tym wiedzieli.

Folter zdawał sobie z tego sprawę, dlatego planował unikać autostrad. Zamierzał okrążyć Cherokee National Forest i wrócić do Wirginii, a potem przejechać przez Karolinę Północną, Karolinę Południową, Georgię, Alabamę, Missisipi i w końcu dotrzeć do Luizjany. Skoro dopiero co opuścił Wirginię, większość blokad – o ile nie wszystkie – zostanie umieszczona w kierunku Tennessee. Nikt nie będzie zakładał, że zbieg powróci do tego samego stanu, z którego uciekł.

Zgodnie z wyliczeniami taki manewr zajmie mu dodatkowo od dziesięciu do szesnastu godzin. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale zawsze przedkładał ostrożność nad doskonałość. Przy założeniu, że będzie jechał 75–80 kilometrów na godzinę, Lucien szacował, że cała podróż do ukrytej chatki w południowej Luizjanie potrwa maksymalnie trzydzieści dwie godziny. Zgromadził więcej niż wystarczający zapas wody. Głód zamierzał zaspokajać batonami i suszoną wołowiną, które kupił w Knoxville.

Jeden z wyświetlaczy na tablicy rozdzielczej audi wskazywał, ile auto może przejechać na pozostałym w baku paliwie. Pełny zbiornik pozwala na pokonanie blisko tysiąca kilometrów. Obecnie był pełny w połowie, co oznaczało, że trzeba będzie zatankować jeszcze dwa, maksymalnie trzy razy.

Folter dotarł do samochodu, położył obie torby z zakupami na siedzeniu pasażera, po czym usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Powoli zaczął wyjeżdżać z miejsca parkingowego, zerkając jednocześnie na mapę nawigacji samochodowej, aby sprawdzić, w którą stronę ruszyć po opuszczeniu parkingu. Odwrócił uwagę tylko na moment, ale to wystarczyło, żeby przeoczył srebrne bmw, które wyjechało właśnie zza zakrętu i pędziło szybko w jego kierunku. Kierowca zatrząbił głośno i odbił gwałtownie w lewo, ledwie mijając jedno z zaparkowanych aut. Lucien natychmiast nacisnął hamulec, zatrzymując audi w miejscu. Zawartość reklamówek wysypała się na podłogę.

– Sukinsyn! Niewiele brakowało.

– Ty skurwielu! – krzyknął kierowca bmw, a po chwili wjechał w pobliskie wolne miejsce.

Drzwi srebrnego samochodu się otworzyły. Wyszła przez nie wysoka i bardzo umięśniona postać.

– Ty skurwielu! – krzyknął ponownie mężczyzna, wskazując Foltera palcem, po czym ruszył w jego stronę.

Lucien odpiął pas i szybko wysiadł z auta.

– Ślepy, kurwa, jesteś, ty łysy kutasie?

Drzwi audi ledwie zdążyły się zamknąć, gdy stał już przy nich mięśniak.

– Kto cię, kurwa, uczył jeździć? Stevie Wonder? – krzyczał mężczyzna, trzymając palec wskazujący zaledwie kilka centymetrów od twarzy Foltera.

Nieznajomy miał jakieś czterdzieści lat, krótkie włosy obcięte po wojskowemu i krzywy nos, bez wątpienia złamany co najmniej kilka razy. Z pewnością brał udział w niejednej bójce. Nosił białą koszulkę, za małą o jeden rozmiar, a jego wielkie bicepsy, tricepsy i mięśnie klatki piersiowej rozciągały cienki materiał do granic możliwości, przez co wyglądał na jeszcze bardziej masywnego.

Lucien cofnął się o krok, zachowując spokój. Nie chciał się awanturować.

– Bardzo pana przepraszam – zaczął łagodnie. – To moja wina. Nie patrzyłem na drogę i nie zauważyłem pana.

– Jak mogłeś mnie nie zauważyć? – odparował wściekle mięśniak. – Spójrz, jaki wielki jest mój wóz. Jesteś nie tylko głupi, ale i ślepy?

Lucien spróbował go uspokoić.

– Jeszcze raz pana przepraszam. Będę bardziej uważny – powiedział, po czym uśmiechnął się lekliwie. – Na szczęście nic się nikomu nie stało.

– Nie stało? – Mężczyzna nadal mówił podniesionym głosem. – Przez ciebie oblałem się kawą, kretynie. Popatrz na to – rzucił, wskazując niewielką plamę na lewym udzie.

Lucien powstrzymał się od sarkastycznej uwagi.

– Za to również pana bardzo przepraszam.

To trwało zbyt długo.

Zamierzał zapłacić mężczyźnie za pralnię, żeby skończyć ten głupi spór, ale tamten go ubiegł.

– Przepraszam nie wystarczy, chłopie – wycedził mięśniak, patrząc mu prosto w oczy. Stawał się coraz bardziej agresywny. – Trzeba będzie oddać ciuchy do pralni. Ty za to zapłacisz, kutasie – oznajmił, szturchając Foltera palcem.

W oczach Luciena zapłonął ogień.

Szturchanie go było błędem.

Bardzo poważnym błędem.

# Trzynaście

Lucien wytrzymał spojrzenie mężczyzny przez chwilę. Spotkał w swoim życiu wielu podobnych do niego. Świat był ich pełen: gnojów, którzy dla czystej przyjemności zastraszają innych dzięki rozmiarom swoich mięśni. Nawet gdyby mogli, gdyby mieli taką umiejętność, i tak nie chcieli prowadzić normalnej dyskusji, popartej logicznymi argumentami. Po prostu lubili terroryzować swoje ofiary. Karmili w ten sposób własne ego. Dawało im to poczucie przynależności. Czuli się przez to lepsi. Prawda jest jednak taka, że niemal w stu procentach przypadków ta agresja i poniżanie miały na celu w jakiś sposób zrekompensować im własne braki. Bardzo często te braki wywodziły się jeszcze z czasów dzieciństwa.

Kierowca bmw nie potrzebował ani nie chciał pieniędzy na pralnię. Zapewne nawet nie zaniósłby do niej poplamionych spodni. Żądał ich, ponieważ ludzie jego pokroju nie przepuszczą żadnej okazji do zastraszenia kogoś.

Tak, Lucien spotkał wielu takich mięśniaków: w szkole, na studiach, na ulicach, w pracy, w domu... i nienawidził ich wszystkich.

– Dawaj portfel – rozkazał olbrzym.

Folter zmarszczył brwi, cofając się o krok.

– Portfel, dupku. – Mężczyzna wyciągnął dłoń i ponaglił go gestem. – Dawaj go. Już.

Tamten się zawahał.

– Dawaj ten portfel albo zaraz pożałujesz.

Lucien zerknął w lewo. Nikt nie nadjeżdżał. Byli sami na tym piętrze.

– Nie mam portfela – odpowiedział w końcu.

Napastnik spojrzał na niego zimno.

– Prowadzisz audi A6, ale nie masz portfela? – Uśmiechnął się złośliwie. – OK... OK. – Odwrócił na moment wzrok, po czym jego prawa ręka wystrzeliła do przodu, chwytając ofiarę za koszulę. – Słuchaj no, ty łysy pedale. – Przyciągnął go do siebie

tak, że ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. – Albo dasz mi zaraz ten portfel, albo ci wpierdolę. Kumaszc?

Szturchnięcie Luciena w pierś stanowiło poważny błąd, ale łapanie go za koszulę to już wyrok śmierci. Nie czuł jednak złości. Podobał mu się ten popis w stylu macho. Z pewnością działał na większość osób: olbrzym trzyma cię jedną ręką i grozi pobiciem w odizolowanym miejscu na parkingu. Niejeden zmoczyłby w takiej sytuacji spodnie.

Zachowanie Foltera się nie zmieniło, ale jego głos drżał dostatecznie mocno, żeby sprawiał wrażenie przestraszonego.

– Proszę pana, nie wziąłem ze sobą portfela, ale mam pieniądze w kieszeni.

– Grzeczny chłopiec! – Olbrzym się uśmiechnął. – Widzisz? Teraz zmierzamy w dobrym kierunku. – Puścił go. – Dawaj. Wszystkie.

Lucien, udając przerażenie, sięgnął do prawej kieszeni spodni.

– Przepraszam, nie ta kieszeń – wyjaśnił, bezskutecznie próbując się uśmiechnąć. Następnie z lewej kieszeni wyciągnął wszystkie zabrane wcześniej Alicii Campbell banknoty. – Mam sto dwadzieścia siedem dolarów.

– To powinno wystarczyć – odparł nieznajomy i sięgnął po gotówkę. Zanim zdążył ją zabrać, Folter zacisnął dłoń i cofnął się o kolejny krok, ukrywając się za swoim samochodem. Teraz nikt jadący po parkingu by go nie zauważył.

– Poczekaj.

Kierowca bmw spojrział na niego lodowato. W jego oczach czaił się gniew.

– Odbiło ci? Lepiej dawaj kasę, bo rozwałę ci ten łysy łeb.

– Najpierw coś ci pokażę – odparł Lucien, po czym rozłożył szeroko ręce, zupełnie jakby chciał objąć drugiego mężczyznę albo miał być zaraz ukrzyżowany.

Olbrzym spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?

– Posłuchaj mnie, OK? – Folter wskazał na swoją prawą rękę, skierowaną wnętrzem dłoni w stronę agresora. – Jak widzisz, nic w niej nie mam. – Poruszył na dowód palcami. – W lewej zaś trzymam sto dwadzieścia siedem dolarów.

– Ta, moje sto dwadzieścia siedem dolarów.

– Dobra, niech będzie, że twoje. A teraz moja propozycja. – Spojrział w lewo, przyciągając uwagę mężczyzny do swojej lewej dłoni. – Dam ci te pieniądze

i dodatkowo kluczyki od mojego auta... – Kiwnął głową w kierunku audi. – Musisz tylko wskazać właściwą dłoń.

– Co?

Mając nadal rozłożone szeroko ręce, Lucien zgniótł banknoty, po czym zacisnął pięść. Palce drugiej nadal miał wyprostowane.

– Pytanie brzmi: gdzie są pieniądze? W lewej czy w prawej?

Mężczyzna spojrzał na niego jak na wariata.

– Co? Odwaliło ci, czy po prostu jesteś głupi?

– Wybierz dłoń. Gdzie są pieniądze? Jeśli dobrze zgadniesz, zarówno one, jak i samochód będą twoje.

Mięśniak przyjrzał się obu jego dłoniom: prawej, całkowicie pustej, i lewej, zacisniętej na zgniecionych banknotach.

– Ty chyba jesteś i walnięty, i głupi, co? – odpowiedział znacznie mniej wściekłym tonem, niż jeszcze przed chwilą. – Widzę, że nic nie masz w prawej. Nawet jej nie zamknąłeś.

– Wybierz dłoń.

– Nie chowasz ich nawet za plecami ani nic. Nie miałeś jak ukryć kasy... chyba że ją upuściłeś.

Spojrzał na ziemię, ale nic na niej nie znalazł.

Aby ułatwić mu zadanie, Folter wyprostował dwa palce lewej dłoni, pokazując, że trzyma w niej pieniądze.

– Nie upuściłem jej – odparł, po czym znowu zacisnął pięść. – A teraz wybieraj dłoń – nalegał.

– Odbiło ci.

Lucien szybko zerknął w kierunku wjazdu na trzecie piętro parkingu, nie zauważył żadnego samochodu.

– Gdzie są pieniądze? – zapytał raz jeszcze. – W lewej czy w prawej ręce? Jeśli zgadniesz, dostaniesz też audi.

– Jak chcesz, palancie – odparł mięśniak z kpiącym uśmiechem. – Wybieram lewą.

Folter zamknął oczy, zupełnie jakby chciał dojrzeć coś po wewnętrznej stronie powiek. Chwilę później je otworzył, razem z palcami dłoni, aby pokazać drugiemu

mężczyźnie banknoty.

– No proszę, zgadłem. Durny z ciebie sukinsyn.

– Wiesz, jaka jest pierwsza zasada magicznych sztuczek?

– Co? – kierowca bmw spojrzał na niego zdziwiony, jakby nie miał pewności, czy dobrze usłyszał. – Magicznych sztuczek?

– Odwrócenie uwagi – wyjaśnił Lucien, budząc w mężczyźnie jeszcze większe zdziwienie. – Magik skłania widownię do patrzenia w jedną stronę, a tymczasem wszystko dzieje się z drugiej. Tak jak teraz. Patrzyłeś tylko na kasę, nie interesowała cię moja prawa ręka.

Olbrzym zaczął się odwracać, ale było już za późno. Ku jego głowie właśnie pędziła pięść. Spomiędzy zaciśniętych palców wystawał szpiczasty koniec kluczyka samochodowego. Mężczyzna ledwo zdążył się poruszyć, zanim otrzymał precyzyjny cios prosto w skroń. Folter usłyszał zgrzyt, zupełnie jakby ktoś nadepnął ciężkim buciorem na zbite szkło.

Wywołał go metal rozrywający skórę i przebijający się przez kość czaszki.

Lucien wypuścił pieniądze z lewej dłoni i wysunął ją w kierunku mięśniaka. Nie zamierzał jednak nią uderzyć, tylko przytrzymać ofiarę.

– Spokojnie, wielkoludzie – powiedział, przesuwając głowę mężczyzny tak, aby ich spojrzenia się spotkały. Kierowca bmw miał szeroko otwarte oczy, przepełniało je przerażenie. Ból odebrał mu większość siły w nogach, przez co niemal upadł, ale Folter go trzymał za kark. – Już prawie koniec – wyszeptał, świdrując go wzrokiem.

Mężczyzna rozchylił usta, próbując coś powiedzieć, ale wydobył się z nich jedynie charkot.

– Widzisz? Na tym właśnie polega problem. Świat jest pełen dupków takich jak ty – zaczął Lucien. – Jesteście jak mrówki, roicie się wszędzie: w szkołach, na ulicach, w biurach... Pomiatacie innymi, robicie wszystko, żeby czuli się gorsi, tylko po to, aby polechtać własne ego złudzeniem, że jesteście kimś. Zawsze jednak jest za mało, prawda?

Mięśniak podjął drugą próbę powiedzenia czegoś, ale ponownie bezskutecznie.

– Och, niestety, nie będziesz w stanie mówić. Cała sztuczka polega na tym, że mój cios trafił w lewą skroń... W dodatku idealnie tam, gdzie chciałem, ale mam w tym pewną wprawę. Najcieńsze fragmenty czaszki znajdują się właśnie na



skroniach, dlatego że to łącznik czterech kości. Dzięki temu bez trudu mogłem się przebić przy użyciu zwykłego klucza, który teraz jest w twojej głowie.

W tej części parkingu nie było żadnych kamer, dlatego Lucien miał trochę swobody ruchu. Szybko puścił kark ofiary i wziął ją pod rękę, aby przeciągnąć przez niewielki odcinek dzielący audi od bmw.

Rozejrzał się ponownie: nadal nikt obcy się nie pojawił.

Olbrzym ważył sporo, ale Folter przetransportował go bez trudu. Gdy stanął koło samochodu, wyjął kluczyki z kieszeni mięśniaka i otworzył bagażnik.

– Najciekawszą sprawą dotyczącą skroni jest jednak to, że tuż za nią biegnie tętnica oponowa środkowa – morderca wznowił swój wykład. – A ona dostarcza krew do opon mózgowych.

Ranny mężczyzna próbował zachować przytomność, jego powieki zatrzepotały.

– Nie, nie, nie – powiedział Lucien, po czym zwolnił nieco nacisk na klucz wbity w głowę ofiary. – Zostań ze mną jeszcze trochę. Przepraszam, pewnie zanudzałem cię tymi medycznymi szczegółami, które są dla ciebie bezużyteczne. Ale jest coś, co cię zainteresuje: jeśli skroń zostanie uderzona wystarczająco mocno, jedna z czterech łączących się w tym miejscu kości może ułamać się do wnętrza czaszki i uszkodzić tę tętnicę. Gdy tak się stanie, krew zacznie się gromadzić wokół mózgu i naciskać na niego silniej, niż jest on w stanie wytrzymać. Jeśli poszkodowany nie dostanie prędko pomocy, jego mózg obrzęknie pod wpływem ciśnienia, co wywoła niewyobrażalny ból i w końcu... śmierć, rzecz jasna.

Mięśniak nie mógł mówić, ale morderca wiedział, iż nadal go słyszy i rozumie każde słowo.

– A ty, mój przyjacielu, nie dostaniesz prędko pomocy. A tak w zasadzie w ogóle nie dostaniesz pomocy. – Lucien przerwał na chwilę dla lepszego efektu. – A teraz upewnię się, że tętnica oponowa środkowa została uszkodzona. – Mrugnął do mężczyzny. – To zaboli... bardzo.

Szybkim ruchem przekręcił klucz tkwiący w czaszce ofiary. Tarcie metalu o kość wywołało przyprawiający o dreszcze dźwięk, który zabrzmiał, jakby ktoś wsypał do ust garść chrupiących płatków i zmiażdżył je jednym gwałtownym ugryzieniem. Nieszczęśnika załapała nowa fala bólu, który sprawił, że zaczął się konwulsyjnie trząść, zupełnie jakby raził go prąd.

Folter błyskawicznie zatkał mu usta dłonią, bo wiedział, że cierpienie może zmusić pozbawione siły struny głosowe do kolejnej, rozpaczliwej próby.

Istotnie, mężczyzna krzyknął, ale dźwięk został sprawnie stłumiony.

Całe jego ciało obwisło, ale zachował częściowo świadomość.

Morderca wepchnął go do bagażnika, po czym ponownie przekręcił klucz, aby wydostać go z czaszki. Krew natychmiast zaczęła wypływać z rany, zamknął więc szybko klapę bagażnika.

Pojawi się sporo krwi, zanim ofiara w końcu umrze, ale płyn nie wycieknie na zewnątrz. Mogą upłynąć godziny albo nawet dni, aż ktoś znajdzie tego mięśniaka – wszystko zależy od tego, kim był i dokąd planował się udać. Lucien jednak miał gdzieś, kiedy ktoś dokona tego odkrycia, nawet gdyby miało ono nastąpić za dziesięć minut.

Zaledwie po chwili znów ruszył w drogę, spokojny niczym człowiek pozbawiony wszelkich trosk.

Następny przystanek: Luizjana.

## Czternaście

Podczas pogrzebu agenta specjalnego Larry'ego Williamsa padało. Nie była to ulewa, tylko jednostajny, nieprzerwany deszcz, który zaczął się wcześnie rano i nie skończył aż do późnego wieczora.

Hunter i Garcia wybrali poranny lot z Los Angeles do lotniska Dulles International w Waszyngtonie. Nie zamierzali nocować, zatem pojechali stamtąd prosto na cmentarz Oak Hill, zajmujący teren dziewięciu hektarów w Georgetown.

Podczas ceremonii dyrektor Kennedy stał obok księdza. Jego twarz zastygła w wyrazie nieopisanego żalu, kiedy trumna o wiśniowej barwie powoli znikła w grobie, wyglądającym niczym bolesna rana w ziemi, którą jedynie czas może zaleczyć. Gdy trumna spoczęła na dnie, dwóch grabarzy ubranych w żółte płaszcze przeciwdeszczowe zaczęło powoli zasypywać ją ziemią.

Tłum, składający się głównie z agentów FBI mających na przestrzeni lat okazję pracować z Williamsem, stopniowo się przerzedzał. Hunter i Garcia zostali na miejscu do samego końca.

Adrian również został. Stał z opuszczoną głową, oczy skrywał za okularami przeciwsłonecznymi.

Gdy grób wypełnił się ziemią, ksiądz powiedział kilka ostatnich słów, uczynił ręką znak krzyża i uściśnął dłoń Kennedy'ego na pożegnanie.

Dyrektor podszedł do dwóch detektywów.

– Dziękuję, że przyjechaliście – powiedział, gdy podali sobie ręce.

– Ładna ceremonia – skomentował Garcia.

Adrian spojrzał na grób.

– Prosta. Takiej chciałby Larry. Gdzie się zatrzymaliście?

– Nie zostajemy – wyjaśnił Hunter i zerknął na zegarek. – Za trochę ponad dwie godziny mamy powrotny samolot do Los Angeles.

– Poważnie? Kiedy tutaj dotarliście?

– Jakieś półtorej godziny temu – odparł Carlos.

Kennedy spojrział na nich zdumiony.

– To jakieś wariactwo. Przecież podróż zajmuje pięć i pół godziny.

– Co ty powiesz? – mruknął Garcia. – Biorąc pod uwagę trzygodzinną różnicę czasu, to na nogach jestem od trzeciej nad ranem, ale nic na to nie poradzimy. Musimy jak najszybciej wrócić do LA.

Dyrektor pokiwał głową.

– W porządku, to chociaż was podwoję, pogadamy po drodze.

Widzieli się niecałe dwie doby wcześniej, ale Adrian wyglądał, jakby postarzał się przez ten czas o co najmniej kilka lat.

– Z którego lotniska lecicie? – zapytał, kiedy wsiedli do wielkiego czarnego SUV-a zaparkowanego obok białego mauzoleum.

– Dulles – odparł Robert.

Kennedy wydał instrukcje kierowcy, po czym zdjął okulary i poluzował krawat. Wytarł twarz chusteczką. Obaj detektywi poszli w jego ślady.

– Nic nie mamy – oznajmił głosem, w którym pobrzmiwało zarówno zmęczenie, jak i poczucie porażki.

Hunter i Garcia wiedzieli, że chodzi mu o drugie podejście do operacji „Geniusz zbrodni”.

Zaraz po telefonie od Roberta Adrian rozkazał oddziałom SWAT natychmiastowe przystąpienie do akcji: policjanci mieli za zadanie niepostrzeżenie podkraść się do kryjówek Luciena, wykorzystać kamery endoskopowe, aby sprawdzić wnętrze, i zaatakować – wyłącznie, jeśli poszukiwany będzie w środku. W przeciwnym wypadku należało obserwować okolicę w nadziei, że Folter w końcu się tam pojawi.

– Od jego ucieczki minęło ponad czterdzieści osiem godzin – ciągnął Kennedy. – Gdyby zamierzał ukryć się w jednym z tych miejsc, powinien już tam dotrzeć.

– Mówiłem, że to mało prawdopodobne – skwitował Hunter.

– Moje zespoły będą obserwowały kryjówki przez kolejne dwie doby. Później to już nie będzie miało sensu.

Obaj detektywi przytaknęli.

– A tak przy okazji, miałeś rację – dodał dyrektor.

– W jakiej sprawie? – spytał Robert.

– W sprawie metody ucieczki. Zahipnotyzował strażnika. Widziałem nagrania z monitoringu. Tamtej nocy klawisz robił ostatni obchód, Lucien coś do niego powiedział, wydał mu jakiś rozkaz. I nagle, ot tak – Adrian pstryknął palcami – strażnik przerodził się w żywą kukłę. Padła kolejna komenda, po której otworzył celę, a potem wszedł do środka. Więzień ustawił go w rogu przy muszli klozetowej, tam, gdzie nie sięga obraz z kamery. Obaj byli podobnego wzrostu i budowy. Folter go zabił i włożył jego ubranie. Przy drzwiach stróżówki nie spojrzął w kamerę, ale jeden z dwóch siedzących w środku kretynów i tak go wpuścił. W środku urządził krwawą łaźnię. Nie ma tam monitoringu, więc nie wiadomo dokładnie, jak to zrobił, ale pozabijał wszystkich i zastawił pułapkę na pierwszego strażnika czy pielęgniarza, który tam wszedł. To wszystko zajęło mu niecałe pięć minut.

– Chyba nie zwiął pieszko, prawda? – zapytał Garcia.

– Nie, jednemu z zamordowanych zabrał kluczyki do chevroleta colorado.

– Znaleźliście samochód? – dociekał Robert.

– Tak. Stał na parkingu przy autostradzie Maynardville w Tennessee. Z pewnością wymienił go na inny, ale nie mamy pojęcia na jaki. Ta droga prowadzi do US 441, gdzie mógł odbić na północ w stronę Kentucky, ale przypuszczamy, że skierował się dalej na południe, do Knoxville.

Hunter spojrzął na niego pytająco.

– Wczoraj rano znaleziono zwłoki mężczyzny zamknięte w bagażniku bmw – wyjaśnił Adrian. – Auto stało na trzecim piętrze parkingu w Knoxville. Ofiara, czterdziestotrzyletni Ross Baxter, miała ranę w skroni. Zadano ją jakimś niezbyt ostrym, ale jednocześnie nie tępym narzędziem – powiedział, wzruszając ramionami. – Nie było też długie, jakieś siedem centymetrów, jednak wystarczyło, żeby przebić czaszkę i rozerwać tętnicę oponową środkową. Śmierć nastąpiła na skutek utraty krwi i obrzęku mózgu. Policja odkryła ciało wczoraj, ale zgon nastąpił od osiemnastu do dwudziestu czterech godzin wcześniej. Mniej więcej w tym czasie Lucien dojechałby do Knoxville. Trudno stwierdzić, czy to jego robota. Podobno pan Baxter był dobrze znany w okolicy ze swojego agresywnego zachowania. Tamtejsza policja twierdzi, że całe życie gnębił innych, zatem lista

jego wrogów przypominałaby książkę telefoniczną. Bardzo możliwe, że zamordował go ktoś, kogo mężczyzna poniżył o jeden raz za dużo.

– Sprawdzili odciski palców na samochodzie? – zapytał Garcia.

– Tak, żadne nie należą do Foltera.

– Na parkingu były kamery?

– Kilka, ale na nasze nieszczęście bmw stało poza ich zasięgiem. Nie mamy nagrania z tego zajścia, choć monitoring zarejestrował wszystkie pojazdy, które tamtego dnia wjechały bądź wyjechały z budynku. Nasi ludzie sprawdzają informacje dotyczące każdego z tych aut.

– Jakież sukcesy? – zainteresował się Hunter.

– Jeszcze nie wiadomo. Na razie nie udało się zlokalizować dwóch samochodów. – Adrian sięgnął do kieszeni po notes i zaczął czytać. – Czerwonego ford mustanga z Nashville i czarnego audi A6 z Charlestonu.

– Z Charlestonu? – dociekał Carlos.

– To w Zachodniej Wirginii – wyjaśnił Kennedy. – Mustang należy do Franka O'Briena, trzydziestotrzylatka z Little Rock w Arkansas. To muzyk, który od siedmiu lat mieszka w Nashville. Z naszych informacji wynika, że często podróżuje: koncerty, występy, nagrania i tak dalej.

– Mieszka sam?

– Zgadza się. Sąsiedzi nie widzieli go od co najmniej kilku dni, nikt nie wie, dokąd się wybrał, nie odbiera też komórki.

– A drugie auto? – spytał Robert.

– Audi zarejestrowano na nazwisko Alicia Campbell. To czterdziestojednoletnia kobieta z Charlestonu, pracuje jako niezależny doradca kredytowy. Jej mąż, Warren Campbell, jest prawnikiem. W dniu ucieczki Luciena para poważnie się pokłóciła. Alicia wsiadła w samochód i odjechała, nikt jej od tamtej pory nie widział. Nie odbiera też telefonu. Wysłaliśmy informację do wszystkich służb w kraju, ale nie znaleziono jeszcze żadnego z tych pojazdów – oznajmił, po czym schował notes do kieszeni. – Problem polega na tym, że minęły dwa dni od śmierci Baxtera. Nawet jeśli rzeczywiście Folter go zabił, a potem odjechał mustangiem albo audi, mógł już porzucić samochód albo zamienić go na inny.

– A co z samym poszukiwanym? Jego zdjęcia są pokazywane praktycznie wszędzie – rzucił Carlos.

Dyrektor FBI westchnął ciężko.

– Tak, dostaliśmy grubo ponad sto telefonów. Zbiega widziano w całym kraju: Zachodnia Wirginia, Kentucky, Tennessee, Karolina Północna i Południowa, Ohio, Indiana, Alabama, Nowy Jork... do wyboru, do koloru. Nie uwierzysz, ale ktoś zobaczył Luciena w supermarkecie na Alasce.

Hunter nie był tym ani trochę zaskoczony. Za każdym razem, kiedy w ogólnokrajowych wiadomościach pokazywano fotografię zbiega, służby odbierały setki fałszywych zgłoszeń. Zazwyczaj nie chodziło o żadną złośliwość, ludzie robili to w dobrej wierze: naprawdę uważali, że widzieli przestępcę. W dodatku wielu liczyło na jakąś nagrodę za pomoc w ujęciu bandziora – to zdecydowanie zachęcało do telefonowania.

– Prawdę mówiąc, Lucien uciekł ponad czterdzieści osiem godzin temu i nie mamy zielonego pojęcia, gdzie teraz jest – zaczął Kennedy. – Nie wiemy, z kim moglibyśmy porozmawiać. Przez ponad trzy i pół roku siedział w więzieniu i nie miał z nikim kontaktu: żadnych gości, nie wysłał ani nie otrzymał żadnego listu. Nawet do nikogo nie zadzwonił, nie skontaktował się z adwokatem. Zrzekł się go. Rozmawiał w tym czasie tylko z psychologami i kilkoma strażnikami, których w większości wymordował.

W kieszeni marynarki Roberta zadzwoniła komórka. Sięgnął po nią i spojrzał na ekran: nieznany numer.

– Daj mi chwilę – rzucił do Adriana, po czym odebrał połączenie. – Detektyw Hunter, wydział zabójstw.

– Witaj, Świerszczu.

Serce Roberta na chwilę zamarło.

– Dawnośmy nie rozmawiali, przyjacielu.

## Piętnaście

Po opuszczeniu Knoxville Lucien jechał przez godzinę, aż dotarł do gęstego lasu przy autostradzie Dixie, na południe od brzegu French Broad River.

– Tak, tego właśnie szukałem – powiedział do siebie, po czym zwolnił i zaczął się rozglądać za skrzyżowaniem w jakąś drogę lub szlak, który pozwoliłby mu dostać się głębiej między drzewa.

Po kilku minutach zauważył wąską, polną dróżkę i bez wahania w nią skręcił. Gdy nie dało się już dalej wjechać samochodem, zaparkował, otworzył bagażnik i zarzucił sobie na ramię ciało Alicii Campbell, po czym ruszył dalej na północ na piechotę. Po dziesięciu minutach marszu dotarł do charakterystycznego skupiska drzew. Okolica wydawała się dziewicza. Rozejrzał się dookoła, ale nie znalazł żadnych śladów ludzkiej obecności: śmieci, pozostałości po obozowiskach, leżących na ziemi petów czy wypalonych przez ogniska trawy. Zauważył za to wilcze tropy.

– Tutaj się pożegnamy, Alicio – powiedział, a następnie położył zwłoki pod jednym z pni. – Miło było cię poznać.

Z kieszeni wyciągnął nożyczki, zakupione w Knoxville, uklękł i jednym silnym ruchem poderżnął kobiecie gardło.

Krew nie chlusnęła z rany, ponieważ jej serce przestało bić ponad dwie godziny wcześniej, ale trochę czerwonego płynu pociekło po bladej skórze na pokrytą liśćmi ziemię. Na tym mu właśnie zależało. Niedługo zapach zwabi wilki i wszelkie inne zwierzęta zamieszkujące ten las. Do rana z ciała nie zostanie prawie nic – resztki da się zmieścić w misce.

– Podano do stołu. Częstujcie się – rzucił. Przed powrotem do auta powiesił torebkę kobiety na drzewie, żeby wilki nie zaciągnęły jej w krzaki.

Poza kilkoma obowiązkowymi przerwami na tankowanie paliwa albo skorzystanie z toalety, Folter jechał resztę dnia i całą noc. Plan, aby wrócić do Wirginii przed ponowną podróżą na południe, tym razem przez Karolinę



Północną zamiast Tennessee, zadziałał lepiej, niż się spodziewał. Gdy znaleziono pick-upa, którego porzucił wcześniej na parkingu, oficer dowodzący poszukiwaniami zarządził blokady dróg w najważniejszych miejscach w okolicy południowej części Tennessee, łącznie z granicami z Georgią, Alabamą, Missisipi i Arkansas. Dzięki swojemu sprytnemu manewrowi ominął je wszystkie.

Niemal dwadzieścia dziewięć godzin po porzuceniu ciała Alicii Campbell na pastwę dzikich zwierząt Lucien dotarł do odludnych mokradeł w Luizjanie, gdzie znajdowała się drewniana chatka. Zatrzymał się wcześniej w dwóch miejscach w pobliskim mieście. Pierwszym był sklep z narzędziami, gdzie kupił kilka rzeczy z listy, którą ułożył podczas jazdy. Drugim zaś sklep spożywczy: miał wielką ochotę na domowy obiad.

Był wykończony, ale musiał najpierw załatwić parę spraw, zanim pozwoli sobie na zasłużony odpoczynek.

Przede wszystkim należało pozbyć się audi.

Chatka znajdowała się na zupełnym odludziu, w dodatku otaczała ją tak gęsta roślinność, że nikt nie mógłby wypatrzeć z daleka samochodu, chyba że szukałby właśnie tej działki, a to było niemal niemożliwe.

Joe Topanga sprzedał Folterowi ten niewielki domek przeszło osiem lat temu. Należał on wcześniej do ojca Joego: zagubionego i samotnego człowieka, który na początku lat osiemdziesiątych z sobie tylko znanych powodów postanowił zamieszkać jak najdalej od cywilizacji. Własnoręcznie wybudował dom i mieszkał w nim aż do śmierci, która nastąpiła przed dziewięcioma laty. Jego syn odziedziczył tę działkę, ale szczerze nienawidził wszystkiego, co się z nią wiązało: jej lokalizacji i całego otoczenia, zapachu drewna, rechotu żab w nocy... A najbardziej nienawidził wspomnień i tego, że aż go mdliło, kiedy zbliżał się do tego domu.

Lucien spotkał Joego w barze w Nowym Orleanie osiem miesięcy po śmierci jego ojca. Rozmawiali przy kieliszku całą noc, wtedy Topanga opowiedział mu o odziedziczonej działce, o jej odludnym położeniu i o swoim stosunku do niej. Folter nie przepuścił takiej szansy.

– Ile za nią chcesz? – zapytał Lucien.

– Serio, stary, nie chcesz kupić takiego domu – odparł Joe. – To wymarzona kryjówka dla seryjnego mordercy. Zupełnie jak w horrorze. Mogłaby się nazywać „Chatka na bagnie”. – Zaśmiał się. – Jest tak bardzo niedostępna, że nawet z dokładnymi instrukcjami trudno ją znaleźć.

– Brzmi idealnie.

– Idealnie, jeśli chcesz się ukryć przed światem.

Folter dopił drinka.

– Może pewnego dnia właśnie to będę chciał zrobić.

Rozmawiali przez dalszą część nocy i Joe opowiedział o sobie więcej. Podobnie jak ojciec był samotnikiem: nie miał żony, dzieci, dziewczyny, rodzeństwa. Przyjaźnił się raptem z kilkoma osobami. Jego matka zmarła dziesięć lat przed ojcem, prawdopodobnie to skłoniło Topangę seniora do zostania pustelnikiem. Owej nocy Lucien kupił tę działkę na odludziu za tysiąc dolarów w gotówce. Dorzucił jeszcze kolejne pięćset za to, żeby Joe zawiózł go na miejsce i pokazał mu okolicę. Co ciekawe, dwa dni później mężczyzna zmarł z powodu przedawkowania heroiny: substancji, której nigdy wcześniej nie zażywał.

Niewielki dom był po prostu idealny. Folter postanowił, że zrobi z niego swoją awaryjną kryjówkę. Nigdy o niej nikomu nie powie, nigdy o niej nie napisze: nawet w swojej encyklopedii morderstw. Nikt nie wiedział, że to miejsce istnieje.

Na przestrzeni lat kilkakrotnie przyjeżdżał do Luizjany, aby odpowiednio przygotować to miejsce na wypadek, gdyby musiał zniknąć na dobre. Miał jednak teraz pewne rachunki do wyrównania.

Na tyłach domku zakopał kilka walizek. Znajdowały się w nich prawa jazdy i paszporty, sporo gotówki, szeroka gama akcesoriów do zmiany wyglądu, a także niewielki, ale bardzo zróżnicowany arsenał. W jednej walizce kryło się coś bardzo cennego, co zdobył wiele lat wcześniej, ale nigdy tego nie wykorzystał. Wszystko wskazywało, że niebawem się to zmieni.

Lucien wiedział, że nikt go tutaj nie znajdzie, ale zatrzymanie audi stanowiło ryzyko, a on unikał ryzyka zawsze, kiedy tylko mógł. W miejscu otoczonym przez bagna – niektóre na tyle głębokie, aby zatonała w nich ciężarówka – pozbycie się samochodu to śmiesznie proste zadanie. Pół godziny po dotarciu do chatki

pojechał daleko w moczary, wrzucił bieg, położył ciężki kamień na pedale gazu i patrzył, jak auto znika w mętnej wodzie.

Przejsie pieszo do miasta przez zarośnięty i mokry teren zajmie jakieś cztery godziny, jednak to mu nie przeszkadzało. Miał zapasy na cały tydzień, ale i tak nie planował siedzieć w ukryciu dłużej niż jedną lub dwie noce.

Teraz, w samotności i odosobnieniu, pozwolił sobie w końcu na odpoczynek.

## Szesnaście

Ponieważ Lucien rozmawiał z dawnym przyjacielem, a nie z kimś obcym, uznał, że modulowanie głosu nie ma sensu.

– Muszę przyznać, że sprawiłeś mi zawód, Świerszczu, a może nawet przykrość tym, że ani razu mnie nie odwiedziłeś.

Robert spojrział z bólem na Carlosa, a potem na Adriana. Żaden z nich nie musiał pytać, kto zadzwonił.

– On chyba sobie jaja robi – bezgłośnie powiedział Garcia. Na jego twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie.

Hunter położył komórkę na wolnym miejscu pomiędzy nim a partnerem, pokazał pozostałym na migi, żeby milczeli i włączył głośnik. Następnie uruchomił aplikację, która zaczęła nagrywać rozmowę.

– Wiesz, że już nie jestem w pudle, prawda?

W jego głosie nie było ani trochę obawy. Wydawał się wypoczęty, zupełnie jakby od dwóch dni przebywał na urlopie.

Detektyw nic nie odpowiedział.

– Oczywiście, że wiesz. Założę się, że ten wór gówna, Adrian Kennedy, od razu do ciebie zadzwonił, jak tylko sam usłyszał tę nowinę.

Kennedy miał zbyt duże doświadczenie, aby choć drgnąć po tych słowach. Całą swoją uwagę skupił na telefonie, zupełnie jakby patrzył mordercy w oczy.

– Zakładam też, że widziałeś liścik, jaki ci zostawiłem.

Robert nadal się nie odzywał.

– Nie wygłupiaj się, chyba nie zamierzasz milczeć cały czas? Nie masz już szesnastu lat, chłopie.

– Nie musiałeś ich wszystkich zabijać – Hunter w końcu przerwał ciszę.

– No proszę, witaj, drogi przyjacielu. Miło cię słyszeć. Co tam u ciebie?

– Nie musiałeś ich zabijać.

– Zapewne masz na myśli strażników w pierdlu. Oczywiście, że nie musiałem, Świerszczu, ale tym się przecież zajmuję, pamiętasz? Jestem... jak to określić? – Przerwał na chwilę, szukając odpowiednich słów. – „Badaczem morderczych czynów i psychologicznych skutków, jakie mogą wyrzeć na ludzki umysł”. Można mnie nazwać naukowcem. Ktoś mógłby nawet rzec, że jestem odkrywcą nowych metod zbrodni. – Zaśmiał się lekceważąco. – Podoba mi się to określenie: „odkrywca nowych metod”. Będę jednak z tobą szczerzy, baaaardzo przyjemnie było znowu zabić. Nie spodziewałem się, że tak za tym zatęsknię. Wiesz, że nigdy nie miałem aż tak długiej przerwy pomiędzy działaniami?

Robertowi nie spodobało się, że powiedział „działania” zamiast „morderstwa”.

– Trzy i pół roku, Świerszczu – ciągnął Lucien. – Trzy i pół roku zamknięty w klatce. Trzy i pół roku znoszenia rozmów z najgłupszymi psychologami na świecie. O ile w ogóle można ich nazwać tym mianem. Kogo oni w ogóle zatrudniają w NCAVC i w Wydziale do spraw Analiz Behawioralnych? Każdego dnia odkrywałem na nowo znaczenie słowa „amatorszczyzna”.

Nagle jego głos stał się bardzo poważny.

– Trzy i pół roku w pierdolonym pudle. Wiesz, jaka jest jedna jedyna rzecz, o której człowiek tam myśli?

Brak odpowiedzi.

– Czas. Myślisz o nim w każdej sekundzie, minucie, godzinie, każdego dnia. Zegar staje się równie ważny jak twoje własne serce. Czujesz, jak jedno bije, a drugie tyka, tuż obok siebie. – Zamilkł na dłuższą chwilę. Kiedy w końcu się odezwał, wymawiał każde słowo powoli i w miarowym tempie. – Trzy i pół roku mojego życia kręciło się wokół czasu. Miałem go dość, aby pomyśleć. Aby być szczerym z samym sobą. Aby planować, zwizualizować sobie przyszłość. Aby ją dopracować. Aby czekać... i w końcu... przenieśli mnie do więzienia „o zaostrowym rygorze”. – Zarechotał sarkastycznie. – Czego się spodziewali? Że tam sobie posiedzę?

Spojrzenie Huntera powoli przesunęło się na Adriana.

Ten nie podniósł wzroku ani na milimetr.

W głosie Luciena pojawiła się nuta zadowolenia.

– Skoro już wspomniałeś o moich dokonaniach w stróżówce, musisz przyznać, że ta ukryta pułapka zrobiła wrażenie, prawda? Cholera, to było genialne. A pomysł

ot tak wpadł mi do głowy. Zobaczyłem tę linkę na półce i już wiedziałem, że muszę zostawić im jakąś niespodziankę przed odejściem.

Po zastawieniu pułapki Folter uciekł, więc nie mógł wiedzieć, czy jego podstęp się udał, czy nie. Nie miało to jednak dla niego żadnego znaczenia. Chwalił się teraz swoją pomysłowością. Detektyw zdawał sobie z tego sprawę i nie zamierzał łechtać jego ego.

– Faktycznie, dobra pułapka. Szkoda tylko, że nie zadziałała – odparł spokojnie.

Morderca zamilkł. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

Hunter wyczuł wahanie rozmówcy i szybko dodał:

– Znaleźli ją, zanim zrobiła komuś krzywdę.

Z głośnika telefonu dobiegł sztuczny śmiech.

– Nieprawda. Zamontowałem ją idealnie. Była tak ukryta, że nikt by jej nie znalazł bez otwierania tej szuflady. A jak ktoś to zrobił... cóż, to koniec gry. Kiepsko, Robercie. Kiedyś ukrywanie prawdy szło ci wysmienie. Starzejesz się.

– Może i tak – przyznał Robert, wyczuwając idealną okazję do ataku. Nie zamierzał jednak udowodniać swojej racji. To nie przejdzie z kimś takim jak Lucien. Chciał go zmusić do snucia domysłów. – Wierz dalej w to, że potrafisz wszystko bezbłędnie zaplanować... że wszyscy się starzeją, a ty nie... że trzy i pół roku całkowitej bezczynności i izolacji na ciebie nie wpłynęło... że nie popełnisz żadnej pomyłki, jak choćby kawałek linki, o którym zapom... – celowo urwał w połowie. – Wiesz co? To bez znaczenia.

Folter milczał.

Detektyw był pewny, że mężczyzna teraz grzebie we wspomnieniach, próbując znaleźć błąd, który popełnił.

– Tak, czas z pewnością może działać tak, jak mówiłeś. Sprawia też, że niektóre rzeczy rdzewieją.

Zapadła długa, pełna napięcia cisza.

– Myślisz, że zardzewiałem. To dobrze, Świerszczu – odpowiedział w końcu Lucien. – Z rozkoszą udowodnię ci twój błąd. Dam ci mały przedsmak. Gotowy? Knoxville, w Tennessee. Na State Street jest parking.

Robert spojrział na Adriana, który kiwnięciem głowy potwierdził, że właśnie tam w bagażniku samochodu znaleziono ciało Rossa Baxtera.

– Tak. Podejrzewaliśmy, że to twoje dzieło.

– Czyli dotarliście do tego bmw.

Detektyw potwierdził milcząco.

– Co ciekawe, tej śmierci dało się uniknąć – ciągnął morderca. – Gdyby tylko nie zachowywał się jak dupek. Straszny był z niego kutas, wiesz? Jestem pewny, że wielu ludziom wyświadczyłem przysługę. A teraz niespodzianka numer dwa.

Hunter, Garcia i Kennedy wymienili zaniepokojone spojrzenia.

Folter podał dokładne położenie miejsca, gdzie porzucił zwłoki Alicii Campbell.

– Możliwe, że wiele z niej nie zostało. W tamtej okolicy kręcą się wilki, ale dla celów identyfikacyjnych powiesiłem jej torebkę na drzewie. Cóż mogę rzec? Czasem jestem po prostu miły. Ale muszę już lecieć, Świerszczu. Wracam do pracy... do moich badań. Wiesz, o czym mówię, prawda? – Nie pozwolił mu na żadną odpowiedź. – Oczywiście, że wiesz, w końcu razem z FBI mi to odebrałeś, pamiętasz? Dzieło mojego życia. Wszystkie moje zapiski. Ale nie martw się, mój przyjacielu, nie gniewam się. Ani trochę. Koniec końców takie było założenie tych badań. Jaki z nich pożytek, jeśli inni ich nie poznają i nie docenią? Szkopuł w tym, Świerszczu... że jeszcze nie skończyłem. Nie zgłębiłem pewnych zagadnień... nie przetestowałem pewnych metod... nie postawiłem się w pewnych sytuacjach... nie doświadczyłem pewnych emocji. Nie mogę się doczekać, żeby to nadrobić. Jak już wspominałem, trzy i pół roku to kawał czasu. O matko, jak ja się za tym stęskniłem.

Nastąpiła długa, niezręczna cisza.

– Trzymaj telefon pod ręką, bo zadzwonię szybciej, niż myślisz. – Lucien zaśmiał się krótko. – Czas rozpocząć igrzyska. Czas rozpocząć igrzyska.

Połączenie zostało przerwane.

## Siedemnaście

– Chyba możesz odwołać poszukiwania audi i mustanga – powiedział cicho Garcia do Adriana, kiedy morderca się rozłączył.

– Zaraz to sprawdzimy – odparł Kennedy, po czym wyciągnął z kieszeni komórkę. Wcisnął przycisk szybkiego wybierania. Po chwili podał rozmówcy współrzędne, które przekazał im Lucien, oraz informacje o tym, co powinni zastać na miejscu. Na koniec polecił agentowi, aby ten skontaktował się z szeryfami federalnymi: mają natychmiast wysłać tam patrol. – Namierzcie mi też osobę dzwoniącą na następujący numer... – Kiwnął głową na Huntera, który powoli go podyktował. – Potrzebuję tego na wczoraj, rozumiesz? Daj znać od razu, jak coś ustalisz.

– Wiecie, co mnie wkurza? – zaczął Carlos, kiedy dyrektor FBI odłożył telefon. – Od chwili ucieczki, która nastąpiła zaledwie dwa dni temu, zabił już ile, siedem osób? Trzech strażników, dwóch pielęgniarzy i teraz dwójkę cywilów?

– Jeśli informacja o zwłokach w lesie się potwierdzi, to tak: zabił siedem osób – przyznał Adrian.

– A z jego słów wynika, że „igrzyska”, jak to ładnie określił, nawet się jeszcze nie zaczęły. Siedem ofiar to zaledwie „rozgrzewka”? – ciągnął detektyw.

W tym momencie zadzwoniła komórka Kennedy’ego. Odebrał ją niemal natychmiast.

– Co masz dla mnie?

Słuchał odpowiedzi przez dokładnie trzy sekundy – w tym czasie jego naturalnie rumiana twarz stała się kredowobiała.

– Jesteś pewny? – zapytał agenta, chociaż wiedział, że nie może być mowy o pomyłce. Spojrzał na Roberta. – Dziękuję – rzucił do słuchawki i się rozłączył.

Hunter czekał w milczeniu.

Jego partner nie wykazał się taką cierpliwością.

– Co się stało?



SUV zwolnił z powodu ruchu na autostradzie.

– Namierzyliśmy go – zaczął Adrian. – Używał telefonu na kartę, ale ustaliliśmy jego położenie. Zgadniesz, skąd do ciebie zadzwonił?

Detektyw zrobił głęboki wdech i opadł na oparcie fotela.

– Z Los Angeles?

Dyrektor FBI zmarszczył brwi.

– Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. A przynajmniej nie na pewno, ale znam Luciena. Jeśli zamierza z tobą pogrywać, nie będzie czekał, aż ty do niego przyjdiesz. Sam cię znajdzie.

– Chwileczkę – przerwał Garcia, unosząc do góry dłonie. – Ten wariat przejechał kradzionym autem z Wirginii do Los Angeles, tuż po ucieczce z więzienia o zaostrowym rygorze, i nikt go nie zauważył?

– Nie. Nie przejechał... – zaczął wyjaśniać Kennedy. – Przyleciał.

– Przepraszam... Co? – wykrztusił zdumiony detektyw.

– Namierzyliśmy go z dużą dokładnością. Dzwonił z lotniska w Los Angeles.

## Osiemnaście

Lucien rozłączył się, zarzucił plecak na ramię i opuścił terminal lotniska LAX. Wyrzucił dopiero co kupioną komórkę do najbliższego kosza na śmieci.

Wiedział, że policja od razu rozpoczęła namierzenie, ale o to mu właśnie chodziło. Żałował jedynie, że nie mógł zobaczyć miny Huntera, kiedy ten usłyszał, skąd wykonał połączenie.

Gdy znalazł się na zewnątrz, przystanął przy czteroosobowej grupce przyjaciół, próbujących zmieścić absurdalną wręcz ilość bagaży w wypożyczonej toyocie avensis. Szybko rozpoznał, że mówią z teksańskim akcentem – najbardziej rozwlekłym ze wszystkich południowych akcentów.

Na niebie nad nim nie było ani jednej chmurki, zatem zaledwie kilka sekund wystarczyło, aby po jego czole zaczął płynąć pot. Cyfrowy wyświetlacz pobliskiego billboardu wskazywał szesnaście stopni Celsjusza – typowa temperatura dla wiosennego popołudnia. Z powodu braku chmur i wiatru Lucien miał jednak wrażenie, że znalazł się w samym środku lata.

Nie zważając na ciepło, zamknął oczy i wystawił twarz do promieni słonecznych. Wolność bez wątplenia jest czystym pięknem.

Czwórka Tekszańczyków przestała w końcu upychać swój dobytek w bagażniku – pogodzili się z faktem, że część rzeczy trzeba będzie umieścić na tylnej kanapie. Spierali się teraz, kto usiądzie z walizkami na kolanach.

Folter właśnie się zastanawiał, czy pojechać do centrum busem, czy wziąć taksówkę, kiedy zauważył dwóch policjantów wychodzących z terminala. Dla kogoś takiego jak on to była zbyt dobra okazja, aby ją przepuścić, dlatego zdjął okulary przeciwsłoneczne, poprawił plecak i przejechał dłonią po dość długiej blond peruce, po czym podszedł do funkcjonariuszy.

– Przepraszam bardzo – zaczął, stając tuż przed mundurowymi. Mówił z identycznym akcentem, jak czwórka mocujących się z bagażami przyjezdnych. –

Czy mogliby mi panowie powiedzieć, ile czasu potrzeba, aby dotrzeć stąd do centrum? Pierwszy raz jestem w Los Angeles.

– W takim wypadku pytanie brzmi, ile chce pan wydać? – odparł młodszy z mężczyzn. Miał długą, postrzępioną bliznę biegnącą w poprzek brody, w dodatku kiepsko zagojoną. Lucien domyślał się, że powstała w wyniku uderzenia rozbitą butelką. – Taksówka będzie kosztować między osiemdziesiąt a sto pięćdziesiąt dolarów, w zależności od miejsca, gdzie chce się pan udać. – Odpowiadając, spojrział na partnera, szukając potwierdzenia.

Drugi policjant pokiwał głową.

– Tak, myślę, że coś koło tego.

– Kurs potrwa od czterdziestu minut wzwyż, jeśli będą korki, a w tym mieście nie da się ich przewidzieć – ciągnął młodszy mężczyzna.

– Może też pan pojechać busem Flyway do Union Station i stamtąd dalej taksówką – wtrącił jego partner. Wyglądał na co najmniej piętnaście lat starszego od kolegi. Miał gęste, starannie przycięte włosy. – Bilet na bus kosztuje siedem dolarów, ale jazda potrwa spokojnie ponad godzinę.

– Jedna opcja jest szybsza, za to druga tańsza – podsumował pierwszy policjant. – Wybór należy do pana.

Lucien powoli lustrował spojrzeniem obu funkcjonariuszy. Jego oczy, mające teraz niebieski kolor dzięki soczewkom kontaktowym, szukały śladu świadczącego o tym, że mundurowi go rozpoznali. Nic takiego nie nastąpiło.

– Dziękuję – odparł z uśmiechem. – Chyba wybiorę taksówkę, ponieważ pieniądze nie stanowią problemu.

– Lepiej nie mówić takich rzeczy na głos, nie w Los Angeles. A już na pewno nie w taksówce – poradził mu młodszy policjant.

Folter pokiwał przepaszająco głową.

– Bardzo panom dziękuję.

– Najbliższy postój taksówek jest tam – drugi funkcjonariusz wskazał ręką przeciwny kierunek do tego, który wybrał Lucien.

– Dziękuję, pogubiłem się tutaj – odparł Folter, po czym założył okulary i obrócił się na pięcie.

*I co, Robercie, dalej myślisz, że przez te trzy i pół roku wyszedłem z wprawy? – pomyślał, minąwszy mundurowych. Mam nadzieję, że jesteś gotowy, przyjacielu, ponieważ dotarłem na miejsce... i mam dla ciebie całą masę niespodzianek.*

## Dziwiętnaście

– Folter dotarł do LA *samolotem*? – zapytał Garcia, patrząc na Kennedy’ego podejrzliwie. – Jakim cudem, do ciężkiej cholery, nikt go nie rozpoznał?

Korek wreszcie się skończył i SUV zaczął jechać szybko w kierunku lotniska Dulles.

– Trzy i pół roku temu w jednej z jego kryjówek znaleźliśmy dowody osobiste, prawa jazdy i paszporty – wyjaśnił Hunter. – Wszystkie były prawdziwe... należały do ofiar, które starannie wybrał z powodu ich wzrostu, budowy ciała, karnacji, wieku i podobieństwa w wyglądzie. Chociaż to ostatnie nie miało wielkiego znaczenia.

– Jak to możliwe?

– Taki jest Lucien. To geniusz, jeśli chodzi o zmienianie wyglądu. Fachowo posługuje się makijażem i płynnym lateksem, więc przy użyciu odpowiednich środków może stać się praktycznie każdym. Dopasowanie własnej twarzy do zdjęcia w dokumencie tożsamości nie stanowiłoby dla niego wielkiego wyzwania.

– On zawsze planował wszystko z wyprzedzeniem – wtrącił Adrian. – Zgodnie z jego zapiskami nigdy nie trzymał się jednej tożsamości dłużej niż dwanaście miesięcy... Nigdy też nie pozostawał dłużej w jednym miejscu. Ciągłe się przemieszczał i zmieniał wygląd, a im częściej to robił, tym większej nabierał wprawy. Mógłby zaczepić cię na ulicy, porozmawiać z tobą, a nawet byś się nie zorientował, że to on. Zatem odpowiadając na twoje pytanie: przedostanie się przez kontrolę w krajowym locie, gdzie znudzony pracownik ledwo zerka na fotografię, to bułka z masłem.

Kiedy zbliżyli się do terenu lotniska, dokładnie nad ich samochodem przeleciał lądujący boeing 747. Od huku jego silników zatrzęsły się szyby.

– Robert, nie mogę dłużej grać na zwłokę – oznajmił Kennedy, sięgając po telefon. – Muszę powiadomić prokuratora generalnego i szeryfów federalnych, że wiadomość pozostawiona przez zbiega jest zaadresowana do ciebie. Muszę im też

powiedzieć o twojej rozmowie z nim. Jeśli Lucien jest w Los Angeles, powinniśmy całkowicie zmienić obszar poszukiwań.

Detektyw nie odpowiedział, ponieważ nie było tutaj nic do dodania.

Dyrektor FBI wcisnął przycisk szybkiego wybierania i po chwili połączył się z Peterem Holbrookiem, agentem, który dowodził zespołem współpracującym z szeryfami federalnymi. Rozmowa była krótka i rzeczowa. Adrian poinformował go o nowej ofierze w Tennessee – Alicii Campbell – oraz o tym, że zbieg przebywa obecnie w LA.

Kiedy się rozłączył, Garcia się zaśmiał.

– Obaj mówicie o nim, jakbyście go podziwiali. To nie jest gwiazda rocka, tylko psychopata, w dodatku cierpiący na urojenia. Dobra, może i jest sprytny, potrafi się przebierać, zna się na psychologii i umie hipnotyzować ludzi. Co z tego? Poza znajomością sztuki kamuflażu, której raczej nie potrzebujemy, umiemy to wszystko, co on. – Przerwał na chwilę i zastanowił się nad swoimi słowami, po czym kiwnął w stronę partnera. – A przynajmniej ty umiesz. Ja nie wiem, jak kogoś zahipnotyzować. – Jego ton ponownie stał się poważny. – Tak czy inaczej, on nie ma szans wygrać. To samotny strzelec, który próbuje się na tobie zemścić. Problem w tym, że w swojej „grze” nie zmierzy się z jednym przeciwnikiem. Stanął przeciwko FBI, szeryfom federalnym, a teraz również policji. Możesz mnie nazwać szaleńcem, ale moim zdaniem musi przegrać.

– Podoba mi się twój tok myślenia – powiedział Kennedy z uznaniem.

– W dodatku on właśnie popełnił swój pierwszy poważny błąd – ciągnął Carlos.

– Jaki błąd? – zapytał Adrian z namysłem.

– Jest w Los Angeles – odpowiedział Hunter. Wiedział, co ma na myśli jego partner, ale nie do końca podzielał ten punkt widzenia.

– Zgadza się – przyznał Garcia. – Jest w Los Angeles, a to jest nasz teren. Znamy tam wszystkie ulice, wszystkie osiedla, mamy wszędzie kontakty. Ten cały Lucien może i jest cwany, ale właśnie wlaźł we wnyki... w nasze wnyki.

– Muszę się zgodzić z opinią Carlosa – oznajmił dyrektor FBI.

– Tak, oczywiście, znamy ulice, osiedla i mamy kontakty, ale jest coś, o czym zapominasz – odparował Robert.

– Co takiego?

– Trzymałeś Luciena pod kluczem przez trzy i pół roku. Cały ten czas go badałeś, więc jestem pewien, że znasz go już nieco lepiej. To prawda, on *jest* samotnym strzelcem, ale to jego wybór. Nigdy od nikogo nie jest zależny. Nikomu nie ufa.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Chodzi mi o to, że on nie będzie krążył po ulicach w poszukiwaniu współnika, broni, prochów czy czegokolwiek innego. Jeśli czegoś będzie potrzebował, znajdzie sposób, aby to zdobyć. Jakikolwiek ma plan, nie uzależni jego wykonania od kogokolwiek. Nie wzbudzi niczyich podejrzeń i w żaden sposób się nie zdradzi.

– W porządku, ale i tak uważam, że Carlos ma rację. Mamy na tym terenie przewagę, której Folter mógł nie wziąć pod uwagę.

– Nadal nie rozumiesz, prawda? – spytał Hunter, po czym pokręcił głową.

Kennedy wydawał się zupełnie nie pojmować, do czego zmierza detektyw.

– Czego nie rozumiem?

– Nawet gdybyśmy go aresztowali w tym momencie, to i tak siedem osób zginęło przez twoje ego. Siedem osób w ciągu dwóch dni. – Mimo odczuwanej wściekłości Robert mówił spokojnie. – Wiesz, do czego on jest zdolny... A teraz jest na wolności i chodzi sobie po ulicach Los Angeles. – Zamilkł na chwilę, aby przetrawili jego słowa. – Nie mamy pojęcia, co planuje i ilu niewinnych ludzi zginie, ile istnień zostanie zniszczonych, zanim go złapiemy... *jeśli* go złapiemy. To właśnie zrobiłeś. Nie rozumiesz, że w tej grze, którą rozpocznie Lucien... nieważne, co dokładnie się jeszcze wydarzy... my w tej grze już przegraliśmy.

## Dwadzieścia

Po niemalże godzinie krążenia po ulicach Lynwood, dzielnicy zamieszkaanej głównie przez Latynosów, znajdującej się pomiędzy Compton i South Gate w południowej części Los Angeles, Lucien w końcu znalazł to, czego szukał: hotel, który wynajmował pokoje na godziny, dni, tygodnie, miesiące, lata... Wszystko zależało od ustaleń, najważniejsze, że nikt nie zadawał pytań, nie sprawdzał dokumentów, byle tylko klient opłacił cały pobyt gotówką z góry. Zrujnowany budynek z wyblakłą niebieską fasadą i brudnymi oknami został wciśnięty pomiędzy pralnię i zakład szewca na końcu nijakiej ulicy, gdzie dziury w jezdni zaczęły powoli wyglądać jak nieduże jeziora.

Gdy wszedł do małego i kiepsko oświetlonego lobby, natychmiast poczuł wyraźny zapach słodkich perfum, taniego alkoholu i dymu tytoniowego. Wzorzysty dywan, który witał gości, był wytarty, rozdarty z jednej strony i usiany śladami po papierosach. Portorykański reggaeton grał z przenośnego radia stojącego na pustym biurku.

Folter zadzwonił dzwonkiem i czekał.

Nic.

Zadzwonił ponownie.

Tym razem usłyszał dźwięk dochodzący zza zamkniętych drzwi za recepcją, ale nikt się nie pojawił.

Położył palec na dzwonku i nie zabrał go, dopóki nie doczekał się odzewu.

– *Calmate puto*. Idę przecież – odpowiedział wściekle męski głos z wyraźnym akcentem. – Starczy już tego dzwonienia, *ese*.

Po chwili pojawił się niski, otyły mężczyzna, noszący luźne spodnie, brązowe kapcie i kraciastą koszulę zapiętą na wszystkie guziki. Włosy miał obcięte niemal do samej skóry.

– *Que quieres, ese?* – zapytał, dotarłszy w końcu do biurka.



Lucien przyglądał mu się w milczeniu. W oddechu Latynosa dało się wyczuć woń cebuli i fasoli. Oczy miał zaczerwienione, a w prawym kąciku ust widniała plama jakiegoś brązowego sosu.

– Czego chcesz, *ese?* – ponownie zapytał recepcjonista, odwzajemniając uważne spojrzenie Foltera.

– Przeoczyłeś trochę – odpowiedział w końcu. Najpierw postukał palcem w prawy kącik własnych ust, po czym wskazał na mężczyznę.

– Co? – Tamten zmarszczył brwi, wyraźnie rozdrażniony, że ktoś mu przeszkadza.

– Masz sos na wargach – wytłumaczył Lucien. Cały czas posługiwał się teksańskim akcentem, który wybrał na lotnisku.

Mężczyzna wytarł usta dłonią, a następnie zlizął z palca kroplę sosu.

Folter czekał cierpliwie.

– Dobra, to czego chcesz, *cabrón?* – ponownie spytał Latynos.

Lucien czekał, aż mężczyzna zauważy, jak głupie jest to pytanie, biorąc pod uwagę, że znajdują się w lobby hotelowym. Niestety, nie zauważył.

– Chcę wynająć pokój – odpowiedział mu w końcu.

– *Cuánto tiempo?* – dopytał recepcjonista, zerkając do zeszytu. – Na ile godzin?

– Zaczniemy od czterech dni.

Latynos zaczął się rozglądać ze zdziwioną miną, ale nie zobaczył nikogo innego.

– *Cuatro días?* – Jego ton wyrażał powątpiewanie. Delikatnie mówiąc. – Chcesz pokój na cztery dni? *Estás seguro?*

Reklama hotelu sugerowała, że można wynajmować pokoje zarówno na godziny, jak i na całe tygodnie czy miesiące, ale w rzeczywistości klienci przyprawdzali tutaj prostytutki, żeby się zabawić, i po kilku godzinach wychodzili. Mało kto zostawał na całą noc, nie mówiąc już o czterech dobach, ale właśnie dlatego Folter wybrał to miejsce.

– Zgadza się. Zaczniemy od czterech dni. Jeśli będę chciał zostać dłużej, dam ci znać przynajmniej dzień wcześniej. Pasuje?

Recepcjonista przyglądał mu się jeszcze przez chwilę.

– *Pagando en chavos, ese?* Płacisz gotówką? – Potarł kciukiem o palec wskazujący.

– Oczywiście.

– W takim razie pewnie, *ese*, że pasuje – odparł mężczyzna, szczerząc brudne zęby w uśmiechu. – Cztery doby kosztują... sto osiemdziesiąt dolarów.

Folter nie widział powodu, żeby się targować. Zamiast tego sięgnął do kieszeni, wyciągnął odliczoną kwotę i wręczył ją Latynosowi.

– Jeszcze trzydzieści dolców depozytu – dodał recepcjonista z błyskiem chciwości w oczach. – Jakbyś coś zniszczył, *ese*, rozumiesz? Dostaniesz je, jak oddasz klucze. *Te prometo*.

Lucien wpatrywał się w niego lodowato tak długo, aby mężczyzna poczuł się nieswojo.

– Oczywiście – zgodził się w końcu i dołożył kolejne trzydzieści dolarów.

Recepcjonista przeliczył banknoty, po czym schował je do kieszeni.

– Lubię cię, *ese* – powiedział, zapisując coś w zeszycie. – Dlatego właśnie dam ci pokój na najwyższym piętrze. Wszystkie są takie same, ale przynajmniej nie będziesz miał nikogo nad sobą, *comprendes?* – Wskazał palcem na sufit. – Pewnie będziesz słyszał jakieś stuki zza ściany albo z piętra niżej. To będzie *chacha*. – Uśmiechnął się znacząco. – Możliwe, że usłyszysz też jakieś krzyki, wyzwiska, uderzenia... – Pokręcił głową. – *No te preocupes por nada...* nie ma się czym martwić, *comprendes? Eso es normal aquí*.

Lucien pokiwał głową w milczeniu.

Latynos postawił przed nim rejestr gości.

– *Firme aquí, por favor*. Nazwisko dowolne – powiedział z uśmiechem.

Folter wziął długopis i szybko napisał coś we wskazanym miejscu.

Recepcjonista wziął rejestr i zaczął się śmiać.

– Nazywasz się „Ese Puto”?

– Czemu nie? Tak mnie nazwałś, pamiętasz? Po co to zmieniać?

Mężczyzna się uśmiechnął i odpowiedział:

– *Si, Por qué no?* Zatem niech będzie Ese Puto. – Pokazał mu klucze do pokoju z numerem 215. – Jak mówiłem, najwyższe piętro. Po wyjściu z windy skręć w lewo.

– Pójdę schodami.

– Tak czy siak, jak dotrzesz na najwyższe piętro, skręć w lewo. To będzie ostatni pokój po prawej stronie.

Kiedy Lucien sięgnął po klucze, recepcjonista nachylił się nad ladą i wyszeptał:

– Gdybyś chciał się zabawić, *ese...* o dowolnej porze... wystarczy, że przyjdiesz do mnie, *tranquilo*? Mogę załatwić wszystko, *ese...* wszystko. – Ponownie się uśmiechnął. – *Chicas, yayo, cachimba, todo lo que quieras, comprendes?* Wszystko, co tylko chcesz.

Folter cofnął się nieco, żeby uniknąć cebulowych wyziewów z ust swojego rozmówcy.

– W zasadzie jest jedna rzecz, którą mógłbyś dla mnie załatwić.

W oczach Latynosa ponownie błysnęła chciwość.

– Znasz kogoś, kto mógłby ustalić dla mnie czyjś adres na podstawie numeru komórki?

Mężczyzna spojrzał na niego nerwowo, drapiąc się po wydatnym brzuchu. Przywykł do podejrzanych próśb swoich klientów.

– Znam parę osób. To jednak będzie kosztowało, *ese*.

Lucien stał bez ruchu, świdrując go wzrokiem, aż ten znów poczuł się niepewnie.

– Ile?

Recepcjonista zastanawiał się przez chwilę.

– Sto dolarów.

– Dostaniesz kasę, kiedy ja dostanę adres.

Latynos się uśmiechnął.

– Oczywiście. Masz ten numer?

Folter zapisał na kartce numer telefonu należący do Huntera i wręczył ją mężczyźnie.

– *Dame una hora...* za godzinę dostaniesz adres.

Lucien podziękował kiwnięciem głowy i spokojnie poszedł po schodach na drugie piętro.

## Dwadzieścia jeden

Pomimo trzygodzinnej różnicy czasu pomiędzy Los Angeles a Waszyngtonem Hunter dotarł do swojego małego mieszkania w Huntington Park w południowo-wschodniej części miasta dopiero po dwudziestej trzeciej. Nalał do szklanki nieco piętnastoletniej port askaig sherry cask, po czym zgasił światło i usiadł w milczeniu w salonie. Wpatrywał się przez okno w nigdy niegasnące światła.

Próbował uporządkować myśli, ale od chwili, gdy dowiedział się o ucieczce Luciena, jego umysł stał się groteskową płataniną obrazów, wspomnień i emocji sprzed trzech i pół roku oraz z czasów studenckich. Im bardziej próbował zapanować nad tym chaosem, tym bardziej on się wzmaczał.

Upił łyk szkockiej, zamknął oczy i pozwolił ciemnozłocistemu trunkowi wnikać dokładnie w kubki smakowe. Niemal natychmiast poczuł słodkawy smak z nutką cytrusów i fiołków oraz dymu. Robert nie pamiętał dokładnie, kiedy kupił tę butelkę ani kto mu ją polecił, ale z całą pewnością to bardzo dobra whisky.

Whisky single malt to jego największa pasja. Co prawda nie uważał się za eksperta w tej dziedzinie, ale jego niewielka kolekcja uzbierana przez lata była bardzo zróżnicowana i ciekawa, prawdopodobnie mogła usatysfakcjonować podniebienia większości koneserów.

Niezbyt odległy dźwięk syren karetki oderwał detektywa od delektowania się trunkiem. Gdy otworzył oczy, w oknie po przeciwnej stronie ulicy zobaczył czterdziestoparoletnią blondynkę. Chwilę później światło w jej mieszkaniu zgasło.

Hunter spojrzął na zegarek: dwudziesta trzecia czterdzieści osiem. Przeciętny człowiek uznałby, że to bardzo rozsądna pora, aby pójść spać, ale on nie był przeciętnym człowiekiem, zwłaszcza jeśli chodziło o sen.

Szacuje się, że w USA co piąta osoba cierpi na bezsenność. Zazwyczaj jest ona wynikiem przepracowania i stresu spowodowanego sytuacją finansową i rodzinną. W tym przypadku Robert również odbiegał od normy.

Bezsenność pojawiła się u niego tuż po tym, jak jego matka przegrała walkę z glejakiem – najbardziej złośliwą odmianą raka mózgu. Hunter miał wtedy zaledwie siedem lat. Siedział wówczas sam w pokoju, strasznie za nią tęskniąc, i próbował zrozumieć, co się stało, jednocześnie powstrzymując łzy. Smutek stał się jego nieodłącznym i niechcianym towarzyszem, a wraz z nim nadeszły koszmary tak przerażające i rzeczywiste, że jego mózg bronił się przed nimi w jedyny możliwy sposób: nie pozwalając mu zasnąć. Sen stał się jednocześnie luksusem i torturą. Aby zająć czymś umysł podczas tych niekończących się bezsennych nocy, Hunter sięgnął po książki. Czytał zawzięcie jedną za drugą, zupełnie jakby dawały mu jakąś czarodziejską moc. Książki stały się jego sanktuarium, jego schronieniem... tarczą broniącą przed smutkiem, którego nie mógł kontrolować ani zrozumieć.

Z upływem lat nauczył się żyć z tą przypadłością, zamiast z nią walczyć. W dobrą noc mógł liczyć na cztery, może nawet pięć godzin nieprzerwanego snu. Kiedy obserwował kolejne światła gasnące po drugiej stronie ulicy, kolejne zasłony zaciągane w oknach, wiedział już, że to nie będzie „dobra noc”.

Gdy pociągał kolejny łyk trunku, na stojącym na środku salonu stoliku zawibrowała komórka. Niespodziewany dźwięk go przestraszył. Jego serce niemal się zatrzymało, kiedy patrzył na wyświetlacz. Spodziewał się znowu zobaczyć na nim napis „numer nieznany”, ale tym razem się pomylił. Dzwoniła Tracy.

Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, detektyw westchnął z ulgą, po czym lekko się uśmiechnął.

Tracy Adams pracowała jako wykładowca psychologii kryminalnej na uniwersytecie UCLA. Poznali się parę miesięcy wcześniej w jednej z licznych bibliotek na terenie kampusu w Westwood. Obustronne zauroczenie było natychmiastowe i oczywiste, Hunter lubił ją o wiele bardziej, niż chciał przyznać, ale z sobie tylko znanych powodów i ku frustracji Tracy nigdy nie pozwolił temu romansowi odpowiednio rozkwitnąć.

– Cześć – rzucił do słuchawki, po czym ponownie wyjrzał przez okno. – Nie spodziewałem się, że nie śpisz jeszcze o tej porze.

– Naprawdę? – odparła figlarnie. – A kiedy widziałeś, żebym położyła się przed pierwszą?

Dziwnym zbiegiem okoliczności ona również cierpiała na bezsenność, aczkolwiek nie aż tak poważną jak Hunter.

– To prawda. Jak ci minął dzień? – zapytał detektyw.

– Dość zwyczajnie. Chociaż dwoje studentów musiało opuścić zajęcia i biegiem udać się do toalety. Część zdjęć, które przedstawiałam na wykładzie, stanowiła dla nich zbyt wielkie wyzwanie.

– Naprawdę? O kim im opowiadałaś?

– O Edzie Geinie.

Robert parsknął śmiechem.

– Niech zgadnę: fotografie przedstawiały ubrania z ludzkiej skóry?

Edward Theodore Gein był amerykańskim seryjnym mordercą, który nie miał na swoim koncie wielu ofiar – przynajmniej w porównaniu z innymi seryjnymi mordercami. Udowodniono mu tylko dwie zbrodnie. Wyróżnił się natomiast stopniem brutalności i szaleństwa. Cierpiał na niezwykle poważne zaburzenia. Wykopywał na cmentarzach zwłoki kobiet przypominających mu matkę, następnie wycinał fragmenty skóry i szył z nich ubrania i maski, które nosił w swoim domu. Wykorzystywał również fragmenty ciał, aby tworzyć z nich paski, lampy, miski, popielniczki i rozmaite inne przedmioty. Dla Hollywood stanowił inspirację przy kreowaniu najbardziej przerażających postaci seryjnych morderców, jak choćby Norman Bates (*Psychoza*), Jame Gumb (*Buffalo Bill w Milczeniu owiec*) czy Leatherface (*Teksańska masakra piłą mechaniczną*).

Tracy się zaśmiała.

– Zgadza się. Ubrania z ludzkiej skóry. To zawsze działa. A jak twój lot... albo raczej loty?

– Długie i męczące.

– Wyobrażam sobie. Już dawno nie byłam w Waszyngtonie, ale podróż w tę i z powrotem jednego dnia to spore wyzwanie. Dziwię się, że nie zasnęłaś od razu po dwunastu godzinach lotu.

– Tak... niestety wszystko wskazuje na to, że sen tak łatwo dzisiaj nie nadejdzie... O ile w ogóle nadejdzie.

Kobieta wychwyciła w jego głosie nutkę niepokoju, ale знаła go dość dobrze, aby nie drażnić tego tematu. Zamiast tego zadała zupełnie inne pytanie:

– Masz ochotę na towarzystwo? Sprawdzalam wieczorem prace studentów i jestem nadal rozbudzona, w dodatku rano nie mam zajęć.

Propozycja była bardzo kusząca.

– A nie jest trochę za późno jak na tak daleką podróż?

Tracy mieszkała w West Hollywood, czyli jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Huntington Park.

– Możliwe. Zrobisz coś dla mnie? Wyjrzyj, proszę, przez okno.

– Co? – Robert zmarszczył brwi. – *Patrzę* właśnie przez okno.

– Wiem – odparła. – Ale spójrz w dół, koło latarni po twojej lewej.

Hunter spojrzał we wskazanym kierunku.

Na chodniku zobaczył Tracy, ubraną w długi czarny płaszcz. Trzymała telefon przy uchu i machała do niego.

Zupełnie zaskoczony odwzajemnił gest.

– Dlaczego po prostu nie przyszedłaś i nie zapukałaś?

– Nie chciałam się narzucać – odparła z uśmiechem. – Czy to znaczy, że *masz* ochotę na towarzystwo?

– Tak, i to wielką – odpowiedział, również się uśmiechając.

Tracy się rozłączyła i ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Ani ona, ani Hunter nie zwrócili uwagi na wysoką postać czającą się za drzewem kilka metrów dalej.

Lucien stał tam od jakiegoś czasu. Widział, jak Robert niedawno przyjechał. Chwilę później światła w mieszkaniu na trzecim piętrze się zapaliły, po czym znowu zgasły. Zobaczył, że Hunter zbliżył się do okna i wpatrywał w dal, jakby kontemplował nieuniknione, i nagle... niespodzianka. Od drugiej strony budynku nadeszła olśniewająca rudowłosa kobieta. Wpatrywała się w blok, zupełnie jakby czegoś szukała. Z odległości trudno było to dokładnie ocenić, ale Folter mógłby przysiąc, że jej wzrok spoczął na tym właśnie oknie, które sam obserwował.

– No proszę, to się wydaje bardzo interesujące – wyszeptał pod nosem. – Kim jesteś, ślicznotko?

Kobieta wyciągnęła komórkę z torebki i wybrała numer, po czym ponownie zaczęła patrzeć w tym samym kierunku co poprzednio. Lucien nie słyszał rozmowy, którą prowadziła, nie mógł też odczytać nic z ruchu jej warg, ale po

chwili ujrzał Roberta, wyglądającego przez okno z telefonem przy uchu. Każdy włoszek na jego ciele stanął z ekscytacji. Nieznajoma uśmiechnęła się i pomachała.

Folter zerknął do góry.

Hunter też pomachał.

Bingo.

– Witaj, ślicznotko – wymruczał do siebie. Podniecenie zalało jego krwiobieg, zupełnie jak wstrzyknięta trucizna. Przyglądał się, jak kobieta chowa komórkę do torebki i zmierza do drzwi wejściowych budynku.

Uśmiechnął się na ten dar od losu.

– Jak miło cię poznać, moja piękna czerwona różyczko... kimkolwiek właściwie jesteś.



## Dwadzieścia dwa

Garcia siedział już przy biurku, kiedy Hunter wszedł do ich gabinetu znajdującego się na samym końcu piętra zajmowanego przez wydział zabójstw na komendzie w LA. Całe pomieszczenie miało zaledwie dwadzieścia dwa metry kwadratowe powierzchni, zatem starczyło w nim miejsca tylko na dwa biurka, jedno okno, trzy stare szafy, drukarkę, ekspres do kawy i dużą białą tablicę magnetyczną, upchniętą pod południową ścianą. Mimo swoich rozmiarów zapewniało przynajmniej pewną prywatność w porównaniu do reszty przestrzeni zajmowanej przez wydział zabójstw, wypełnionej nigdy niekończącym się gwarem rozmów.

Gdy Robert zamknął za sobą drzwi, jego partner obrzucił go przelotnym spojrzeniem, po czym parsknął śmiechem.

– Widzę, że nie muszę pytać, czy dobrze spałeś, prawda?

– Drzemałem jakieś trzy godziny.

Carlos pokiwał głową. Wiedział, że w jego przypadku trzy godziny to i tak całkiem przyzwoity wynik.

Hunter zdjął marynarkę i włączył komputer, zanim jednak zdążył usiąść, drzwi do biura ponownie stanęły otworem. Tym razem na progu pojawiła się ich przełożona, kapitan Barbara Blake.

Kilka lat wcześniej jeden z najbardziej odznaczonych kapitanów wybrał ją na swoją następczynię, kiedy po piętnastu latach dowodzenia wydziałem zabójstw postanowił przejść na emeryturę. Mianowanie kobiety na tak zaszczytne stanowisko wkurzyło jej licznych konkurentów, wśród których byli sami mężczyźni. Wkurzanie ludzi to coś, do czego Barbara już dawno przywykła podczas pracy w policji.

Nową kapitan przywitano z wrogością, jednak szybko zdobyła opinię twardej jak stal i nietolerującej wciskania kitu. Nie pozwalała się zastraszyć, nikomu nie dawała sobie wejść na głowę, włączając w to swoich przełożonych. Nie miała

również oporów przed denerwowaniem wpływowych polityków, rządowych oficjeli czy mediów, by bronić własnych przekonań.

Po kilku miesiącach niechęć do niej zaczęła powoli, aczkolwiek wyraźnie słabnąć, a z czasem Barbara zdobyła uznanie i zaufanie wszystkich detektywów znajdujących się pod jej komendą.

Kiedy stanęła w progu, obaj detektywi zauważyli, że nie jest sama. Tuż za nią czały się jakieś dwie wysokie postacie.

– Dzień dobry – rzucił Hunter, kiwając jednocześnie głową.

Garcia poszedł w jego ślady, jednak zmarszczył brwi na widok kolejnych gości.

– Witajcie – odpowiedziała przełożona, odwzajemniając skinienie. Długie czarne włosy starannie zebrała w koński ogon. Miała na sobie jedwabną perłową bluzkę, świetnie skrojoną granatową ołówkową spódnicę i czarne buty. Jej mina jasno wyrażała: *Spodziewaliśmy się tego, prawda?*

Poczekala, aż obaj goście wejdą do pomieszczenia, a następnie zamknęła drzwi.

– To jest szeryf federalny Tyler West – przedstawiła detektywom mierzącego blisko sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu Afroamerykanina stojącego po jej prawej.

West miał około czterdziestki, włosy obcięte na jeża okalały kanciastą, nijaką twarz. Kształt jego nosa zdradzał, że mężczyzna wielokrotnie walczył na pięści. Spojrzenie miał skupione, pewne i niemalże groźne. Nosił idealnie dopasowany prążkowany garnitur, który wyglądał, jakby został świeżo odebrany z pralni.

– A to agent specjalny Peter Holbrook z FBI – ciągnęła kapitan Blake, wskazując smukłego mężczyznę stojącego po lewej. Nosił elegancki czarny garnitur, był umiarkowanie opalony, a ciemnobrązowe włosy zaczesał gładko do tyłu – w stylu Drakuli.

Po wymianie uścisków dłoni odezwał się West:

– Zakładam, że znasz już zarys sprawy, zgadza się? – zapytał Huntera. Miał łagodny, ale dość głęboki głos. – Dowodzę poszukiwaniami Luciena Foltera, zaś Peter Holbrook stoi na czele zespołu FBI, który do nas dołączył.

Kątem oka Robert zauważył, jak twarz agenta tężeje – doskonale go rozumiał. „Dołączyć” to trochę coś innego niż „współpracować”.

– Z moich informacji wynika, że zbieg zadzwonił wczoraj do ciebie. To prawda? – upewnił się szeryf.

– Tak.

– Mogę spytać, dlaczego nie skontaktowałeś się z nami od razu? – Jego głos stał się wyraźnie głębszy, spojrzenie wyrażało zaś zdecydowaną groźbę.

Hunter nie przejął się tym ani trochę.

Barbara, która w ogóle nie wiedziała o tym telefonie, nie wyglądała na zadowoloną. Otworzyła szeroko oczy po tej rewelacji, po czym szybko skierowała uwagę na Westa.

– Nie widziałem takiej potrzeby – odrzekł detektyw spokojnie, usiadłszy najpierw za biurkiem.

– Nie widziałeś takiej potrzeby? – Tyler uniósł brwi tak wysoko, że niemalże złączyły się w jeden łuk.

– Adrian Kennedy, dyrektor NCAVC, siedział tuż obok mnie podczas całej rozmowy. Słyszał każde słowo, ponieważ miałem włączony głośnik. Kiedy Lucien się rozłączył, dyrektor Kennedy zadzwonił do agenta specjalnego Holbrooka i przekazał mu wszystkie szczegóły – kiwnął głową w kierunku mężczyzny stojącego przy biurku Garcii. – Adrian powiedział mi, że on dowodzi zespołem FBI w tej *wspólnej* operacji.

Robert zauważył, że mina agenta nieco złagodniała, jego zaś wargi drgnęły w powstrzymywanym uśmiechu. Wyglądało na to, że właśnie znalazł nowego przyjaciela.

– Wiedziałem zatem, że otrzymaliście wszystkie informacje, łącznie z tą, skąd dzwonił Folter. To trochę bezsensowne, abym powtarzał to słowo w słowo, nie uważasz?

– Chwileczkę – przerwała kapitan Blake. – Zadzwonił do ciebie wczoraj?

– Zaraz po pogrzebie Williamsa – wyjaśnił Carlos.

Przełożona nadal przyglądała im się z uwagą.

– Mówiłeś przed chwilą coś na temat miejsca, z którego dzwonił. Namierzyliście go?

Garcia spojrział na partnera, ten w odpowiedzi kiwnął głową.

– Telefon został wykonany z LAX.

– On jest tutaj? – W jej głosie brzmiało głównie zaskoczenie, ale dało się też usłyszeć wyraz oburzenia. Powiodła wzrokiem po nowo przybyłych, a potem po

swoich podwładnych.

– Pani kapitan, a jak pani myśli, dlaczego mamy dziś gości? Przecież nie z powodu samego telefonu – skomentował Carlos.

Barbara rzuciła Westowi i Holbrookowi spojrzenie tak twarde, że mogło ciąć szkło.

– Nie wspomnieliście nic o tym, że Folter przebywa w Los Angeles, kiedy wtargnęliście do mojego biura.

Tyler wzruszył ramionami.

– Uważaliśmy, że pani wie. Nie mogliśmy przypuszczać, że tutejsi detektywi nie komunikują się ze swoją przełożoną.

Kapitan Blake bardzo nie spodobał się jego ton, nie mówiąc już o tym, co mężczyzna sugerował.

– Komunikują się bardzo dobrze – zaczęła w sposób doskonale znany jej podwładnym. – Za to niezbyt dobrze...

Garcia rozparł się wygodnie na krześle i uśmiechnął szeroko. Miał bilety w pierwszym rzędzie na przedstawienie, które lada moment się zacznie. Hunter natomiast wiedział, że konfrontacja pomiędzy jego szefową a oficerem dowodzącym poszukiwaniami zbiega nie jest najlepszym pomysłem.

– Możecie posłuchać tej rozmowy – przerwał szybko.

Pozostali spojrzeli na niego z uwagą.

– Została nagrana? – zapytał szeryf.

Detektyw sięgnął po komórkę i położył ją na biurku.

– Możesz puścić dźwięk z głośników?

Robert pokiwał głową, podłączył telefon do komputera i uruchomił odpowiednią aplikację.

Przez kolejne cztery i pół minuty w pomieszczeniu panował całkowity bezruch. Barbara, Tyler i Peter wsłuchiwali się z ogromną uwagą w każde słowo Luciena. Nikt niczego nie komentował. Dopiero gdy nagranie się skończyło, West się odezwał.

– Jeśli dobrze rozumiem, a jestem praktycznie pewny, że tak jest – zwrócił się do Huntera z wrogością – wiedziałeś dokładnie, do kogo Folter zaadresował wiadomość pozostawioną w celi, ale postanowiłeś po prostu nam tego nie mówić?

– Myśleliśmy, że wiecie – wtrąciła kapitan Blake.

Szeryf federalny rzucił jej ostre spojrzenie.

Garcia się uśmiechnął i powiedział:

– Tak trzymaj, szefowo.

– Naprawdę zakładaliśmy, że wiecie – ponownie zainteresował Robert.

– Skąd takie założenie?

– Ponieważ dyrektor Kennedy to wiedział.

West zaczął przyglądać się badawczo agentowi Holbrookowi, który wyglądał na zdezorientowanego.

– Nie miałem o tym pojęcia – zaczął się tłumaczyć. – Nikt mi nie powiedział.

Tyler raczej nie kupił tej wymówki.

– Co za różnica, czy wiedzieliście, do kogo jest zaadresowana ta wiadomość? – rzucił Hunter. – To nie zbliżyłoby was do aresztowania Foltera. Ani dzisiaj, ani wczoraj. – Uniósł dłoń, aby powstrzymać mężczyznę przed komentarzem. – Wyraźnie zaistniały tutaj problemy z komunikacją zarówno po naszej stronie, jak i po stronie FBI, ale to nie było celowe. Możesz mi wierzyć, że chcemy zobaczyć Luciena za kratami tak szybko, jak tylko się da. Nikt tutaj sobie z nikim nie pogrywa.

– W przeciwieństwie do niego – odrzekł West. – Cieszy mnie, że powiedziałeś „*chcemy*”, ponieważ zaplanowana przez Foltera gra wyraźnie cię dotyczy. Więc czy ci się to podoba, czy nie, stałeś się częścią polowania na zbiega.

Położył obie ręce na biurku Roberta i nachylił się w jego stronę tak, że ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

– Musimy pogadać... teraz.

## Dwadzieścia trzy

Już drugi raz w tym tygodniu Hunter musiał opowiedzieć historię łączącą go z Lucienem. Zrobił to, aby wyjaśnić kapitan Blake, Tylerowi Westowi i Peterowi Holbrookowi, dlaczego zbiegły morderca tak obsesyjnie stara się uwikłać go w swego rodzaju grę pod tytułem „złap mnie, jeśli potrafisz”.

Podobnie jak wcześniej Garcia, cała trójka była zupełnie zszokowana i nie mogli uwierzyć, że ktokolwiek, niezależnie od stopnia urojeń, na które cierpiał, mógłby poświęcić całe swoje dorosłe życie na torturowanie i zabijanie ludzi w ramach jakiegoś chorego, wymyślonego przez siebie eksperymentu, aby udokumentować własne szaleństwo.

– To najbardziej popieprzona rzecz, jaką słyszałem – skomentował West, kiedy Robert doszedł do końca opowieści.

Pozostała dwójka słuchaczy nie zamierzała kwestionować tej opinii.

Carlos uznał, że za drugim razem brzmiało to jeszcze bardziej niewiarygodnie.

– Nasi ludzie za pomocą najnowocześniejszego oprogramowania do rozpoznawania twarzy analizują nagrania z lotniska LAX z czasu, kiedy dzwonił do pana – oznajmił agent Holbrook. – Jeśli uda nam się go namierzyć mimo przebrania, być może znajdziemy też kierowcę autobusu, taksówkarza albo kogoś, kto go widział... a może również zapamiętał, gdzie go podwiózł.

– W takim mieście, jak Los Angeles, to jak szukanie cholernej igły w stogu siana – wtrącił Garcia.

– Wiemy o tym – przyznał Peter. – Jednak obecnie szukanie igieł to wszystko, co nam pozostało.

Hunter zachował pokerową twarz, ale w myślach brzmiało mu zdanie: *Lucien nigdy nie zostawia nic przypadkowi.*

Rozmawiał z nim przez ponad pięć minut, to spokojnie wystarczyło, aby go namierzyć. Folter miał tego świadomość. Bez wątplenia *chciał*, aby go namierzono. Chciał, żeby detektyw wiedział, że on jest w LA. To wszystko stanowiło część jego

zabawy w kotka i myszkę. Nie dość, że w ten sposób wzmógł napięcie towarzyszące całej sytuacji, to dodatkowo pokazał również, jak bardzo pewny siebie się czuje.

Skoro wiedział o namierzaniu, z pewnością założył, że służby zaczną przeglądać każdą sekundę nagrań z kamer na lotnisku. Najnowocześniejsze oprogramowanie do rozpoznawania twarzy działa na większości międzynarodowych lotnisk w USA, włączając w to LAX. One jako pierwsze są alarmowane w przypadku ucieczki z więzienia. Służby lotniska błyskawicznie otrzymują dokładny opis zbiega i zdjęcie, które od razu jest wprowadzane do tego cudownego oprogramowania. Mimo to Lucien poprzedniego dnia wyszedł sobie spacerkiem z terminala, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Te programy może i są najnowocześniejsze, ale dałyby radę wyłowić Foltera z tłumu tylko wtedy, gdy ten sam by tego chciał, a w takim przypadku musiałby mieć ku temu powód.

– Mogę o coś zapytać, detektywie? – rzucił West, po czym kontynuował, nie czekając na odpowiedź Roberta. – Jak oceniasz szanse na to, że Lucien, twój dawny kumpel, cię zaatakuje? Z opowieści i nagrania rozmowy, które dopiero co usłyszałem, wynika, że obwinia cię o pobyt w więzieniu, o przerwanie jego... badań, jeśli w ogóle można to tak określić. Bez wątpienia jest wściekły i, jak sam powiedział, ostatnie trzy i pół roku poświęcił na odliczanie czasu i planowanie zemsty. Na dodatek przyleciał tutaj, do Los Angeles. Zatem ponownie spytam: jak oceniasz szanse na to, że cię zaatakuje?

Hunter już wcześniej się nad tym zastanawiał. Przez chwilę patrzył Westowi w oczy, zanim odpowiedział:

– Szansa jest bardzo duża. Nie zrobi tego jednak od razu.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie?

– Ponieważ najpierw zajmie się tym, co sam zapowiedział. Zrobi z tego grę, w której po jego stronie nie ma żadnych zasad, po naszej zaś jest mnóstwo. Grę, nad którą on ma całkowitą kontrolę. Siedem niewinnych osób już zginęło, a najstraszniejsze jest to, że on pewnie nawet jeszcze nie zaczął. To dla niego zaledwie rozgrzewka.

Tyler potarł czubek swojego krzywego nosa.

– Chciałbym, żeby od razu spróbował mnie zaatakować – dodał Robert.

Szeryf spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Nie mówię tego, żeby wyglądać na twardziela – wyjaśnił detektyw. – Chodzi mi o to, że w takim wypadku wszystko mogłoby się szybko zakończyć. Nikt postronny już by nie ucierpiał. Albo ja bym go zabił, albo on mnie. Albo obaj byśmy zginęli. Jednak on tego nie robi. Wiesz dlaczego?

– Ponieważ jest tchórzem?

– Nie, ponieważ dla niego to żadna zabawa. Słyszałeś nagranie z naszej rozmowy, prawda? On chce wrócić do swojego projektu, do swoich badań, bo jeszcze ich nie dokończył. Dlaczego w takim razie nie połączyć tego z grą „złap mnie, jeśli potrafisz”?

– Grą, w której mamy kolosalną przewagę liczebną – odparował West ze wzruszeniem ramion. – Grą, której on nie może wygrać.

– To właśnie jest problem. Jeśli zamierzasz na to patrzeć pod kątem zwycięstwa i przegranej, to on już wygrał... siedem razy. Za każdym razem, jak kogoś zabije, my ponosimy porażkę, której już się nie da odrobić.

Zapadła przytłaczająca cisza, która sprawiła, że powietrze jakby zgęstniało – aż trudno było oddychać.

West przerwał ją pierwszy.

– Cóż, jeśli jednak się mylisz i dawny kolega złoży ci od razu niezapowiedzianą wizytę, powinieneś dostać całodobową obstawę – powiedział, po czym spojrział na kapitan Blake.

– To prawda – oznajmiła, pokiwawszy głową. – Nie trzeba eksperta do stwierdzenia, że Folter to bezczelny sukinsyn, w dodatku bez wątpienia ma z tobą rachunki do wyrównania. Jeśli jest chociaż cień szansy, że ten nieprzewidywalny morderca spróbuje cię dorwać... – Nie musiała kończyć. – Zadzwoń do SIS zaraz po tym spotkaniu.

SIS to elitarna jednostka obserwacyjna, działająca od ponad czterdziestu lat, pomimo usilnych protestów ze strony różnych organizacji broniących praw człowieka i licznych organizacji politycznych. Wszystko dlatego, że ich wskaźnik interwencji zakończonych śmiercią zatrzymanego był wyższy niż jakiegokolwiek innego wydziału, włączając SWAT i brygadę antynarkotykową.

SIS miało za zadanie przede wszystkim obserwować z ukrycia najbardziej niebezpiecznych morderców – podejrzanych o brutalne zbrodnie – którzy nie



przestaną zabijać, dopóki ktoś ich nie złapie na gorącym uczynku. Członkowie tej jednostki to profesjonalni snajperzy i mistrzowie obserwacji. Ich taktyka polegała na śledzeniu podejrzanego, aż ten popełni kolejne przestępstwo – dopiero wtedy wkraczali do akcji. Dlatego też nieraz dochodziło do wymiany ognia, a to czyniło ich działania bardzo kontrowersyjnymi.

– Trzeba też będzie założyć podsłuch w twoim telefonie – dodał West. – Podczas ostatniej rozmowy Lucien uprzedził, że skontaktuje się z tobą znacznie szybciej, niż myślisz. Musimy od razu wiedzieć, kiedy to zrobi.

Hunter wiedział, że niezależnie od jego odpowiedzi i tak założą mu podsłuch. A być może już to zrobili.

– Żadnego SIS – powiedział w końcu.

Przełożona zmarszczyła brwi i zapytała:

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze: jeśli spróbuje mnie dorwać, nie zrobi tego w moim mieszkaniu. Nie zakradnie się też za moimi plecami i nie strzeli mi w tył głowy. To zbyt proste i za mało spektakularne jak na niego. Zdecyduje się na o wiele większy dramatyzm. Po drugie: wiem, że oni są najlepsi z najlepszych w dziedzinie obserwacji i kamuflażu, ale Folter wszystko robi jak szachista. Zawsze planuje na kilka ruchów w przód. Przewidzi, że mogą być pod obserwacją. Będzie szukał mojej ochrony. Nieważne, jak są dobrzy, być może i tak ich wykryje. Jeśli to zrobi, spróbuje wykończyć ich pierwszych.

Garcia sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

– Ten gość da radę załatwić cały zespół SIS?

– On da radę zrobić znacznie więcej – odparował Robert.

– To może nadajnik? – zasugerował Holbrook. – Coś małego, co da się ukryć w pasku albo portfelu, zegarku czy gdziekolwiek indziej... Coś, co miałoby przycisk, którym można wezwać wsparcie w razie niebezpieczeństwa.

– Adrian Kennedy próbował czegoś podobnego, kiedy Lucien po raz pierwszy został aresztowany. Agentka specjalna Courtney Taylor i ja pojechaliśmy z nim do jednej z jego kryjówek. Dostaliśmy nadajniki z mikrofonem zamaskowane jako guziki koszuli. Ostrzegałem przed tym Adriana. Powiedziałem mu, że Folter od razu je zauważy. Nie da się go tak łatwo nabrać.

– Jestem pewny, że eksperci z naszych trzech instytucji wspólnymi siłami dadzą radę wykombinować jakieś urządzenie namierzające, które będzie „lucienoodporne” – powiedział West. – Tym jednak możemy zająć się nieco później. Teraz chciałbym, żebyś się zastanowił. Czy przychodzi ci do głowy ktoś, z kim on chciałby się skontaktować w Los Angeles? – Przerwał na chwilę i wzruszył ramionami. – Albo kogo chciałby zabić? Może ktoś ze studenckich lat?

Hunter wziął wcześniej taką możliwość pod uwagę.

– Nikt nie przychodzi mi do głowy. Jediną osobą, z którą się przyjaźniliśmy, była Susan Richards, ale jak już mówiłem, stała się jego pierwszą ofiarą.

– A utrzymujesz kontakty z kimś innym z tamtego okresu? – naciskał Tyler. – Może z jednym z profesorów?

– Nie. Z nikim.

Szeryf federalny wyprostował się i potarł kark.

– Bez urazy, ale nie wygląda na to, żebyś się zastanawiał nad odpowiedziami.

Robert doskonale rozumiał jego frustrację.

– To prawda. Nie zastanawiam się, ponieważ przerabiałem w myślach te pytania wielokrotnie – wyjaśnił spokojnie. – Prawie nic innego nie robię od ostatnich trzech dni. Naprawdę nikt nie przychodzi mi do głowy.

Tyler zaprzestał prób wyczytania czegokolwiek z twarzy detektywa. Analizowanie ludzi to dla niego chleb powszedni, mimo to nie potrafił rozgryźć swojego rozmówcy.

– Na wszelki wypadek mój zespół przygotowuje właśnie listę wszystkich osób, które studiowały psychologię na Uniwersytecie Stanforda w tym samym czasie co ty i Lucien – wtrącił Holbrook. – Byłbym wdzięczny, gdybyś ją przejrzał, może czyjeś nazwisko rzuci ci się w oczy i przypomnisz sobie coś... jakieś wydarzenie, rozmowę... cokolwiek. Być może Folter chowa urazę do kogoś jeszcze. Zamieścimy również zdjęcia z albumu uniwersyteckiego, żeby łatwiej było dopasować nazwiska do twarzy.

– Oczywiście, prześlijcie mi tę listę, sprawdzę ją.

## Dwadzieścia cztery

Zrealizowanie planu zajęło Lucienowi cztery dni: wszystkie niezbędne rzeczy kupił w ciągu kilku godzin. Zrobił to w czterech różnych sklepach, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Kolejne dwa i pół dnia przemierzał miasto w poszukiwaniu idealnego miejsca. Ostatni dzień poświęcił na złożenie wszystkiego w całość.

Wolałby mieć własny warsztat, gdzieś na odludziu, aby w ciszy i spokoju pracować tak długo, jak będzie potrzeba, ale znalezienie takiej lokalizacji zajęłoby trochę czasu, a nie zamierzał go marnować. Poza tym nie mógł się już doczekać, aby zacząć, zatem zadowolił się obskurnym pokojem hotelowym. To z pewnością nie było idealne środowisko do pracy, mimo to nie wpłynęło na efekt końcowy.

Po zameldowaniu się cztery dni wcześniej, Folter zadzwonił do niewielkiej firmy kurierskiej w Luizjanie. Nadał w niej coś, co wyciągnął z jednej z zakopanych walizek. Podał w zleceniu dokładne instrukcje, brakowało jedynie adresu, pod który należało dostarczyć paczkę – taki właśnie był cel tego telefonu.

Przesyłka dotarła poprzedniego popołudnia.

Lucien pracował całą noc, robiąc krótkie przerwy co jakieś dwie godziny. Udało mu się skończyć to skomplikowane i męczące zadanie przed śniadaniem. Odłożył narzędzia, wstał i wyciągnął ramiona wysoko nad głowę. Całe ciało miał zeszywniałe od siedzenia w jednej pozycji, ale gorący prysznic i nieco odpoczynku spokojnie sobie z tym poradzą.

– Cóż, nie jest tak idealne, jak bym chciał, ale musi wystarczyć – skomentował, przyglądając się swojemu dziełu.

Przedmiot istotnie był toporny. Brakowało mu finezji, ale walory estetyczne nie miały tutaj znaczenia. Ważne, że działał.

Folter spał przez sześć godzin, po czym wziął długi gorący prysznic, aby rozluźnić obolałe mięśnie. Kolejne dwie godziny spędził przed lustrem, gdzie dopasowywał swój wygląd do nowej tożsamości. To zupełnie inna postać niż ta,

którą wykorzystywał przez ubiegły tydzień. Zdecydował się na bardziej wyrafinowany image.

Miał czarną perukę o krótkich, elegancko przyciętych włosach, zaczesanych na jedną stronę. Za pomocą płynnego lateksu uformował sobie szeroki podbródek z dołeczkiem, pociągły nos o zaokrąglonym czubku i wydatne kości policzkowe. Całkowicie ukrył bliznę pod warstwą lateksu i makijażu. Zafundował sobie również nowe czoło pozbawione zmarszczek oraz cieńsze, bardziej wyraziste brwi. Korzystał z ciemnobrązowych soczewek kontaktowych – to był jego naturalny kolor oczu, ale soczewki ukrywały prawdziwe źrenice. Zdecydował się również na okulary zerówki. Nadawały mu nieco bardziej intelektualny wygląd. Nowe zęby błyszczały bielą, otoczone pełnymi dziąsłami, dzięki czemu mógł się pochwalić pięknym uśmiechem, niczym u sprzedawcy w luksusowym komisie samochodowym.

Dla swojej nowej postaci wybrał akcent typowy dla osób urodzonych i wychowanych w Mieście Aniołów, jednak jego głos i postawa były znacznie bardziej eleganckie niż męskie. To lepiej pasowało do odgrywania roli w miejscu, które wybrał.

Włożył czarne spodnie i granatową koszulę, na którą zarzucił brązową marynarkę – wszystko zakupione poprzedniego dnia w sklepie z używaną odzieżą na drugim końcu miasta.

Stojąc przed lustrem, podziwiał swoją najnowszą postać: Josepha. To imię pożyczył od sprzedawcy, u którego kupił marynarkę. Joseph był dumny ze swojego wyglądu – plecy miał wyprostowane, barki ściągnięte do tyłu. W jego oczach błyszczała pewność siebie, bez śladu arogancji. Mówił znacznie łagodniejszym głosem niż Lucien, chociaż nie pobrzmiwała w nim uległość. To głos kogoś, kto odniósł pewne sukcesy w życiu, ale miał apetyt na kolejne.

Niecałe piętnaście minut prób wystarczyło, aby całkowicie wczuł się w rolę. Mężczyzna, który spoglądał na niego z lustra, nie przypominał już ani trochę Foltera.

Następnie Joseph spakował do nowego plecaka urządzenie konstruowane całą noc, po czym spojrzął na zegarek. Była siedemnasta dziewiętnaście. Na niebie za oknem zostało zaledwie kilka pierzastych chmur.

*Piękny dzień na spacer, pomyślał.*

Zanim przedstawienie się zacznie, należało zrobić jeszcze jedną rzecz: zadzwonić ponownie do Huntera. Posłuży się jednym z pięciu telefonów na kartę, zakupionych w ostatnich dniach.

Otworzył okno, aby wpuścić nieco świeżego powietrza – pokój bardzo tego potrzebował. Sięgnął po komórkę i po raz ostatni popatrzył w lustro. Po chwili kiwnął głową z aprobatą.

– Przedstawienie czas zacząć.

## Dwadzieścia pięć

Minęło trzy i pół dnia od pierwszego spotkania detektywów z Tylerem Westem i Peterem Holbrookiem. Mimo ogromnych wysiłków zespół poszukujący Luciena Foltera nie poczynił żadnych postępów. Ani nagrania z kamer na lotnisku LAX, ani lista studentów Stanforda, którą otrzymał Hunter, nie pomogły pchnąć sprawy do przodu. Robert dokładnie przeglądał zdjęcia i analizował wszystko w pamięci, ale nie znalazł nic, co mogłoby łączyć zbiegłego mordercę z jakąś osobą z listy.

Podobnie jak Hunter, Lucien był jedynakiem, którego oboje rodzice zmarli. Miał dwoje żyjących krewnych: wuja w Rhode Island i ciotkę w Wisconsin. Funkcjonariusze rozmawiali z nimi, ale oboje powiedzieli, że od ponad dwudziestu pięciu lat nie mieli kontaktu z poszukiwanym. Mimo wszystko znajdowali się pod obserwacją, założono im też podsłuchy w telefonach.

Tak mizerne wyniki po czterech dniach pracy we wszystkich wywoływały frustrację.

West i Holbrook zaczęli wątpić, czy Folter nadal znajduje się w Los Angeles. Wbrew oczekiwaniom nie wykonał jeszcze żadnego ruchu, mimo zapewnień nie skontaktował się też z Robertem. Zespół poszukiwawczy spędził ostatnią dobę na wpatrywaniu się w ściany i siedzeniu bez celu na dupach.

Minęła osiemnasta, kiedy Hunter i Garcia wyszli ze spotkania z kapitan Blake. Właśnie zdążyli przekroczyć próg biura, gdy zadzwoniła komórka Roberta.

Szósty zmysł, policyjna intuicja, przeczucie czy jakkolwiek to można nazwać – detektyw w to nie wierzył, jednak zanim jeszcze wyciągnął telefon i spojrzał na wyświetlacz, wiedział już, że to połączenie od mordercy. Był tego pewien, ponieważ jego serce jakby nagle zamarło na sam dźwięk dzwonka. Zerknął na partnera, a potem na ekran komórki: „nieznany numer”.

Carlos właśnie zabrał się do parzenia kolejnego dzbanka kawy, kiedy zobaczył minę swojego przyjaciela. Natychmiast utkwiał wzrok w jego telefonie.

– Kurwa! – wyszeptał, odkładając kubek, po czym podszedł szybko do biurka Huntera.

Robert odczekał jeszcze jeden sygnał i odebrał połączenie. Od razu włączył głośnik.

– Witaj, Świerszczu. – I tym razem Lucien nie mówił z udawanym akcentem, w żaden sposób nie zmienił tonu ani nie skorzystał z urządzenia modulującego głos. – Myślałeś czasem o mnie?

– Zawsze jak byłem na strzelnicy – odparł Hunter spokojnie, włączywszy uprzednio nagrywanie.

– Zadzwoiłbym wcześniej, ale musiałem załatwić kilka spraw. Wiesz... chciałem na nowo zaznajomić się z LA. W dodatku cała moja praca, wszystkie badania były udokumentowane w dziennikach, które mi odebrałeś. Minęło trzy i pół roku. Nie pamiętałem dokładnie, gdzie skończyłem, a skoro nie mogłem sprawdzić w notatkach, musiałem sam do tego dojść.

Robert nic nie odpowiedział, ale wyczytał między wierszami, co Folter rzeczywiście miał na myśli: w ciągu ostatnich dni zajmował się wybieraniem następnej ofiary.

– Tak czy siak, postanowiłem nam obu zapewnić dobrą zabawę – ciągnął morderca. – Dam ci naprawdę świetną okazję, abyś mnie złapał, Świerszczu.

– Czemu nie wpadniesz do mnie z wizytą? – odparował detektyw. – Wiesz, gdzie jest komenda, prawda? Możemy tu sobie w spokoju pogadać.

Lucien parsknął śmiechem.

– Niestety, nie do końca mi pasuje takie rozwiązanie, ale dziękuję za zaproszenie. Co jednak powiesz na małą łamigłówkę? Zawsze je uwielbiałeś, założę się, że po tych wszystkich latach stałeś się w nich jeszcze lepszy. Mam rację?

Detektywi wymienili spojrzenia. Carlos wzruszył ramionami i uniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

– Powiem ci zatem, co zrobimy: zadam ci pytanie, prawidłowa odpowiedź da ci prawo do wysłuchania ciekawej zagadki, którą przygotowałem. Jeśli rozgryziesz zagadkę, będziesz miał możliwość uratować komuś życie. Co ty na to?

– A jeśli nie znajdę odpowiedzi na pierwsze pytanie? – dociekał Hunter. Jego partner pokiwał głową: pomyślał o tym samym.

– Ooo, to dopiero pesymistyczne nastawienie. Co się stało, mój przyjacielu? Straciłeś pewność siebie?

– Chcę po prostu poznać zasady.

– W porządku. Jeśli nie odpowiesz, to nie uzyskasz prawa do wysłuchania mojej ciekawej zagadki, więc nie będziesz miał możliwości uratowania komuś życia. – Przerwał na chwilę. – Mam ci to jakoś prościej wyłożyć, czy już załapałeś, w czym rzecz?

Carlos zacisnął usta i skrzywił się z bólały.

– Czas to pieniądz, przyjacielu, zatem przejdźmy do pytania. Gotowy? – ciągnął Lucien.

Milczał przez chwilę, jakby chciał wejść w rolę. Kiedy znowu się odezwał, w jego głosie nie było ani śladu ekscytacji, wahania czy obawy.

– Przez wiele lat prowadziłem badania i rozmaite testy, próbując lepiej zrozumieć umysł psychopaty. Nauczyłem się o wiele, wiele więcej, niż zakładałem, ale i tak pozostało kilka mrocznych zaułków, kilka zakazanych ścieżek, którymi jeszcze nie podążyłem. Moim zdaniem nadeszła pora, aby je zgłębić.

Ponownie zamilkł, tym razem na nieco dłużej.

– Podaj jedną z tych ścieżek, Świerszczu.

Garcia pobladł, spojrzał na partnera i bezgłośnie wyszeptał:

– Co, do cholery?

– Masz moje zapiski. Jestem pewny, że je przeczytałeś. Czego w nich brakuje? Czego jeszcze nie zbadalem? Poprawnych odpowiedzi jest kilka, ale wystarczy mi jedna. Znajdź ją, a usłyszysz moją zagadkę. Masz godzinę. Zadzwoń ponownie, dokładnie za sześćdziesiąt minut.

Ku zaskoczeniu detektywów morderca się jeszcze nie rozłączył.

– Dam ci wskazówkę. Chociaż moim zdaniem jej nie potrzebujesz, znam twoje możliwości. Wskazówka jest przeznaczona dla tego stada psów, które nas właśnie słucha: FBI, szeryfa federalnego i całej reszty. Prawidłową odpowiedź znajdziecie na sto trzydziestej trzeciej stronie jednego z moich dzienników. Tych dzienników, które są w waszym posiadaniu. Szukajcie, a znajdziecie. Sześćdziesiąt minut, Świerszczu. Tik-tak, tik-tak, tik-tak.

Połączenie zostało przerwane.



## Dwadzieścia sześć

Akademia FBI znajdowała się w bazie piechoty morskiej, sześćdziesiąt pięć kilometrów na południe od Waszyngtonu w Wirginii. Konglomerat połączonych ze sobą budynków, który tworzył jej serce, w niczym nie przypominał rządowego ośrodka szkoleniowego. Wyglądał raczej jak przerośnięta korporacja gdzieś w Dolinie Krzemowej. Żołnierze piechoty morskiej uzbrojeni w broń maszynową stali na każdym rogu i strzegli każdej budowli na terenie tego ponaddwustuhektarowego kompleksu. Wszędzie krążyli rekruci ubrani w granatowe dresy z wielkimi złotymi literami „FBI” na plecach. Zupełnie jak studenci na kampusie.

Dyrektor Kennedy miał swój gabinet na najwyższym piętrze drugiego co do wielkości budynku w akademii. Pomieszczenie było przestronne, ale nieprzesadnie imponujące. Na jego wyposażenie składały się: staromodne mahoniowe biurko, dwa brązowe fotele marki Chesterfield, miękki dywan, wyglądający na wystarczająco wygodny, aby na nim spać, oraz wielki regał mieszczący co najmniej sto książek w skórzanych oprawkach. Ściany zdobiły głównie oprawione w ramki dyplomy, wyróżnienia i zdjęcia Kennedy’ego w towarzystwie polityków i rządowych oficjeli.

Adrian akurat patrzył w zamyśleniu na drzewa za oknem, kiedy zadzwonił jego telefon. Zerknął na wyświetlacz, aby sprawdzić, kto to.

– Cześć, Robert – rzucił do słuchawki.

– Gdzie są zapiski Luciena? – Hunter postanowił nie tracić czasu.

Takiego pytania dyrektor się nie spodziewał.

– Co?

– Dzienniki z badaniami, które znaleźliśmy w jego kryjówce w New Hampshire... Gdzie one są? Gdzie je trzymasz?

Kennedy potrzebował chwili, aby przyswoić te informacje.

– Są tutaj – odpowiedział w końcu. – W prywatnej bibliotece NCAVC. Dlaczego pytasz?

– Jesteś w Quantico?

– Tak. Powtarzam: dlaczego pytasz?

Detektyw szybko streścił mu rozmowę z Folterem.

– Strona sto trzydziesta trzecia? – Dyrektor nawet nie próbował ukryć zdziwienia w swoim głosie.

– Tak powiedział.

– W porządku, ale w którym dzienniku? Mamy ich...

– Pięćdziesiąt trzy. Wiem.

– No właśnie, więc w którym mam szukać?

– Tego akurat nie powiedział.

– No jasne, po co miałyby nam to ułatwiać? – zapytał retorycznie Adrian.

– Musisz przydzielić do tego tylu ludzi, ilu tylko się da. Zostało nam... pięćdziesiąt siedem minut.

– Nie ma sprawy, tylko czego, do ciężkiej cholery, mają szukać na tej sto trzydziestej trzeciej stronie?

– Odpowiedzi, która uratuje ludzkie życie.

– Bardzo pomogłeś.

– Lucien oświadczył, że w jego badaniach brakowało pewnych rzeczy. Nie zgłębił pewnych ścieżek. W dodatku wymaga od nas tylko jednej dobrej odpowiedzi, chociaż jest ich więcej. Jeśli ją odnajdziemy, zada nam zagadkę.

– Tak, już mi to mówiłeś. – Chrapliwy głos Kennedy'ego nieco stwardniał. – Powtarzanie tego niewiele wyjaśnia. Nadal nie wiemy, o co dokładnie chodzi.

– Może wam pomożemy? – zasugerował Robert.

– Jak?

– Jakbyś zrobił zdjęcia kilku stron z różnych dzienników i wysłał je mailem albo MMS-em i...

– Nie, to by zajęło zbyt wiele czasu – przerwał mu dyrektor.

– Dlaczego?

– Przepisy. Żadnych urzędzeń nie wolno wnosić do prywatnej biblioteki. Dotyczy to także mnie. Wszystko trzeba oddać przy wejściu. Wyniesienie jakichkolwiek materiałów wymaga mojego podpisu, a także Michaela Aldridge'a, zastępcy dyrektora NCAVC. Nigdy byśmy...

– Dobra, rozumiem – wpadł mu w słowo Hunter.

– Musimy to zrobić sami, przydałyby się zatem jakieś wskazówki.

– Całe „badania” Foltera opierały się na mordowaniu ludzi, prawda? Za każdym razem coś modyfikował: stopień brutalności, ilość tortur, *modus operandi* i tak dalej. Robił to dlatego, że chciał sprawdzić, jaki to będzie miało wpływ na umysł psychopaty. W takim razie uważam, że powinniśmy szukać czegoś związanego z zabijaniem. Czego jeszcze nie spróbował? Jakiej metody albo jakich tortur nie przetestował?

– Ta szalona encyklopedia ma pięćdziesiąt trzy tomy – skomentował Adrian. – Ty nie czytałeś ich wszystkich, ale ja tak. On próbował już każdej metody: duszenia, uderzeń tępym narzędziem, poderżnięcia gardła, dekapitacji, rozczłonkowania, wykrwawienia, nabijania na pał, ukrzyżowania, usuwania ważnych organów, gdy ofiara jeszcze żyła, podawania trucizn, głodzenia, odwodnienia, nawet trepanacji czaszki. Lista praktycznie nie ma końca. Torturował ludzi na każdy możliwy sposób. Niektórych gwałcił. Jadł kawałki ciała innych... Cokolwiek wymienisz, on to zrobił. Jeśli wymyślisz coś dziwnego, o czym nigdy wcześniej nie słyszałeś, zapewne już tego próbował.

– On ma inne zdanie na ten temat – zaproponował Robert. – Zbierz ludzi, niech przeglądają stronę sto trzydziestą trzecią każdego tomu. Niech zaznaczą wszelkie powiązania z *modus operandi*, jego podpisem, typem ofiary, lokalizacją, nietypową metodą tortur...

– Problem w tym, że nie wiedząc, czego szukamy, możemy znaleźć pięćdziesiąt trzy różne odpowiedzi. A pewnie nawet więcej.

– Wiem. Do kolejnego telefonu Luciena zostały nam pięćdziesiąt cztery minuty, ale listę chciałbym dostać za czterdzieści cztery. To mi da dziesięć minut na przeczytanie i wymyślenie czegoś.

– Dobra, załatwię to – zgodził się Kennedy, który nie chciał tracić więcej czasu. – Zadzwoń za czterdzieści cztery minuty.

## Dwadzieścia siedem

Hunter nadal rozmawiał z Kennedym, kiedy Carlos odebrał telefon dzwoniący na biurku.

– Detektyw Garcia, jednostka SO – rzucił do słuchawki.

– Tu szeryf federalny Tyler West – mężczyzna mówił w pośpiechu, wyraźnie zdenerwowany. – Słyszeliśmy o tym, że Lucien skontaktował się z detektywem Hunterem. Gdzie są te dzienniki?

Carlos zapomniał, że jego partner ma komórkę na podsłuchu.

– Robert ustala to właśnie z dyrektorem NCAVC.

– Świetnie. Zaraz u was będziemy.

Zespół kierujący poszukiwaniami zbiegłego mordercy za swoją kwaterę główną obrał biuro szeryfów federalnych okręgu kalifornijskiego, znajdujące się przy East Temple Street w Edward Roybal Federal Building. Komenda policji stała przy West 1st Street, zaledwie półtorej przecznicy dalej. West i Holbrook przebiegli ten dystans w ciągu dwóch minut. Kolejną minutę zajęło im przejście przez ochronę przy wejściu, a następnie dotarcie na piętro zajmowane przez wydział zabójstw. Gdy wpadli do pokoju dwóch detektywów, obaj ociekali już potem.

– Dzienniki – rzucił West, ledwo łapiąc oddech. – Gdzie one są?

Hunter właśnie skończył rozmawiać z Kennedym.

– Są w prywatnej bibliotece NCAVC, w akademii FBI – wyjaśnił.

– Musimy je obejrzeć.

– Cóż, biorąc pod uwagę, że my jesteśmy w Los Angeles, a prywatna biblioteka znajduje się w Quantico, w Wirginii, to raczej niewykonalne zadanie. No chyba że masz jakieś urządzenie teleportujące – odparł z przekąsem Carlos, siadając za biurkiem.

Robert zainterweniował, zanim Tyler zdążył odpowiedzieć na zjadliwą uwagę detektywa.

– Adrian zbiera w tej chwili zespół, który przejrzy te zapiski. Rozumie powagę sytuacji i zadzwoni do mnie z gotową listą za... – zerknął na zegarek. – Czterdzieści dwie minuty.

– Czterdzieści dwie? – zdziwił się Holbrook, który również odruchowo sprawdził swój zegarek.

– To nam zapewni dziesięć minut na przejrzanie tych informacji i decyzję, co robimy.

– Czy dyrektor Kennedy i jego zespół wiedzą, czego szukać? – dociekał szeryf.

– Nie – odrzekł Hunter. – Mają wypisać wszystko, co łączy się z zabijaniem: *modus operandi*, podpis mordercy, typ ofiary, miejsce... coś, czego Lucien jeszcze nie próbował.

– A skąd będą wiedzieć, czy on właśnie tego nie próbował?

– Nie będą wiedzieć. Dlatego zrobią listę informacji znalezionych na sto trzydziestej trzeciej stronie każdego tomu. Naszym zadaniem będzie wybrać, co powiemy mordercy, kiedy znowu zadzwoni.

– Jeśli o dzwonieniu mowa, namierzyliśmy połączenie. Zostało wykonane na skrzyżowaniu Flower Street i Wilshire Boulevard – wtrącił Peter.

– To około półtora kilometra stąd – skomentował Garcia.

– Tak, wiemy – potwierdził West. – Sprawdziliśmy to na mapie. Wysłaliśmy tam naszych ludzi, jak tylko uzyskaliśmy potwierdzenie. – Spojrzał na zegarek. – Powinni już dotrzeć na miejsce.

– Strata czasu – rzucił Hunter.

– A to dlaczego, detektywie? – zapytał wyzywająco szeryf.

– Dlatego, że nie mamy pojęcia, jak Lucien teraz wygląda. Pańscy ludzie mogą na niego wpaść, a i tak go nie rozpoznają.

– Jeśli patrzyliście na mapę, to wiecie również, że skrzyżowanie Flower Street i Wilshire Boulevard znajduje się tuż obok 7th Street Metro Center Station, drugiej najbardziej zatłoczonej stacji metra w Los Angeles. Tylko ona i Union Station obsługują trzy różne linie – dodał jego partner. – Jeśli szedł, rozmawiając z Robertem, dotarłby do stacji, zanim się rozłączył. Nie wspominając o tym, że jest tam również bardzo szeroki wybór autobusów, do których mógł wsiąść.

– Co zatem mieliśmy zrobić? – dociekał wyraźnie zirytowany Tyler. – Nic?

– Niestety teraz możemy tylko czekać, aż Adrian przekaże nam listę informacji, które znajdzie jego zespół – odpowiedział Hunter, podchodząc do ekspresu do kawy. – Jak już mówiłem, to jest gra Luciena. On wymyśla zasady, których mamy przestrzegać, i wszystko planuje z wyprzedzeniem. To nie przypadek, że zadzwonił, znajdując się w pobliżu stacji metra i przystanków autobusowych. Ktoś chce kawy?

– Ja dziękuję – odparł Holbrook.

Szeryf federalny po prostu pokręcił głową.

– Ja też dziękuję – rzucił Carlos.

Robert nalał sobie pełny kubek, zanim ponownie się odezwał.

– Z tego powodu Folter podzielił tę grę na dwa etapy.

– Z jakiego powodu? – dociekał West.

– Żeby doprowadzić nas właśnie do tego. – Detektyw kiwnął głową w kierunku swojego rozmówcy. – Do frustracji. Wiedział, że nie mamy jego dzienników tutaj, w Los Angeles. Bo niby dlaczego my mielibyśmy je trzymać? Są w posiadaniu FBI. Dzieląc swoją łamigłówkę, czy jak tam jeszcze to nazwać, na dwie części, upewnił się, że my nie będziemy mieli nic do roboty przez najbliższą godzinę. Oczywiście poza siedzeniem i czekaniem. Dał nam tylko sześćdziesiąt minut na znalezienie odpowiedzi, więc wiedział, że żaden z nas nawet nie spojrzy na te zapiski, tylko będziemy musieli przerzucić to zadanie na kogoś innego. Zatem nie tylko mamy związane ręce, ale w dodatku czekamy, aż ktoś prześle nam odpowiedź na jego pytanie. Jak wysoko podnosi to poziom frustracji?

Tyler potarł usta dłonią, zupełnie jakby przeczesywał palcami nieistniejący zarost.

Hunter upił łyk kawy.

– Gra wymyślona przez Foltera będzie miała przede wszystkim aspekt psychologiczny. Twoja frustracja, niemożność zrobienia czegokolwiek: to właśnie chciał osiągnąć. Najgorsze zaś jest, że... to dopiero początek. Dalej będzie tylko gorzej. O wiele gorzej.

## Dwadzieścia osiem

West uniósł ręce w powietrze, nadał policzki i powoli odetchnął. Detektyw miał rację. W całej swojej karierze nie czuł się aż tak sfrustrowany.

– Ja nie widziałem żadnego z dzienników Luciena, ale ty tak, prawda? – zapytał w końcu.

Robert przytaknął.

Szeryf spojrzał na Carlosa, który pokręcił głową.

– Ja jestem tak samo zorientowany jak ty.

Tyler wiedział, że Holbrook również nie miał styczności z tymi zapiskami.

– W porządku, czyli wychodzi na to, że Robert jako jedyny dysponuje wiedzą na temat tej encyklopedii morderstw. Co twoim zdaniem ten psychopata miał na myśli, mówiąc o ścieżkach, których jeszcze nie zbadał? Rzeczy, których brakuje w jego pracy? Coś, czego jeszcze nie spróbował?

Detektyw odstawił kubek na biurko.

– Nie czytałem wszystkich.

– Reszta z nas nawet ich nie widziała na oczy. Dlatego zapytam ponownie: co to twoim zdaniem znaczy? Co on planuje?

– Prawdę mówiąc, w jego przypadku może chodzić o wszystko: *modus operandi*, którego jeszcze nie wykorzystał, albo typ ofiary, jakiej jeszcze nie zabił...

– Typ ofiary? – przerwał Peter, po czym wzruszył ramionami i delikatnie pokręcił głową. – Czyli?

Robert ścisnął nasadę nosa, zupełnie jakby kolejne słowa miały wywołać koszmarny ból głowy.

– Lucien zabił co najmniej sto osób. Przy każdym morderstwie próbował czegoś innego, ponieważ nie starał się zaspokoić jakiejś niekontrolowanej potrzeby, jak w przypadku większości psychopatów.

– Tak, wiemy. Eksperymentował – przerwał West.

– Zgadza się – potwierdził detektyw. – Robił to, aby wywołać u siebie jakieś emocje. Chciał przetestować przyjemność, ból, ekstazę... czy cokolwiek jeszcze czują inni mordercy, popełniając swoje zbrodnie.

– To zdecydowanie najbardziej popierdolony pomysł w dziejach ludzkości – rzucił Tyler.

Robert zignorował ten komentarz.

– Wiemy jednak, że są dwa główne typy agresywnych psychopatów: ukierunkowani na przemoc, dla których sama ofiara ma drugorzędne znaczenie, i ukierunkowani na ofiarę, dla których to właśnie ona jest najważniejsza. W pierwszym przypadku sprawców pociąga sama przemoc, tortury, jakie komuś zadadzą. Nie obchodzi ich, czy ich cel jest stary, młody, czy to mężczyzna, czy kobieta, czy ma blond włosy, a może brązowe, czy jest czarny, biały, gruby, chudy... To bez znaczenia, ważne, że ma cierpieć. Ważne, że można go skrzywdzić. – Przerwał na chwilę, aby odetchnąć. – Przedstawiciele drugiej kategorii fantazjują z kolei o *określonym* typie ofiary. Każda osoba, którą obiorą za cel, musi spełniać odpowiednie kryteria, głównie odnoszące się do cech fizycznych. Cała fantazja opiera się na wyglądzie, to właśnie on przyciąga i nakręca mordercę. Zazwyczaj dlatego, że ofiara przypomina kogoś innego, wówczas chodzi o silną emocjonalną więź i w dziewięćdziesięciu procentach przypadków ma podłoże seksualne. Prawie zawsze dochodzi do gwałtu: przed, w trakcie lub po morderstwie.

– A skoro Lucien zabija od Bóg jeden wie kiedy, zapewne pasuje do obu grup: ukierunkowanych na przemoc i na ofiarę – wtrącił Garcia.

– Zgadza się – potwierdził jego partner.

– Twoim zdaniem jest jakiś typ ofiary, którego jeszcze nie wybrał?

Detektyw przeczesał włosy palcami.

– Wydaje mi się, że do tej pory nie krzywdził dzieci, noworodków, niepełnosprawnych, osób w podeszłym wieku ani kobiet w ciąży.

Po tych słowach zapadła ogłuszająca cisza.

– Nie wydaje mi się także, żeby wybrał się poza granice zabójstwa – dodał Hunter.

– Co masz na myśli? – zapytał Carlos.

– Zawsze starał się psychologicznie zidentyfikować uczucia, jakich doświadczają seryjni mordercy. Większość z nich to osoby, które cierpią z powodu



niemożliwego do powstrzymania przymusu. Potrzeby nakłaniającej do kolejnej zbrodni. Do tej pory działał „jeden na jednego”. Być może wyjście z tego schematu jest ścieżką, którą jeszcze nie podążył.

– Zaraz – przerwał Garcia, unosząc dłoń do góry. – Mówisz o...

Hunter pokiwał głową.

– Masowym morderstwie. Nigdy takiego nie popełnił.

– Masowe morderstwo? – zapytał West z otwartymi szeroko oczami. – Nie sądzę, żeby ten gość był aż tak głupi. – Wzruszył ramionami. – Chociaż może i jest.

Detektyw rozumiał reakcję szeryfa. Statystycznie dziewięćdziesiąt pięć procent sprawców w USA ginie albo podczas, albo tuż po dokonaniu masakry. Wielu popełnia samobójstwo. Pozostałe pięć procent zazwyczaj zostaje złapanych.

FBI używa terminu „masowe morderstwo” w sytuacji, gdy cztery lub więcej osób zostaje zamordowanych bez żadnego okresu wyciszenia pomiędzy zbrodniami. W przypadku seryjnego mordercy zawsze następuje okres wyciszenia. Do masowych morderstw zazwyczaj dochodzi w jednym, przeważnie publicznym miejscu: w szkole, w centrum handlowym, w banku, na koncercie i tak dalej. Jeśli rzeczywiście Lucien zamierza coś takiego zrobić, są spore szanse, że okaże się to jego ostatnią zbrodnią.

Hunter starał się rozważyć każdy scenariusz, dlatego wspomniął o masowym morderstwie, jednak trudno mu było uwierzyć, że właśnie o to chodziło jego dawnemu przyjacielowi. Jeśli tak, na pewno wymyślił coś, aby przechylić szalę na swoją stronę.

Garcia wstał i wziął marynarkę.

– Gdzie idziesz? – zapytał Tyler.

– Na spacer. Nie ruszamy w ogóle do przodu, jedynie spekulujemy, przez co zwiększamy tylko poziom frustracji. Jak mówił Robert, pewnie tego właśnie chciał Lucien. Nie mamy dostępu do dzienników, nie możemy nic sami sprawdzić, więc tylko czekamy, aż dyrektor Kennedy do nas zadzwoni i powie o tym, co znaleźli. W takim razie równie dobrze mogę czekać na dworze. – Wskazał ręką na okno. – Ładny dzisiaj dzień. Kupię sobie kawę. – Spojrzał na partnera. – Ile czasu nam zostało?

Hunter zerknął na zegarek.

– Trzydzieści pięć minut.

– Zatem zdążę jeszcze zjeść pączka – skomentował Carlos, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Robert zastanawiał się, czy nie podążyc śladami przyjaciela, kiedy zadzwoniła jego komórka. Na wyświetlaczu dostrzegł nadawcę: Adrian Kennedy.

– Robert, mamy problem – powiedział bez ogródek dyrektor FBI.

## Dwadzieścia dziewięć

Prywatna biblioteka NCAVC znajdowała się na poziomie minus jeden tego samego budynku, w którym Kennedy miał swoje biuro. Kiedy tylko dyrektor skończył rozmawiać z Hunterem, wybiegł z gabinetu z telefonem przy uchu.

– Daryl – rzucił do słuchawki, kiedy agent specjalny Daryl Jensen odebrał połączenie.

Jensen pracował w NCAVC od dziewięciu lat. Miał doktorat z psychologii, ukończył też studia prawnicze. Był jedną z niewielu osób, które uzyskały dostęp do encyklopedii Luciena. Przesłuchiwał go również pięciokrotnie.

– Ilu agentów lub kadetów możesz zebrać w ciągu pięciu minut? – zapytał Adrian. Pośpiech w jego głosie był niemalże namacalny.

– To zależy, panie dyrektorze. Czy to zadanie wewnętrzne czy zewnętrzne?

– Wewnętrzne, o najwyższym priorytecie. Przyjdź z agentami do prywatnej biblioteki za pięć minut, a najlepiej szybciej. Czas odgrywa tu kluczową rolę.

– Do wewnętrznego zadania zapewne mogę zebrać tylu agentów, ilu tylko pan chce, panie dyrektorze. Co dokładnie należy zrobić?

– Wyjaśnię w bibliotece – odparł Kennedy i zaczął liczyć w myślach. Mieli pięćdziesiąt trzy tomy zapisków. Musiał załatwić to błyskawicznie, ale nie chciał też dawać zbyt wielu osobom dostępu do tych materiałów. Wiedział, że wszystkie strony zostały zapisane ręcznie, drobnym pismem. Często trudno było je w ogóle odczytać.

– Ilu agentów mam zebrać, panie dyrektorze? – dopytywał Jensen.

Adrian stwierdził, że przeczytanie kilku kartek i tak nie zdradzi aż tak dużo z treści dzienników. Spojrzał na zegarek: miał czterdzieści trzy minuty.

– Dwudziestu czterech, wyłączając ciebie. Dasz radę? – zapytał.

Razem z Jensenem i nim samym da to dwadzieścia sześć osób. To oznacza, że każdy będzie musiał przeczytać tylko dwie strony w ciągu czterdziestu minut: wykonalne zadanie.

– Tak jest, panie dyrektorze. Będziemy na miejscu za trzy, maksymalnie cztery minuty.

– Daryl, jak pójdziesz po kadetów, wybierz młodych rekrutów, którzy będą słuchać rozkazów bez zbędnych pytań – rzucił jeszcze do słuchawki Adrian.

– Tak jest, panie dyrektorze.

## Trzydzieści

Agent specjalny Daryl Jensen wraz z ośmioma innymi agentami i szesnastoma rekrutami dołączyli do Kennedy'ego w prywatnej bibliotece NCAVC w ciągu czterech minut od zakończenia rozmowy telefonicznej. Dyrektor objaśnił stojące przed nimi zadanie najlepiej, jak umiał, podając im minimalną ilość informacji – nawet Jensenowi nie zdradził więcej.

– Jak nie będziecie czegoś pewni, i tak wpisujcie to na listę. Bez wahania. Nie marnujcie czasu, bo mamy go niewiele. Jeśli wydaje się wam, że coś powinno trafić na listę, *wpisujcie to od razu*. Nie zaznaczajcie nic, żeby do tego wrócić później. To nie jest egzamin. Pod żadnym pozorem nie wolno wam nic pisać w tych dziennikach. *Pod żadnym pozorem*. Wyrażam się jasno?

Wszyscy pokiwali głowami.

Adrian spojrział na zegarek.

– Mamy jakieś trzydzieści osiem minut i nie możemy marnować ani chwili więcej, tak że panie i panowie, do roboty. Niech każdy weźmie dwa tomy i zaczynamy.

Niestety Kennedy nie docenił trudności tego zadania. Przede wszystkim strony w żadnym z dzienników nie miały numeracji. Lucien nie uznał tego za potrzebne, teraz więc agenci i kadeci musieli liczyć kartkę po kartce, aby znaleźć stronę sto trzydziestą trzecią. Aby uniknąć poważnego błędu, wszyscy dla pewności liczyli dwukrotnie. Wówczas pojawił się pierwszy problem: czy każdą kartkę należało liczyć jako dwie strony, jak w zwykłej książce, czy jako jedną stronę?

Dyrektor śmiertelnie zbladł, kiedy usłyszał to pytanie od młodej rekrutki, zaledwie chwilę po tym, jak wzięła jeden z tomów.

Co prawda podejmowanie decyzji i branie odpowiedzialności to dla niego chleb powszedni, jednak w tym wypadku nie zamierzał tego robić samodzielnie.

– Daj mi chwilę – odparł, po czym szybko wyszedł z pomieszczenia.

Hunter nie spodziewał się telefonu od Adriana tak szybko. Minęło niecałe osiem minut od ich poprzedniej rozmowy. Detektyw również zapomniał, że strony nie były numerowane. Kiedy dyrektor przedstawił mu ten problem, Robert spróbował wczuć się w rolę mordercy.

Lucien to podstępny sukinsyn, bez dwóch zdań. Musiał zatem rozważyć możliwość, że zastawił tutaj na nich pułapkę i wbrew rozsądkowi nie należało traktować dzienników jak zwykłej książki i nie liczyć stron pojedynczo, tylko jako kartki. Robert nie widział jednak sensu w tym, żeby miał jeszcze bardziej utrudniać im już i tak niezwykle skomplikowane zadanie. Stwierdził, że jeśli Folter zamierza ich wykiwać, zrobi to w kolejnej zagadce, a nie na samym starcie, ponieważ będzie chciał przeciągać grę możliwie jak najdłużej. To żadna przyjemność, jeśli stróża prawa wyłożą się przy pierwszym zadaniu. Lucien na pewno zamierza doprowadzić rozgrywkę do końca, aby Hunter zmierzył się z jego łamigłówką. Dopiero wtedy zacznie się zabawa – przynajmniej dla mordercy.

– Liczcie każdą kartkę jako dwie strony – rzucił Kennedy, kiedy wszedł z powrotem do biblioteki.

Minęło już trzydzieści jeden minut od rozpoczęcia zadania, co oznaczało, że dyrektor ma jeszcze siedem minut, zanim będzie musiał zadzwonić do Huntera i przedstawić mu wyniki poszukiwań. Sam dopiero zbliżał się do końca swojej drugiej strony. Jego lista składała się z trzech pozycji. Pierwsze było słowo „serce”, co do którego miał wątpliwości, jednak mogło oznaczać, że Lucien planuje wyciąć kolejnej ofierze serce. Następne to słowa „śmiertelny” i „szok” – występowały w jednym zdaniu, ale nie obok siebie. Nikt nie wiedział dokładnie, czego szukać, Adrian postanowił więc zapisać je jako „śmiertelny szok”. Ostatnim hasłem była „jotka”.

– Panie dyrektorze – przerwał mu agent stojący przy jego biurku. Mężczyzna ścisnął w dłoniach jeden z dzienników, palcem wskazującym przytrzymał kartki w odpowiednim miejscu. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale natrafiłem na fragment, od którego przeszedł mnie dreszcz. Pomyślałem, że może pan chcieć od razu to zobaczyć.

– Co tam jest?

– Tutaj. – Agent położył przed nim wolumin i wskazał jedenastą linijkę od dołu. – Tu się zaczyna.

Adrian pochylił się nad tekstem i przeczytał ten fragment. Kiedy skończył, poczuł, jak w jego wnętrznościach otwiera się bezdenna otchłań.

– Ja pierdolę!

## Trzydzieści jeden

Lucien skończył rozmawiać z Hunterem, schował telefon do kieszeni i spokojnie ruszył do 7th Street Metro Center Station, znajdującej się zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie stał. Przebył ten dystans w jakieś czterdzieści sekund, po tym czasie usłyszał odległe dźwięki syren nadjeżdżających radiowozów. Spodziewał się tego.

Dzwonił z anonimowej komórki na kartę bez technologii GPS, ale namierzenie sygnału metodą triangulacji pozostawało możliwe. Służby dadzą radę go w ten sposób zlokalizować, o ile połączenie potrwa wystarczająco długo – a on chciał, żeby tak się stało. Bez wątpienia telefon Huntera był na podsłuchu. Chętnie by postał i popatrzył na policjantów, agentów FBI oraz szeryfów federalnych krążących po skrzyżowaniu South Flower Street i Wilshire Boulevard i szukających ducha. To z pewnością widok warty zobaczenia, ale niestety musiał już lecieć. Miał harmonogram, którego należało się trzymać.

Czekał niecałe trzydzieści sekund na dość zatłoczonej stacji, aż przyjedzie następny pociąg. Wykorzystał ten czas, aby przejść na sam koniec peronu, gdzie tłum pasażerów wyraźnie zrzędł. Skład przyjechał prawie całkowicie pełny, co nie stanowiło żadnego zaskoczenia. W wagonie, do którego wsiadł Folter, zostały jedynie dwa wolne miejsca. Starszy mężczyzna wsiadający razem z nim wybrał siedzenie najbliżej drzwi. Drugie zajął Lucien, wciskając się pomiędzy matkę z czteroletnim dzieckiem na kolanach a hipstera o krzaczastej brodzie, z fryzurą w stylu pompadour. We włosy wtarł tyle wosku, że wystarczyłoby na wykonanie świecy.

Morderca położył plecak na ziemi, ściskając go stopami. Jak tylko drzwi się zamknęły i pociąg ruszył, poprawił okulary na nosie i usiadł wygodnie, rozglądając się w tłumie. Uwielbiał obserwować ludzi. Ich zwyczaje, mimika twarzy i gesty potrafiły mu powiedzieć bardzo dużo. Im więcej obserwował, tym więcej informacji wychwytywał.



Dziecko wierciło się na kolanach kobiety siedzącej po prawej stronie Luciena. Zerknął na nie przelotnie, po czym przyjrzał się jego matce. Była młoda, miała jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia parę lat, charakterystyczną twarz, którą nie każdy uznałby za atrakcyjną. On sam nie potrafił zdecydować, czy uważa ją za ładną, czy nie. Rozstaw jej oczu wydawał się nieco zbyt szeroki, ale ich zielony kolor po prostu oszałamiał.

Maluch znowu zaczął się wiercić, więc kobieta położyła mu dłoń na ramieniu, próbując go nieco pohamować. Mocno pozdzierany lakier nie ukrywał kiepskiego stanu jej paznokci. Dłonie miała nieco zbyt blade, co bez wątpienia wskazywało na dietę ubogą w żelazo, przez co znalazła się na krawędzi anemii. Widział drobną opuchliznę pod jej oczami, zapewne spowodowaną nie chorobą, lecz brakiem snu i niewystarczającą ilością światła słonecznego. Jako samotna matka – kobieta nie miała obrączki – prawdopodobnie musiała pracować na dwa etaty, aby związać koniec z końcem, większość pieniędzy wydawała zaś na dziecko. Domyślił się tego, ponieważ na jej nogach zobaczył najbardziej tandetne balerinki, jakie miał okazję kiedykolwiek oglądać. Wydawało się, że w każdej chwili mogą się rozlecieć. Dla odmiany dziecko nosiło nowe buty firmy Nike.

Folter zwrócił następnie uwagę na starszego mężczyznę, z którym wsiadł do wagonu. Wyglądał na sześćdziesiąt parę albo siedemdziesiąt lat, miał spokojną twarz, która zdawała się złożona wyłącznie z naczyń krwionośnych. Bruzdy na jego czole i wokół oczu stały się bardzo głębokie, bez wątpienia przez długie przebywanie na słońcu. Jego dłonie były jeszcze bardziej pomarszczone, widniały na nich również plamy wątrobowe. Palce przypominały małe kielbaski. Kłykie stały się guzowate, a paznokcie łamliwe. Lucien nie musiał z nim rozmawiać, żeby wiedzieć, iż mężczyzna spędził większą część życia, pracując fizycznie i prawdopodobnie właśnie dlatego nabawił się zwyrodnień i stanu zapalnego stawów. Obie te przypadłości powodowały duży ból i ograniczały możliwości poruszania dłonią.

Morderca uśmiechnął się w duchu. Co za niezwykły zbieg okoliczności. Kto mógłby przewidzieć, że w jednym wagonie znajdzie dwa różne typy ofiar, których nadal brakowało w jego badaniach? Dlatego właśnie kochał wielkie miasta.

Pociąg zaczął zwalniać, ponieważ zbliżali się do kolejnej stacji. Folter odwrócił się, aby spojrzeć na mapę linii metra na ścianie, bezpośrednio nad jego głową. Dojeżdżali do Pershing Square Station. Usiadł wygodnie i obserwował.

Kiedy drzwi się otworzyły, starszy mężczyzna wstał i powoli wyszedł. Robił drobne kroczki, idąc mocno pochylony. Artretyzm nie zaatakował wyłącznie dłoni.

Dziecko na kolanach kobiety obok znowu zaczęło się wiercić, Lucien pomyślał zatem, że oni również opuszczą wagon, ale się pomylił.

*Decyzje, decyzje, powiedział w myślach. Zostać czy wysiąść?*

Rozejrzał się dookoła. Wówczas niespodziewanie oczy jego i matki malucha po prawej w końcu się spotkały. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, ale szczerze.

Decyzja została podjęta.

Został w pociągu.

## Trzydzieści dwa

Garcia wcale nie poszedł szukać kawiarni. Zamiast tego udał się do stołówki na komendzie i usiadł sam przy stoliku w najdalszym rogu. Patrzył przez okno i próbował o niczym nie myśleć. Tak naprawdę chciał tylko uciec jak najdalej od tego, co działo się w jego biurze. Wiedział, że Hunter ma rację: Lucien zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Ich frustrację, poczucie bezsilności, konieczność czekania, presję psychiczną... Nie mogli zrobić absolutnie nic, poza siedzeniem na tyłkach i czekaniem, oraz modleniem się, by Kennedy i jego zespół odnaleźli właściwą odpowiedź. Spekulowanie na temat wszystkich znaków zapytania, możliwych scenariuszy i roztrząsanie powodów nie miało żadnego sensu. Wręcz przeciwnie, doprowadziłoby ich tylko do jeszcze większej frustracji, a akurat bez tego mogli się obyć.

Czystym przypadkiem Carlos wszedł do biura na chwilę przed tym, jak zadzwonił telefon Roberta.

West i Holbrook nadal byli w pomieszczeniu.

Tyler usiadł za biurkiem Garcii, Peter zaś stał przy oknie i pisał coś szaleńczo na swojej komórce.

Detektyw spojrzał na szeryfa federalnego.

– Wygodnie? – zapytał sarkastycznie.

– Niezbyt – odparował mężczyzna, przeciągając się. – Musisz sobie kupić porządniejsze krzesło, chłopie, chociaż to i tak jest lepsze od tych rozkładanych, jakie serwujecie gościom.

Zanim Carlos zdołał odpowiedzieć, na biurku Huntera rozdzwonił się telefon. Uwaga wszystkich skupiła się na nim, a dookoła zapadła grobowa cisza.

West natychmiast się poderwał.

Peter przestał pisać.

Robert spojrzał na wyświetlacz: „numer nieznany”. Sprawdził godzinę na zegarze ściennym i zamarł. Nadal mieli jeszcze czternaście i pół minuty do końca

terminu, jaki wyznaczył im morderca. Detektyw uniósł palec do góry, każąc wszystkim czekać, a następnie odebrał połączenie i włączył głośnik.

– Halo.

– Robert, tu Adrian.

Cała czwórka odetchnęła z ulgą.

– Skąd dzwonicz? Mój telefon nie rozpoznał tego numeru.

– Nie mógł. Jest zastrzeżony. Korzystam z linii naziemnej w bibliotece.

– W porządku – rzucił Hunter, jednak na jego twarzy nadal malował się niepokój. Kennedy skontaktował się o cztery i pół minuty za szybko. – Masz już listę?

– Zapomnij o niej. – Głośnik komórki był maleńki, ale zachrypnięty głos dyrektora i tak zadudnił w pomieszczeniu.

– Zapomnij o niej? Dlaczego? – krzyknął Tyler, podchodząc bliżej.

Pozostała trójka, łącznie z Holbrookiem, spojrzała na niego ostro.

– Kto to, do cholery, jest? – zapytał Adrian. On również nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

– Szeryf federalny Tyler West – przedstawił się mężczyzna, zupełnie niezrażony. – Jak pan wie, prowadzę tę operację. No więc? Dlaczego mamy zapomnieć o liście? Co pan znalazł?

– Robert, miałeś rację, mówiąc, żebyśmy liczyli każdą kartkę jako dwie strony, jak w zwykłej książce – zaczął wyjaśniać dyrektor NCAVC. Wyraźnie dał do zrozumienia, z kim woli rozmawiać. – Robiliśmy co w naszej mocy, na oślep próbując znaleźć hasła do tej absurdalnej listy, aż w końcu przed chwilą jeden z moich ludzi trafił na bardzo specyficzne zdanie na końcu strony sto trzydziestej trzeciej. – Odchrząknął. – To musi być to.

– W porządku – rzucił Robert, nie dając Westowi sposobności wtrącenia się. – Słuchamy. Co to jest?

– Przeczytam ci ten fragment, żebyś lepiej zrozumiał, co mnie martwi.

Nastąpiła krótka przerwa, a następnie Kennedy głęboko zaczerpnął powietrza.

– *Po tylu latach mogę w końcu powiedzieć, że moje badania nauczyły mnie wiele o umyśle psychopaty, a mówiąc dokładniej, o tych, których nazywamy „seryjnymi mordercami”. Wzloty, upadki, obojętność, pożądanie – lista jest długa i złożona, ale nadal*

*są pewne... sfery tabu, których jeszcze nie sprawdziłem, do jednej z nich zwyczajnie nie miałem wcześniej materiałów. Dzisiaj jednak udało mi się nabyć coś, czego szukałem od dłuższego czasu. Coś, dzięki czemu mogę przekroczyć granicę i przejść do zupełnie innego wymiaru... zupełnie innego sposobu myślenia. – To nie koniec – zastrzegł Adrian, po czym przeczytał ostatnie zdanie. – Dzisiaj w moim posiadaniu znalazł się kilogram, a może nawet nieco więcej, C4.*

## Trzydzieści trzy

W północno-wschodniej części centrum Los Angeles, pomiędzy Little Tokyo a Chinatown, mieściła się Union Station – największy kolejowy terminal w zachodniej części USA, obsługujący średnio sto dziesięć tysięcy pasażerów każdego dnia. Stacja była równie piękna pod względem architektonicznym, co wielka: stropy w głównej hali znajdowały się na wysokości ponad osiemnastu metrów, wykonano je z litej stali, ale wyglądały jak drewniane. Podłogi z terakoty ożywiały biegnący przez środek fascynujący pas marmuru i trawertynu. Podróżni w majestatycznej poczekalni mogli skorzystać z dwóch ogródków, gdzie kafelki tworzyły klasyczny wzór wykorzystywany przez Indian Navaho. Niestety większość ludzi przemierzała te przestrzenie w wielkim pośpiechu, przez co nie doceniali otaczającego ich piękna.

Lucien musiał przejechać trzy stacje metra, aby dotrzeć do Union Station z miejsca, gdzie skończył rozmawiać z Hunterem. Z dworca dało się pojechać w niemalże każdym kierunku. Mógł przesiąść się na inną linię metra i udać do dowolnego miejsca w Los Angeles: od San Fernando Valley do Pasadeny lub od East Los Angeles do Long Beach i South Bay.

W poczekalni usiadł w jednym z ogródków i studiował cyfrowy rozkład jazdy metra. Obserwował również innych pasażerów, którzy gnali gdzieś w pośpiechu. Na pierwszy rzut oka można uznać, że na stacji panował chaos, ale Lucien poczuł tutaj zaskakujący spokój.

Dwie ławki od niego siedział starszy mężczyzna z dwoma wnukami i wnuczką. Dziewczyna wyglądała na jakieś szesnaście lat, chłopcy – bliźniacy – byli od niej rok lub dwa młodszy, w ich twarzach dało się dostrzec podobieństwo do dziadka. Staruszek miał ponad siedemdziesiąt lat. Był całkowicie łysy, miał krzaczaste brwi i oczy o łagodnym spojrzeniu, ukryte za grubymi szklami. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, dłonie zaś trzymał na kolanach. Wnuki zajęły miejsca naprzeciwko niego – nie dlatego, że by się nie zmieściły, widocznie nie chciały siedzieć obok.

Cała trójka trzymała w dłoniach smartfony. Dziewczynę najwidoczniej interesowało wyłącznie jedno: robienie selfie pod wszelkimi możliwymi kątami, a następnie zamieszczanie ich w mediach społecznościowych.

Jeden z bliźniaków ułożył swój telefon poziomo i obracał nim na boki, jakby kręcił kierownicą – bez wątpienia pochłaniała go jakaś gra wyścigowa. Drugi chłopak tylko oglądał zdjęcia, a przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy Luciena. Wpatrywał się w czyjąś fotkę przez kilka chwil, po czym kiwał głową z uznaniem albo się krzywił i kciukiem przesuwiał coś po ekranie w prawo lub w lewo.

Co jakiś czas staruszek próbował wejść w interakcję z wnukami: zadawał pytanie, które zazwyczaj pozostawało bez odpowiedzi, albo mówił coś, co w najlepszym wypadku było komentowane skinieniem lub kręceniem głowy. Chwilami, kiedy jedno z nich się uśmiechało, mężczyzna odpowiadał tym samym, po prostu starając się nawiązać jakąś więź, ale żadne z nich nawet na niego nie patrzyło. Wówczas spojrzenie jego smutnych oczu ponownie kierowało się w stronę trzymanyh na kolanach dłoni i czekał tak przez minutę czy dwie, po czym kolejny raz zagadywał nastolatków, wyłącznie po to, aby ci znowu go zignorowali. Kiedy okazywał zainteresowanie tym, co wnuki robiły na telefonach, zwyczajnie się odsuwały i zabierały ekrany z zasięgu jego wzroku.

*Nie, dziadku, nie masz tu czego szukać.*

Cała ta scena była jednocześnie fascynująca i przeraźliwie smutna.

*Macie tylko jedno życie, zwrócił się do nich w swoich myślach Folter. Tak że proszę bardzo, spędzajcie dwanaście godzin dziennie przyssani do ekranu, szukając akceptacji ludzi, których ledwie znacie, no i oczywiście nie zapomnijcie olać tych paru osób, którym naprawdę zależy na was i na waszej żalosalnej egzystencji.*

Obserwował tę czwórkę mniej więcej piętnaście minut. To doświadczenie napełniło go znajomym uczuciem – chęcią dania dzieciakom ważnej lekcji na temat wartości w życiu... albo raczej ich braku. Kiedy te myśli zaczęły nabierać kształtu, kątem oka zauważył rozkład jazdy. Oglądanie smutnej rodzinnej sceny tak go pochłoneło, że zapomniał sprawdzać elektroniczną tablicę. Pociąg, na który czekał, odjedzie z peronu położonego na drugim końcu stacji za niecałe dwie minuty.

Lucien złapał plecak i poderwał się na nogi. Zrzędzeniem losu jeden z wnuków staruszka – ten oglądający zdjęcia w internecie – również wstał. Chłopak skierował się w stronę toalety, nadal wpatrując się w smartfon. Morderca przyglądał mu się przez kilka sekund, to wystarczyło, aby doświadczył dobrze znanego doznania. Zupełnie jakby niewidoczne zło go objęło. Przez jego ciało przetoczył się szept, zatruwający wszystko jak toksyna, zabierający go do pewnego miejsca, gdzie wszystko spowijała czerń.

Ponownie zerknął na tablicę – do odjazdu została minuta i dwadzieścia sekund. Spojrzał na chłopaka znikającego w łazience.

Doznanie jeszcze się wzmogło... miejsce, gdzie się znalazł, mroczniało coraz bardziej.

Jedna minuta.

Decyzje, decyzje.



## Trzydzieści cztery

Nikogo nie powinno zaskoczyć, że ostatnie słowa dyrektora Kennedy'ego wypowiedziane przez telefon sprawiły, że po całym biurze Huntera rozeszły się fale strachu, krążące w powietrzu niczym wściekłe stado nietoperzy.

C4 to rodzaj plastycznego materiału wybuchowego, często wykorzystywany przez armię USA. Mówi się o nim „plastyczny materiał wybuchowy”, ponieważ składa się z połączenia masy plastycznej i materiałów wybuchowych. Płyną z tego dwie korzyści: po pierwsze, owa masa otacza materiał wybuchowy i czyni go znacznie mniej podatnym na wstrząsy czy ciepło, dzięki czemu jest o wiele bezpieczniejszy w użyciu. Można go upuścić, kopnąć, uderzyć, rzucić, zmiażdżyć, przestrzelić, a nawet wsadzić do mikrofalówki, a i tak nie dojdzie do eksplozji, którą wywołać może jedynie fala uderzeniowa płynąca z detonatora. Drugą korzyścią jest to, że materiał wybuchowy staje się niezwykle plastyczny, podobny do gliny, zatem można mu nadać dowolny kształt, aby zmienić kierunek wybuchu.

Oczy Tylera Westa o mało nie wyszły z orbit, kiedy usłyszał, że Lucien może posiadać tę substancję. Jako były żołnierz piechoty morskiej doskonale wiedział, jakie zniszczenia jest w stanie spowodować.

– Powiedziałeś: C4? – zapytał, nachylając się nad prawym ramieniem Roberta. – Plastyczny materiał wybuchowy C4?

– Tak właśnie napisał w swoim dzienniku.

– Jak, do cholery, udało mu się go zdobyć? To sprzęt wojskowy.

– Po pierwsze, co za różnica, jak to zdobył? – odparował Garcia. – Ważne jest tylko, że to ma. Poza tym jesteśmy w USA, kraju, gdzie jak dobrze posmarujesz, to załatwisz, co trzeba. Jeśli masz dość forsy i odpowiednie kontakty, możesz kupić dosłownie wszystko, co chcesz.

– Boże, błogosław Amerykę – skomentował Holbrook.

– To musi być to, prawda, Robert? – zapytał Adrian. – To jest ta ścieżka, której jeszcze nie zbadał. Mówił o masowym morderstwie. Zamierza zbudować bombę.

Detektyw zamknął oczy i opuścił głowę, brodą niemalże dotykał piersi.

– Tak – odpowiedział w końcu. – To musi być to. Chciał, żebyśmy znaleźli ten fragment.

– Jest pan pewien, że ten fragment pochodzi ze sto trzydziestej trzeciej strony? – zapytał West. Każde kolejne słowo potęgowało jego wzburzenie.

– Całkowicie. Sam je policzyłem.

– Kurwa! – Szeryf dosłownie kipiał z wściekłości.

– Jaki mamy plan? – spytał Kennedy.

– Plan jest taki, że musimy postawić na nogi wszystkie możliwe oddziały saperów – rzucił West.

Hunter uniósł dłoń, żeby go uciszyć.

– Adrian, nie mamy jeszcze planu, ponieważ nie wiemy, co zamierza Lucien. Teraz możemy tylko czekać, aż zadzwoni i zada nam zagadkę. Nikt nie wie, czego ona może dotyczyć.

– Rozumiem. Informuj mnie na bieżąco. Daj znać, jakbyś potrzebował czegoś od FBI.

– Zadzwonię do ciebie zaraz po rozmowie z Folterem – odparł Robert, po czym zerknął na zegarek. – Czyli za jakieś dziesięć minut.

– Będę czekał – oznajmił dyrektor NCAVC i się rozłączył.

– Nieważne, co się stanie, musimy powiadomić wszystkie oddziały saperów, niech będą w gotowości – upierał się Tyler. – Byłem żołnierzem, zanim zostałem szeryfem federalnym. Wiesz, jakie zniszczenia może spowodować kilogram C4?

– Zależy, do czego zostanie przymocowany.

West zmarszczył brwi.

– Słucham? Jak to „zależy, do czego zostanie przymocowany”?

Garcia starał się ukryć uśmiech, który powoli wypełzał mu na usta. *Och, zaraz czeka cię wykład*, pomyślał.

Hunter zrobił głęboki wdech.

– Po detonacji C4 uwalnia energię dwukrotnie. Pierwsza fala skierowana jest na zewnątrz z prędkością nieco ponad ośmiu tysięcy metrów na sekundę. To jakieś siedem razy szybciej niż pocisk wystrzelony z pistoletu o kalibrze dziewięciu milimetrów. Druga fala, poruszająca się z praktycznie identyczną prędkością, jest

skierowana do wewnątrz, ku epicentrum. To oznacza, że sam ładunek zrobi wielkie bum, ale nie spowoduje dużych zniszczeń, o ile nie będzie go bardzo dużo. Przykładowo pół kilograma tego materiału wywali drzwi do taniego sejfów albo wybije w betonowej ścianie dziurę średnicy piłki bejsbolowej. Jeśli jednak dodamy do tego tłuczone szkło, gwoździe, metalowe nakrętki czy cokolwiek podobnego i stworzymy dzięki temu bombę, eksplozja przemieni to wszystko w pociski frunące z niebywałą prędkością, posyłając je daleko we wszystkich kierunkach. W zamkniętym pomieszczeniu pełnym ludzi nikt nie byłby bezpieczny w promieniu piętnastu metrów. Zapewne nikt by nie przeżył.

Tyler nadal wpatrywał się w detektywa. Teraz na jego twarzy malowało się zdumienie.

– Jeśli dodamy na przykład... cztery litry łatwopalnego płynu... Podczas wybuchu C4 szybko się rozpada i uwalnia azot oraz tlenek węgla, które są niebywale łatwopalne, w dodatku przemieszczają się z prędkością większą od prędkości dźwięku, zatem eksplozja podwoi siłę detonacji. Skoro w naszym równaniu pojawił się ogień, uzyskamy dzięki niemu niezwykle potężny wielokierunkowy miotacz płomieni. Wszyscy w promieniu piętnastu metrów zostaną podpaleni. – Spojrzał w oczy szeryfowi federalnemu. – Tak że jak już mówiłem, wszystko zależy od tego, do czego zostanie przymocowane.

West zamrugał.

– Dużo czytam – wyjaśnił Hunter, widząc niepewne spojrzenie mężczyzny.

West zamrugał jeszcze raz.

– I zapamiętuję wiele z tego, co przeczytam.

– Co ty powiesz?

– Masz jednak rację, żeby poinformować saperów. Jeśli Lucien planuje wykorzystać C4, muszą być gotowi do natychmiastowego działania.

– Załatwię to – rzucił szeryf federalny, westchnąwszy ciężko. – Ile mamy czasu do telefonu Foltera?

– Około siedmiu minut.

## Trzydzieści pięć

Na Union Station Folter pognął w dół po ruchomych schodach, dobiegł do wagonu metra i wskoczył do środka na chwilę przed tym, jak drzwi się zamknęły. Stał tak przez jakiś czas z plecakiem przewieszonym przez prawe ramię i łapał oddech. Patrzył, jak peron powoli zostaje z tyłu. Nadal myślał o staruszkę, jego wnukach i o tym, że chłopak, który poszedł do łazienki, nigdy nie dowie się, jak ogromne miał szczęście.

*Bądź wdzięczny losowi, dzieciaku, pomyślał. Właśnie uratował cię rozkład jazdy.*

Początkowo próbował się oszukiwać, dlaczego scena w poczekalni w ten sposób na niego wpłynęła, ale w głębi duszy doskonale znał prawdziwy powód. Starszy mężczyzna przypominał mu jego dziadka – jedyną bliską osobę, z którą Lucien się dogadywał.

Urodził się w bogatej rodzinie. Jego ojciec, Charles Folter, prowadził własną kancelarię adwokacką i odnosił znaczące sukcesy. Matka, Mary-Ann Folter, była córką jednego z najzamożniejszych farmerów w Wyoming. Mimo pieniędzy i luksusu, który go otaczał, Lucien zdecydowanie nie miał szczęśliwego dzieciństwa.

Ojca nie interesowało życie rodzinne, niemal cały swój czas poświęcał na pracę – tak przynajmniej mówił. Dotyczyło to również weekendów. Wychodził z domu bardzo wcześnie, zanim jego syn w ogóle się obudził, a wracał późno, gdy ten już spał. O ile w ogóle wracał tego samego dnia, co wcale nie zdarzało się tak często. Dziecko czasem całymi tygodniami go nie widziało.

Kiedyś Lucien zapytał matkę, dlaczego prawie nigdy nie ma go w domu.

– Ponieważ twój tata jest bardzo ważnym człowiekiem, który ma bardzo ważną pracę, kochanie – odpowiedziała. Dla niego stało się wówczas jasne, że ani on, ani jego mama nie są tak ważni, jak praca. Poczuł się wówczas tak bezwartościowy, że już nigdy nie zapomniał tamtej chwili. Miał jednak mamę... Przynajmniej przez jakiś czas.

We wczesnych wspomnieniach widział ją jako niezwykle atrakcyjną, szczęśliwą i troskliwą kobietę, która zrobiłaby wszystko dla rodziny. Jednak i ona po pewnym czasie zaczęła się zmieniać.

Mary-Ann Folter kochała życie, czuła niesamowitą dumę ze swojego wyglądu, lubiła zajmować się domem i ogrodem i uwielbiała spędzać czas z synem, jednak nagle, kiedy ten powoli stawał się nastolatkiem, zaczęła dużo pić. Alkohol wydobywał z niej zupełnie inną osobę. Wahania nastroju i gwałtowne, głośne krzyki stały się normą. Stopniowo przestawała się interesować wszystkim, co wcześniej sprawiało jej radość. Coraz więcej czasu spędzała zamknięta we własnej sypialni, z której wychodziła, kiedy myślała, że Lucien nie ma w domu. Jeśli już wynurzyła się z pokoju, przedstawiała obraz nędzy i rozpacz: miała głębokie worki pod oczami, pokrytą plamami skórę, włosy w nieładzie i brudne, nieprane ubrania. Zaczęła również chodzić do lekarzy i zażywać leki na receptę, po których stawała się otępiała, obojętna i apatyczna.

Początkowo chłopak nie rozumiał, co się stało. Jakim cudem ktoś tak pełny życia, tak piękny i oddany rodzinie nagle może pograć się w takim bagnie?

Jak na ironię, rozwiązanie zagadki poznał w pewien piątek trzynastego. Miał wtedy szesnaście lat.

Być może dziwna sytuacja rodzinna doprowadziła do tego, że stał się samotnym introwertykiem, a być może sprawił to fakt, że rówieśnicy nie potrafili dorównać mu intelektem i zwyczajnie go nudzili. Tak czy siak, Lucien nie miał zbyt wielu przyjaciół. Prawdę mówiąc, przez wiele lat nie miał ani jednego, ale jakoś mu to nigdy nie przeszkadzało. Lubił być sam. W ten sposób nie musiał użerać się z głupotą innych.

Tamtego dnia wyszedł ze szkoły późno i udał się na 14th Avenue Parkway do muzeum sztuki, które wówczas wyjątkowo było otwarte do północy, gdyż na jego siódmym piętrze znajdowała się niezwykła wystawa fotograficzna. Jej tytuł brzmiał: *Horror w prawdziwym życiu (czyli wszystko, czego nie zobaczysz w filmie)*. Przedstawiała ponad siedemset prawdziwych zdjęć z miejsc zbrodni – zbiór został wypożyczony przez FBI. Za żadne skarby świata nie przepuściłby takiej okazji.

Oczywiście wstęp miały wyłącznie osoby pełnoletnie, ale Lucien chodził do tego muzeum przynajmniej dwa razy w tygodniu, po szkole, i zwiedzał je godzinami. Znał większość pracowników, łącznie z ochroniarzami, toteż za niewielką łapówkę jeden z nich przytknął oko i pozwolił młodzieńcowi się przekraść.

Wystawa okazała się co najmniej niepokojąca. Większość zdjęć można by określić jako traumatyczne, zwłaszcza dla szesnastolatka, ale jego fascynacja śmiercią rozpoczęła się znacznie wcześniej, przed trzynastymi urodzinami. To był jeden z tych rzadkich momentów, kiedy ojciec spędzał z nim czas. Zabrał go wtedy na polowanie w górach w Kolorado. Początkowo chłopak nie sądził, że będzie czerpać z tego przyjemność. Zabijanie niewinnych zwierząt dla czystej zabawy i próżności mu się nie podobało, ale było coś w czekaniu, tropieniu i wpatrywaniu się w oczy ofiary tuż przed odebraniem jej życia, co po prostu go urzekało. Wtedy właśnie zrozumiał, że w śmierci jest coś, co pozwala mu się czuć... potężnym.

Na wystawie oglądał zdjęcia niemal do samego zamknięcia. Przyglądał się każdemu ujęciu: im bardziej było makabryczne, tym większą czuł ekscytację. Po wyjściu był tak nabuzowany emocjami, że nie chciał wracać do domu, zamiast tego wybrał się na spacer.

Nie miał w głowie żadnego celu, po prostu szedł przed siebie. Nagle na skrzyżowaniu California Street i 15th zobaczył, jak jego ojciec wychodzi z niewielkiej restauracji. Problem w tym, że nie był sam: szedł pod rękę z wysoką, młodą i niezwykle atrakcyjną blondynką.

Chłopak poczuł się tak, jakby ktoś go postrzelił w serce. Nogi się pod nim ugięły, musiał przytrzymać się ściany, aby nie upaść.

Przed lokalem zatrzymała się taksówka, jego ojciec i piękna kobieta wsiedli do środka, ale najpierw się pocałowali... bardzo namiętnie. Lucien nigdy nie widział, aby jego rodzice całowali się w ten sposób.

Właśnie wtedy, na tamtym skrzyżowaniu, zrozumiał, dlaczego jego matka tak nagle się zmieniła. Dlaczego tyle piła. Dlaczego zażywała leki. Dlaczego miała taką depresję. Ona wiedziała. Na pewno wiedziała, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła się zmusić, aby odejść od męża.

Lucien nigdy nie rozmawiał o tym z ojcem.

Matka zmarła na marskość wątroby w tym samym roku, w którym on został przyjęty na Uniwersytet Stanforda. Rok później ojciec dostał zawału, kiedy siedział w swoim biurze na najwyższym piętrze kancelarii. Nie przeżył.

Dziadek ze strony matki odwiedzał ich często, kiedy Lucien był młodszy. Uwielbiał swojego wnuka – z wzajemnością. Niestety on również zmarł, kilka miesięcy po swojej córce.

Staruszek z poczekalni na Union Station przypominał go Folterowi. Być może chodziło o jego łagodne oczy widoczne zza grubych szkieł, a może o to, jak patrzył na swoje wnuki.

Metro zaczęło zwalniać przed kolejną stacją: Little Tokyo/Arts District. Tutaj Lucien wysiadał. Nie chciał się zbyt oddalić od Union Station. To stanowiło część jego planu.

Wysiadł z wagonu i spojrział na zegarek: za dwie minuty ma zadzwonić do Huntera.

Zaraz zacznie się prawdziwa zabawa.

## Trzydzieści sześć

W biurze Huntera i Garcii od pięciu minut panowała całkowita cisza. Przez ten czas prawie nikt się nawet nie poruszył. Atmosfera była tak napięta, że samo oddychanie zdawało się sprawiać trudności.

Obaj detektywi siedzieli przy swoich biurkach i wpatrywali się w monitory, chociaż myślami znajdowali się bardzo daleko.

Tyler West stał przy oknie i patrzył na ulicę w dole. Oddałby wiele za to, aby móc zapalić, ale nie odważyłby się teraz wyjść na dwór – musi zaczekać, aż skończą rozmawiać z mordercą.

Peter Holbrook siedział z założonymi rękami przy ekspresie do kawy, wbił wzrok w podłogę i się zadumał.

Robert zerknął na leżącą na biurku komórkę. Cyfrowy zegar na wyświetlaczu pokazywał, że zostały niecałe dwie minuty do końca terminu wyznaczonego przez Luciena. Postawił łokcie na blacie, splótł palce i oparł brodę na kłykciach. Czekanie doprowadzało go do szału.

West również spojrział na zegarek.

Nagle, bez pukania, do pomieszczenia wparowała kapitan Blake.

– Dzwonił już? – zapytała ze zdenerwowaniem.

– Nie, jeszcze nie – odpowiedział Hunter. – Powinien się odezwać za... czterdzieści trzy sekundy.

Barbara nie wiedziała nic na temat C4.

– Dostałeś listę od Kennedy'ego? – dopytywała. – Masz jakiś pomysł, o co mu chodziło, kiedy mówił o „ścieżkach”? Uzgodniliście wspólnie odpowiedź?

Tyler parsknął śmiechem.

– Tak, myślę, że wiemy, o co mu chodziło.

Pani kapitan czekała parę sekund w milczeniu, ale nie usłyszała dalszych wyjaśnień.



– To jaka jest ta odpowiedź? – naciskała.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, telefon Roberta zaczął dzwonić. Wszyscy niespokojnie zerkali w jego kierunku.

Numer nieznany.

Lucien zadzwonił dokładnie o czasie. Ani sekundy za późno, ani sekundy za wcześnie.

Detektyw dał znak pozostałym, aby zachowali ciszę, po czym odebrał połączenie i szybko włączył aplikację nagrywającą rozmowę.

Wszyscy podeszli bliżej i otoczyli jego biurko.

– Witaj, Świerszczu. – Z małych głośników telefonu rozległ się wyraźny głos mordercy. – Twoje sześćdziesiąt minut dobiegło końca. Masz dla mnie odpowiedź? – Robert usłyszał nutkę wesołości w jego tonie. Bez wątpienia świetnie się bawił. – Czego brakuje w moich badaniach? Jakiej mrocznej ścieżki jeszcze nie sprawdziłem?

– Lucien, nie musisz tego robić. Jeśli masz ze mną jakieś rachunki do wyrównania, to je wyrównajmy. Nie musisz...

– Czego nie muszę? – przerwał mu w pół słowa. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, więc nie mam pojęcia, o czym mówisz. Czego nie muszę? Proszę, powiedz mi, chciałbym to usłyszeć.

Zgodnie z przypuszczeniami Huntera Folter zamierzał bawić się w psychologiczne gierki i przy każdej możliwej okazji udowodniać detektywowi swoją wyższość. Nie było innego wyjścia: musiał postępować według jego zasad.

– Zabijać więcej ludzi – odrzekł. – W jakikolwiek sposób. – Mówił spokojnie, bez żadnej agresji w głosie. – Nie musisz tego robić. Chcesz wyrównać rachunki, proszę bardzo... ty i ja... nie musimy w to nikogo mieszać. Powiesz gdzie i kiedy, a ja tam pójdę. Bez wsparcia. Bez żadnych sztuczek. Obiecuję.

Od razu po wypowiedzeniu tych słów wyciągnął dłoń do Westa, uciszając go. Wiedział doskonale, że szeryf federalny nigdy nie zgodziłby się na takie prywatne spotkanie z mordercą. Gdy Tyler spojrział w oczy detektywa, ten bezgłośnie powiedział: „Chcę, żeby mówił”.

West uniósł ręce w geście kapitulacji, ale Robert widział, że mężczyzna znowu zaczyna się nakręcać.

– Oczywiście, że muszę to robić – odpowiedział Lucien. – Na tym właśnie opiera się moje życie: na badaniu umysłu psychopatów.

– O, cudownie jest usłyszeć coś takiego z jego ust – wyszeptał szeryf. W odpowiedzi Hunter uciszył go gestem.

– Żyję tym od chwili, kiedy ten pomysł zrodził się w mojej głowie. Niestety, jak doskonale wiesz, moje badania zostały gwałtownie przerwane jakieś trzy i pół roku temu, ale teraz można je wznowić, co też zamierzam uczynić. Szukałeś strony sto trzydziestej trzeciej? – Przemyślał ostatnie słowa i postanowił je skorygować. – To znaczy nie osobiście, bo w końcu moje dzieło nie leży w twoim biurze, ale wiesz, o co mi chodzi, prawda? Sprawileś, żeby ten kutas Kennedy i jego banda podlizujących się przydupasów poszukali tego dla ciebie?

Wszyscy, poza Robertem, spojrzeli na agenta specjalnego Holbrooka, który nie wyglądał na ani trochę urażonego tą wypowiedzią.

– Pewnie, że to zrobiłeś – Folter sam sobie odpowiedział. – Przestań zatem zwlekać i podaj odpowiedź. Chcę, żebyś wymienił przynajmniej jedną ścieżkę, której nie zbadałem, a jeśli będziesz dalej grał na czas, to ta rozmowa się skończy i nie usłyszysz mojej zagadki, a co za tym idzie, nie będziesz miał szansy, żeby uratować niewinne istoty.

Tyler spojrział na detektywa szeroko otwartymi oczami i kiwnął stanowczo głową.

Hunter nie miał pewności, czy ktokolwiek inny wylapał, że morderca użył liczby mnogiej. To nie mógł być przypadek.

– Co jest, Świerszczu? Chcę odpowiedzi. Natychmiast.

– Masowe morderstwo – wyrzucił w końcu z siebie detektyw. Nic więcej nie dodał. Lucien nie skomentował tego w żaden sposób. Przez kilka chwil obaj po prostu milczeli.

Wszyscy przysłuchujący się rozmowie w biurze Carlosa i Huntera wymieniali zaniepokojone spojrzenia. Nagle rozległo się klaskanie.

– Bardzo dobrze. Byłem pewien, że mnie nie zawiedziesz. Masowe morderstwo to istotnie ścieżka, jaką jeszcze nie podążyłem, chociaż wiele o niej myślałem... to jednak zapewne wiedziałeś. Nie musiałeś dzwonić do Pana Kutasa i prosić go o sprawdzenie tego w moich dziennikach, prawda? Skoro jednak to zrobiłeś, powiedz mi, co on i jego armia bezmózgich zombie znalazła na stronie sto

trzydziestej trzeciej. Bo chyba zaczęli od wysokiego C. Cztery razy powinni się zastanowić, zanim pójdą tym tropem. – Parsknął śmiechem. – Widzisz, co tutaj zrobiłem?

Na twarzach pozostałych pojawił się wyraz niepewności. Nikt poza Hunterem nie wyłapał tego małego żartu słownego: „Bo chyba zaczęli od wysokiego C. 4 razy powinni się zastanowić, zanim pójdą tym tropem”.

– Pozwól, że zapytam inaczej: w jaki sposób wejść do świata masowych morderców?

Detektyw milczał, podczas gdy pozostali wiercili się nerwowo na zmianę, zupełnie jakby robili stadionową meksykańską falę.

– No dawaj, Świerszczu, właśnie ci otworzyłem drzwi do najlepszej puenty w historii. Naprawdę mnie tak zostawisz?

Barbara wydawała się zagubiona, ale reszta zrozumiała dowcip.

– Jak wejść do świata masowych morderców? – nalegał Folter.

Detektyw nadal milczał.

– Może z...? – Lucien poczekał jeszcze kilka sekund. – ...z hukiem? – Po czym zaczął głośno rechotać.

Kapitan Blake się skrzywiła, jakby usłyszała beznadziejny kawał, w dodatku pozbawiony sensu.

– Co? – zapytała bezgłośnie.

– To prawda, przyjacielu – ciągnął Folter. – Mam kilogram C4, a może i więcej.

Barbara wytrzeszczyła oczy w wyrazie bezgranicznego zdumienia. Miała wrażenie, że jej serce zjechało aż do samego żołądka.

– Kurwa, niemożliwe! – Tym razem nie dała rady się powstrzymać.

Robert zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach.

– O! – wykrzyknął uradowany morderca. – Zastanawiałem się, kiedy publiczność się odezwie. Z kim mam przyjemność?

– Barbara Blake, kapitan wydziału zabójstw – odpowiedziała pewnym i władczym głosem.

– Niezwykle mi miło w końcu panią poznać. Ja jestem Lucien Folter. Czy ktoś jeszcze chciałby się przedstawić, zanim przejdziemy dalej?

Hunter ponownie pokazał pozostałym na migi, żeby zachowali milczenie.

Folter czekał, ale wszyscy zgadzali się z Robertem.

– Jest może jakiś szeryf federalny w pobliżu?

Cisza.

– Agent specjalny FBI?

Cisza.

– Szeryf stanowy?

Cisza.

– No dalej, ludzie, nie bądźcie tacy nieśmiali.

Cisza.

– Nikt? Naprawdę? No dobra, jak sobie chcecie. Masowe morderstwo, Świerszczu, to poprawna odpowiedź, zatem zdobyłeś prawo do wysłuchania mojej zagadki. Rozwiązanie jej da ci nazwę miejsca, gdzie zostawiłem pewien prezencik. Jest mały, ale może dać niezłego kopa.

– Lucien, proszę, posłuchaj mnie... – spróbował jeszcze raz detektyw, lecz morderca był głuchy na błagania.

– Powiem to tylko raz – przerwał mu Folter. – Później możesz sobie odtwarzać nagranie, ile dusza zapragnie, ale teraz mi już więcej nie przerywaj.

Garcia szybko sięgnął po notes i długopis. West i Holbrook zrobili to samo.

– Podobnie jak poprzednio, masz godzinę na znalezienie poprawnej odpowiedzi. Jeśli ci się uda, zostaniesz bohaterem, ocalisz niewinnych i tak dalej.

Przerwał na chwilę.

– Nie uda ci się... i bum.

Tym razem w jego głosie nie pojawiła się nawet nutka sarkazmu.

– Jesteś gotowy? Zaczynamy: znajdziesz mnie w miejscu, gdzie ludzie powinni milczeć, lecz nie tu. Gdzie powinny być wiersze, lecz nie tu. Gdzie uczniowie powinni przyjść chętni do nauki, lecz nie tu. Zamiast cichych ludzi znajdziesz głośnych, ale też jednego milczącego. Zamiast śmiechu poetów znajdziesz łyż pisarzy. Zamiast chętnych uczniów znajdziesz kiepskich nauczycieli. Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego, a znajdziesz coś szczególnego. Znajdziesz coś wyjątkowego.

Trzech mężczyzn pisało najszybciej, jak mogli. Z każdym usłyszonym słowem bruzdy na ich czołach się pogłębiały.

Nastąpiła kolejna krótka przerwa, oznaczająca, że to koniec zagadki.

– Sześćdziesiąt minut, Świerszczu. Zegar tyka.

Połączenie zostało przerwane.

## Trzydzieści siedem

Kapitan Blake nadal miała problemy z zaakceptowaniem tego, co przed chwilą usłyszała.

– Ten psychopata ma kilogram C4? W moim mieście? – zapytała niemal natychmiast po zakończeniu rozmowy.

Hunter pokiwał głową.

– Dowiedzieliśmy się o tym jakieś dziesięć minut temu.

– Jezu!

– O czym, do ciężkiej cholery, była w ogóle ta zagadka? – rzucił West, zerkając co chwilę na swoje notatki i na pozostałych. – Ktoś dał radę to zapisać?

– Nie wszystko – odparł Garcia. – Mówił za szybko.

– U mnie tak samo – przyznał Holbrook. – Mam niewiele po „śmiechu poetów”.

Robert ustawiał już aplikację w telefonie.

– Puszczę to jeszcze raz.

Znalezienie właściwego fragmentu zajęło mu kilka chwil. Tym razem wszyscy, łącznie z Hunterem, zapisali zagadkę słowo w słowo.

*Znajdziesz mnie w miejscu, gdzie ludzie powinni milczeć, lecz nie tu. Gdzie powinny być wiersze, lecz nie tu. Gdzie uczniowie powinni przyjść chętni do nauki, lecz nie tu. Zamiast cichych ludzi znajdziesz głośnych, ale też jednego milczącego. Zamiast śmiechu poetów znajdziesz łzy pisarzy. Zamiast chętnych uczniów znajdziesz kiepskich nauczycieli. Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego, a znajdziesz coś szczególnego. Znajdziesz coś wyjątkowego.*

– Co to, kurwa, znaczy? – zapytał Tyler. Cały czas wpatrywał się w notatki. Na jego twarzy malowało się wyraźnie zakłopotanie.

– To zagadka. Nie powinna od razu pokazywać nam znaczenia. Nie powinna być łatwa do rozszyfrowania.

Robert siedział rozparty w fotelu, ręce trzymał na podłokietnikach, złączył palce na wysokości klatki piersiowej, a wzrokiem świdrował tekst linijka po linijce.

Cztery minuty upłynęły w całkowitej ciszy.

Pierwszy przerwał ją Peter.

– Wydaje mi się, że może tu chodzić o jakiś stary budynek szkolny, obecnie wykorzystywany do innych celów – oznajmił, ściągając na siebie uwagę pozostałych. – Zawsze byłem dobry w takich łamigłówkach – dodał, po czym wskazał na tablicę magnetyczną stojącą pod ścianą. – Mogę?

– Nie krępuj się – odparł Carlos.

Agent szybko napisał całą treść zagadki drukowanymi literami. Następnie narysował dwie poziome linie: pierwszą po trzech pierwszych zdaniach, drugą po kolejnych trzech. W ten sposób rozbił tekst na trzy części.

– Odpowiedzią jest jakieś miejsce w Los Angeles, prawda? Moim zdaniem Lucien podzielił całość na trzy fragmenty. – Wskazał na tablicę. – Z pierwszego dowiemy się, czym to miejsce było, z drugiego, czym się stało, trzeci zaś ma nam pomóc zrozumieć, jak interpretować całość.

Agent widział na twarzach pozostałych wyraz coraz większego zagubienia.

– Pozwólcie, że wyjaśnię – powiedział, po czym skierował ich uwagę na pierwsze trzy zdania. – To według mnie jest pierwsza część: *Znajdziesz mnie w miejscu, gdzie ludzie powinni milczeć, lecz nie tu. Gdzie powinni być wiersze, lecz nie tu. Gdzie uczniowie powinni przyjąć chętni do nauki, lecz nie tu.* Jeśli pozbedziemy się zakończenia każdego zdania, które we wszystkich przypadkach jest identyczne, to otrzymamy: *Znajdziesz mnie w miejscu, gdzie ludzie powinni milczeć, gdzie powinni być wiersze, gdzie uczniowie powinni przyjąć chętni do nauki.*

Odwrócił się tyłem do tablicy.

– Wygląda na to, że odnosi się tutaj do tego, jaką funkcję pełniło wcześniej to miejsce, ale z jakiegoś powodu przestało.

Tłumacząc dalej, wskazywał kolejne zdania.

– Miejsce, gdzie ludzie powinni milczeć – ale już tego nie robią. Gdzie powinni być wiersze – ale już ich nie ma. Gdzie uczniowie przychodzili się uczyć – ale już tego nie robią.

Przerwał na chwilę, pozwalając im to przeanalizować.

– Dla mnie słowa *miejsce, gdzie ludzie powinni milczeć. Gdzie powinny być wiersze. Gdzie uczniowie powinni przyjść się uczyć* sugerują coś związanego z nauką. Szkołę... uniwersytet... salę... coś w tym stylu.

Wyraz zmieszania powoli zaczął znikać z twarzy słuchaczy.

– Druga część jest trudna – wznowił wątek Holbrook. – Powinniśmy się z niej dowiedzieć, czym to miejsce się stało.

Znowu wskazał na tablicę.

*Zamiast cichych ludzi znajdziesz głośnych, ale też jednego milczącego. Zamiast śmiechu poetów znajdziesz łzy pisarzy. Zamiast chętnych uczniów znajdziesz kiepskich nauczycieli.*

W pomieszczeniu zapadła długa cisza.

– Jakież sugestie? – rzuciła kapitan Blake.

– Zagadka się tutaj nie kończy – wtrącił Garcia, zanim ktokolwiek inny zdążył się odezwać. – Ostatnie słowa to: *Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego, a znajdziesz coś szczególnego. Znajdziesz coś wyjątkowego.*

– To prawda – zgodził się agent. – To jest właśnie ta trzecia część, o której mówiłem. To wskazówka, jak mamy interpretować całość. Mamy wyjść ze schematów. *Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego, a znajdziesz coś szczególnego. Znajdziesz coś wyjątkowego.* To sprowadza nas ponownie do tego trudnego, środkowego fragmentu: czym to miejsce się stało?

– Nie szukaj oczywistego? – zapytał West. – A jest w ogóle cokolwiek oczywistego w tym całym gównie? Jeśli tak, to ja tego nie widzę. Co to za oczywiste miejsce, gdzie *zamiast cichych ludzi znajdziesz głośnych i jednego milczącego, zamiast śmiechu poetów znajdziesz łzy pisarzy i zamiast chętnych uczniów znajdziesz kiepskich nauczycieli*? Ktoś ma jakieś pomysły?

Hunter przyglądał się tablicy. Holbrook bardzo dobrze przeanalizował budowę zagadki, to, że składała się z trzech części. zaproponował również dalece prawdopodobne rozwiązanie pierwszego fragmentu. Rzeczywiście wyglądało na to, że Folter odnosi się tutaj do jakiejś dawnej placówki edukacyjnej. Miejsca, gdzie ludzie kiedyś byli cicho, gdzie były wiersze i chętni uczniowie, ale nic takiego już tam nie ma. W słowach mordercy czaiło się jednak coś, co nie dawało detektywowi spokoju. Coś, czego nie potrafił zidentyfikować.

– Ktokolwiek? – naciskał szeryf federalny.



Wszyscy w tym pomieszczeniu wiedzieli, że w podobnych przypadkach nie należy przekombinować. Zazwyczaj takie łamigłówki okazywały się prostsze, niż się początkowo zdawało. Zbyt długie analizowanie często sabotowało kreatywne myślenie, zmuszało umysł do porzucenia poprawnej odpowiedzi, ponieważ wydawała się zbyt prosta. Teraz jednak nikt nie miał do zaoferowania żadnej odpowiedzi. Nikt nawet nie zgadywał.

West przeczesał nerwowo palcami swoje krótko obcięte włosy. Gdy napotkał spojrzenie Roberta, kiwnął sarkastycznie głową.

– Taa, no to mamy przejebane.

## Trzydzieści osiem

Słońce zaczęło znikać za horyzontem, niebo nad Los Angeles stało się zaś labiryntem kolorów. Pomarańczowo-czerwone barwy przerodziły się w nietypowy odcień fioleto, który z kolei ustąpił miejsca długiej, ciemnej tafli upstrzonej niezliczoną ilością świecących punkcików. Temu naturalnemu pięknu zagrażała jednak armia ciężkich chmur, która zbierała się na wschodnim krańcu nieboskłonu.

Lucien skończył rozmowę z Hunterem, wyciągnął kartę SIM z telefonu i wyrzucił ją do najbliższego kosza na śmieci. Noc już zapadała, co oznaczało, że musiał ruszać w drogę. Miał harmonogram, którego należało pilnować.

Schował komórkę do kieszeni i skierował się znowu do stacji metra.

Znalezienie odpowiedniego celu zajęło mu kilka dni, ale uważał, że podjął dobrą decyzję, zwłaszcza że nie znał tego miasta zbyt dokładnie.

Nie miał doświadczenia z materiałami wybuchowymi. Nigdy ich nie używał ani ich nie tworzył, ale znał teorię i prawa fizyki – i to biegle. Przeczytał na ten temat niezliczoną ilość artykułów i kilka książek. Wiedział wszystko na temat prędkości cząsteczek po detonacji, gęstości mieszanki, maksymalnej temperatury zapłonu, ciśnienia na centymetrze sześciennym wywołanego przez eksplozję... wszystko. Dokładnie wyliczył ilość C4 potrzebną do tego, aby wybuch dosięgnął każdego centymetra miejsca, jakie wybrał, po czym dodał nieco więcej, dla pewności. Co prawda nie mógł w żaden sposób przetestować swojego urządzenia, ale był absolutnie pewny, że jeśli detektyw nie rozwiąże jego zagadki, nikt w punkcie X nie przeżyje... Nikt.

Opracowanie samej łamigłówki również zajęło trochę czasu, głównie z powodu niezbędnych poszukiwań oraz dlatego, że miała stanowić wyzwanie, ale możliwe do pokonania. W końcu jaka to przyjemność grać w grę, w której nie da się przegrać? Musiał dać Robertowi i całej reszcie ludzi, którzy z nim pracują, przynajmniej cień szansy, chociaż szczerze wątpił, aby im się udało.

Folter podszedł do wejścia na stację Little Tokyo i spojrzął na zegarek. Miał dość czasu, aby dotrzeć do punktu X i zostawić swoją paczkę. Poprzedniego dnia, zanim wrócił do swojego pokoju w hotelu i zaczął konstruować urządzenie, udał się po raz drugi do wybranego miejsca. Ukradkiem przeanalizował rozkład pomieszczenia i to, gdzie stoi zawsze najwięcej osób. Dzięki temu dokładnie wiedział, w jakim punkcie umieścić bombę. Nikt jej tam nie zauważy. Musiał jedynie czekać. Jak upłynie godzina dana Hunterowi na rozwiązanie zagadki, zadzwoni po prostu na telefon przytwierdzony do ładunku, co wywoła detonację.

Sama myśl o tym wzbudzała w nim znacznie większe podniecenie, niż sądził. Morderstwo zawsze stanowiło dla niego sprawę osobistą, jeden na jednego. Czuł ekstazę, kiedy patrzył w oczy właśnie pozbawianej życia ofiary. Uwielbiał kosztować jej strach. Przebywanie gdzieś daleko, bez możliwości obserwowania desperacji i bólu biorących we władanie każdą cząsteczkę jej ciała jakoś nigdy go nie pociągało. Jednak teraz, kiedy własnoręcznie skonstruował mordercze urządzenie, musiał przyznać, że niezwykła ekscytacja towarzyszyła mu cały czas, w dodatku narastała z każdą minutą. Zamiana tego wszystkiego w grę, w dodatku toczoną przeciwko Hunterowi, tylko potęgowała podniecenie.

Zanim zjechał na peron, spojrzął jeszcze w niebo. Armia ciemnych chmur zbierająca się wcześniej na wschodzie najwyraźniej zrezygnowała z ataku. Obłoki rozpierzchały się i znikły w szybkim tempie, zostawiając po sobie piękne, gwiazdziste niebo.

*Tak, pomyślał Lucien. To idealna noc na fajerwerki.*

## Trzydzieści dziewięć

W kieszeni Westa zadzwoniła komórka. Mężczyzna sięgnął po nią tak gwałtownie, jakby od odebrania połączenia zależało jego życie. Słuchał w milczeniu przez kilka sekund, po czym zamknął oczy i westchnął z bólem.

– OK, dzięki – rzucił do słuchawki, a następnie się rozłączył. – Namierzyli Luciena: dzwonił ze stacji metra Little Tokyo. Powiedziano mi, że to jeden przystanek od Union Station, czyli najbardziej zatłoczonej stacji w całym Los Angeles. To prawda?

Garcia i kapitan Blake jednocześnie pokiwali głowami. Hunter natomiast cały czas wpatrywał się w zagadkę zapisaną na tablicy. Coś jeszcze zaczęło wydawać mu się podejrzanym: sposób, w jaki morderca podzielił tę łamigłówkę.

– Myślicie, że Union Station jest jego celem? – zapytał Tyler, jego głos wprost przepełniał niepokój.

– W tej chwili każde miejsce w mieście może być jego celem – odparł Carlos. – Dopóki nie rozwiążemy tej popapranej zagadki, będziemy błądzić po omacku.

– Czy ta stacja była kiedyś szkołą, uczelnią... albo czymkolwiek związanym z edukacją? – zapytał Holbrook.

– Nie – zdecydowanie zaprzeczył Robert. – Otwarto ją w późnych latach trzydziestych, zawsze służyła jako stacja.

– A jej okolica? Jest coś w pobliżu niej, co pasowałoby do pierwszej części zagadki? – Tym razem dopytywał West. – Jakieś miejsce, gdzie chodzili kiedyś uczniowie albo studenci, ale zmieniło się w coś innego, w jakiś sklep, kino, klub nocny...

– Nie możemy w ten sposób szukać rozwiązania – oznajmił Hunter.

Wszyscy zamilkli i spojrzeli na niego.

– To znaczy? – dociekał szeryf federalny.

– Próbując znaleźć miejsce, gdzie chodzili kiedyś studenci, jakąś była placówkę edukacyjną.

– Dlaczego nie? Myślałem, że zgodziliśmy się... – zaczął Peter.

– Tego właśnie oczekuje Lucien – przerwał mu detektyw.

Wszyscy czekali na ciąg dalszy, ale Robert milczał.

– Nie mamy czasu na kolejne łamigłówki – zainteresowała Barbara, doskonale wiedząc, w jaki sposób działa umysł jej podwładnego. – Możesz wyjaśnić, co masz na myśli? – Zerknęła na zegarek. – Minęło już dziesięć minut. Zostało nam pięćdziesiąt.

– Moim zdaniem analiza agenta Holbrooka na temat budowy tej zagadki jest prawidłowa – zaczął Hunter. – Podzielił ją na trzy części, pierwsza mówi o tym, czym to miejsce było, druga, czym się stało, a trzecia tłumaczy, jak zrozumieć całość.

– Tak, to już ustaliliśmy. – Cierpliwość Westa zaczynała się kończyć. – Do czego zmierzasz?

– Zmierzam do tego, że wcale nie ma żadnej potrzeby, żeby dzielić tę łamigłówkę. To tylko kolejna psychologiczna sztuczka.

Te słowa zatrzymały wszystkich w miejscu.

– Psychologiczna sztuczka? – zapytała Barbara. – W jakim sensie?

– Zastanówcie się: po co Lucien mówi nam, jaką funkcję wcześniej pełniło to miejsce? Dla nas jest ważne, jaką funkcję pełni *teraz*, potrzebna nam więc jedynie druga część zagadki. Po co mamy wiedzieć, co tam się znajdowało kiedyś? Ma to nam pomóc? Ułatwić znalezienie odpowiedzi? Dać większą szansę na powstrzymanie go i na znalezienie bomby?

Detektyw widział, że wszyscy stali się znacznie bardziej zaniepokojeni i spięci.

– Folter opowiada nam o trzech rzeczach, które działy się tam w przeszłości. – Wstał i podszedł do tablicy. – Wiedział, że tę część rozwiążemy jako pierwszą. Przede wszystkim dlatego, że pojawiła się jako pierwsza. – Zrobił minę oznaczającą „to raczej oczywiste”. – W dodatku jest wyraźnie prostsza niż następna, a przynajmniej na taką wygląda.

– Twoim zdaniem on kłamie? – zapytał Tyler nieco mniej agresywnie niż jeszcze przed chwilą. – Dał nam zmyśloną część zagadki, żeby nas zmylić? Mamy uważać, że to jakaś była szkoła albo coś podobnego, a naprawdę budynek nie miał z nauczaniem nic wspólnego? Albo w ogóle nigdy nie pełnił innej funkcji niż teraz?

– W takim wypadku co miałyby go powstrzymać przed oszukaniem nas w całej tej zagadce? – wciął się Holbrook. – Może robić z nas wała, szczególnie w tej części, która powie nam, gdzie to miejsce jest.

– Nie – zaprzeczył Hunter. – Lucien nie ma powodu, żeby nas okłamywać, ale pierwsza część łamigłówki z pewnością stanowi zasłonę dymną, tylko nie w taki sposób, jak myślicie.

Znowu wszyscy sprawiali wrażenie zagubionych.

– On jest podręcznikowym przykładem psychopaty – zaczął wyjaśniać detektyw. – Naprawdę wierzy, że nas przewyższa, zwłaszcza intelektualnie. Nie posunąłby się do takich tanich chwytów jak kłamstwo czy wymyślanie fałszywych zagadek. Ona jest prawdziwa.

– Ale sam powiedziałeś, że pierwsza część ma nas zmylić – upierał się Peter.

– Zgadza się, ale nie dlatego, że jest fałszywa. Jej zadaniem jest wyprowadzenie nas na błędny tor, mamy przekombinować. – Podniósł rękę do góry, aby uprzedzić nadchodzące pytania: wiedział, że jego teoria jest dość skomplikowana. – Pozwólcie, że wytłumaczę.

– Bardzo prosimy – rzucił West.

– Agent Holbrook znalazł rozwiązanie tego fragmentu w jakieś trzy minuty albo i mniej, prawda?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Proszę, mów mi po imieniu.

– Zatem Folter uczynił początkową część nieco prostszą niż pozostałe, ale jednak nie nazbyt prostą, aby nie wzbudzać podejrzeń. Peter zdołał zatem odgadnąć dość ogólne rozwiązanie, ale nie znamy dokładnego położenia. Jeśli faktycznie odpowiedzią jest jakieś miejsce związane z edukacją, to dalej nie mamy pojęcia, co to takiego: szkoła, uniwersytet, sala wykładowa i tak dalej. Z tej części łamigłówki możemy tylko uzyskać „miejsce służące kiedyś do nauki”.

Przerwał na chwilę, aby przetrawili usłyszane słowa.

– Nadążacie za moim tokiem rozumowania?

Pozostali z namysłem pokiwali głowami.

– Dał nam mocno ograniczony czas, w ten sposób ogromnie zwiększając ciążącą na nas presję. To jest właśnie ta psychologiczna sztuczka, o której wspominałem.

Zegar tyka, więc musimy się spieszyć, zatem jeśli wpadniemy na jakieś sensownie brzmiące rozwiązanie, z miejsca je wybierzemy. Nie szukamy innych możliwości z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mamy na to czasu, a po drugie, nasza odpowiedź wydaje się dobra, więc się jej trzymamy. To nas doprowadzi do kolejnego problemu, który moim zdaniem jest asem w rękawie mordercy.

Tym razem jego wywodu nie zwieńczyły potakiwania, tylko wysoko uniesione brwi.

– To się nazywa torowanie podprogowe – oznajmił detektyw. – Nie mamy jeszcze rozwiązania drugiej części, nie wiemy też, czy rozwiązanie pierwszej jest poprawne, ale już staramy się znaleźć coś, co je połączy. – Kiwnął głową w kierunku Westa i Holbrooka. – Takie były wasze pytania, prawda? Czy Union Station służyło kiedyś za szkołę albo uczelnię, albo jakkolwiek wiązało się z edukacją. Czy w okolicy stacji znajdował się budynek, do którego chodzili uczniowie, ale teraz mieści się tam coś innego.

Wszyscy zaczęli rozumieć, do czego Robert zmierza.

– Lucien podzielił zagadkę na części i sprawił, że pierwsza wydaje się prostsza, dzięki czemu miał nadzieję, że szybko znajdziemy jej rozwiązanie – co też zrobiliśmy. Zasiał w naszej podświadomości ziarenko sugestii.

– Od tej pory wszystkie możliwe odpowiedzi na drugą część łamigłówki porównujemy z tym, co uznaliśmy za właściwe rozwiązanie pierwszej części, czyli „jakieś miejsce związane z edukacją”. Jeśli jakaś odpowiedź nie będzie pasować do tej teorii, natychmiast ją odrzucimy – uzupełnił Peter.

– Zgadza się. W ten sposób początek zagadki podświadomie zmusza nas do zbytniego analizowania dalszej jej części. Jak powiedział Carlos, bomba może znajdować się w dowolnej lokalizacji w tym mieście, niekoniecznie w jakiejś dawnej szkole. W dodatku nie wiemy nawet, czy dobrze kombinujemy. Od razu uznaliśmy, że mamy rację, bo brzmi to logicznie, ale nie sprawdziliśmy żadnej alternatywnej wersji.

– Czyli może zamiast patrzeć na łamigłówkę jako całość, podzielimy ją? – zaproponował Garcia. – Hunter i West zajmą się wyłącznie pierwszą częścią, poszukają czegoś innego niż dawna szkoła. Peter, pani kapitan i ja zastanowimy się nad drugim fragmentem. Potem porównamy wszystkie pomysły, może znajdziemy dzięki temu jakieś konkretne miejsce.

– Dobry plan – zgodził się West.

Pozostali pokiwali głowami.

– Dobra, mamy czterdzieści sześć minut – oznajmił Carlos, spojrzawszy na zegarek. – Znajdźmy to cholerne rozwiązanie.



## Czterdzieści

Nad Los Angeles w końcu zapadła noc, przynosząc ze sobą masę świecących gwiazd i księżyc w pełni, tak imponujący, że żadne efekty specjalne z filmów o wilkołakach nie mogły się z nim równać. Termometr wskazywał siedemnaście stopni Celsjusza, ale całkowity brak wiatru sprawiał, że powietrze w betonowej dżungli stanowiącej centrum miasta wydawało się gorące i nieświeże. Jednak gdyby je porównać z powietrzem wewnątrz biura Huntera i Garcii, przypominało klimat rajszych ogrodów.

Oba zespoły zapisały swoje fragmenty zagadki na osobnych kartkach, aby nie patrzeć niepotrzebnie na resztę. Hunter stał wraz z Westem przy swoim biurku, natomiast pozostali zebrali się przy biurku Garcii. Oba zespoły pracowały w milczeniu, zwrócone plecami do białej tablicy, na której Holbrook zapisał wcześniej cały tekst zagadki.

To zabawne, jak umysł postrzega upływ czasu, kiedy jesteśmy pod presją. Wszystkim wydawało się, że pracują zaledwie kilka sekund, tymczasem minęło już niemal siedem minut.

Tyler nie tylko milczał jak grób, co akurat było detektywowi na rękę, ale zmieniło się również całe jego zachowanie. Nagle wydawał się nieśmiały.

– Wszystko gra? – zapytał Robert niewiele głośniejszym szeptem.

Mężczyzna pokiwał głową, odwracając wzrok od kartki na blacie.

– Na pewno? – naciskał Hunter. Rozumiał, że taka presja może mieć duży wpływ na człowieka. Nie znał go za dobrze, nie wiedział również, czy miał on do czynienia z zagrożeniem bombowym, ale zdawał sobie sprawę, że szeryf federalny musi być przyzwyczajony do działania w przygniatającym wprost stresie. Taki już jest ten zawód.

Tyler w końcu się poddał. Zacisnął usta w cienką linię, niemalże zażenowany, po czym pokręcił głową. Spojrzał detektywowi w oczy i powiedział:

– Nie będę kłamał. Jestem beznadziejny w takich sprawach, od dziecka sobie z tym nie radziłem. Daj mi jakieś zadanie, a gwarantuję, że je wykonam. Daj mi do rozwiązania zagadkę, a mój mózg się zwyczajnie zawiesi. Nie wiem dlaczego. Tak po prostu jest.

– Jakieś nowe pomysły? – zapytał agent specjalny, po czym spojrział na zegarek. – Mamy około trzydziestu ośmiu minut.

West i Hunter spojrzeli na członków drugiego zespołu.

– Mamy dwie alternatywne odpowiedzi dla pierwszej części – oznajmił Robert.

– Naprawdę? Jakie? – zacięła się Barbara.

Detektyw przyciągnął uwagę pozostałych do tablicy, gdzie wskazał opracowywaną przez siebie część.

*Znajdziesz mnie w miejscu, gdzie ludzie powinni milczeć, lecz nie tu. Gdzie powinny być wiersze, lecz nie tu. Gdzie uczniowie powinni przyjść chętni do nauki, lecz nie tu.*

– Oprócz szkoły czy uczelni może jeszcze chodzić o bibliotekę.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy pożerali oczami pierwsze trzy zdania, zupełnie jakby ich nigdy wcześniej nie widzieli.

*Znajdziesz mnie w miejscu, gdzie ludzie powinni milczeć – biblioteka.*

*Gdzie powinny być wiersze – biblioteka.*

*Gdzie uczniowie powinni przyjść chętni do nauki – biblioteka.*

Po kolei każde z nich kiwało głową na znak zgody. Ta teoria miała sens.

– A druga możliwość? – naciskał Holbrook, zanim rozgorzała dyskusja nad tym, czy to dobra odpowiedź.

Detektyw zerknął na szeryfa, który w odpowiedzi niemalże wzruszył ramionami.

– Wydaje nam się, że Lucien może mieć też na myśli kościół.

Tym razem Carlos, Barbara i Peter nie popatrzyli na tablicę, tylko wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Coś nie tak? – zapytał Robert.

– Zakładam, że on nie jest zbyt religijny? – zapytał Garcia.

– Ani trochę. Wręcz przeciwnie, zawsze pałał do religii nienawiścią.

Ta uwaga zaniepokoiła ich jeszcze bardziej.

– Ale masz na myśli chrześcijaństwo? Czy religię w ogóle? – chciał wiedzieć Holbrook.

– Wszystkie możliwe wyznania. Dlaczego pytasz? Coś się stało?

– Tak – przyznał Carlos. – Łamaliśmy sobie głowy nad naszą częścią zagadki i jedyne, co nam przyszło do głowy, co jakkolwiek by pasowało, to miejsce kultu... modlitwy... kościół.

## Czterdzieści jeden

Tym razem to Hunter i West spojrzeli uważnie na tablicę, aby sprawdzić drugą część zagadki.

*Zamiast cichych ludzi znajdziesz głośnych, ale też jednego milczącego. Zamiast śmiechu poetów znajdziesz łzy pisarzy. Zamiast chętnych uczniów znajdziesz kiepskich nauczycieli.*

Holbrook nie tracił czasu, od razu wyszedł na środek i zaczął tłumaczyć.

– Pozwolę sobie pociąć ten fragment na oddzielne zdania, te zaś z kolei na mniejsze elementy. W ten sposób będzie łatwiej zrozumieć. – Wskazał palcem na tablicę. – *Zamiast cichych ludzi znajdziesz głośnych*: jak dobrze wiemy, kościoły przeszły długą drogę w swojej historii. Wiele z nich mocno się zmieniło, żeby lepiej przystosować się do obecnego społeczeństwa. W niektórych nabożeństwa stały się podobne do przyjęć, gdzie wierni tańczą i śpiewają, jak podczas karnawału.

Tyler potarł szczękę nerwowym ruchem. Nigdy nie był w takim kościele, ale widział je w telewizji.

– *Ale też jednego milczącego* – ciągnął agent FBI. – Milczący człowiek to może być ksiądz, pastor i tak dalej, w zależności od wyznania. Odprawia nabożeństwo, ale z jakiegoś powodu nie bierze udziału w imprezowej atmosferze. Dlatego jest „milczący”.

Dał pozostałym chwilę na zastanowienie się.

– Trzeba też pamiętać, że mówimy o miejscu, w którym Lucien, w przeciwieństwie do nas, był. On wie, czy są tam ludzie głośniejsi lub cichsi od innych. My strzelamy na ślepo.

– Mów dalej – polecił mu szeryf federalny.

– W porządku. Następne zdanie: *Zamiast śmiechu poetów znajdziesz łzy pisarzy*. Znacze Biblię?

– Nie aż tak, żeby cytować wersety z pamięci – odparł Hunter, przeczuwając, do czego zmierza Holbrook.

– Trochę czytałem – rzucił Tyler, nie dodając nic więcej.

– To może być fałszywy trop, chociaż w tej sprawie wszystko się takie wydaje, ale Psalm pięćdziesiąty szósty, werset dziewiąty brzmi: „Ty zapisałeś moje życie tułacze; przechowales Ty łzy moje w swoim bukłaku: czyż nie są spisane w Twej księdze?”<sup>[1]</sup>.

Hunter zastanawiał się nad tym przez chwilę. Wiedział, że Folter gardził wszelkimi możliwymi religiami, ale chrześcijaństwo stanowiło jego ulubiony cel krytyki. Wiedział też, że on nie zna Biblii na pamięć, ale z pomocą internetu mógł bez trudu znaleźć nawiązanie do psalmu.

– Można też na to spojrzeć inaczej – wtrącił Garcia. – Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że wszystkie religijne księgi: Biblia, Tora, Koran i pozostałe, są zapisane w sposób przypominający poezję.

Robert i Peter pokiwali głowami.

– One mają za zadanie... podnieść na duchu, dać nadzieję, nauczyć sensu życia, zależnie od tego, w co wierzymy, ale jednocześnie są bardzo mocno związane z bólem, smutkiem, stratą, śmiercią, trudem i poświęceniem, aby uczynić świat lepszym... czyli rzeczami, które wywołują łzy. – Carlos przerwał na chwilę, po czym wskazał ponownie na tablicę. *Zamiast śmiechu poetów znajdziesz łzy pisarzy.*

West uniósł brwi.

– Ostatnie zdanie w drugiej części zagadki: *Zamiast chętnych uczniów znajdziesz wiejskich nauczycieli* można odnieść do absurdalnych nadużyć religii, jakie obecnie obserwujemy – powiedział agent specjalny, chcąc jak najszybciej przejść dalej. – Szarlatani udający księży, pastorów, wielebnych, guru, duchowych przywódców... czy kogokolwiek innego, aby wyciągnąć ciężko zarobione pieniądze od naiwnych ofiar. Prosty ludzi... Biednych... Takich, którzy desperacko potrzebują czegoś, w co mogą wierzyć.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Jeśli Lucien rzeczywiście tak bardzo nienawidzi religii, a zwłaszcza chrześcijaństwa, to mamy całkiem niezły trop – skomentowała kapitan Blake. – Jego celem może być miejsce kultu: kościół.

– Zwróciliście uwagę na czas? – zapytał Holbrook.

Hunter spojrział na zegarek.

– Dziewiętnasta czterdzieści siedem.

– Chodziło mu o to, ile nam zostało do końca – wtrącił West.

– Wcale nie – zaprzeczył Robert.

– To prawda – przyznał mu rację Peter.

Szeryf federalny patrzył na nich nieco zmieszany.

– Jest niedziela – zaczął detektyw. Jego głos był przepełniony niepokojem. – Niemalże nie sposób zliczyć kościołów w Los Angeles, w których odbywa się msza o dwudziestej.

West zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu.

– Kurwa!

– Problem polega na tym, że nawet jeśli mamy rację, to jak, do ciężkiej cholery, ustalimy, o którą świątynię chodzi? – rzucił Garcia.

– Musimy zebrać to, co wymyśliliśmy do tej pory, i mieć nadzieję, że doprowadzi nas do rozwiązania – odpowiedział Hunter.

– Zgadzam się – dodał Peter. – Musimy znaleźć kościół albo inne miejsce kultu, które wcześniej było szkołą, biblioteką, a może nawet również kościołem.

– Świetnie. Bułka z masłem – sarknął Carlos, sięgając po telefon, po czym zadzwonił do odpowiedniego zespołu i zlecił wyszukanie tych informacji.

Agent specjalny zerknął na zegarek. Mieli jeszcze dwadzieścia osiem minut.

– Zaprzęgnę do tego również moich ludzi z FBI.

Robert siedział przy biurku i rozpoczął w międzyczasie swoje własne poszukiwania w internecie. Jego partner robił dokładnie to samo. Holbrook zaglądał mu przez ramię, co było irytujące.

Kapitan Blake stanęła obok Roberta, ale dała mu nieco przestrzeni. Doskonale wiedziała, że jej podwładny jest w takich sprawach znacznie lepszy od niej.

West rozmawiał przez telefon z Derekiem Tannerem, szefem jednostki saperów policji w Los Angeles. Jego ludzie mieli być gotowi, aby w każdej chwili ruszyć do akcji.

Atmosfera w pomieszczeniu stała się tak nerwowa, jakby za moment miała wybuchnąć wojna nuklearna. Minuty upływały niczym sekundy, zatem stwierdzenie, że jest „napięta”, byłoby ogromnym niedopowiedzeniem.

– Ile czasu nam zostało? – zapytał Holbrooka Carlos, otarłszy pot z czoła.

– Dwadzieścia cztery minuty.

– Szlag! – warknął, po czym opadł na oparcie fotela i przeczesał włosy palcami.

– Mogę spróbować? – zapytał Peter, wskazując na monitor.

– Proszę bardzo – odparł detektyw i ustąpił mu miejsca.

Agent usiadł i wstukał w wyszukiwarce nowe kryteria. Wcisnął „enter” – pierwsza strona wyników pojawiła się po pół sekundy.

Zaczął je przeglądać, w tym czasie zaś Barbara zauważyła, że wyraz twarzy Huntera uległ znaczącej zmianie.

– Znalazłeś coś? – zapytała, podchodząc bliżej.

Uwaga wszystkich skupiła się na detektywie, który siedział z łokciami opartymi na blacie i wzrokiem utkwionym w monitorze. Wyglądał, jakby został zauroczony.

– Co masz? – dociekał West, po czym szybko stanął za Robertem.

– Duszpasterstwo znajdujące się koło Memorial Park w Pasadenie. Mieści się tam od dziesięciu lat, ale sam budynek powstał dwie dekady wcześniej.

– Co w nim wcześniej było? – zainteresował się Holbrook.

– Kościół luterański.

Agent zerwał się na równe nogi i pognał w stronę biurka Huntera.

Garcia podążył za nim.

– To jeszcze nie wszystko – dodał Robert. – Spójrzcie na to. – Kliknął w link znajdujący się na stronie i ich oczom ukazała się fotografia przedstawiająca rzeczony budynek. Jego styl architektoniczny był ze wszech miar niekonwencjonalny. Fasadę stanowiło połączenie witraży o nietypowych kształtach oraz metalowych spoiw, co nadawało mającej kilkanaście metrów wysokości budowli dość psychodeliczny wygląd. Bryła w kształcie litery A sprawiała, że obserwator miał wrażenie, iż widzi jedynie dach budynku, a cała reszta znajduje się pod ziemią. Dzieło wieńczyły schody prowadzące do wejścia – podświetlały je neonowe światła: czerwone, białe i niebieskie.

– *Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego* – zacytował Peter. – Jeśli ten budynek nie jest niekonwencjonalny, to ja nie wiem, jaki jest. Zwłaszcza jeśli chodzi o miejsce kultu.

– To dalej nie wszystko. Zauważyliście nazwę tego duszpasterstwa?

Pozostali spojrzeli na górną część strony. Nazywało się: Duszpasterstwo Wyjątkowej Miłości Chrystusa.

Nawet kapitan Blake poczuła gęsią skórkę.

– Chyba sobie jaja robisz.

*Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego, a znajdziesz coś szczególnego. Znajdziesz coś wyjątkowego.*

– To musi być to – oznajmił Holbrook głosem podniesionym z emocji, wodząc wzrokiem po twarzach.

– Zgadza się – przyłączył się West. – Nie ma szans, żeby to był jakiś cholerny zbieg okoliczności.

– Odprawiają dzisiaj mszę? – spytała Barbara.

Hunter wcisnął przycisk „wróć do strony głównej”.

– Tak – potwierdził, kiedy przeczytał godziny nabożeństw wypisane w prawym górnym rogu. – Następna zaczyna się o dwudziestej. – Zerknął na zegarek. – Czyli za sześć minut.

– A ile nam zostało do telefonu Luciena?

– Dwadzieścia jeden minut – odparł Peter. – Bomba ma wybuchnąć kwadrans po rozpoczęciu.

– Gdzie dokładnie w Pasadenie? – West trzymał już telefon przy uchu.

– Skrzyżowanie Holly Street i Marengo Avenue – wyjaśnił Robert.

Szeryf federalny rozmawiał z dowódcą oddziału saperów, kapitan Blake zadzwoniła zaś do dyspozytora.

– Tu kapitan Blake z wydziału zabójstw – rzuciła do słuchawki. Mówiła wyraźnie, spokojnie, pomimo niecierpliwego tonu. – Zgłaszam czerwony alarm. Proszę poinstruować komisariat w Pasadenie, aby wysłali wszystkie jednostki na skrzyżowanie Holly Street i Marengo Avenue. Celem jest Duszpasterstwo Wyjątkowej Miłości Chrystusa. Cały budynek ma zostać natychmiast ewakuowany. *Cały budynek.* Następnie wszystkich należy odsunąć na co najmniej trzydzieści metrów. Nikt nie może podejść bliżej... *nikt...* z wyjątkiem oddziału saperów, który jedzie już na miejsce.

– Tak, to właśnie powiedziałam: oddział saperów. Pasadena ma... – spojrzała na Huntera.

– Zostało nam dwadzieścia minut.



– Piętnaście minut, aby wyprowadzić wszystkich z budynku i poza obszar trzydziestu metrów, rozumiemy się? *Piętnaście minut*. Załatwcie to... już. – Odłożyła słuchawkę.

– Ruszamy – rzucił West stojący w drzwiach.

– Jak szybko tam dotrzemy? – zapytał Holbrook, kiedy wszyscy wypadli z biura.

– Jest niedzielny wieczór, na kogutach dojedziemy w jakiś kwadrans.

Tyler pokiwał głową.

– Wszystko, kurwa, na styk.

## Czterdzieści dwa

Lucien stanął przed nietypowym budynkiem i uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że Hunter jest bardzo bystry, ale wybrał idealnie.

Zagadka była prawdziwa. Każde zdanie. Każde słowo. Detektyw nie miał szans, żeby ją rozwiązać na czas. Nie w godzinę, niezależnie od jego inteligencji.

Zegarek pokazywał dziewiętnastą pięćdziesiąt sześć, czyli zostało jeszcze dziewiętnaście minut. Dokładnie po tym czasie będzie mógł rozświetlić Los Angeles swoimi fajerwerkami. Przygotował piękny pokaz. Fakt, że nie spojrzył żadnej z ofiar w oczy. Nie dostrzeże paniki w ich twarzach ani nie posmakuje ich strachu, kiedy życie zostanie wyrwane eksplozją z ciała. Mimo to sama świadomość, że własnoręcznie zmontował urządzenie, które jednocześnie zabije tak wiele osób, przepełniała go niemal niewytłumaczalnym uniesieniem.

W środku nie było tłumów, ale ludzie cały czas się zjeżdżali.

Folter postanowił poczekać na zewnątrz jeszcze minutę czy dwie. Nie spojrzył w oczy ofiarom, gdy te zaczęły umierać, ale przynajmniej teraz cholernie chętnie sobie poogląda ich niczego niepodważające, szczęśliwe twarze, pełne nadziei i życia. Twarze, których za dwadzieścia minut już nie będzie.

Dwie z owych twarzy należały do młodej pary, która właśnie przeszła przez ulicę i weszła do budynku. Obejmowali się, na ich ustach gościły pełne zadowolenia uśmiechy. Kiedy go mijali, Lucien zaczął się zastanawiać, jak by zareagowali, gdyby spróbował ocalić ich życie. Co by odpowiedzieli, gdyby po prostu do nich podszedł i ostrzegł, aby nie wchodzili do środka? Poradził im, aby odwrócili się na pięcie, wrócili do domu i byli szczęśliwi?

Posłuchaliby obcego?

Czy jego ostrzeżenie zaniepokoiłoby ich wystarczająco, aby wzięli je pod rozwagę, czy całkowicie zignorowałiby jego słowa?

Uznaliby go za kolejnego świra, który pewnie w dodatku chce wyciągnąć od nich jakieś drobne?

Para zajęła miejsca na końcu sali, z prawej strony, morderca zaś pozwolił swoim myślom ulotnić się na wietrze. Popatrzył jeszcze na kilka innych wchodzących osób, po czym sięgnął po plecak leżący na ziemi u jego stóp.

Czas wejść do środka.

Czy to dlatego, że Lucien w swoich rozważaniach założył, iż młodzi kochankowie i tak nie posłuchają jego ostrzeżenia? A być może przez to, że patrzyli na siebie w tak słodki sposób, że aż mu się robiło od tego niedobrze? Nie wiadomo, jaki dokładnie był powód, ale Folter postanowił położyć swój bagaż jak najbliżej tej dwójki. Zginą jako pierwsi.

*W rzeczy samej, pomyślał. Raj czeka.*

## Czterdzieści trzy

Dwa nieoznakowane samochody z włączonymi syrenami wystrzeliły z parkingu komendy niczym rakiety. Holbrook i West jechali w pierwszym, Hunter zaś, Garcia i kapitan Blake w drugim. Carlos prowadził, nie dlatego, że był lepszym kierowcą, ale dlatego, że miał szybsze i bardziej niezawodne auto.

– Jedź North Hill Street zamiast Santa Fe Freeway – rzuciła Barbara z tylnego siedzenia, kiedy skręcili w West 1st Street. – Kilka dni temu zaczęli remont autostrady. Teraz są tam koszarne korki o każdej porze dnia. Syreny nic by nam nie dały.

– Pierwsze słyszę o remoncie, ale i tak chciałem wybrać tę drogę.

– Cóż, oni z pewnością też nie wiedzieli – skomentowała przełożona, wskazując na czarne camaro Westa, które pognało prosto w kierunku autostrady.

Garcia skręcił w prawo przed Stanley Mosk Courthouse i pojechał estakadą w stronę Chinatown, zupełnie ignorując przy tym znaki stopu i sygnalizację świetlną. Ruch był niewielki, więc bez problemu jechał sto trzydzieści kilometrów na godzinę na trasie, gdzie obowiązywało ograniczenie do dziewięćdziesięciu.

– Ile osób może brać udział w tej mszy? – zapytała kapitan Blake.

– Mogę tylko strzelać, podobnie jak pani – odparł Carlos.

– Ale będą tam dzieci, prawda? – naciskała. – To wieczorna msza, ale i tak będą tam dzieci.

Żaden z detektywów nie odpowiedział. Ich milczenie było wystarczająco wymowne.

Przez radio słyszeli komunikaty policjantów z komisariatu w Pasadenie. Najbliższy patrol znajdował się kilka minut od celu.

– Jakim cudem jeszcze nie dojechali? – rzuciła Barbara. – Przecież zgłosiłam dyspozytorowi czerwony alarm cztery minuty temu.

– Takie już jest Los Angeles – skomentował Robert. – Dostawca pizzy przyjedzie szybciej niż karetka albo radiowóz. A dostawca kokainy przyjedzie jeszcze szybciej

niż dostawca pizzy.

– To popieprzone.

– W stu procentach – zgodził się Carlos.

Wjechali na Arroyo Seco Parkway i niczym pocisk pognali mostem nad Los Angeles River. Gdy dotarli do Sycamore Grove Park, usłyszeli przez radio, że policjanci z Pasadeny są już przy duszpasterstwie. Zegarek na tablicy rozdzielczej wskazywał dwie minuty po dwudziestej.

– Mają jeszcze osiem minut na ewakuowanie wszystkich i usunięcie ich poza obszar trzydziestu metrów – oznajmiła kapitan Blake. – A za trzynaście minut dojdzie do eksplozji.

Po chwili usłyszeli, że saperzy również prawie dotarli na miejsce.

– Osiem minut wystarczy – skwitował Garcia. – Może nie uda nam się uratować budynku, ale jeśli nasi koledzy z Pasadeny się pospieszą, bez problemu wszystkich stamtąd wyciągną.

– Mam nadzieję.

Kiedy zbliżali się do końca Arroyo Seco Parkway, Hunter zauważył kątem oka prawie czterometrowy billboard po prawej stronie, ale potrzebował chwili, żeby uzmysłwić sobie, na co patrzył. Jego umysł potrzebował kolejnej chwili, aby ten obraz przeanalizować.

Detektyw gwałtownie się odwrócił, próbując jeszcze raz spojrzeć na reklamę, ale było już za późno. Poruszył się tak niespodziewanie, że siedząca na tylnej kanapie Barbara podskoczyła ze strachu.

– Robert, co ty do cholery wyprawiasz?

Wówczas zauważyła wyraz jego twarzy i niepokojące spojrzenie. Coś było nie tak.

– Robert, co się dzieje?

Nie odpowiedział, zamiast tego szybko wyciągnął komórkę, włączył wyszukiwarkę internetową i coś do niej wpisał. Wyniki wyskoczyły po pół sekundy.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

Wstukał następne hasło.

– O Boże! – wykrzyknął, gdy zobaczył kolejne wyniki.

– Co jest, do cholery? – tym razem spytał Garcia. – Coś się stało?

Kolejne wyszukiwanie, dla stuprocentowej pewności.

– Nie, nie, nie... To nie może być prawda... – mamrotał pod nosem Hunter. Zamrugał, jego umysł pracował na najwyższych obrotach, aby przemierzyć mroczny labirynt zagadki Luciena. Udało mu się znaleźć z niego wyjście, bez błądzenia po zakamarkach. Wówczas serce niemalże eksplodowało w jego piersi.

– Musisz się zatrzymać – oznajmił.

– Co? – Carlos zmarszczył brwi, patrząc na partnera. – Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? O czym ty mówisz?

– Jedziemy w złą stronę. Pomyliliśmy się. Jakim cudem to przeoczyłem? – Wydawał się wściekły na samego siebie.

– Co przeoczyłeś?

– Wszystkie wskazówki w tej łamigłówce. – Z jego spojrzenia zniknęła pustka, zastąpił ją strach. – Jedziemy w złą stronę.

– Co? – rzuciła kapitan Blake. Wyglądała, jakby szczęka miała jej zaraz opaść do samej podłogi. – Jak to „w złą stronę”?

– Wiem już, o co chodziło w łamigłówce. Rozwiązaniem nie jest duszpasterstwo. Jedziemy nie tam, gdzie trzeba.

## Czterdzieści cztery

Lucien wszedł do środka i znalazł wolne miejsce niecałe półtora metra od pary, którą obserwował wcześniej. Położył plecak na ziemi i wepchnął go pod krzesło. Ciężar tego, co miało się zaraz wydarzyć, w żaden sposób nie wpłynął na jego zachowanie. Folter wyglądał na tak zrelaksowanego, jakby siedział sobie na własnej werandzie w niedzielne popołudnie.

Sprawdził godzinę i powoli rozejrzał się dookoła. Chciał zapamiętać możliwie jak najwięcej twarzy i uczuć, jakie wyrażały: jedne były radosne, inne poważne, jeszcze inne smutne, ale wszystkie całkowicie ślepe na to, co wydarzy się za dziesięć minut.

Wnętrze się zapełniało, gwar rozmów stawał się coraz głośniejszy. Folter usłyszał strzęp dyskusji toczonej przy drzwiach: grupka mężczyzn omawiała wczorajszy mecz. Nie sprawiali wrażenia zadowolonych. Najwidoczniej LA Lakers znowu przegrali, tym razem z Minnesota Timberwolves, w dodatku różnicą dwudziestu jeden punktów.

Rozmowa toczona półtora metra od Luciena wydawała się równie nudna: upatrzona przez niego para zastanawiała się, jaki papier wybrać na ślubne zaproszenia. Mieli się pobrać za niecałe trzy miesiące. Przyszły pan młody proponował tańszy wariant. Próbował przekonać swoją narzeczoną, że powinni oszczędzać, ile się da, na mniej ważnych rzeczach, żeby móc dzięki temu zafundować sobie ciekawszą podróż poślubną. Z kolei jego narzeczoną obstawała przy najdroższej opcji. Nie chciała, żeby goście uważali ją za skąpą. Słuchanie tego przyprawiało Luciena o ból głowy. Nadszedł czas, aby skupić się na czekającym go zadaniu.

– Przepraszam bardzo – powiedział do pary, wychyliwszy się do nich. – Nie chciałbym przeszkadzać, ale może mogliby państwo przypilnować przez chwilę mojego plecaka, kiedy pójdę do łazienki. Schodzi się coraz więcej ludzi, nie chciałbym stracić swojego miejsca. To potrwa tylko chwilę.

– Jasne, kolego, nie ma problemu – odparł mężczyzna i kiwnął mu uprzejmie głową.

Kobieta spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się uroczo, aczkolwiek dość nieśmiało.

– Bardzo dziękuję – rzucił Folter, po czym położył plecak na siedzeniu, aby je zająć. Podsunął krzesło nieco bliżej siedzącej przed nim dwójki. – Za moment wracam.

Kiedy odchodził, narzeczeni wrócili do rozmowy o zaproszeniach. Żadne z nich nie zauważyło, że nie skierował się w prawo, w stronę toalet, tylko w lewo, gdzie minął grupkę debatujących nad wczorajszym meczem mężczyzn, a następnie wyszedł na zewnątrz.

Spojrzał na zegarek: zostały cztery minuty.



## Czterdzieści pięć

– Robert, o czym ty, do ciężkiej cholery, mówisz? – zapytała kapitan Blake. W jej głosie brzmiały zarówno złość, jak i strach.

– Carlos, zatrzymaj się – rozkazał Hunter, trzymając telefon w dłoni. – Już.

– Co, do chuja? – warknął Garcia, zjeżdżając na pobocze. – Lepiej mów, o co chodzi, bo mamy tylko jedenaście minut do wybuchu.

Partner go jednak w ogóle nie słuchał. Dzwonił z nowym zestawem instrukcji do zespołu zajmującego się wyszukiwaniem informacji. Jakies trzydzieści sekund zajęło mu wyjaśnienie ich kierownikowi, czego oczekiwał.

Zarówno Barbara, jak i Carlos przysłuchiwali się jego słowom z wielką uwagą, ale niewiele z tego rozumieli.

– Co tu się dzieje? – dociekała przełożona, kiedy tylko detektyw się rozłączył.

– Ta zagadka nie dotyczy duszpasterstwa ani kościoła, ani w ogóle żadnego miejsca kultu. Chodzi o bar gdzieś w Los Angeles. Nie o były kościół, była bibliotekę, była szkołę, czy w ogóle cokolwiek „byłego”.

– Tak, wiemy, co powiedziałeś przez telefon – skomentował Garcia. – Nie rozumiemy tylko, co masz na myśli. Skąd ta nagła zmiana? I jakim cudem, ot tak, do tego doszedłeś? – powiedział, pstryknąwszy palcami.

– Chwilę temu mijaliśmy wielki billboard niedaleko końca Arroyo Seco Parkway. Wtedy to do mnie dotarło. Zrozumiałem, że zagadka to cholerna gra słów. W dodatku skierowana bezpośrednio do mnie.

– Gra słów skierowana do ciebie? – zapytał z powątpiewaniem partner. – Pogubiłem się.

– Naszym pierwszym błędem była zła interpretacja początkowego fragmentu, przez co myliliśmy się dalej. Właśnie o to chodziło Lucienowi. – Hunter uniósł dłoń, dając im znać, że zaraz wszystko wyjaśni. – Zakładaliśmy, że szukamy jakiegoś miejsca, które pełniło w przeszłości inną funkcję niż teraz, pamiętacie? Myśleliśmy o szkole, bibliotece albo kościele.

– Oczywiście, że pamiętamy. Byliśmy przy tym – rzuciła kapitan Blake.

– Problem w tym, że on nie powiedział nigdy „już nie”. To interpretacja Holbrooka, wszyscy ją przyjęliśmy, ponieważ brzmiała sensownie.

– Co? – Carlos patrzył na niego jak na kosmitę.

Robert z pamięci zacytował pierwszy fragment:

– *Znajdziesz mnie w miejscu, gdzie ludzie powinni milczeć, lecz nie tu. Gdzie powinny być wiersze, lecz nie tu. Gdzie uczniowie powinni przyjść chętni do nauki, lecz nie tu.* On nie mówi „już nie”, tylko „nie tu”.

– Jaka to różnica? – dociekała przełożona, która również wyglądała na nieco zagubioną.

– „Już nie” oznacza, że coś *działo* się w danym miejscu w przeszłości, ale z czasem przestało. Natomiast „nie tu” oznacza, że coś *powinno* się tam dziać, ale tak nie jest. Jestem pewny, że chodzi tutaj o nazwę.

Na twarzach pozostałej dwójki nadal malowała się dezorientacja.

Robert tłumaczył zatem dalej.

– A co, jeśli w Los Angeles jest bar o nazwie Kościół albo Uniwersytet, albo Biblioteka?

Carlos i Barbara się zamyślili.

– Ludzie powinni być cicho w kościele. Ale *nie tu*, nie w „tym” kościele. – Robert nakreślił palcami cudzysłów w powietrzu, aby zaakcentować znaczenie swoich słów. – W tym wypadku „kościół” to tylko nazwa lokalu. Nie chodzi o to, że ludzie kiedyś byli cicho w owym budynku, ale już tak nie jest.

Zarówno jego przełożona, jak i partner potrzebowali kilku chwil, aby przyswoić sobie tę teorię.

– W porządku – zgodził się Garcia, chociaż i tak wydawał się nieco oszołomiony. – Powiedzmy, że kumam tę słowną grę z nazwą. To ma sens. Tylko dlaczego mówisz, że chodzi o bar? Dlaczego akurat bar?

– Wpadłem na to dzięki temu billboardowi, o którym mówiłem. Reklamował whisky. Zastanowiło mnie to i zacząłem szukać odpowiedzi w internecie.

– Jakich odpowiedzi? – spytała kapitan Blake.

Hunter wyrecytował pozostałą część zagadki:

– *Zamiast cichych ludzi znajdziesz głośnych, ale też jednego milczącego. Zamiast śmiechu poetów znajdziesz łzy pisarzy. Zamiast chętnych uczniów znajdziesz kiepskich nauczycieli. Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego, a znajdziesz coś szczególnego. Znajdziesz coś wyjątkowego.* – Skrzywił się ze złością. – To są nazwy whisky. Właśnie sprawdziłem.

– Co?

Na twarzach pozostałej dwójki znowu zagościł wyraz całkowitego zdezorientowania.

– Co jest nazwami whisky?

Hunter wyświetlił na telefonie wyniki pierwszego wyszukiwania i przeczytał na głos.

– „Milczący człowiek” to po angielsku „the quiet man” – irlandzka whisky single malt. „Łzy pisarzy”, czyli „writers tears” to irlandzka whisky copper pot. „Nauczyciele”, czyli „teacher’s”, to z kolei szkocka whisky mieszana, a w porównaniu do innych z tej kategorii jest dość „kiepska”. – Przeszedł do kolejnej strony. – „Coś szczególnego”, czyli „something special”, to również szkocka whisky mieszana i sprzedają ją w dość „niekonwencjonalnych” butelkach. – Pokazał im zdjęcie na wyświetlaczu. – „Wyjątkowa”, czyli „exceptional”, to ten sam gatunek, co poprzednie dwie. Występuje w trzech rodzajach: słodowa, mieszana i zbożowa. – Odłożył komórkę i westchnął z rozpacz. – To nazwy whisky. Na tym billboardzie była reklama teacher’s. Wtedy zacząłem się zastanawiać.

Carlos opadł na oparcie i próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, próbując połączyć ze sobą wszystkie kropki.

Barbara wyglądała na oszołomioną.

– Lucien wie, jak uwielbiam ten trunek – ciągnął Robert. – Zagadkę wymyślił specjalnie dla mnie. Co prawda nigdy nawet nie słyszałem trzech z tych nazw, ale i tak całość opiera się na zagadnieniu, które dobrze znam. W ten sposób daje mi do zrozumienia, że właśnie ja powinienem ją rozwiązać. Pamiętacie liścik, który zostawił w skrzydle szpitalnym?

– Trochę tak, ale nie słowo w słowo – odparł Garcia.

– Powinieneś mnie załatwić w tamtym samolocie, przyjacielu. Ta szansa już minęła. Teraz moja kolej. Przygotuj się, Świerszczu, ponieważ zagramy razem w pewną grę. Ta jego gra nie jest wymierzona przeciwko całemu zespołowi, tylko przeciwko mnie. Powiedział mi też przez telefon, że jak poprawnie odpowiemy na pierwsze pytanie, będę miał prawo usłyszeć zagadkę, którą wymyślił „specjalnie dla mnie”. – Pokręcił głową ze złością. – Jak mogłem być tak cholernie głupi?

– Więc poprosiłeś zespół, żeby...

– Żeby znalazł bar w Los Angeles o nazwie Kościół, Biblioteka albo Szkoła, lub cokolwiek podobnego. Zwłaszcza bar specjalizujący się w whisky. Poza teacher's wszystkie trunki wymienione przez Luciena są strasznie trudne do znalezienia. To bardzo mało popularne marki, więc pierwsza lepsza speluna ich nie zaserwuje, tylko jakiś specjalistyczny lokal.

– A jeśli wybrał na chybił trafił? – zapytała Barbara. – Mógł wyszukać je w internecie tylko na potrzeby zagadki.

– Nie. On na pewno poszedł do tego baru i widział te butelki ustawione na półce albo znalazł je w menu. Pewnie nawet każdej skosztował, dla zabawy.

Garcia zerknął na zegarek.

– Mamy sześć minut.

Wówczas zadzwonił telefon Roberta.

## Czterdzieści sześć

Hunter szybko przyłożył telefon do ucha, nie patrząc nawet na wyświetlacz. Spodziewał się, że oddzwaniają do niego z wynikami poszukiwań. Pomylił się.

– Zgubiliście się, kurwa, czy co? – zapytał West. W jego głosie pobrzmiwała nutka zdziwienia, ale przede wszystkim ryczała w nim wściekłość. – Gdzie, do chuja, jesteście?

Detektyw westchnął.

Tyler nie dał mu szansy na odpowiedź.

– Policjanci z Pasadeny świetnie się spisali. Wszystkich usunięto z budynku i poza wyznaczony obszar rażenia. Dalej mamy ponad pięć minut do wybuchu, saperzy szukają właśnie ładunku.

– Jesteście w złym miejscu – odparł Robert stanowczo i poważnie.

– Przepraszam, możesz powtórzyć?

– Źle rozwiązaliśmy zagadkę. Celem Luciena nie jest Duszpasterstwo Wyjątkowej Miłości Chrystusa. Jesteście nie tam, gdzie trzeba.

– To jakieś pieprzone żarty? Jeśli tak, to wcale nie są śmieszne.

– To nie żarty. Pomyliliśmy się. – Hunter przerwał na chwilę i zaraz sprostował. – Ja się pomyliłem. W zagadce nie chodzi o duszpasterstwo, kościół czy cokolwiek podobnego, tylko o bar.

– O co? O bar? Jaki bar? O czym, do ciężkiej cholery, mówisz?

– Nie wiemy jeszcze. Dlatego właśnie muszę się rozłączyć, mamy mało czasu. – Wbił spojrzenie w partnera. – Zadzwoń do Carlosa, on ci to wyjaśni.

Garcia omal się nie zadławił.

– Co?

– Muszę kończyć – rzucił do słuchawki i się rozłączył.

Po chwili telefon Carlosa zaczął dzwonić. Detektyw spojrzął na wyświetlacz: West.

– Po prostu cudnie – powiedział, po czym odebrał połączenie.

Chwilę później ponownie rozległ się dzwonek w komórce Roberta. Tym razem to był telefon, na który czekał.

## Czterdzieści siedem

– Proszę, powiedz, że coś macie – rzucił Hunter, odebrawszy połączenie. W jego głosie brzmiała desperacja.

– Możliwe – odparła Shannon Hatcher, kierownik zespołu, któremu zlecił wyszukanie informacji. Dla odmiany w jej głosie brzmiał wyłącznie sceptycyzm. – Ale nie mam pewności.

– OK, mów wszystko.

– To właśnie jest problem. Nie znaleźliśmy żadnego baru z whisky w Los Angeles o nazwie Kościół czy jakiegokolwiek wariacji tego słowa. Tak samo z Biblioteką czy Szkołą.

– Kurwa! – wyszeptał detektyw przez zaciśnięte zęby.

– Miałam jednak szukać czegoś podobnego, prawda? – ciągnęła Shannon.

– Tak.

– W Hollywood znajduje się lokal Ateneum Whisky, a „ateneum” to odniesienie do uczelni.

Serce Roberta praktycznie przestało na chwilę bić, zaś cała krew z jego ciała gdzieś odpłynęła i stał się trupio blady.

Ostatnia część zagadki nagle nabrała sensu: *Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego.*

– Nie chodziło o niekonwencjonalny kształt butelki – wyszeptał do siebie, chociaż Garcia i kapitan Blake i tak go usłyszeli. – Chodziło o nazwę lokalu. Shannon, jesteś genialna. To jest to. To musi być ten bar. Masz jego adres i numer telefonu?

– Oczywiście. – Kobieta podyktowała dane, które Hunter przekazał pozostałym.

Carlos dalej rozmawiał z Westem, podał mu zatem adres, po czym szybko zawrócił i pojechał w kierunku Arroyo Seco Parkway.

Barbara również sięgnęła po telefon. Zadzwoiła do dyspozytora i wydała identyczne polecenia, jak wcześniej. Sęk w tym, że przy odrobinie szczęścia jeden radiowóz albo dwa dojadą do Hollywood w cztery minuty. Tyle czasu im zostało. Natomiast nie istniała żadna szansa na to, że saperzy również tam dotrą. Bomba i tak wybuchnie.

– Szlag! – warknął Garcia i mocno nadepnął pedał gazu, rozpędzając tym samym swoją hondę civic do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. – Nawet jakbyśmy mieli puste ulice, to podróż zajmie piętnaście albo dwadzieścia minut.

– Rób, co możesz – odparła pani kapitan.

Hunter się rozłączył i od razu wybrał numer Ateneum Whisky.

– Dzwoni – ogłosił wszystkim. – Dawaj, dawaj, odbierz – błagał pod nosem.

Trzy i pół minuty do końca czasu.

– Witam w Ateneum Whisky – w słuchawce odezwał się nagle męski głos. – W czym mogę pomóc?

Ucho Roberta zaatakowała również głośnie muzyka.

– Proszę mnie uważnie posłuchać – zaczął detektyw najspokojniej, jak tylko potrafił. – Nazywam się Robert Hunter, jestem detektywem wydziału zabójstw policji w Los Angeles. Proszę *natychmiast* wyprowadzić wszystkich z lokalu. Po wyjściu z budynku proszę pójść na drugą stronę ulicy. Rozumie pan?

– Nie, nie bardzo – odparł mężczyzna, próbując przekrzyczeć muzykę. – Co mam zrobić?

– Proszę wyprowadzić wszystkich z budynku i przejść na...

– Nie słyszę cię, kolego – przerwał mu rozmówca.

*Bo ta muzyka napieprza za głośno*, pomyślał Hunter.

– Jest problem z zasięgiem. Rozłączę się, zadzwoń jeszcze raz, dobra?

– Nie, nie rozłączaj... – próbował go powstrzymać detektyw, ale na próżno. – No chyba sobie jaja robisz! – krzyknął, po czym ponownie spróbował się połączyć.

Dwie i pół minuty do końca czasu.

Jeden sygnał... drugi... trzeci.

– Na miłość boską, odbierz.

W radiu policyjnym rozbrzmiał komunikat, że najbliższy radiowóz dojedzie na miejsce za nieco ponad dwie minuty.



– Nie zdążą – oznajmił Garcia, a następnie westchnął pokonany.

W końcu ktoś odebrał. Tym razem była to kobieta.

Dwie minuty do końca czasu.

– Ateneum Whisky. W czym mogę...

– Proszę mnie posłuchać – wtrącił się Robert, ale nie zdołał nic więcej powiedzieć, ponieważ kapitan Blake wyrwała mu komórkę z ręki.

– Ja to zrobię – oznajmiła. – Mówi kapitan Barbara Blake z wydziału zabójstw. – Jej ton był bardzo autorytarny. – Nie będę owijała w bawełnę. Jakiś pieprzony świr podłożył bombę w tym lokalu. Wybuchnie za...

– Bomby? – odparła kobieta, niemalże krzycząc. – Oczywiście, że serwujemy bomby. Bomby z jägermeisterem, z dr. Pepperem, bomby irish car albo glitter... do wyboru, do koloru. Mamy całą gamę bomb w menu. Szukamy czegoś konkretnego?

– Nie! – odkrzyknęła Barbara. – Słuchaj uważnie. – Nadszedł czas na obrazowe przedstawienie sprawy. – Za półtorej minuty wszyscy w barze zginą, łącznie z tobą. Ktoś podłożył bombę. Mówię poważnie... to się zaraz wydarzy. Zostało dziewięćdziesiąt sekund. Musisz ewakuować wszystkich. NATYCHMIAST!

W słuchawce zapadła chwilowa cisza.

– To jakiś żart?

– Nie, to nie jest żaden pieprzony żart. – Kapitan Blake zaczynała tracić cierpliwość. – Mówię poważnie i właśnie marnujemy czas. Musisz wyprowadzić wszystkich naty...

– Musi pani porozmawiać z kierownikiem – przerwała jej kobieta. – Proszę poczekać.

– Nie... nie ma na to czasu. Zaraz się skończy...

Po drugiej stronie jednak nikogo już nie było.

– O mój Boże... wrrr! – Barbara wydała z siebie pełen frustracji warkot. – Co jest z tymi ludźmi?

– Nic, pani kapitan – odparł Hunter. – Są po prostu ludźmi.

Zegar tykał.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – W słuchawce odezwał się nowy męski głos. Bez wątpienia należał do kierownika. – O co chodzi z tą bombą?

Trzydzieści pięć sekund do końca czasu.

– Jestem kapitanem wydziału zabójstw. Musi pan wyprowadzić wszystkich z baru, *natychmiast*. To nie jest żaden żart ani kawał. Ktoś podłożył bombę w pańskim barze, została niecała minuta do eksplozji.

– Bombę? W sensie prawdziwą bombę?

Barbara przewróciła oczami.

– Tak, prawdziwą bombę, taką, która wysadzi w powietrze cały lokal i zabije wszystkich, łącznie z panem i pracownikami.

– Jezu! – kierownik w końcu zrozumiał powagę sytuacji. – Ile czasu zostało?

Kapitan Blake spojrzała na zegarek. Krew niemalże zamarzła jej w żyłach.

– Dwanaście sekund – odparła wyzutym z nadziei tonem.

– Dwanaście... kurwa!

W słuchawce rozległ się łoskot, kiedy mężczyzna po prostu upuścił telefon. Trzy sekundy później muzyka nagle ucichła.

Siedem sekund do końca czasu.

– Słuchajcie – Barbara usłyszała głos mężczyzny. – HEEEEJJJJ.

Trzy sekundy do końca czasu.

– Wszyscy muszą natychmiast...

Rozległ się koszmarnie głośny huk, po którym połączenie zostało przerwane.

Nagle komórka Huntera zapiszczała w rękach pani kapitan, sygnalizując nadejście wiadomości.

Robert sięgnął po nią i zerknął na wyświetlacz.

Nieznany numer. Otworzył SMS, który składał się z jednego słowa i uśmiechu.

BUM :)

## Czterdzieści osiem

Narzeczeni w barze Ateneum Whisky w Hollywood w końcu uzgodnili, jaki rodzaj zaproszeń ślubnych wybiorą. W zasadzie to nie do końca „uzgodnili”, tylko po prostu przyszedł pan młody skapitulował. Zaliczyli już kilka podobnych rozmów i mężczyzna doskonale wiedział, że nie jest w stanie wygrać, nieważne, jak racjonalne argumenty przytoczy. Jeśli jego wybranka chciała najdroższy rodzaj papieru, to dostanie najdroższy rodzaj papieru. I tyle.

– Wypijemy jeszcze po drinku? – zapytał, sięgając po menu leżące na stoliku.

– Czemu nie? – odparła, zerknąwszy na zegarek. – Jest wcześnie. – Zbliżyła się do niego i go pocałowała. – Co zamówisz?

– Zostanę przy whisky – oznajmił, przekładając kolejne kartki. – Ale chyba zdecyduję się na coś innego. Coś trochę łagodniejszego. Może jakąś irlandzką? A ty?

– Hmm, sama nie wiem. – Spojrzała na listę koktajli wiszącą nad barem. – Myślę o tamaryndowej margaricie, co ty na to?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Brzmi dobrze... chyba. Ty to będziesz piła.

– Tak, zamów mi ją, proszę – powiedziała z pewnością w głosie.

– W takim razie zaraz dostaniesz tamaryndową margaritę. – Odsunął trochę krzesło od stolika, żeby móc wstać. – Kochanie, widziałaś tego gościa, którego plecaka mieliśmy pilnować? – zapytał narzeczoną, marszcząc brwi, po czym rozejrzał się dookoła.

Kobieta zupełnie o tym zapomniała.

– Nie, nie widziałam go od tamtej pory – odparła i również zaczęła się rozglądać.

– Mówił, że idzie do łazienki. Ale minęło już trochę czasu. Myślisz, że jeszcze tu gdzieś jest?

– Nie wiem. Chcesz sprawdzić?

– Szukać go w łazience? Nawet go nie znam. Myślisz, że powinienem?

– Nie jestem pewna. – Spojrzała na plecak leżący na pobliskim krześle.

Właśnie w tym momencie zadzwoniła komórka schowana w wewnętrznej kieszeni plecaka. Jej wyświetlacz rozjarzyła informacja o połączeniu. Ułamek sekundy później Ateneum Whisky przestało istnieć.

## Czterdzieści dziewięć

Dwie dziesiąte sekundy. Szybciej niż człowiek jest w stanie mrugnąć. Tyle potrzebował telefon umieszczony w plecaku, aby wysłać impuls elektryczny ze swojej baterii do pary przewodów, które przeniosły go do niewielkiej metalowej powłoki umiejscowionej w sercu ładunku. Owa wypełniona prochem powłoka pełniła funkcję detonatora.

Tak naprawdę detonator to taka mała bomba schowana wewnątrz dużej bomby.

Gdy dochodzi do zapłonu detonatora, produkuje on ciepło, które zwiększa temperaturę wewnątrz jądra ładunku C4 do wyższej, niż potrzeba do wywołania eksplozji.

BUM!

Istotnie, to było wielkie bum.

Huk słyszano w promieniu kilku kilometrów – od Bel Air na zachodzie po Glassell Park na wschodzie. Co ciekawe, nikt wewnątrz baru go nie usłyszał.

Folter umieścił swoją bombę w metalowym pojemniku o wymiarach trzydzieści na trzydzieści centymetrów. Pozostałą przestrzeń wypełnił stalowymi kulkami od łożysk, nakrętkami i gwoździami. Do boków pojemnika przykleił jeszcze dwie półtoralitrowe butelki etanolu, który osiągał maksymalną temperaturę spalania wynoszącą tysiąc dziewięćset dwadzieścia stopni Celsjusza.

Gdy ładunek C4 eksplodował, zmienił swój stan z ciała stałego w gaz – bardzo łatwopalny gaz. Profesjonalnie uszczelniony pojemnik natychmiast został rozerwany na setki kawałków różnej wielkości, które razem z jego zawartością stały się morderczą chmurą latającego metalu. Nikt nie mógł znaleźć przed nią ucieczki. To jednak była tylko część zabójczej siły, jaką miała bomba.

Wybuch przemieścił również znaczącą ilość powietrza, która z powodu prędkości stała się przeraźliwie gorąca. Kiedy weszło ono w kontakt z etanolem, wytworzyło drugą morderczą chmurę: ta składała się z czystego ognia. Obie

chmury rozprzestrzeniały się jednocześnie we wszystkich kierunkach, zwiększając swój rozmiar niemalże dwukrotnie po przebyciu kilkunastu centymetrów.

Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy z tego, że fala uderzeniowa wywołana przez eksplozję działa na podobnej zasadzie jak tornado, czyli nie tylko niszczy wszystko, co stanie na jej drodze, ale również zasysa do swego jądra pozostałości po zniszczeniach: drewno i kawałki metalu z roztrzaskanych stołów i krzeseł, odłamki szkła z butelek i szklanek, odłupany beton ze ścian i kolumn, fragmenty kości i ludzkich tkanek wyrwane z ciał ofiar. To tylko powiększa jeszcze zabójczą, poruszającą się z prędkością światła chmurę.

Oczywiście że znajdujący się najbliżej plecaka narzeczeni ucierpieli jako pierwsi. Do chwili, gdy fala uderzeniowa dotarła do kolejnego stolika, zajmowanego przez trójkę studentów, obszar zagłady powiększył się ponaddziesięciokrotnie.

Kolejne niszczycielskie odpadki zostały zassane do kotłującej się chmury, która następnie uderzyła w małżeństwo siedzące jakieś półtora metra od stolika studentów. Właśnie świętowali, ponieważ mężczyzna po trzech latach walki pokonał raka prostaty.

Fala zniszczenia parła naprzód. Kiedy dosięgła czterech kibiców nadal rozmawiających o meczu koszykówki, była już tak ogromna, że wypełniała całe Ateneum Whisky od jednego krańca po drugi, a także od podłogi do sufitu. Przebycie ponad sześciu metrów oraz pokonanie rozmaitych dużych przeszkód – stołów, krzeseł, ludzkich ciał i tak dalej – sprawiły, że jej energia stała się nierówna, przez co każdy z czterech fanów Los Angeles Lakers został uderzony z inną siłą.

Niszczycielska chmura, ciężka od krwi i fragmentów ciał, po prostu pochłonęła dwójkę stojącą za barem – kierownika i kelnerkę.

Niecałą sekundę po eksplozji podmuch uderzył we frontową ścianę lokalu, rozbijając wszystkie szyby, po czym reszta energii rozproszyła się w nocnym powietrzu. Matematyczne wyliczenia Luciena co do siły wybuchu w odniesieniu do wielkości pomieszczenia okazały się bezbłędne. Gdy fala uderzeniowa wydostała się na zewnątrz, pozostało w niej tyle siły, aby zgasić z pół tuzina świeczek, nic więcej. Nawet szkło z potłuczonych okien nie zostało odrzucone dalej niż kilka metrów.

Zabójcza siła zniknęła.

Wykonała swoje zadanie.

Nie zostało nic do zniszczenia.

Nie został nikt do zabicia.

Sufit nad miejscem eksplozji się zawalił. Lada barowa została wyrwana z podłogi. We wnętrzu tego, co przed chwilą stanowiło Ateneum Whisky, można było obecnie znaleźć rumowisko, gruz i śmierć. Wszędzie szalały płomienie wywołane nie tylko połączeniem rozgrzanego powietrza z niezwykle łatwopalnym etanolem, który Folter przymocował do bomby, ale również wyposażeniem baru: zawartość alkoholu w większości butelek wynosiła co najmniej czterdzieści procent.

Fala uderzeniowa przetoczyła się przez lokal i zniknęła w ciągu dziewięciu dziesiątych sekundy, ale pożar dopiero zaczynał siać zniszczenie.

W chwili wybuchu w środku przebywały trzydzieści dwie osoby. Dziewięć dziesiątych sekundy później dwadzieścia dziewięć z nich już nie żyło.

Trzy osoby przeżyły eksplozję. Dwie klientki i jeden pracownik baru. Całej trójce sprzyjało szczęście, chociaż okazało się, że klientkom sprzyjało ono bardziej.

Kobiety się nie znały, traf jednak chciał, że w odpowiedniej chwili znalazły się w łazience.

Mężczyzna, będący jedną z trzech osób pracujących tego wieczora, w czasie eksplozji przebywał na zapleczu, gdzie poszedł po butelkę whisky the quiet man, gdyż zabrakło jej w barze. Dwie panie miały więcej szczęścia, ponieważ wyjście ewakuacyjne znajdowało się na końcu korytarza, gdzie mieściła się toaleta.

Po wybuchu nastąpił bardzo krótki moment uświadomienia, po którym nastąpiła czysta panika. Ocalałe kobiety dopiero po minucie przestały krzyczeć. Po kolejnych trzydziestu sekundach otrząsnęły się z początkowego szoku i zdały sobie sprawę z tego, że powinny jak najszybciej uciec z budynku.

Pracownikowi baru, stojącemu na zapleczu, los aż tak nie sprzyjał. Było to tak naprawdę po prostu małe pomieszczenie za barem. Można do niego wejść przez drzwi umiejscowione na końcu lokalu. Nie uwięził go w tam wybuch, lecz wywołany nim pożar. Nie było szans, żeby dał radę znaleźć drogę na zewnątrz przez to pobojuwisko i nie spłonąć przy tym żywcem.

Zasłonił usta i nos koszulką, ale i tak zemdlął z powodu zezadzenia po niespełna pięciu minutach. Po kolejnych czterech jego serce przestało bić.

Miał zaledwie dwadzieścia jeden lat.



## Pięćdziesiąt

Obawy kapitan Blake się spełniły: żaden radiowóz nie zdążył dotrzeć do celu na czas. Policjanci właśnie wyjechali z zakrętu, kiedy ujrzeli, jak lokal zostaje rozerwany na strzępy przez eksplozję, a następnie staje w płomieniach.

– Jezu! – wykrzyknął funkcjonariusz Jordan, jednocześnie naciskając z całych sił hamulec i skręcając ostro w lewo.

– Mój Boże! – wydusiła z siebie policjantka Prescott, po czym drżącymi dłońmi zasłoniła usta. To był dopiero jej drugi miesiąc służby.

Minutę później na miejsce przybyło pięć kolejnych radiowozów. Wszyscy policjanci bardzo się starali, ale niewiele dało się zrobić, poza kontrolowaniem chaosu, jaki wybuchł wśród postronnych gapiów, przyglądaniem się, jak budynek płonie, i czekaniem na straż pożarną, która dotarła niewiele później.

Pierwszy wóz straży przyjechał o dwudziestej dwadzieścia sześć, jedenaście minut po wybuchu bomby. Dwa kolejne pojawiły się po kilku chwilach. Dwudziestu jeden strażaków walczyło z ogniem przez dokładnie dziewięć minut i czterdzieści dziewięć sekund, aż do momentu ugaszenia ostatniego płomienia.

Słupy dymu wyrastały z popiołów, wysyłając w nocne niebo przerażający opar. Towarzyszyło temu pełne oszołomienia milczenie, uświadamianie sobie, że to wydarzyło się naprawdę, i niewysłowiony smutek. Pojawił się również ogromny strach, ponieważ wszyscy zrozumieli, że to nie był wypadek. Przyczyną eksplozji, która zrównała bar z ziemią, nie był wyciek gazu czy inne losowe zdarzenie. Za tą tragedią stał człowiek.

Dym nad pogorzeliiskiem niósł ze sobą coś jeszcze. Coś, co każdy znajdujący się w okolicy miał nieprzyjemność poczuć. Pewną szczególną woń, która brutalnie wdzierała się do nozdrzy, pełzła dalej, drapiąc każdą napotkaną tkankę niczym tłuczone szkło, aż w końcu trafiała do płuc. Była tak niezwykle intensywna, że wywracała na drugą stronę żołądki nawet najbardziej doświadczonych strażaków.

To woń zwęglonych ludzkich ciał.

## Pięćdziesiąt jeden

Hunter siedział na krawężniku naprzeciwko tego, co kiedyś było barem Ateneum Whisky. Nogi miał zgięte w kolanach, stopy trzymał płasko na asfalcie. Płomienie zostały ugaszone ponad trzydzieści minut wcześniej. Patrzył prosto przed siebie na dymiące pozostałości budynku, ale wcale ich nie widział.

Razem z Garcia i kapitan Blake dojechali na miejsce, kiedy straż pożarna walczyła z szalejącym ogniem. Agent specjalny Holbrook i szeryf federalny West przybyli sześć minut później.

Robert był znany z tego, że potrafił zachować pokerową twarz. Nikt nie umiał go rozgryźć. Nie ujawniał targających nim emocji. Tym razem jednak nawet ślepiec zauważyłby, w jakim jest stanie: była to mieszanina rozpacz, cierpienia i beznadziei. Ani jego partner, ani przełożona nie widzieli nigdy, aby detektyw sprawiał wrażenie aż tak pokonanego.

Całkowicie pozbawiony sił przyglądał się, jak strażacy toczą bój z płomieniami, dając z siebie wszystko. Prasa – zarówno krajowa, jak i zagraniczna – tłumnie przybyła do tej części Hollywood. Dziennikarze roili się w okolicy, dwojąc się i trojąc, aby uzyskać wszelkie możliwe informacje od każdego, kto tylko chciał z nimi rozmawiać. Spekulacje mnożyły się bez końca: jedni podejrzewali uśpione grupy terrorystyczne, które właśnie ujawniły się w Los Angeles, inni obwiniali zamachowców samobójców, którzy weszli na teren USA przez Meksyk, jeszcze inni doszukiwali się w tej tragedii narodzin nowego, bardziej niebezpiecznego Unabombera.

Do Huntera podeszło co najmniej trzech reporterów z różnych stacji, ale w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że zauważył ich obecność.

Lampy błyskowe rozświetlały zgłiszczę z taką częstotliwością, jakby właśnie trwała uliczna impreza disco rodem z lat osiemdziesiątych. Gapiów trzymano poza wytyczoną przez taśmę policyjną granicą, zaś każdy z nich miał w dłoniach telefon, którym nagrywał wszystko, co tylko się dało. Jeszcze zanim przybyła straż

pożarna, w mediach społecznościowych pojawiły się dziesiątki transmisji na żywo, ukazujących szalejące płomienie.

– Chcesz się napić wody? – zapytał Garcia, stanąwszy obok partnera.

Robert nic nie odpowiedział: wpatrywał się w słupy dymu wzbijające się w powietrze. Wyglądały, jakby zabierały dusze wszystkich, którzy zginęli w barze, przenosząc je w jakieś lepsze miejsce.

Carlos usiadł przy nim i postawił butelkę koło jego stóp.

– Chciałem pomóc tym ludziom – wydusił z siebie w końcu Hunter, nie odrywając oczu od dymnych duchów. – Powinienem być wcześniej rozwiązać tę zagadkę. Wszystko miałem przed oczami... wszystkie wskazówki... podpowiedzi. Jak mogłem być tak ślepy?

– To nie twoja wina. – Garcia doskonale znał tę mroczną pustkę, w którą spoglądał jego przyjaciel. – Nikt... nikt na całym świecie nie dałby rady jej rozwiązać szybciej, wiesz o tym. Tylko ty mogłeś tego dokonać i zrobiłeś to. Po prostu zabrakło nam czasu. Daj spokój, stary, sześćdziesiąt minut, żeby poradzić sobie z całym tym gównem? Milczący mężczyzna? Łzy pisarzy? Coś wyjątkowego? I co tam jeszcze? „Miejsce, gdzie ludzie powinni milczeć, ale nie tu? Nie szukaj oczywistego, tylko niekonwencjonalnego?”. Chyba sobie jaja robisz. To praktycznie niewykonalne zadanie. On chciał, żeby ta bomba wybuchła.

Popatrzył w tym samym kierunku co partner, po czym westchnął ze złością.

– Gdyby nie upór pracowników, to udałoby nam się uratować tych ludzi. Dwie minuty. Mieliśmy jeszcze dwie minuty, kiedy do nich zadzwoniłeś. To nieduży lokal. Żadnej kuchni, tylko bar. Gdyby ten facet posłuchał tego, co mówiliście ty i pani kapitan, wyprowadziliby wszystkich. Wiem, jakie to wszystko jest frustrujące, ale to nie jest twoja wina.

– Znałem ten bar – oznajmił Robert ze smutkiem. – Byłem tutaj raz, jakieś trzy lata temu. Idealne miejsce, jeśli chciałeś spróbować irlandzkiej whisky. Powinienem o tym pomyśleć. Kiedy odgadłem, że Lucien ma na myśli jakiś bar, powinienem pomyśleć o tym miejscu. Dlaczego tego nie zrobiłem?

– Bo jesteś człowiekiem, a nie jakąś pierdoloną maszyną – odparował Carlos.

– Jak, do cholery, udało ci się w ogóle na to wpaść? – spytał West, podchodząc do obu detektywów. Wcześniej, razem z Holbrookiem, zajmowali się rozmową z dowódcą strażaków. – W jaki sposób od tej porąbanej zagadki doszedłeś do

nazwy baru? – W jego głosie nie brzmiała złość. Wydawał się szczerze zadowolony.

– To bez znaczenia – rzucił Hunter, nie patrząc nawet na niego. – Efekt jest dokładnie taki sam, jakbym wcale do tego nie doszedł. – Kiwnął głową w kierunku zgliszczy. – Nie dojechaliśmy na czas. Nikogo nie uratowaliśmy.

– Co za bajzel – skomentowała kapitan Blake, dołączywszy do nich. Ona również rozmawiała z szefem strażaków. – Co za cholerny bajzel.

– Oficjalną liczbę ofiar poznamy dopiero za kilka dni – poinformował ich Holbrook. – Jeśli uda się ją dokładnie określić. Do środka będzie można wejść jutro rano, wtedy zaczniemy szukać ciał. Musimy jednak pamiętać, że to był wybuch bomby: wszystko zależy od tego, ile osób stało bezpośrednio przy ładunku oraz od jego mocy. Możliwe, że niektóre zwłoki zostały starte na proch.

Zanim Robert zdążył się podnieść, zadzwoniła jego komórka.

Nieznany numer.

Nie musiał nic mówić. Wszyscy po jego minie zorientowali się, kto dzwoni.

## Pięćdziesiąt dwa

– Całkiem niezłe bum, prawda? – rozległ się głos Luciena. Hunter od razu po odebraniu połączenia włączył głośnik. Razem z pozostałymi szybko oddalił się nieco od nawołujących się strażaków i policjantów otaczających miejsce eksplozji.

– Ach, wybacz – ciągnął sarkastycznym tonem morderca. – Nie widziałeś tego na żywo. Ale teraz tam jesteś, prawda? Zakładam, że patrząc na budynek... a raczej to, co z niego zostało, jesteś w stanie wyobrazić sobie, jak majestatyczne było moje „wielkie bum”.

W jego głosie nie brzmiał ani cień skruchy. Żadnego żalu. O wybuchu bomby mówił tak, jakby opisywał pierwszą lepszą scenę z filmu albo z książki, a nie prawdziwe okrucieństwo, które sam zaplanował i którego dokonał.

– Ty sukinsynu! – wypalił West z ogniem w oczach. Robert nie zdążył wyciszyć telefonu na czas. – Poczekaj tylko, aż wpadniesz w moje ręce.

Detektyw bezgłośnie powiedział: „Nie brnij w to”.

– O! Witam – rzucił z radością Folter. – Wychodzi na to, że mamy nowego gościa na naszym przyjęciu, Świerszczu, w dodatku dość rozzłoszczonego. Kimże może być ta strapiona osoba? – Nie czekał na odpowiedź. – Nie, nie, sam zgadnę. Hm... Chyba postawię na... szeryfa federalnego. Mam rację?

– Masz rację, kutasie. – Z każdą chwilą wściekłość Tylera rosła.

Hunter pokręcił głową.

Mężczyzna nie przejął się tym ani trochę.

– Jestem Tyler West, szeryf federalny. Zrozumiałeś, łajzo? Ty-ler West. – Powtórzył powoli. – Lepiej zapamiętaj, bo to właśnie ja zakuję cię w kajdanki.

– Doprawdy?

– A żebyś wiedział.

Morderca wybuchnął śmiechem.

– Nie mogę się doczekać tej chwili, szeryfie federalny Ty-le-rze West. Dobrze wymówiłem?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Robert wyłączył mikrofon w telefonie.

– Skończyłeś już? To wcale nam nie pomaga. Nieważne, co mu powiesz, i tak nie dasz rady go zastraszyć, tymczasem to on miesza ci w głowie. Nie widzisz tego? Opuść.

West uniósł obie dłonie do góry w geście kapitulacji.

– Twoim problemem, szeryfie – ciągnął Lucien – jest to, co odróżnia cię od ludzi mojego pokroju, a nawet od Roberta. – Przerwał, aby zwiększyć napięcie. – To są emocje. Od razu widać, że nie masz ich pod kontrolą, rządzą tobą, wpływają na osąd, kierują twoimi słowami, a czasem zapewne również czynami. U człowieka na twoim stanowisku to wielka, ogromna wprost wada. Jeśli nic z nią nie zrobisz, to pewnego dnia niechybnie doprowadzi do twojego upadku.

Tyler spojrzał na detektywa z niedowierzaniem.

– Ten kutas daje mi teraz rady zawodowe? – wyszeptał.

– Chciałbyś wiedzieć, dlaczego komuś takiemu jak ja tak łatwo jest zabić kogoś, a potem odejść, bez poczucia winy, bez żalu, bez smutku?

Robert ponownie wyłączył mikrofon.

– Nie, nie chciałbym – odparował wściekle West.

Lucien się zaśmiał.

– Widzisz? Znowu to samo. Emocje ponownie wzięły górę nad rozumem i przemawiają za ciebie, no bo kogo tu oszukujesz? Wszyscy wiemy, że prawdziwa odpowiedź brzmi: „Oczywiście, że chciałbym”. Jesteś stróżem prawa, a ja oferuję ci bardzo rzadką wiedzę. Taką, która może kiedyś pomóc ci złapać podobnego do mnie przestępcę. Oferuję wiedzę, jakiej nie znajdziesz w książkach, badaniach ani gdziekolwiek indziej. Jedynie psychopaci mają do niej dostęp, chociaż przyznaję, że większość z nich nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale ja jestem inny.

Szeryf federalny szykował się, żeby mu ostro przerwać, ale pozostali to przewidzieli i powstrzymali go na migi.

– Jestem badaczem. Naukowcem zgłębiającym tajemnice umysłu. Psychopatą, który bada psychopatów. Ich metody... sztuczki... myśli... czyny... słowem: wszystko. Właśnie dlatego posiadam tę wiedzę i chcę się nią podzielić. Robert kiedyś stwierdził, że jestem psychopatą z wyboru, nie urodziłem się taki. To

właśnie czyni mnie najbardziej niebezpiecznym rodzajem mordercy. Ja nie zabijam z powodu wewnętrznej, niekontrolowanej potrzeby, tylko dlatego, że chcę. A to oznacza, że wszystko mam zaplanowane.

Zdawało się, że te słowa zmroziły powietrze.

– Może spróbujemy zatem jeszcze raz? To ostatnia szansa. Chciałbyś wiedzieć, dlaczego komuś takiemu jak ja tak łatwo jest zabić kogoś, a potem odejść, bez poczucia winy, bez żalu, bez smutku?

Wszyscy pokiwali głowami, zachęcając Westa, który zacisnął zęby w cierpieniu, zupełnie jakby ktoś wbił mu nóż w plecy. Wypowiedzenie tych dwóch słów stanowiło dla niego przyznanie się do porażki.

– Tak, chciałbym.

– No proszę, właśnie takiego nastawienia szukałem. Cóż, szeryfie federalny, skoro tak ładnie prosisz, to pozwól, że zaspokoję twoją ciekawość. Dla niektórych psychopatów zabicie człowieka i pozbycie się wszelkich emocji z tym związanych jest tak łatwe, ponieważ jak tylko czyn zostanie popełniony, opowiadają sobie tę historię jeszcze raz, transponując mordercę.

Tyler zrobił minę wyrażającą: „Co on w ogóle pieprzy?”.

Lucien zaczął wyjaśniać, zupełnie jakby widział jego reakcję.

– Chodzi mi o to, że nagle morderstwo nie jest „moim” morderstwem. To zrobił ktoś inny, jakaś fikcyjna postać... Ktoś z mojej wyobraźni... Potwór, którego nie można kontrolować.

Przerwał, aby wszyscy mogli przetrwać jego słowa.

– Dlaczego ktoś ma czuć się winny przez coś, czego nie może kontrolować? W umyśle psychopaty rzeczywistość staje się fikcją. Morderstwo staje się grą, zabawą, zupełnie jak policjanci i złodzieje z czasów dzieciństwa. Bawiłeś się w to? To nie było rzeczywiste. Kiedy kończymy grę, już tego nie ma. Nie jesteśmy policjantami ani złodziejami, ani mordercami. Wszystko zostaje na placu zabaw.

– On tak, kurwa, na serio? – wyszeptał Garcia, zasłaniając nieco dłonią usta, aby Folter nie mógł go usłyszeć.

– Nie powinno cię zaskoczyć, że ta technika nie jest zarezerwowana wyłącznie dla psychopatów – ciągnął Folter. – Wręcz przeciwnie. Rządy i wojsko na całym świecie z niej korzystają, zwłaszcza podczas wojny. Jak myślisz, dlaczego ci wszyscy zbrodniarze wojenni z Czeczenii, Syrii, Iraku, Auschwitz, Konga, Ameryki

Południowej i tak dalej, mogli zamordować tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, na polach bitew czy w obozach koncentracyjnych, a potem spać spokojnie jak po wyuzdanej orgii?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

– Jestem pewny, że Robert wszystko ci potem dokładniej wytłumaczy, ale nazywamy to „dysocjacją”. Być może o niej słyszałeś. – W tonie mordercy ponownie pojawił się sarkazm. – Właśnie dzięki niej ludzie podobni do mnie odzyskują spokój po tym, jak odbiorą komuś życie... jedno albo wiele. Przekształcamy samą realną zbrodnię w coś, co nie wydaje się takie prawdziwe, jak na przykład opowieść albo artykuł w gazecie. Oczywiście o tym wiesz, ale ludzka pamięć jest bardzo kapryśna i łatwo ją oszukać. Zapamiętujemy wydarzenia tak, jak chcemy je zapamiętać, a nie tak, jak naprawdę było. Wystarczy zrobić to odpowiednio wiele razy, a w końcu dojdziemy do punktu, kiedy dobro i zło tracą całe znaczenie, ponieważ wierzymy w to, w co chcemy. Czy przedstawiłem ci wystarczająco uroczy obrazek, szeryfie federalny? Taki właśnie jest obecny świat.

Mina Westa wyrażała coś pomiędzy obrzydzeniem a głębokim zamyśleniem.

– Mam jednak jeszcze jedną sztuczkę w rękawie. Taką, którą stosuję przed morderstwem. Wystarczy, że zamknę na chwilę oczy. Chcesz wiedzieć, dlaczego to robię?

Wszyscy zgodnie pokiwali do Tylera głowami.

– Tak – odparł.

– Nie dosłyszałem. Mógłbyś powtórzyć?

West wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować pod wpływem nagromadzonej wściekłości.

– Tak, chciałbym wiedzieć, dlaczego to robisz.

Lucien znowu parsknął śmiechem, tym razem wyrażającym lekceważenie i beztroskę.

– Oczywiście, że byś chciał – rechotał dalej. – Odpowiedź jest całkiem prosta. Robię to, ponieważ wewnątrz mnie jest takie miejsce, gdzie wszystko jest czarne... gdzie wszystko umarło... Jeśli chcę tam trafić, wystarczy, że zamknę oczy.

Tyler spojrzał na Huntera z taką miną, jakby właśnie rozszyfrował Foltera.

– On jest zupełnie obłąkany – wyszeptał.



– Może mógłbyś poprosić FBI, żeby pozwoliło ci poczytać moje badania. Mówiąc nieskromnie, to całkiem ciekawa lektura. Tak czy inaczej, koniec zajęć na dziś. Czas wracać do tego, co jest naprawdę istotne, zatem porozmawiajmy, Świerszczu. Zawiodłeś mnie. Znowu. Myślałem, że rozwiążesz moją zagadkę na czas.

Zamilkł na chwilę.

– Nie wiem nawet, czy w ogóle ją rozwiązałeś. Udało ci się, czy dotarliście tutaj tylko dlatego, że bomba wybuchła i w ten sposób poznaliście właściwe miejsce?

Hunter milczał.

– Nie wyłapałeś tych nazw whisky... wszystkich moich wskazówek?

West i Holbrook spojrzeli pytająco na detektywa. Wciąż nie wiedzieli, w jaki sposób udało mu się to odgadnąć.

– A może wpadłeś w moją pułapkę? – dociekał Lucien.

Wszyscy wyglądali na niepewnych.

– Duszpasterstwo, Świerszczu – wyjaśnił morderca. Domyślał się, że cisza wynikała z tego, że nikt nie wie, o czym on mówi. – Duszpasterstwo Wyjątkowej Miłości Chrystusa. Myślałeś, że to tam podłożyłem bombę?

Tym razem nawet kapitan Blake zamknęła oczy, przeklinając przez zaciśnięte zęby.

– Tak myślałeś, prawda? Nabrałeś się.

Robert czuł się tak, jakby w jego wnętrzościach otwierał się właśnie głęboki krater.

Ponowna salwa śmiechu. Tym razem brzmiał on szczerze.

– Możesz mi nie wierzyć, ale wcale tego nie planowałem. Nie na początku. Wpadłem na to w ostatniej chwili. Kiedy zacząłem zapisywać zagadkę, zdałem sobie sprawę, że pierwszą część można odnieść do kościoła albo czegoś w tym stylu. To mi podsunęło pewien pomysł.

Detektyw zauważył, że Westa znowu zaczynają ponosić emocje, dlatego dał mu sygnał dłonią, aby z niczym nie wyskakiwał.

Mężczyzna stłumił złość.

– Wiedziałeś, że w Los Angeles jest prawie trzy i pół tysiąca świątyń? – ciągnął Folter. – Cholernie dużo, co? To z kolei dało mi strasznie dużo możliwości.

Musiałem tylko znaleźć jedną, która będzie pasowała. Zajęło mi to trochę czasu, musiałem też parę razy przerobić moją łamigłówkę, ale spisałem się na medal, nie uważasz? – Czekał kilka sekund na jakąś reakcję. – A co ty powiesz, szeryfie federalny, spisałem się na medal? Poleciełicie wszyscy do Duszpasterstwa Wyjątkowej Miłości Chrystusa, podczas gdy naprawdę bomba leżała sobie w Ateneum Whisky za taką jedną młodą parką, wyglądającą na straszliwie mocno zakochanych?

– Ty bezduszny sukinsynu! – wypalił Tyler, ale Hunter przewidział jego reakcję, więc wyłączył wcześniej mikrofon.

– Tak czy inaczej, wydaje mi się, że starczy już na dzisiaj, zgodzisz się ze mną? Jestem pewny, że macie teraz masę roboty. Wypełnienie wszystkich papierków... Pozbieranie kawałków ciał. Wstydz się, Świerszczu. Powinieneś był to rozwiązać. Powinieneś był ocalić tych ludzi. Ty jesteś za to odpowiedzialny.

Robert spuścił wzrok, nie potrafił spojrzeć pozostałym w oczy.

– Starzejesz się.

Połączenie zostało przerwane.

– To są same pieprzone bzdury – powiedziała kapitan Blake, stając bezpośrednio przed detektywem. – Wiesz to, prawda? Całe to barbarzyństwo nie jest twoją winą.

Kiedy Hunter schował telefon do kieszeni, wszyscy zauważyli trzech dobrze ubranych mężczyzn z eleganckimi fryzurami przechodzących pod taśmą policyjną. Jeden z nich spytał o coś pilnującego jej funkcjonariusza, który w odpowiedzi wskazał ręką w ich kierunku.

– Zakładam, że pora się tłumaczyć – skwitował Robert.

– Zajebicie – rzucił West.

– Co to za jedni? – spytał Carlos.

– Zapewne Agencja Bezpieczeństwa Krajowego, Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, może też Departament Bezpieczeństwa Krajowego – wyjaśnił mu partner. – Przyprawdzą ze sobą antyterrorystów. Wybuch bomby w miejscu publicznym automatycznie jest uważany za akt terroru, a jako taki stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

– Świetnie. Lucien zaangażował policję, FBI, szeryfów federalnych, a teraz także wszystkie służby bezpieczeństwa krajowego. Musi jeszcze tylko nadepnąć na odcisk tym z antynarkotkowego, to będzie miał komplet.

– Służby bezpieczeństwa krajowego nie zaangażują się w ściganie zbiega. To nasza działka. Ale ci od materiałów wybuchowych mogą chcieć się wmieszać. Robert ma rację: będziemy musieli się gęsto tłumaczyć – oznajmił West, po czym kiwnął głową w kierunku nadchodzącej trójki. – Wielki Brat będzie nam się teraz dokładnie przyglądał.

– Nie tylko im będziemy się musieli tłumaczyć – dodała Barbara, po czym wskazała na czarnego lincolna navigatora, który zatrzymał się tuż przy taśmie policyjnej. – Właśnie przybył burmistrz, mogę się założyć, że komendant główny i gubernator Kalifornii już mu depczą po piętach. – Pokręciła głową. – Nie będzie przyjemnie.

## Pięćdziesiąt trzy

Resztę wieczoru oraz większą część kolejnego dnia zajęły papierkowa robota i próby wyjaśnienia wysokim rangą oficjelom, politykom i urzędnikom, dlaczego nadal nieznaną liczbą cywilów zginęła w tak groteskowy sposób w czymś, co wygląda na atak terrorystyczny, przeprowadzony w samym sercu Los Angeles. Hunter, Garcia, kapitan Blake, a także West i Holbrook chodzili na jedno spotkanie za drugim, ponieważ dosłownie każdy żądał natychmiastowych odpowiedzi.

Aby im nieco ulżyć, Adrian Kennedy skontaktował się osobiście z prezydentem i sekretarzem obrony, który jest zwierzchnikiem Departamentu Obrony, któremu z kolei podlega Agencja Bezpieczeństwa Krajowego. Umówił również spotkanie z sekretarzem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Nie potrzebował dużo czasu, aby przekonać ich, że mimo ataku bombowego cała sprawa dotyczy polowania na niezwykle niebezpiecznego zbiega. Wydarzenia w Los Angeles to odosobniony incydent, a nie akt terroryzmu wymierzony w Stany Zjednoczone. Lucien Folter nie zamierzał osiągnąć żadnych politycznych celów, jakie stawiają przed sobą terroryści. Nie był również następnym Unabomberem. Nie zamierzał siać strachu w sercach mieszkańców za pomocą masowych aktów przemocy.

– Jakie są zatem jego intencje? – zapytał prezydent.

Dyrektor NCAVC opowiedział więc o przeszłości Luciena i o jego encyklopedii morderstw, co spotkało się z wyraźnym niedowierzaniem, jednak uciszył sprawę dzięki kilku sprytnym kłamstewkom. Wyjaśnił, że morderca używał słowa „encyklopedia”, ale w rzeczywistości to zaledwie kilka luźnych notatek.

– Całość ma dwanaście stron – zapewnił.

Oczywiście media od razu podjęły temat eksplozji i zrobiły to tak, jak potrafią najlepiej: mnożąc spekulacje i starając się przedstawić całość w jak najbardziej sensacyjny sposób. W końcu im bardziej dramatyczny nagłówek, tym więcej czytelników, a im więcej czytelników, tym większa sprzedaż.

Aby zaprzeczyć nieprawdziwym informacjom – spośród których najbardziej oburzająca była wersja o ataku terrorystycznym grupy działającej w Los Angeles od tragedii World Trade Center – szeryfowie federalni, FBI i policja zwołali wspólną konferencję prasową. Hunter, kapitan Blake, West i Holbrook stali razem i niezręcznie recytowali oświadczenie napisane przez zwierzchników tych trzech instytucji. Nie opowiadali żadnych kłamstw. Wykorzystali natomiast najpotężniejszą broń, jaką mieli w swoim arsenale na wypadek rozmów z prasą: wybiórcze informacje. Należało ujawniać tylko tyle, ile opinia publiczna musiała wiedzieć. Dlatego też nikt nawet nie wspominał o zagadce mordercy i wyścigu z czasem.

– Prawie bym zapomniał – rzucił West do Roberta, kiedy szli na kolejne biurokratyczne spotkanie. Wyciągnął z kieszeni małe pudełko. – Zerknij na to. – Otworzył je. W środku znajdował się niewielki metalowy krążek rozmiarów ćwierćdolarówki.

– OK. Ładne. Ale co to jest?

– To, mój przyjacielu, jest lokalizator. Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz?

Detektyw spojrział na niego kątem oka.

– Mówiłem, że wykombinujemy coś dobrego. – Położył urządzenie na dłoni i pokazał je Robertowi. – Po drugiej stronie jest mały metalowy zacisk. Opowiadałeś, że jak jechaliście z Folterem i agentką FBI do jego kryjówki w New Hampshire, domyślił się, że w guziku koszuli masz ukryty mikrofon, ale na wszelki wypadek kazał wam też zostawić paski, zegarki, monety, klucze, portfele i tak dalej. Zgadza się?

Hunter pokiwał głową.

– Z tym sobie tak łatwo nie poradzi – oznajmił Tyler, po czym mrugnął porozumiewawczo. – Możesz to przypiąć do czego tylko chcesz, ale ja bym wybrał kieszeń, z tym że wewnątrz spodni. Pokażę ci. – Bez wahania, stojąc na środku korytarza na komendzie, rozpiął pasek, a zaraz potem spodnie.

Zażenowany detektyw rozejrzał się dookoła, aby zobaczyć, czy nikt ich nie widzi.

Szeryf federalny wyciągnął kieszeń na zewnątrz i zademonstrował.

– Przypinasz to tutaj, widzisz? Na samym krańcu kieszeni, po wewnętrznej stronie. Dlaczego? – Zapiął spodnie i pasek. – Aby włączyć urządzenie, musisz

mocno nacisnąć jego środkową część. Poczujesz kliknięcie pod palcem, a potem delikatne wibracje trwające sekundę. Ten sprzęt nie wyda żadnego dźwięku, nikt nie usłyszy wibrowania, nie zapalą się też żadne światełka. To oznacza, że elektronika w żaden sposób cię nie zdradzi. Trzeba pamiętać, że jak to uruchomisz, to już nie da się wyłączyć, dlatego nie zrób tego przez pomyłkę.

Detektyw uniósł brwi.

– Czyli właśnie to włączyłeś?

– Nie, jeszcze nie zostało aktywowane. Wydział operacyjny zrobi to dzisiaj, jak już wszystkie rozdamy. Tak, każde z nas dostanie jedną sztukę. Nasze twarze pojawiły się w mediach, tak że nie możemy ryzykować. – Wręczył mu drugie urządzenie. – Jeśli chodzi o kieszeń, to tylko moja sugestia.

– Znajdę jakieś bardziej prywatne miejsce, żeby to sobie przypiąć – odparł Robert i schował pudełeczko.

– Tylko nie zapomnij tego odpiąć przed wrzuceniem portek do prania.

– Postaram się.

– Mogę o coś zapytać? – zaczął West, kiedy ruszyli dalej korytarzem.

– Pewnie.

– Kiedy rozmawiałeś przez telefon z Lucieniem, tuż po wybuchu bomby, on wątpił, że rozszyfrowałeś zagadkę. Szydził, że się starzejesz i tym podobne pierdoły, ale przecież rozwiązałeś ją na czas.

Hunter pokiwał głową.

– Dlaczego mu tego nie powiedziałaś? Czemu pozwoliłeś mu na kolejne, drobne zwycięstwo? Ja bym mu się odgryzł, dał do zrozumienia, że wcale nie wykombinował tak trudnej łamigłówki, jak mu się zdawało... Że wcale nie jest taki bystry.

– Rozumiem twój punkt widzenia, ale to i tak by niczego nie zmieniło.

– Owszem, zmieniłoby. Pokazałoby mu, że nie jest takim kozakiem, za jakiego się uważa. Starłoby uśmieszek, który niewątpliwie pojawił się na jego gębie.

– Czyli, krótko mówiąc, jeszcze bardziej by go wkurzyło – skontrował Robert.

Tyler zamilkł i spojrzał na niego niepewnie.

– Nie wiemy, co on dalej planuje. Może spodobały mu się te zagadki do tego stopnia, że spróbuje po raz drugi. Stworzy kolejną łamigłówkę do kolejnego

morderstwa, bo nie mam żadnych wątpliwości, że do tego dojdzie. Pytanie, czy zamierza ponownie dokonać masowego mordy, ale jeśli go szybko nie dorwiemy, to ktoś zginie.

– Tak, wiem o tym.

– Jeśli znowu zada nam zagadkę, a my przekonalibyśmy go, że pierwsza wcale nie była dla nas taka trudna, to co wtedy zrobi?

Tyler nie odpowiedział, przestąpił tylko z nogi na nogę.

– Natomiast pokazując mu, że jest dla nas zbyt inteligentny, że nie dajemy sobie rady z łamigłówkami, polechtamy ego Foltera. W ten sposób uznajemy jego wyższość, sprawiamy mu przyjemność, zamiast go wkurzać.

– Czyli twoim zdaniem jak sprawimy przyjemność temu szajbusowi, to następnym razem da nam lekkie fory i zada coś łatwiejszego? – spytał West bez przekonania.

– Możliwe. Nie to jest jednak moim największym zmartwieniem. Boję się go drażnić, ponieważ wtedy może stwierdzić: „No to ja wam zaraz pokażę, do czego jestem zdolny”. Kto wie, czy wtedy nie zacząłby codziennie kogoś zabijać. Albo i gorzej. Natomiast jak go troszkę polechtamy, może uspokoi się na kilka dni, będzie się napawać swoim triumfem.

Szeryf federalny musiał przyznać, że nie myślał o tym w ten sposób.

## Pięćdziesiąt cztery

Oficjalne szacunki odnośnie do liczby ofiar ujawniono po czterdziestu ośmiu godzinach od wybuchu. Technicy kryminalistyki z policji i FBI przetrząsali gruzowisko niemalże w nieskończoność, zbierając każdą kość lub jej fragment, na jaki udało im się trafić, ale w rzeczywistości szukali czaszek.

W miejscu eksplozji, gdzie zachodzi wielkie prawdopodobieństwo rozerwania ciał na kawałki, często zliczano czaszki, aby ustalić „możliwie najbardziej prawdopodobną” liczbę ofiar.

Po dwóch dobach laboranci FBI określili, że w ataku bombowym w barze Ateneum Whisky zginęło trzydzieści osób.

Wszystkie zaangażowane służby przeszły przez bardzo szczegółową kontrolę ze strony prasy, burmistrza Los Angeles i gubernatora Kalifornii, chociaż pod największym ostrzałem znaleźli się szeryfowie federalni, ponieważ pod kątem prawnym pojmanie zbiega leżało w ich gestii.

– Czy ktoś może mi, kurwa, wytłumaczyć, jak to jest możliwe? – To pełne wściekłości pytanie zadał Eric Lombardi, burmistrz LA.

Stał przy oknie w gabinecie kapitan Blake. Oprócz niego i samej pani kapitan w pomieszczeniu znajdowali się jeszcze Hunter, Garcia, Peter Holbrook, Tyler West i komendant główny Roger Davidson.

– Minęło już osiem dni, od kiedy ten psychol wysadził budynek i zabił trzydzieści osób *w moim mieście*. – Głęboki głos mężczyzny brzmiał szczególnie złowieszczo, kiedy ten wpadał w gniew. – Osiem cholernych dni, a wy mi mówicie, że nie macie pojęcia, jak go dopaść? – Czekał, ale nikt nie kwapił się z odpowiedzią. – Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale podobno ten cały Lucien Folter nie jest terrorystą. To więzień, który uciekł... jak dawno temu? – Spojrzał pytająco na Westa.

– Czternaście dni temu.



– Zgadza się. Ten szajbus jest na wolności od dwóch tygodni. – Burmistrz omiotł wszystkich zebranych piorunującym spojrzeniem. – Dwa tygodnie... ale on nie tylko wymyka się szeryfom federalnym. Nie, proszę państwa, on robi w balona również FBI i cholerną policję Los Angeles.

Tym razem Roger Davidson został przyszpilony wzrokiem.

– To jednak nie koniec – ciągnął Lombardi. – W przeciwieństwie do większości zbiegów, których szeryfowie federalni muszą najpierw wytropić, miejsce pobytu tego gościa jest znane. Jest znane od ładnych kilku dni, czyż nie? On jest tutaj. – Palcami obu dłoni wskazał na podłogę. – W tym mieście. Siedzi tu cały czas. A wiemy to, ponieważ sam nam to zdradził. Cztery dni przed wysadzeniem tego baru w powietrze.

Tyler podrapał się po głowie. Miał zamiar coś powiedzieć, ale burmistrz jeszcze nie skończył.

– Zatem fakty są następujące: wiemy, jak Lucien Folter wygląda. Wiemy, gdzie przebywa, mam tu na myśli miasto, oraz wiemy, że nie mamy namiarów na żadnych jego współników, ponieważ lubi pracować sam. Na dodatek on siedział w więzieniu. – Dłoń mężczyzny wystrzeliła do góry. – Chwileczkę, pozwólcie mi się poprawić: przebywał w odosobnieniu przez trzy i pół roku i nie miał absolutnie żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Żadnych gości. Żadnych telefonów. Żadnych listów. Słowem: nic. A mimo to udało mu się uciec z pudła, zabić siedem osób na samym początku, przelecieć pół kraju normalnym pasażerskim samolotem, dostać ładunek C4, zadzwonić do poszukującego go zespołu, pobawić się z nim w zagadki, potem wysadzić w powietrze bar i *nikt* nie potrafi go znaleźć? A przecież nie szuka go byle kto, tylko szeryfowie federalni, FBI i policja. Nie polujemy tutaj na ducha, drodzy państwo. Polujemy na człowieka... *jednego* człowieka. Mamy jego zdjęcia, wiemy, kim jest, i wiemy, że przebywa w tym mieście, a mimo to nie siedzi jeszcze w areszcie. Zatem pozwólcie, że zapytam ponownie: czy ktokolwiek w tym pomieszczeniu może mi, kurwa, wytłumaczyć, jak to jest możliwe?

– Dlatego, że Lucien właśnie w ten sposób spędził większość życia. – Po kilku sekundach ciszy Hunter postanowił odpowiedzieć.

– Przepraszam? – Burmistrz spojrzał na niego.

– Przed aresztowaniem trzy i pół roku temu Lucien Folter nie był Lucieniem Folterem.

Lombardi zmarszczył brwi.

– Zamierzasz w końcu zacząć mówić z sensem, detektywie? Nie mam całego dnia.

– Od czasów studenckich Lucien nie był Lucieniem.

– Doprawdy? A kim był?

– Kimkolwiek chciał – odparł Robert, po czym zaraz doprecyzował. – On nie jest idiotą. Wręcz przeciwnie, jest niezwykle inteligentny. Kiedy zaczął zabijać, co miało miejsce jeszcze na studiach, doskonale wiedział, że naraża się na ogromne ryzyko.

Hunter nie uznał za stosowne, aby wspominać o prawdziwym powodzie, dla którego Folter mordował: jego encyklopedii. To wywołałoby jedynie kolejną lawinę pytań.

– Wiedział, że wystarczy jeden błąd, jedna wpadka, a policja zacznie deptać mu po piętach. Na samym początku wypracował zatem plan: nigdy nie używał swojej prawdziwej tożsamości. Wyszukiwał ofiary, w które mógł się potem wcielić, o ile tego potrzebował.

– Chwileczkę – przerwał mu burmistrz. – Czy możesz powtórzyć? Wcielić się w ofiary, o ile tego potrzebował? Jak?

– Polował na mężczyzn, którzy przypominali go wyglądem. Nie musiało to być wielkie podobieństwo. Wystarczył zbliżony wzrost i sylwetka: nie zanadto szczupła, nie zanadto masywna, resztę, łącznie z wiekiem, mógł dopasować.

Zarówno Lombardi, jak i Davidson sprawiali wrażenie zdezorientowanych.

– Z biegiem lat Lucien stał się ekspertem w dziedzinie zmiany wyglądu – wyjaśniał dalej detektyw. – Wie wszystko na temat makijażu, płynnego lateksu, peruk i tak dalej. Potrafi stać się dowolną osobą. Jest też w stanie modulować swój głos, akcent, intonację, postawę, sposób poruszania się, zwyczajnie... wszystko. Musiał jedynie znaleźć kogoś o podobnym wzroście i posturze. Potem tego kogoś poznawał, dowiadywał się wszystkiego na jego temat, a w końcu wcielał w niego.

– Przez „wcielanie w niego” masz na myśli mordowanie? – zapytał burmistrz.

– Tak. Kiedy ofiara już nie żyła, Lucien zabierał wszystkie dokumenty: paszport, dowód osobisty, prawo jazdy i tak dalej. Nazwisko takiej osoby trafiało na listę

tożsamości, z których potem mógł korzystać w razie potrzeby. Dopasowywał swój wygląd do zdjęcia w dokumentach.

– Czy powiedziałeś, że nazwisko trafiało na listę?

Hunter pokiwał głową.

– Kiedy aresztowaliśmy go trzy i pół roku temu, w jednej z jego kryjówek znaleziono pudełko z dokumentami. Wszystkie należały do mężczyzn. Wszyscy podobni pod względem wzrostu i budowy ciała. – Przerwał, żeby burmistrz mógł dokładnie zrozumieć jego słowa.

– Tworzył sobie w ten sposób listę różnych możliwości? – zapytał po chwili Lombardi.

Detektyw ponownie pokiwał głową.

– Taki właśnie jest Folter: to swego rodzaju miejski survivalowiec, który nie ma absolutnie żadnych więzi z kimkolwiek ani z czymkolwiek, co pozwala mu w okamgnieniu stać się zupełnie kimś innym. I jest w tym mistrzem. – Robert wskazał na fotografię leżącą na biurku pani kapitan. – Kilka godzin po ucieczce mógł w ogóle już nie przypominać tej osoby. Dwa tygodnie później... – Wzruszył ramionami. – Może chodzić po mieście jako starszy pan, Afroamerykanin albo nawet kobieta.

Tym razem burmistrz nerwowo podrapał się po głowie.

– Powiedział pan przed kilkoma minutami, że nie szukamy ducha – podjął zmęczonym głosem Hunter. – Ma pan rację. On nie jest duchem. Bardziej można by go określić jako kameleona, kogoś, kto przybiera inną postać, kiedy tylko tego chce. Jeśli dodamy do tego, że funkcjonował jak zjawą przez większość życia: nie ma przyjaciół, rodziny, domu, żadnego miejsca ani osoby, które możemy obserwować w nadziei, że go tam znajdziemy, uzyskamy coś znacznie straszniejszego niż ducha. – Spojrzał Lombardiemu głęboko w oczy. – Czy teraz rozumie pan, dlaczego *nikt* nie może go znaleźć?

## Pięćdziesiąt pięć

– Ciężko było – rzucił Garcia, kiedy razem z Hunterem wyszli w końcu ze spotkania z burmistrzem Lombardim i komendantem Davidsonem.

Robert w pełni się z tym zgadzał.

Od wybuchu bomby minęło osiem dni, zaś z każdym kolejnym w zespole poszukiwawczym narastała frustracja z powodu braku jakichkolwiek postępów. Największy lęk natomiast budziło to, że każdy dzień przybliżał ich do następnego telefonu od Luciena, a wiadomo, że on nie zadzwoni, aby się po prostu przywitać.

– Wszystko w porządku? – spytał Carlos. Doskonale widział, że jego partner jest wykończony.

– Tak, jest OK. – Zapewnienie wcale nie brzmiało przekonująco.

– Mógłbym spytać, czy ostatnio w ogóle spałeś, ale to by chyba było głupie pytanie, prawda?

Hunter skwitował to milczeniem.

– Anna gotuje dzisiaj *bacalhoadę*. Może wpadniesz do nas na kolację? – nie poddawał się Garcia.

*Bacalhoada* to portugalskie danie składające się z suszonego, solonego dorsza i warzyw. Cieszyło się również dużą popularnością w Brazylii i należało do jego ulubionych. Kilka lat wcześniej poczęstował nim Roberta, który od pierwszego kęsa stał się jego wielbicielem.

– Może i nie mam takiego wyboru szkockiej jak ty, ale coś dobrego się znajdzie.

Hunter zerknął na zegarek. Było prawie wpół do szóstej.

– Chciałbym wpaść, ale umówiłem się już z Tracy.

Ta odpowiedź jednocześnie zaskoczyła i uszczęśliwiła Carlosa.

– O, to świetnie. Co u niej słychać?

– Wszystko dobrze, chyba. Rozmawialiśmy przez telefon, ale od tej eksplozji się nie widzieliśmy.

To dla odmiany Carlosa wcale nie zaskoczyło, biorąc pod uwagę, ile mieli pracy.

– Możesz ją zabrać ze sobą. Zarówno Anna, jak i ja bardzo ją lubimy, fajnie się z nią rozmawia.

– Dzięki, jestem naprawdę wdzięczny za zaproszenie, ale Tracy udało się na ostatnią chwilę zrobić rezerwację w barze w klimatach *Alicji w Krainie Czarów* w Alhambrze.

– A, znam to miejsce. Kilka razy koło niego przejeżdżałem.

– Nazywa się Królicza Nora. Szczerze mówiąc, mam ochotę odwołać, ale to by był trzeci raz w ciągu ośmiu dni.

– O nie, nie rób tego. Dwie sprawy. Pierwsza: musisz się od tego oderwać.

Robert się skrzywił.

– Słuchaj, wiem, że to trudne – ciągnął Garcia. – Wiem też, że zawsze bierzesz wszystko bardzo mocno do siebie. Zwłaszcza w tym wypadku, ale sam zdajesz sobie sprawę z tego, że musisz się wyłączyć. Inaczej się rozpadniesz.

Partner przestał robić miny.

– Wiem jeszcze, że jedyna osoba, która jest w stanie cię od tego oderwać, to właśnie Tracy.

Hunter nie mógł polemizować.

– A jaka jest druga? – zapytał partnera.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że są dwie sprawy. Pierwsza to oderwanie się. A druga?

– Druga, to nigdy nie odwołuj spotkania z kobietą, chłopie.

Robert parsknął śmiechem.

– O, nie. To nie są żarty. Mówię serio. – Ton Carlosa stał się bardzo poważny. – Odwoływanie spotkania z kobietą to duży błąd. A odwoływanie spotkania w dniu randki, w dodatku kiedy to ona zrobiła rezerwację, to już samobójstwo. Uwierz mi, takie rzeczy doprowadzają je do szału. Nieważne, co powiedzą. Może to być coś w stylu: „Oczywiście, to żaden problem. Jasne, że rozumiem. Pewnie, że mi nie przeszkadza. Możemy przełożyć” – paplał piskliwym głosem, po czym pokręcił gwałtownie głową. – Nie wierz w te pierdoły. Ona może gadać, że wszystko w porządku, może nawet wyglądać, że się nie gniewa, ale właśnie zaczniesz dla siebie piekło.

Hunter parsknął śmiechem.

– Słuchaj, możesz mi wierzyć. Jestem żonaty. To chyba jedyna rzecz, w której mam większe doświadczenie i wiedzę od ciebie. Nie odwołuj randek.

– Nie odwołam. Powiem, że myślałem o tym, ale zmieniłem zdanie.

– Dobry ruch. – Garcia uśmiechnął się do partnera. – Czyli oficjalnie ze sobą chodzicie?

– Nie nazwałbym tak tego. Spotykamy się od czasu do czasu, to wszystko. Pasuje nam to.

Robert zawsze był samotnikiem z wyboru. Nie miał żony, dziewczyny, dzieci. Nigdy się nie ożenił, jego związki zaś nie trwały dłużej niż kilka miesięcy – czasem znacznie krócej. Nie dlatego, że miał trudny charakter – a przynajmniej tak uważał – tylko przez presję i zaangażowanie, jakie wiązały się z pracą w jednostce SO. Niewiele osób potrafiło zrozumieć i zaakceptować wymogi tego zawodu: pracę od rana do nocy, ciągłe poczucie zagrożenia, odwoływanie różnych rzeczy w ostatniej chwili. Najgorszy jednak był mrok, w jakim tak często pogrążał się jego umysł. Obcowanie ze złem niemal każdego dnia nie jest czymś, co łatwo wytrzymać, ale detektyw musiał przyznać, że Tracy jest inna. Jak nikt potrafiła zrozumieć presję, jaką odczuwał. Być może to dlatego, że sama zajmowała się psychologią kryminalną, a może taki po prostu miała charakter, ale wydawało się, że żadna z tych spraw na nią nie wpływa.

– Daj spokój, stary – Carlos wyczuł wahanie przyjaciela. – Wszyscy widzą, że zależy ci na niej, w dodatku z wzajemnością. Nie umawiałeś się z nikim innym od momentu, gdy się poznaliście. Przyznaj po prostu, że jesteście parą.

– Tak... ale nie jesteśmy.

– Uparty z ciebie facet, wiesz?

Hunter ruszył w kierunku schodów.

– Oto uparty facet – krzyknął za nim partner. – Uparty facet, który ma dziewczynę.

Robert pomachał mu bez oglądania się za siebie.

– Ta... sam masz dziewczynę.

## Pięćdziesiąt sześć

Tracy urodziła się w Albany w Oregonie jako jedyne dziecko George'a i Pameli Adamsów. Jej rodzice należeli do klasy średniej: ojciec uczył angielskiego i historii, matka zaś prowadziła mały sklepik z ubraniami w Arbor Hill – eklektycznej i zabytkowej dzielnicy na północ od centrum Albany.

Tracy przyszła na świat w lipcu, pod znakiem Raka. Pamela bardzo mocno wierzyła w astrologię i uważała, że właśnie dlatego jej córka była zawsze taka spokojna, nieprzewidywalna i miała dobrą intuicję. Dziewczyna absolutnie nie zgadzała się z żadnymi astrologicznymi twierdzeniami, ale aby zrobić przyjemność mamie – najmiłszej osobie na całym świecie – codziennie przed szkołą czytała z nią horoskop.

Jej tata zajmował drugie miejsce na liście najmiłszych osób i również ani trochę nie wierzył w treści horoskopów, którymi zasypywała go żona, ale podobnie jak córka, starał się sprawiać jej przyjemność.

W oczach Tracy George i Pamela to nie tylko „miłe osoby”, ale również najbardziej wyrozumiali rodzice, jakich dziecko może sobie wymarzyć.

Od kiedy pamiętała, zawsze różniła się od innych dziewczynek w swoim wieku. Zamiast bawić się lalkami albo wyprawiać udawane przyjęcia, czytała książki – szczególnie amerykańską klasykę, jak *Szkarłatna litera*, *Wielki Gatsby*, *Zabić drozda*, *Małe kobietki*, *Kwiaty dla Algernona* i tak dalej. Nic jednak nie pasjonowało jej tak jak poezja i opowiadania autorstwa Edgara Allana Poe'go – co ciekawe, on był również ulubionym poetą Huntera.

Tracy uwielbiała to, w jaki sposób słowa poety wydawały się mroczne, ale jednocześnie pełne mądrości, a czasem nawet i nadziei. Jej fascynacja ciemnością nie kończyła się jednak na literaturze. Poszła o wiele dalej, dotykając większości aspektów życia dorastającej dziewczyny. Ubierała się na czarno, słuchała ponurej muzyki, oglądała straszne filmy – gdy w wieku dwunastu lat zaczęła się malować, automatycznie wprost zdecydowała się na mroczny, gotycki styl. Jak w przypadku

wielu nastolatków w USA i na całym świecie, najbardziej definiującym ją elementem stała się muzyka.

Jako czternastolatka po raz pierwszy usłyszała *Pretty Hate Machine*, debiutancki album kapeli z Ohio o nazwie Nine Inch Nails. Można powiedzieć, że to była miłość od pierwszego usłyszenia. Mroczne dźwięki, niekonwencjonalny rytm i mocne teksty przemawiały do niej niemal równie głęboko, jak poezja Poego. Zakochała się w tym albumie, zespole i gatunku muzycznym – industrialnym rocku. Wkrótce odkryła podobne zespoły, jak Ministry, Skinny Puppy i inne, co z kolei doprowadziło ją do poznania gotyckiego rocka i następnych kapel: Bauhaus, The Sisters of Mercy, Fields of the Nephilim i The Killing Joke.

Nie powinno nikogo zaskoczyć, że wizerunek Tracy szybko zaczął się zmieniać: ubrania, fryzura, kolor paznokci, rodzaj makijażu. Już wcześniej czuła się inna niż reszta, a taki wygląd dla czternastolatki żyjącej w mało zróżnicowanym społeczeństwie i uczęszczającej do dość konserwatywnej szkoły oznaczał kłopoty.

Niemalże od razu zaczęło się nękanie.

Rówieśnicy ją odtrącili, wyzywano ją, nabijano się z niej, a także działały się wszystkie te straszne rzeczy, które towarzyszą znęcaniu się. Nawet dziewczyny, które uważała za swoje przyjaciółki, nie chciały mieć już z nią nic wspólnego.

Pewnego wiosennego dnia, kiedy Tracy chodziła do pierwszej klasy liceum, Pamela wzięła dzień wolny z powodu zatrucia. Gdy po południu córka wpadła do domu, nie witając się nawet, i popędziła na górę do swojego pokoju, mama wiedziała, że coś jest nie tak.

– Kotku, co się stało? – zapytała, stojąc przed drzwiami.

– Nic, mamó – odparła dziewczyna, nie trudząc się, aby ją wpuścić. – Wszystko w porządku.

Pamela wychwyciła w jej głosie nie tylko złość, ale również ból.

– Tak... widać.

– Serio, wszystko jest OK.

Matka przeczuwała, co zdenerwowało nastolatkę. Wiedziała, że nie tylko dzieciaki, ale ludzie w ogóle są niechętni do akceptowania zmian, zwłaszcza jeśli ich nie rozumieją.

– Dobrze, skoro tak mówisz. – Postanowiła spróbować inaczej. – A właśnie, chciałam cię o coś poprosić, nie musi być teraz. Kiedy znajdziesz chwilę, dobra?



Tracy nie odpowiedziała, więc kobieta mówiła dalej.

– Podobają mi się twój dzisiejszy makijaż i fryzura. Możesz mi pokazać, jak to zrobiłaś? Jakoś przed weekendem? Idziemy z tatą na kolację w sobotę, chciałabym spróbować czegoś podobnego.

Cisza.

Pamela czekała.

Kilka sekund później dziewczyna otworzyła drzwi. W jej spojrzeniu czaiło się niewypowiedziane pytanie.

Matka nie widziała żadnego śladu płaczu, co stanowiło dobry znak, ale córka bez wątpienia była wkurzona.

– Poważnie, kotku, sposób, w jaki pomalowałaś powieki, nałożyłaś cienie... to wygląda świetnie. Gdzie się tego nauczyłaś?

Tracy wpatrywała się w nią przez kolejną chwilę.

– Mówisz tak tylko dlatego, że jestem twoją córką.

– Wcale nie – Pamela wyglądała na nieco urażoną. – Zupełnie jakbyś mnie nie znała. Naprawdę mi się to podoba i chciałabym spróbować czegoś podobnego. Dasz mi kilka wskazówek?

– W takim razie jesteś jedyną osobą, której się to podoba. Wszyscy inni uważają mnie za dziwkę.

Czyli o to chodziło.

– Rozumiem.

– Nawet Debbie i Wendy tak myślą – ciągnęła dziewczyna. To były jej najlepsze przyjaciółki.

– Powiedziały tak? – zapytała matka, szczerze zaskoczona.

– Nie, ale widziałam to w ich spojrzeniach. Nawet się ze mną nie witają. Jak do nich podchodzę, idą sobie. Przesiadły się, żeby nie być koło mnie na lekcjach. Zupełnie jakby się mnie wstydzily.

– Pozwól, że cię o coś spytam, słoneczko. Czy to ci się podoba? Makijaż, włosy, ubrania, cały ten nowy styl? Czy naprawdę ci się podoba, czy tylko chcesz wyglądać jak artyści z ulubionych zespołów?

Tracy nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Naprawdę mi się podoba. Moim zdaniem to pasuje do mnie. Do mojej osobowości. Oddaje mnie taką, jaka jestem w środku. Oczywiście, że inspirowałam się muzykami, ale ten styl do mnie pasuje.

– Zamierzasz przy nim pozostać? Czy wrócisz do poprzedniego wyglądu, ponieważ inni nie akceptują obecnego?

– Nie ma mowy, zostaję przy nim. – W jej głosie brzmiała całkowita pewność. – Przepraszam za słowa, ale pieprzyć ich, jeśli im nie pasuje. To mój wygląd, nie ich.

– No to masz swoją odpowiedź, kochanie – odparła Pamela z pełnym dumy uśmiechem. – Jeśli to lubisz i czujesz się tak dobrze, to reszta nie ma znaczenia. Robisz jedną z najtrudniejszych rzeczy na świecie, zwłaszcza dla kogoś w twoim wieku.

– Co takiego?

– Jesteś sobą.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Chodź, usiądźmy – powiedziała matka, po czym weszła do pokoju i wskazała na łóżko. Gdy usiadły, uściśnęła dłoń córki. – Być może jeszcze nie wiesz, ale z pewnością wkrótce to odkryjesz: bardzo niewielu ludzi jest takimi, jakimi naprawdę chcieliby być, albo robi to, co rzeczywiście chce. Tak naprawdę bycie sobą wymaga odwagi, pewności siebie i silnego charakteru. Większość osób nie ubiera się w taki sposób, na jaki ma ochotę, albo nosi inną fryzurę czy makijaż, niż pragnie. Większość robi to, czego się od nich oczekuje.

– Oczekuje?

Pamela pokiwała głową w odpowiedzi.

– Kto?

– Inni. Ich rodzice, przyjaciele, nauczyciele, szefowie w pracy, społeczeństwo... – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do córki. – Myślałam, że taką rozmowę odbędziemy o wiele później. Może w dniu, gdy skończysz szkołę, ale wyszło inaczej.

Rozsiadła się wygodniej na łóżku.

– Indywidualność nie jest taka prosta, jak się wydaje. Gdy dorastamy, przechodzimy przez różne fazy. Dzięki temu powstają nowe ruchy, nowe rodzaje muzyki, nowe style, nowe wierzenia... rzeczy, które przemawiają do nas w taki

sposób, że chcemy brać w nich udział, a nie każdy to rozumie. Ja za młodu byłam hipiską. Twój ojciec zresztą też.

– Niemożliwe!

– To prawda. Później poszukam jakichś zdjęć, to ci pokażę. Kiedy dołączyłam do tego ruchu, większość moich tak zwanych przyjaciół znienawidziła mój wygląd i odwrócili się ode mnie. Nie tylko oni. Twój dziadkowie również. Powiedzieli mi, że skoro chcę wyglądać jak hipiska, to powinnam też żyć jak hipiska, więc mam się wynieść z ich domu.

Tracy otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Nigdy o tym nie słyszała.

– Poważnie? Kazali ci się wynieść?

– Mhm.

– Co zrobiłaś?

– Wyniosłam się. Wzięłam parę rzeczy ze sobą i ruszyłam w drogę. A to wszystko dlatego, że było mi dobrze z samą sobą. Podobało mi się to, jak się ubierałam, jak wyglądałam, że walczyłam o swoje i kochałam muzykę. Wszystko stało się takie... wyzwalające. Czułam się sobą. A to bardzo przyjemne.

– Ale już nie jesteś hipiską. Żałujesz? Chodzi mi o odejście od rodziców i utratę przyjaciół.

– Ani trochę. Ponieważ byłam ze sobą szczerą. Robiłam to, co chciałam. Żyłam swoim życiem, dla siebie, a nie dla rodziców czy przyjaciół... Żyłam dla samej siebie. Wydawało mi się, że poza wyglądem nic się nie zmieniło, byłam tą samą osobą. Inna fryzura, inny makijaż, inne ubrania, ale to ciągle ja. Jeśli to wystarczyło, żeby przyjaciele się odwrócili, to co to za przyjaźń? – Uśmiechnęła się do córki. – No i dzięki temu, że wyprowadziłam się z domu, poznałam twojego ojca. Inaczej nigdy byśmy się nie spotkali. – Przerwała i pogładziła dziewczynę po głowie. – Chodzi mi o to, kochanie, że bycie sobą to najlepsza rzecz, jaką można zrobić... zawsze.

To nie jedyny raz, kiedy Tracy usłyszała te słowa. Nie wiedziała wtedy, że zaledwie dwa tygodnie później bycie sobą uratuje jej życie.

## Pięćdziesiąt siedem

Tamtego ranka Tracy poszła do szkoły, jak każdego dnia. Starła się tak wymierzyć tempo marszu, aby dotrzeć na miejsce dosłownie kilka sekund przed dzwonkiem, dzięki czemu mogła uniknąć części wyzwisk, jakimi ją obrzucano. Niestety całkowite odcięcie się od nich graniczyło z cudem.

– Patrzcie, idzie ta wariatka! – krzyknął ktoś za nią, gdy mijiała grupkę dziewczyn.

– Zapomniałaś trumny, Morticia? – dodał ktoś inny, po czym nastąpił wybuch śmiechu.

Nie brała takich uwag zbyt do siebie, ale przy bramie zaczepił ją Trevor Darnell, nieśmiały chłopak, który zawsze zajmował miejsce w ostatnich ławkach, na przerwach siedział sam i rzadko do kogokolwiek się odzywał.

– Cześć – rzucił do niej, kiedy stanęła przy wejściu do budynku. Nigdy wcześniej nie zamienili więcej niż kilka słów.

– Cześć – odparła, kiwając do niego głową.

Trevor miał dopiero szesnaście lat, ale już przekroczył granicę stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, co przy prawie dwadzieścia centymetrów niższej Tracy czyniło go prawdziwym olbrzymem.

– Podoba mi się twój nowy styl – powiedział cicho. – Masz bardzo fajną fryzurę i makijaż.

Dziewczyna czuła się autentycznie zaskoczona, nie tylko komplementem, ale również samym faktem, że chłopak z nią rozmawia.

– Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

– Widziałem cię wcześniej. Nie ubierałaś się tak.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Pasuje ci. Naprawdę. Makijaż, ubrania, całość. Najlepsze jest to, że jesteś sobą.

Tracy zmarszczyła brwi. Dokładnie to niedawno powiedziała jej matka.

– Podoba mi się to. Bardzo. Niewielu ludzi stać na to, aby być sobą – ciągnął Trevor. – Aby naprawdę być sobą. Mnie też to dotyczy. Chciałbym mieć odwagę zrobić to samo, co ty, ale moi rodzice nigdy by się nie zgodzili. – Spojrzał gdzieś w dal, po czym znowu popatrzył jej w oczy. – Zauważyłem też, że przyjaciele się od ciebie odwrócili.

Dziewczyna zaczęła się czuć niezręcznie.

– Nie przejmuj się tym. Ich strata. Naprawdę. – W jego głosie brzmiała szczerść, której nie spodziewała się usłyszeć. Brzmiało w nim jeszcze coś. Coś dziwnie strasznego, od czego przeszły ją dreszcze.

W tamtym momencie, ku jej uldze, rozległ się dzwonek na lekcje.

– Powinniśmy już iść. Jesteśmy spóźnieni – oznajmiła.

Kiedy próbowała go ominąć, zagroził jej drogę.

– Proszę, nie rób tego – powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Czego?

– Nie idź na lekcje. Nie dzisiaj. Nie chcesz tam trafić, zaufaj mi.

Tracy nie potrafiła stwierdzić, co dokładnie zobaczyła wówczas w jego oczach, ale wiedziała jedno: nigdy wcześniej się z czymś takim nie zetknęła.

– Idź do domu – niemalże błagał Trevor. – Dzisiaj jesteś zbyt super na szkołę.

Nie wiedziała, co ma zrobić. Nogi miała jak sparaliżowane.

– I jeszcze jedno: nigdy się nie zmieniaj. Nie przestawaj być sobą, nieważne, co inni powiedzą... czego będą chcieli. Bądź sobą.

Po tych słowach odwrócił się i wszedł do budynku, ciężki plecak zwisał mu z ramienia.

Dziewczyna stała tak przez chwilę, w głowie miała goniącą myśl, ale jedna wydawała się bardziej wyraźna niż inne.

Poczuła, że dłonie jej się spociły, serce biło jak oszalałe, a gdzieś pomiędzy klatką piersiową a gardłem pojawił się duszący, twardy węzeł. Powietrze zdawało się tak gęste, że z trudem oddychała.

Nagle rzuciła się do biegu, chociaż nie miała pojęcia, skąd wzięła na to siłę. Gnała niczym wicher, jednak nie do domu, a wzdłuż szkolnego korytarza, w stronę pewnej sali, gdzie jej ojciec uczył starsze klasy.

Geroge Adams sprawdził trzy czwarte listy, kiedy drzwi do klasy otworzyły się gwałtownie i pojawiła się w nich jego córka, która zaniepokoiła wszystkich, łącznie z nim.

– Tracy? – zapytał, przechyliwszy głowę nieco do przodu, aby mógł na nią spojrzeć znad okularów do czytania. – Dlaczego nie jesteś na lekcji... – Wtedy zauważył wyraz jej twarzy. Czyste przerażenie. – Co się stało?

Dziewczyna zrobiła głęboki wdech, już miała zacząć tłumaczyć, kiedy rozległ się pierwszy wystrzał z broni automatycznej.

## Pięćdziesiąt osiem

Lucien nie rozmawiał z Hunterem od ośmiu dni, ale nie oznaczało to, że próżnował – wręcz przeciwnie. Następnego ranka po eksplozji już zajmował się przygotowaniem do kolejnego kroku. Tym razem planował coś zupełnie innego.

Nie podobało mu się to, jak czuł się po wybuchu. Co prawda ta masakra miała na celu powiedzenie „pierdol się” Hunterowi, ludziom z FBI i szeryfom federalnym, ale nadal mieściła się w kategorii morderstwa, czyli podlegała jego badaniom emocji i wpływów na psychikę sprawcy.

Zawsze po popełnieniu zbrodni katalogował swoje uczucia, tak szybko, jak tylko się dało – najlepiej, jeśli nadal były świeże w jego umyśle i coś dla niego znaczyły. Tamtego wieczora, po drugiej rozmowie z Robertem, udał się do swojego pokoju. Usiadł z notatkami i zaczął zapisywać każdą emocję, każde wspomnienie tego wydarzenia. Wówczas odkrył coś, co go zupełnie zaskoczyło. Kiedy odsunął na bok ekstazę spowodowaną osobistym zwycięstwem nad Hunterem i resztą władz, poczuł się niezwykle niezadowolony.

Nie mógł zaprzeczyć, że przedtem był podekscytowany, jednak po dokładniejszej analizie okazało się, że to tak naprawdę jedynie spełnienie wywołane stworzeniem własnej bomby. Nigdy nie miał do czynienia z C4, nie zajmował się materiałami wybuchowymi, zatem, jak na pierwszy raz, poszło mu oszałamiająco dobrze. Jego wyliczeń nie powstydzilby się żaden matematyk, zaś wykonanie bomby poszło idealnie. Kiedy jednak myślał o samym czynie – a wszystko oglądał z przeciwnej strony ulicy – nie czuł dumy... nie czuł euforii... nie czuł kojącej satysfakcji.

Siedział w tym barze tuż przed eksplozją, zapamiętał wiele twarzy swoich ofiar, a jednak nie doświadczył uniesienia, które przeważnie pojawiało się podczas morderstwa lub bezpośrednio po nim. Wszystko wydawało się zbyt bezosobowe, zbyt odległe, zbyt nierealne.

Tego wieczora napisał:

*Obserwowanie, jak ten budynek wybucha, a potem staje w płomieniach, w niczym nie przypominało tego, co sobie wyobrażałem. Oczywiście wiedziałem, że to będzie coś zupełnie innego niż dotychczas. To dla mnie nowa koncepcja, inne podejście: zabijanie z odległości. Nie mogłem czuć tego samego, zdawałem sobie sprawę, ale spodziewałem się jakiejś radości, może słabszego uczucia boskości, ale nic z tego.*

*Z ukrycia widziałem rozrywanych na strzepy przez falę uderzeniową ludzi. Kawałki ciała fruwały w powietrzu jak pociski, zalewając podłogę krwią. Wyobrażałem sobie, jaką przyjemność dałoby doświadczenie tego, jak tkanki płoną i odchodzą od kości z powodu wysokiej temperatury powietrza. To nie było trudne. Wyobrażałem to sobie, ponieważ doskonale pamiętałem ich twarze... ich wygląd... ale nie poczułem przyjemności. Poczulem się... oszukany. Zupełnie jakbym przeprowadził wszystkie przygotowania, wszystkie badania, a morderstwa dokonał ktoś inny.*

*Trzeba zrozumieć, że morderstwo to bardzo osobista rzecz. Być może nawet najbardziej osobista ze wszystkich ludzkich interakcji. Krew w żyłach sprawcy krąży szybciej, a serce tłucze jak szalone właśnie dzięki bezpośredniemu kontaktowi z ofiarą. Wtedy rodzi się boska więź. Patrzenie w oczy danej osoby, obserwowanie jej strachu, wdychanie tego zapachu, smakowanie go, branie go w posiadanie... nie ma nic lepszego. To doświadczenie tak potężne, że na zawsze odmienia człowieka. Odmienia sposób postrzegania, mózg, całe jestestwo. Dzisiaj za jednym zamachem zabiłem więcej ludzi niż kiedykolwiek przedtem, ale nic takiego nie poczułem. Żadnego dreszczu emocji, żadnego przyspieszonego bicia serca, żadnego rozszerzenia źrenic, żadnej gęsiej skórki... nic.*

*To poprawny materiał do badań, ale dla mnie stanowił akt tchórzostwa, którego się wstydzę. I którego już nie powtórzę.*

*Mimo swojego rozczarowania Lucien nigdy nie drążył kwestii danego morderstwa dłużej niż kilka godzin. Do czasu, gdy zamknął swój dziennik, całe wydarzenie stało się całkowicie odległe. Następnego ranka stanowiło wyłącznie smutny nagłówek w gazecie.*



## Pięćdziesiąt dziewięć

Lucien zazwyczaj robił przerwy pomiędzy morderstwami, czy – jak sam je nazywał – „tematami badań”. W przeszłości trwały one od miesiąca do roku, w tym czasie przygotowywał nowy temat oraz zastanawiał się, w jakim stanie/mieście/miejscowości zostanie opracowany. Gdy już to ustalił, przechodził do wyboru ofiary – czasami dokonywał go bardzo starannie, czasami nie – i zbierania na jej temat tylu informacji, ile się dało. Tym razem jednak nie nastąpi długa przerwa. Nie było takiej potrzeby.

Przez ostatnie trzy i pół roku każdą minutę życia poświęcał na planowanie zemsty, zastanawiał się, co zrobi, jak wyjdzie na wolność. Skoro wszystko miał wymyślone, musiał tylko wypełnić pewne niewielkie luki, aby móc znowu działać. Teraz czuł się gotowy.

Następnego ranka po wybuchu Folter wyszedł z hotelu w Lynwood, gdzie się zatrzymał. Ruszył w kierunku nowej kryjówki, na którą natknął się kilka dni wcześniej.

Normalnie wyczyściłby pokój niczym laboratorium, aby nie pozostał po nim choćby jeden odcisk palca czy najmniejszy włos, ale teraz nie musiał tego robić. Nie ukrywał już swojej tożsamości.

Do tej pory policja o nim nie wiedziała, nikt nie uważał go za podejrzanego w sprawie żadnego z morderstw, które popełnił. Wszystko się zmieniło, ponieważ obecnie był zbiegiem. Stracił anonimowość. Policja, FBI i szeryfowie federalni doskonale wiedzieli, kogo szukają. Nie potrafili go tylko znaleźć.

Miejsce, jakie wypatrzył, to opuszczony i rozsypujący się budynek na obrzeżach Altadeny – małej dzielnicy dwadzieścia dwa i pół kilometra na północ od centrum Los Angeles, umiejscowionej pomiędzy Pasadeną a Angeles National Forest.

Przed kilkoma dniami spędził wiele godzin, przetrząsając Google Maps w poszukiwaniu odpowiedniej lokalizacji do tego, co sobie zaplanował. Wiedział, że szybko musi udać się do nowej kryjówki, gdzie będzie mógł pracować w samotności i spokoju, gdzie nie ma sąsiadów, gdzie nikt nie zarejestruje jego

wizyt i, co najważniejsze, gdzie będzie mógł przetrzymać swoją ofiarę. Zdjęcia w internecie ukazały mu idealny obiekt: budynek stojący na końcu cichej, niezamieszkannej ulicy.

Magazyn z jednej strony sąsiadował z niezagospodarowaną działką, a z drugiej z gęstą leśną roślinnością. Masywne metalowe ogrodzenie jeszcze się trzymało, ale w kilku miejscach zrobiono w nim wyłomy, co umożliwiło łatwe wejście na teren.

Trawa i krzewy wyrastały z pęknięć i przerw pomiędzy betonowymi płytami tworzącymi plac.

Budynek służył niegdyś jako magazyn, toteż okien było niewiele, w dodatku wszystkie małe i wysoko nad ziemią, zatem nikt nie mógł do nich dosięgnąć. Sądząc po powybijanych szybach, Lucien zakładał, że dzieciaki trenowały na nich celność w rzucaniu kamieniami.

Zewnętrzne ściany miały kiedyś biały kolor, ale silne kalifornijskie słońce w połączeniu z rześzystymi deszczami sprawiły, że większość farby popękała i odpadła łuszczącymi się płatami. To zupełnie bez znaczenia, bo i tak niemal cała powierzchnia budynku została udekorowana kolorowym graffiti, które, jak na ironię, również wyglądało na stare i wyblakłe.

Folter zapisał sobie adres i jeszcze przed zamachem bombowym udał się na miejsce bardzo wcześnie rano, żeby dokładnie wszystko sprawdzić.

Budynek miał jakieś trzydzieści pięć metrów długości i dwadzieścia pięć szerokości, metalowy dach i ogromne przesuwne drzwi, co nadawało mu wygląd lotniczego hangaru. Przerdzewiałe wrota były ciężkie, ale trzymały się na szynach, zatem przy użyciu odrobiny siły dało się je dość sprawnie otworzyć, chociaż towarzyszyło temu głośnie skrzypienie. Morderca nie napotkał więc żadnych trudności w dostaniu się do środka.

Słońce dopiero powoli rozświetlało poranne niebo. Jego promienie stopniowo przenikały przez wybite okna, tworząc interesujące jasne smugi, w których tańczyły cząsteczki kurzu – zupełnie jak żywe istoty.

Zapach w środku odpowiadał wyglądowi: czuć było starzyznę, pleśnią, kurzem, moczem i potem. Większość ludzi dostałaby od tego mdłości, ale Folter wychwycił w tej mieszance coś jeszcze. Coś nie tak natarczywego. Coś bardziej znajomego, czego nie potrafił do końca rozpoznać.

Przez chwilę stał w progu, oswajał się z wonią i spokojnie obserwował całe otoczenie.

Zgodnie z przewidywaniami większą część wnętrza stanowiła pusta, otwarta przestrzeń, gdzie zmieściłyby się ze trzy jednopłatowce, jednak na końcu, po lewej stronie, wydzielono pewien obszar, zapewne pełniący niegdyś funkcję biura. Na drugie piętro owego biura dało się wejść po zewnętrznych spiralnych schodach.

– To się może przydać – powiedział na głos.

Spodziewał się również zobaczyć mnóstwo śmieci i innych odpadków – owszem, znalazł je, ale znacznie mniej, niż zakładał. Na podłodze wałało się szkło z wybitych szyb, kilka kartonów, brudnych szmat, zużyte prezerwatywy, strzykawki i różnych rozmiarów deski – jedne połamane, inne nienaruszone. Wtedy zidentyfikował ten niedający mu spokoju zapach: drewno i trociny. W tym magazynie przechowywano deski. Dzięki śladom na podłodze potrafił określić, gdzie kiedyś stały regały i piły przemysłowe.

Lucien bez trudu dostał się do biura. Tutaj dusząca woń nabrała znacznie większej intensywności, zmuszając go do zasłonięcia nosa i ust koszulą. Ten zabieg nieco pomógł, ale i tak cały czas łzawiły mu oczy.

– Muszę coś zrobić z tym smrodem. Tutaj jest najintensywniejszy.

Pomieszczenie było przestronne, w ścianie widniało duże kwadratowe, pozbawione szyby okno, wychodzące na magazyn. Właściciele zostawili sporo mebli: dwa biurka, sześć krzeseł, trzy różnych rozmiarów szafy i wielki metalowy regał, zajmujący praktycznie całą ścianę. Jedno z biurek i trzy krzesła zostały uszkodzone – brakowało części nóg. W jednej szafie ziały dziury po szufladach, ale cała reszta wydawała się w porządku.

Drugie piętro podzielono przenośnymi ściankami na cztery boksy. Tam również pozostawiono trochę mebli oraz dwa telefony, sporą tablicę korkową, zepsuty ekspres do kawy i dwie stare maszyny do pisania firmy Remington. Podłoga nieco skrzypiała, ale sprawiała wrażenie solidnej.

Lucien wrócił do części magazynowej i na moment przystanął. Nie mógł uwierzyć, że znalazł tak idealne miejsce, w dodatku nie zapowiadało się, żeby musiał z kimś o nie walczyć.

W wielkim mieście, jak Los Angeles, porzucone budynki, szczególnie takich rozmiarów jak ta hala, zazwyczaj przyciągały całe rzesze bezdomnych i meneli, ale

w tym wypadku jedynie zużyte prezerwatywy i strzykawki sugerowały, że ktoś tutaj przychodził.

– Wspaniale – skomentował, wychodząc na zewnątrz, po czym zamknął za sobą wrota.

Potrzebował tego miejsca przez kilka tygodni, może nawet mniej, żeby sfinalizować swój plan... swoją zemstę. Potem zniknie i nikt już o nim nie usłyszy.

## Sześćdziesiąt

Stary magazyn istotnie był idealny do planów Luciena. Jedyne problem stanowiło jego położenie: trudno było się do niego dostać transportem miejskim albo na piechotę. Potrzebował zatem samochodu – wystarczająco dużego, żeby przewieźć nim trochę materiałów i sprzętu. Nic szczególnie ciężkiego, zwyczajny van spokojnie sobie z tym poradzi, ale musiał zdobyć auto natychmiast, w dodatku za gotówkę i bez zbędnych pytań. Na szczęście w Los Angeles to nie takie trudne.

Rankiem następnego dnia po wybuchu bomby Folter spędził godzinę w kafejce internetowej w Lynwood, szukając odpowiedniego samochodu. Znalazł kilka w pobliżu, umówił się na oglądanie trzech – drugi z nich kupił. Biały dodge ram z 1998 roku nie był wcale w lepszym stanie niż pozostałe, ale jego właścicielka – przemiła siedemdziesięciosześcioletnia Latynoska – nie poprosiła o jego dowód osobisty i zaproponowała nawet, że umyje samochód przed sprzedażą.

To sprawiło, że Lucien parsknął śmiechem i zdecydował się na zakup.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział starszej pani. – Wezmę go w takim stanie, w jakim jest. Brud mi nie przeszkadza.

– Mnie też – odparła kobieta, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

Nie spisali żadnej umowy, Folter po prostu zapłacił, wziął kluczyki i radośnie odjechał.

Po drodze do nowej kryjówki zatrzymał się w kilku sklepach i kupił sprzęt potrzebny do przygotowania ostatniej części planu. Mógł wszystko dostać w jednym miejscu, ale nie chciał wzbudzać żadnych podejrzeń, zwłaszcza tuż po wybuchu bomby, który wstrząsnął całym miastem. Rozdzielenie zakupów na pięć różnych sklepów wydawało się znacznie bezpieczniejszym wyjściem.

Gdy dojechał do magazynu, zaparkował auto na tyłach, ukrywając je przed widokiem z ulicy, po czym zabrał się do pracy.

Pierwsze miejsce na liście zajmował punkt: „Pozbycie się tego pieprzonego smrodu z biura”.

W tym celu kupił siedem litrów silnego środka antybakteryjnego do mycia podłóg, kilka przemysłowych szczotek, przemysłowy mop, parę kaloszy, kilka maseczek ochronnych i grube gumowe rękawice.

Wyniósł wszystkie meble do części magazynowej i zaczął szorować podłogę.

Wybrał zapachowy płyn zamiast czegoś na bazie chloru, ponieważ zależało mu głównie na zabiciu swądu. Chlor zamieniłby po prostu wywracający bebechy odór na taki, który sprowadza na człowieka migrenę.

Prawie trzy godziny zajęło mu czyszczenie obu pięter biura, ale efekt był wart zachodu: zamiast wwiercającego się w nozdrza smrodu, wywołującego ciągłe łzawienie, pojawił się subtelny i przyjemny cytrynowy aromat.

Następnym punktem na liście było przemeblowanie całego biura. Do tego celu wykorzystał przenośne ścianki z drugiego piętra oraz masę desek walających się w magazynie. W pięciu sklepach z narzędziami kupił kilka różnych mechanicznych pił oraz trzy przenośne agregaty prądotwórcze na ropę, dzięki czemu mógł z łatwością ciąć drewno na dowolne rozmiary. Po paru godzinach udało mu się zabić deskami okno, wzmocnić drzwi i odpowiednio podzielić wnętrze pomieszczenia.

Trzecie zadanie bez wątpienia było najbardziej skomplikowane i pracochłonne. Brakowało mu kolejnej pary rąk, więc musiał sporo improwizować, ale po prawie dwóch dniach osiągnął dokładnie taki rezultat, jakiego pragnął.

Kiedy uporał się z zadaniami w nowej kryjówce, mógł wreszcie przejść do tego, co psychologowie kryminalni nazywali fazą morderstwa. Lucien wolał własną nazwę: faza ekstazy.

Psycholog Joel Norris w 1988 roku przeprowadził długie badania nad skazanymi za brutalne morderstwa. Wyróżnił wówczas siedem etapów, które przechodzą seryjni mordercy: faza aury, faza trollingu, faza przywłaszczania, faza przechwytywania, faza morderstwa, faza totemu i faza depresji.

Własne badania Foltera zaprzeczały tej teorii, jego zdaniem niektóre z tych faz zachodziły w umyśle przestępcy zupełnie inaczej, niż opisał to Norris, lub też w ogóle nie występowały. W jego własnym przypadku faza morderstwa zawsze dawała mu euforię, przyspieszała bicie serca, wytwarzała mnóstwo adrenaliny, endorfiny, dopaminy i serotoniny. Działała jak magiczny narkotyk. W swojej

encyklopedii stosował zatem nazwę faza ekstazy. Przypuszczał, że teraz odczuje znacznie większą przyjemność niż kiedykolwiek przedtem.

Jeśli Hunter uważał, że wysadzenie w powietrze baru i zabicie przy tym trzydziestu niewinnych osób to najbardziej przerażająca zbrodnia, jakiej Lucien jest w stanie dokonać, to wkrótce poczuje się tak, jakby sam szatan go odwiedził.

## Sześćdziesiąt jeden

Joel Norris wyodrębnił siedem faz, przez które przechodzi seryjny morderca. Lucien w swoich własnych badaniach odkrył istnienie jeszcze jednej, która często się pojawia. Faza stalkingu. Czasem stanowiła odrębną, ósmą fazę, innym razem zastępowała trzecią – przywłaszczania.

Zdaniem Norrisa wielu morderców przechodziło od trollingu – wybierania ofiary – do przywłaszczania – zdobywania jej zaufania, aby móc wciągnąć ją w pułapkę. Słusznie stwierdził, że nie każdy seryjny morderca doświadcza trzeciej fazy, a jedynie najlepiej zorganizowani i najbardziej pewni siebie. Tak samo działało się w przypadku fazy stalkingu, jaką wyodrębnił Folter. Niektórzy przestępcy – jak sam Lucien – poświęcali nieco czasu na obserwację wybranej przez siebie ofiary. To dawało im dwojaką przewagę. Po pierwsze: jeśli morderca przed przejściem do przywłaszczania przechodził przez stalking, łatwiej mu było znaleźć sposób na zwabienie ofiary. Po drugie: jeśli morderca rezygnował z przywłaszczania na rzecz fazy stalkingu, miał znacznie większą wiedzę na temat nawyków ofiary, co ułatwiało mu wybranie najlepszego momentu do rozpoczęcia fazy przechwytywania. Czy ofiara mieszka sama? Jeśli nie, to czy występuje taki moment w ciągu dnia lub nocy, kiedy jest sama w domu? Czy biega albo jeździ na rowerze o określonej porze... Czy robi cokolwiek innego, co ułatwiłoby mordercy zakradnięcie się bez zwracania czyjejkolwiek uwagi? Lucien, kiedy tylko mógł, trzymał się fazy stalkingu. Tym razem również nie zamierzał robić wyjątku.

Już wcześniej postanowił, kto stanie się jego ofiarą. Skoro sprawę z bombą miał już za sobą, a także uporał się z przygotowaniem kryjówki, mógł w końcu zacząć działać.

Przez kolejne pięć dni śledził swój cel co najmniej osiemnaście godzin na dobę. Zrobił dziesiątki zdjęć i zanotował absolutnie każdy szczegół, który mógł powiedzieć mu coś o jego planie dobowym. Trzeciego dnia wyodrębnił już kilka powtarzających się wzorów. Piątego wiedział dokładnie, jak przejść do fazy przechwytywania.



## Sześćdziesiąt dwa

Po pięciu dniach śledzenia swojej ofiary Lucien zdecydował, że najlepszy moment do ataku to dzień powszedni między pierwszą a szóstą po południu, ponieważ zwykle przebywa wtedy sama w domu. Dodatkowo sąsiednie domy są o tej porze niemal zupełnie puste, co ogromnie zmniejsza szanse na to, że ktoś go zauważy. Samo podejście do celu będzie najprostsze z możliwych: zapuka do drzwi.

Obserwowana przez niego osoba mieszkała na niewielkiej, położonej na uboczu ulicy w Downey, dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od centrum Los Angeles, w miejscu, gdzie narodził się program kosmiczny Apollo. Sam budynek był skromny w porównaniu z innymi w tej okolicy: jednopiętrowy, z podjazdem, bez garażu, bez basenu, z małym ogródkiem, a co najlepsze, bez żadnego ogrodzenia czy alarmu. Ofiara miała też zwyczaj zostawiania otwartego okna w sypialni w ciągu dnia, a czasem również w nocy. Gdyby postanowił się włamać, zamiast pukać do drzwi, nie nastęczyłoby mu to żadnych trudności. Na tej samej uliczce zobaczył jednak informację „na sprzedaż” przy jednym z domów i wówczas w jego głowie pojawił się pewien plan.

Skoro już to postanowił, zostało jedynie wybranie odpowiedniego dnia, aby wcielić zamiary w życie. Uznał, że poniedziałek, osiem dni po wybuchu bomby, będzie najlepszy.

Tamtego ranka Lucien spędził trochę czasu na wykreowanie nowej tożsamości, kogoś, kto pasowałby do takiej właśnie okolicy, jaką było Downey: elegancko ubrany, elokwentny, odnoszący sukcesy, skupiony na karierze przedstawiciel wyższej klasy średniej. Dla tej postaci wybrał zawód prawnika. Imię i nazwisko – James Mitchell – pożyczyl od jednego z profesorów, którzy uczyli go na Uniwersytecie Stanforda. Wymyślił prostą historyjkę dotyczącą przeszłości: urodzony i wychowany na Manhattanie, w Nowym Jorku. Po liceum dostał się na Uniwersytet Columbia, który ukończył z jednym z najlepszych wyników na roku. Później przez piętnaście lat pracował w tej samej kancelarii – Latham & Watkins LLP. Po rozwodzie zaczął się rozglądać za pracą w innej części kraju. Dostał

bardzo kuszącą ofertę z Gibson, Dunn & Crutcher LLP, jednej z najlepszych kancelarii, której siedziba mieści się w sławnym Wells Fargo Center w centrum Los Angeles.

Miał pewność, że żadnej z tych informacji nie będzie musiał przekazywać ofierze, ale to mu pomagało w przygotowaniu się do roli i lepszym wyobrażeniu sobie osoby, którą wymyślił. Sama faza przechwytywania stawała się przez to ciekawsza.

Podobnie jak niezliczoną ilość razy wcześniej, Lucien stał teraz przed lustrem i testował różne wizerunki, postawy, gesty... łącząc poszczególne elementy, aż w końcu powstawała idealna tożsamość. Tym razem potrzebował niewiele ponad godzinę, aby ją stworzyć.

Zdecydował się na neutralny, typowo nowojorski akcent, wysławiał się bardzo elokwentnie, jak przystało na wybitnego absolwenta prestiżowej uczelni. Głos miał spokojny, miękki, ale jednocześnie pewny. W kwestii wyglądu wybrał to, co jego zdaniem charakteryzowało typowego prawnika – krótkie, ciemne włosy, brązowe oczy, modny wąsik, haczykowany nos, szpiczastą brodę i okulary w cienkiej oprawie, które nadawały mu inteligentny wygląd. Założył szkła kontaktowe, aby dopasować kolor oczu. Nos i podbródek profesjonalnie wymodelował dzięki specjalnej piance. Wąsik nie do końca pasował do obrazu, który wykreował w swojej głowie, ale zapożyczył go od prawdziwego Jamesa Mitchella, profesora neurobiologii.

Kiedy skończył przygotowania, przyjrzał się dokładnie swojemu odbiciu w lustrze: lewy profil, prawy profil, en face, głowa w dole, głowa w górze, usta szeroko otwarte. Nie widział żadnych wad, żadnych pęknięć czy rys w makijażu. Brakowało jedynie odpowiedniego stroju i postać będzie gotowa. Lucien miał coś właśnie na tę okazję.

Kiedy śledził swoją ofiarę, zauważył kilka ciekawych ubrań w sklepie z używaną odzieżą, które prędzej czy później mogły się przydać. Co najlepsze, pasowały na niego idealnie. Jedną z tych rzeczy był jasnoniebieski dwurzędowy garnitur. Dobrał do niego białą koszulę, czarną muszkę i czarne buty, po czym przejrzał się w lustrze po raz ostatni.

Lucien zniknął. Patrzył na niego James Mitchell, prawnik z kancelarii Gibson, Dunn & Crutcher LLP.

## Sześćdziesiąt trzy

Przedpołudniowe niebo nad Los Angeles było przecięte osamotnioną, cienką warstwą białych chmur, które jeszcze podkreślały jego idealny błękit. O jedenastej temperatura sięgała osiemnastu stopni Celsjusza, ale według prognozy pogody miała rosnać w ciągu dnia, aż do dwudziestu trzech stopni o trzeciej po południu.

Lucien – albo raczej James Mitchell – opuścił swoją kryjówkę o dwunastej czterdzieści siedem. W poniedziałek o tej porze dojazd z Altadeny do Downey powinien zająć mu czterdzieści lub czterdzieści pięć minut, lecz miał w planach zrobić po drodze jeden krótki przystanek.

Tuż obok chińskiej restauracji w samym centrum Alhambry, na południe od Pasadeny, znajdowała się niewielka rodzinna piekarnia. James zaparkował blisko wejścia, po czym kupił trzy ręcznie robione babeczki. Trzydzieści osiem minut później stanął na parkingu przy kościele w Downey, kilka przecznic od domu, gdzie mieszkał jego cel.

Wysiadł z auta i zaczął podziwiać skromne miejsce kultu. Na ceglanej ścianie, wysoko nad drzwiami, wisiała biało-złota podobizna ukrzyżowanego Chrystusa. Spojrzał na nią i się uśmiechnął.

– Jak ci tam na górze? Wygodnie?

Odczekał chwilę, zupełnie jakby naprawdę oczekiwał, że podobizna mu odpowie.

– Cóż, gdybyś był prawdziwy, to zatrzymałbyś mnie teraz, nieprawdaż? Pokarałbyś mnie gromem z jasnego nieba albo czymś w tym stylu, bo przecież jesteś wszechwiedzący, a w takim razie doskonale wiesz, co zamierzam zrobić... To nie będzie ładny widok, możesz mi wierzyć. – Wzruszył beztrząsramionami. – Ale ty nic nie zrobisz, prawda? Żadne pioruny ani błyskawice nie spadną z góry, żeby mnie zgładzić, tak?

Znowu odczekał chwilę, ale tym razem spojrzął na bezchmurne niebo – wydawało się, że szuka czegoś wzrokiem.

– Taa, żadnych piorunów. – Zaśmiał się. – Czy to dlatego, że jesteś kłamstwem i nie istniejesz? A może jesteś takim samym sadystycznym chujem jak ja? Lubisz patrzeć na moją pracę, ponieważ chcesz, żeby cierpieli? Tak to z tobą jest? Pozwalasz istnieć psychopatom mojego pokroju, żeby obserwować ból?

Po raz kolejny czekał na odpowiedź z góry.

– Dobra, skoro tak się sprawy mają, to patrz uważnie, spodoba ci się.

Zza kościoła wyszedł Latynos pchający przed sobą taczkę pełną ziemi. Gdy dotarł do bramy, zdjął czapkę i otarł czoło z potu. Spojrzał na Mitchella i kiwnął do niego głową na powitanie.

Ten odpowiedział tym samym gestem, poprawił muszkę, mrugnął do podobizny Chrystusa i zaczął spokojnie maszerować w kierunku domu swojej ofiary.

## Sześćdziesiąt cztery

Dochodziła czternasta, kiedy James Mitchell stanął w końcu przed jednopiętrowym domem o pomalowanym na niebiesko froncie, usytuowanym dwie przecznice od miejsca, gdzie zaparkował samochód. Białe chmury dekorujące wcześniej niebo zniknęły bez śladu, zostawiając czystą błękitną taflę nad całym miastem.

– Piękny dzień, aby umrzeć – powiedział do siebie morderca, po czym poprawił okulary i rozejrzał się po okolicy. Wszędzie panował spokój: żadnych bawiących się dzieci, przejeżdżających pojazdów, nikt nie wyglądał przez okno, nie pracował w ogródku ani nie spacerował.

Z babeczkami w dłoni ruszył wybrukowaną ścieżką prowadzącą do drzwi wejściowych. Zatrzymał się przed nimi, zaczerpnął głęboko tchu, strzepnął pyłek z marynarki i zadzwonił. Po kilku sekundach usłyszał zbliżające się kroki.

Wyprostował plecy.

Ktoś spojrział przez wizjer, a następnie rozległ się dźwięk zakładanego łańcucha, po którym drzwi się uchyliły. W szczelinie pojawiła się twarz lokatorki. Kobieta była o jakieś dwanaście centymetrów niższa od Jamesa. Oszalaniająco zielone oczy ukryte za okularami w czarnej oprawie, która idealnie pasowała do twarzy w kształcie serca, szybko zlustrowały gościa.

– Dzień dobry – przemówiła miękko, spokojnym głosem, pasującym do lektora filmowego.

Mitchell wyczuł dolatujący z wnętrza delikatny zapach lilii i wanilii oraz świeżo zaparzonej kawy.

– Dzień dobry – odparł serdecznie. – Bardzo przepraszam, że nachodzę panią w to piękne popołudnie, ale chciałem się przywitać i przedstawić. Nazywam się James Mitchell i zostałem pani nowym sąsiadem. – Zamilkł na chwilę i uniósł do góry brwi. – Cóż, może nie dosłownie: mieszkam trzy domy dalej. Pod numerem piętnaście.

– Naprawdę? – spytała zaskoczona kobieta. Instynktownie spojrzała w lewo, w kierunku właściwego domu. – Bardzo szybko go pan kupił. Joanna i Albert wyprowadzili się zaledwie miesiąc temu.

– O! Nie wiedziałem. – On również sprawiał wrażenie zaskoczonego. – Ma pani rację, to była bardzo szybka transakcja. Zakochałem się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia, a jako że nie miałem czasu na długie szukanie, od razu złożyłem ofertę i jeszcze tego samego dnia ją zaakceptowali. – Uśmiechnął się do niej. – Wie pani, jestem prawnikiem. Zatem... taki plus tej pracy, papierkowa robota idzie dużo sprawniej, więc umowę spisaliśmy dwa dni temu.

– Wow, to rzeczywiście błyskawicznie. Założę się, że Joanna jest bardzo szczęśliwa. Bała się, że znalezienie kupca trochę potrwa. Najwidoczniej rynek wcale nie jest taki nasycony jak kiedyś.

Wszystko szło znacznie lepiej, niż się spodziewał. Ofiara sama z chęcią podjęła rozmowę, zatem morderca dalej odgrywał swoją rolę.

– To prawda, proszę pani. Szczerze mówiąc, sam się obawiałem, że znalezienie czegoś ciekawego zajmie mi dużo czasu. Wcześniej mieszkałem w Nowym Jorku i miałem jedynie dwa, góra trzy dni na sprawdzanie każdej oferty, jaką znalazłem, a nie planowałem zadowolić się byle czym, ale szczęście mi dopisało. Dom jest absolutnie przepiękny, dokładnie taki chciałem mieć. – Spojrzał na trzymane w ręce pudełko babeczek. Nadeszła pora na następny etap. – A właśnie, to jest dla pani. – Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę z upominkiem.

– O! – zawołała z zaskoczeniem. – Chwileczkę.

Szybko odpięła łańcuch i otworzyła drzwi na oścież.

Miała delikatne rysy twarzy, młodzieńcza pulchność policzków jedynie dodawała jej uroku. Długie, rude, pofalowane włosy sięgały jej do ramion. Nosila błękitną sukienkę z rzędem obciągniętych materiałem guzików, rozciągającym się od jej piersi aż do pępka. Na łańcuszku wokół szyi miała srebrną zawieszkę w kształcie serca.

– To tylko taki mały prezencik na powitanie – dodał Mitchell.

Kobieta odwzajemniła uśmiech i powiedziała:

– To bardzo miłe z pana strony, dziękuję.

Mężczyzna wiedział, że właśnie zdobył jej zaufanie. Początkowa niepewność, z jaką otworzyła mu drzwi, zniknęła całkowicie. Musiał teraz tylko zaczekać, aż

sama go zaprosi, a to z pewnością niebawem nastąpi.

– Bardzo się cieszę, że sprawiłem pani przyjemność. Niestety łatwo się domyślić, że nie upiekłem ich sam. – Ponownie się uśmiechnął, tym razem nieco wstydliwie. – Staram się, żeby sąsiedzi mnie polubili, a nie znienawidzili do końca życia. Beznadziejny ze mnie kucharz. Potrafię przypalić popcorn w mikrofalówce.

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Na pewno nie jest tak źle.

– Och, może mi pani wierzyć. Nie nadaję się do tego.

– Nie jest pan żonaty?

James się nieco skrzywił.

– Kiedyś byłem. To jeden z powodów mojej przeprowadzki.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

– Nic się nie stało – próbowałem nadać swojemu głosowi wesołe brzmienie. – Tak jest lepiej. Jestem tego pewny. A poza tym istnieje jeszcze inna przyczyna przyjazdu do Los Angeles. Dostałem wymarzoną pracę w siedzibie Gibson, Dunn & Crutcher.

Zaskoczył ją po raz trzeci.

– Wow. To chyba bardzo poważni gracze, prawda?

Pokiwał głową z rozpromienioną twarzą.

– Tak, to zdecydowanie bardzo poważni gracze.

– W takim razie należą się panu gratulacje.

– Bardzo dziękuję.

Kobieta spojrzała na trzymane w ręce pudełko z babeczkami i pokręciła z niezadowoleniem głową.

– Jezu, co z moimi manierami? Chciałby pan wejść? Właśnie zaparzyłam kawę, będzie idealnie do nich pasowała – kiwnęła głową w kierunku wypieków.

*Bingo.*

Mitchell wahał się przez chwilę.

– Na pewno? Nie chciałbym się narzucać.

– Ależ skąd, proszę, niech pan wejdzie – odparła zdecydowanie.

– W takim razie z przyjemnością napiję się z panią kawy.

Podążył za nią do środka. Nie zauważyła podstępного uśmiechu, jaki wypełził na jego wargi, kiedy zamknęła za nim drzwi.



## Sześćdziesiąt pięć

Kobieta zaprowadziła Mitchella prosto do obszernego salonu. Zasunięte zasłony w oknach wpuszczały jedynie przytłumiony blask słońca. Wnętrze zostało cudownie urządzone, z błyszczącymi drewnianymi podłogami i olśniewającymi zabytkowymi meblami: regalem na książki z epoki edwardiańskiej, pięknym stolikiem kawowym, majestatycznym, sześćoosobowym stołem obiadowym oraz wspaniałym bordowym skórzanym kompletem w stylu wiktoriańskim, w skład którego wchodziły dwa fotele i trzyosobowa kanapa. Na ścianach wisiało mnóstwo oprawionych w ramy obrazów olejnych w rozmaitych rozmiarach, przedstawiających sielankowe sceny i martwą naturę. Najbardziej przykuwał jednak uwagę wielki, wykonany z kamienia i czarnego granitu kominek na północnej ścianie.

– Wow – skomentował James, podążając za gospodynią. – Piękny pokój.

– Bardzo dziękuję – odparła, po czym wskazała mu jeden z foteli. – Jest pan bardzo miły.

Stała, czekając, aż on usiądzie.

– Mówię poważnie – dodał szczerze. – Nie chodzi tutaj o zwykłą grzeczność, ten salon jest naprawdę wspaniale urządzone. Bardzo przytulny, a kominek wprost oszałamia.

Kobieta się uśmiechnęła.

– To bez wątpienia był główny powód, dla którego wybrałam ten dom.

– Doskonale panią rozumiem.

Postawiła pudełko z babeczkami na stoliku.

– Jaką kawę pan pije?

– Poproszę czarną. Bez cukru i bez śmietanki.

– Łatwo pójdzie – odpowiedziała z uśmiechem. – Zaraz wracam.

Mitchell przyglądał się, jak kobieta wychodzi z pomieszczenia i znika w kuchni. Potem spojrzał na zdjęcia wiszące przy regale z książkami. Przedstawiały

rudowłosą kobietę razem z jej rodziną – a przynajmniej tak zakładał. Wyglądała na nich na bardzo szczęśliwą, miała bez wątpienia uroczy, rozbrajający uśmiech.

Niecałą minutę później gospodyni wróciła, niosąc ze sobą drewnianą tacę, a na niej dzbanek z kawą, dwa kubki, dwa talerzyki, dwa widelczyki do ciasta i niewielki nóż.

– Pomóc pani? – zapytał, podnosząc się z miejsca.

– Nie, nie, dziękuję. Wszystko mam pod kontrolą.

Postawiła tacę na stoliku obok pudełka z babeczkami.

James usiadł z powrotem, ona zaś nalala kawy do kubków, po czym wręczyła mu jeden.

– Ja również piję czarną – oznajmiła.

– W ten sposób można lepiej docenić prawdziwy smak kawy – stwierdził. – A przynajmniej tak mówią, nie jestem koneserem. – Pociągnął niewielki łyk i poczuł, jak gorący płyn pali mu podniebienie. Jak na ironię, ból sprawił mu przyjemność. – A skoro o tym mowa, smakuje wyśmienicie.

– Kolumbijska. Podobno jakiś specjalny gatunek. Pewnie to tylko chwyt marketingowy, ale i tak jest lepsza niż taka zwykła z supermarketu.

Mężczyzna pokiwał głową i ponownie się napił.

– Spróbujemy tych babeczek? – spytała go, po czym otworzyła pudełko. – Na którą ma pan ochotę?

– O, nie, dziękuję, one są dla pani.

– Podzielmy się – nalegała. – Niech pan którąś wybierze... proszę.

– W porządku, zjedzmy jedną na pół.

– Wspaniale. To którą pan wybiera?

Wzruszył delikatnie ramionami i odrzekł:

– Niebieską?

– Proszę bardzo, niech będzie niebieska. – Wyciągnęła ją z pudełka, położyła na talerzyku i przecięła. Przełożyła jedną część na drugi talerzyk i podała go gościowi.

Mitchell odstawił kubek i przyjął talerzyk. Oboje zjedli po kawałku.

– Mmm – wymruczała z zachwytem kobieta, kiwając głową. – Bardzo dobra. Jeszcze raz dziękuję.

Mężczyzna w pełni zgadzał się z jej oceną. To zdecydowanie jedna z najsmaczniejszych babeczek, jakie jadł w życiu.

Ponownie napił się kawy, a następnie spojrzął na regał z książkami.

- Niezłą ma pani kolekcję.
- Czytanie zawsze było moją pasją – przyznała.
- Moją też. Mogę pooglądać pani książki?
- Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje.

Odstawił talerzyk i wstał. Wsadził dłonie do kieszeni i podszedł do regału. Półki niemalże uginały się pod ciężarem amerykańskich i zagranicznych klasyków, a także sporej liczby pozycji na temat psychologii i, co ciekawe, psychologii kryminalnej, co sprawiło, że na jego usta wypełził uśmiech. Przesunął się nieco w bok, aby kątem oka móc obserwować swoją ofiarę.

Kobieta patrzyła na niego przez moment, ale jej uwaga szybko skupiła się z powrotem na apetycznych babeczkach.

Morderca zamknął oczy, sięgając w głąb siebie, szukając mrocznej pustki. Dotarł do niej w mgnieniu oka.

Nagle James Mitchell wyparował, zniknął z tego pomieszczenia. On nie miał odwagi ani wiedzy, aby zrobić to, co trzeba... w przeciwieństwie do Luciena, który powrócił. Z lewej kieszeni błyskawicznie wyciągnął wytrzymałą przezroczystą plastikową torbę. Z prawej zaś opaski zaciskowe zamocowane tak, aby stworzyć dwie połączone ze sobą pętle.

Kiedy kobieta uniosła dłoń trzymającą widelczyk, Folter doskoczył do niej momentalnie i owinał plastikową torbę wokół jej głowy, po czym ściągnął ją ciasno do tyłu, odcinając całkowicie dopływ tlenu.

Ofiara od razu wpadła w panikę. Talerzyk poleciał na podłogę, rozbijając się na kilka kawałków. Widelec spadł na jej stopę, a następnie zniknął pod kanapą. Dłonie natychmiast wystrzeliły w kierunku twarzy, kiedy najbardziej zwierzęca spośród wszystkich ludzkich reakcji wzięła górę: walka o przetrwanie. Impuls poprzedzał myśl – należało uczynić wszystko, aby zachować życie. Morderca tylko na to czekał.

Nie robił tego po raz pierwszy. Wszystkie ofiary zachowują się dokładnie w ten sam sposób: powodowane paniką próbują osiągnąć tego, co je dusi, i się tego pozbyć.

Mając tego świadomość, Lucien trzymał plastikową torbę lewą dłonią, podobnie jak jeździec trzymający wodze konia.

Kiedy kobieta próbowała ściągnąć torbę, morderca jej w tym przeszkodził: złapał jej prawą dłoń drugą ręką. Chwycił nadgarstek wyćwiczonym ruchem, przeciągnął go przez jedną z pętli opaski zaciskowej i wykręcił całe ramię w swoją stronę, za oparciem fotela.

To z kolei sprawiło, że lewa dłoń ofiary zmieniła kierunek i zamiast w stronę twarzy, powędrowała w stronę porażonej nagłym bólem wykręconej ręki.

Jej panika jeszcze bardziej wzrosła, zaczęła kopać na oślep nogami. Następnie postawiła stopy na podłodze i spróbowała poderwać się do góry, ale chwyt Luciena jej to uniemożliwił: prawe ramię promieniowało takim bólem, że padła z powrotem na fotel.

Zaczęła kasłać, jej ślina pokrywała wnętrze plastikowej torby. Ciekło jej z nosa, mrugała gwałtownie i szarpała głową na wszystkie strony, próbując się jakoś wyswobodzić. Przebłysk rozsądku kazał jej lewej dłoni ponownie sięgnąć do twarzy, aby pozbyć się tego, co ją dusiło – Lucien i tym razem był przygotowany. Puścił torbę i błyskawicznym ruchem złapał ją za rękę, wykręcił w identyczny sposób, jak wcześniej. Kiedy jej dłonie spotkały się za oparciem fotela, przełożył lewy nadgarstek przez drugą pętlę i mocno ścisnął.

Koniec gry.

## Sześćdziesiąt sześć

Lucien doskonale rozumiał sposób działania mózgu, jego budowę i reakcje na największy spośród wszystkich lęków: lęk przed śmiercią. Wiedział, jakie hormony zacznie produkować oraz jakie neurologiczne impulsy będzie wysyłać do reszty ciała, kiedy zrozumie, że życie za moment się skończy.

Większość ludzi, z wyjątkiem tych, którzy przeszli dokładne szkolenie na wypadek takich sytuacji, zupełnie przestaje myśleć, do głosu dochodzą wyłącznie impulsy elektryczne. Z tego powodu wszystkie reakcje są bardzo podstawowe i łatwe do przewidzenia. Dla przykładu: Folter zdawał sobie sprawę, że kiedy mózg kobiety wyczuje groźbę śmierci i rozpozna jej źródło jako brak powietrza, natychmiast zmusi pień mózgu (część mózgu znajdującą się z tyłu głowy, która kontroluje podstawowe funkcje, jak oddychanie czy zdolność czuwania) do produkcji i wydzielania dwóch hormonów stresu – noradrenaliny i kortyzolu. Prześle również sygnalizujący panikę impuls do układu oddechowego, aby ten na wszelkie możliwe sposoby próbował zaczerpnąć więcej powietrza. Pierwszą instynktowną odpowiedzią organizmu stanie się próba zrobienia głębokich wdechów, która oczywiście zakończy się porażką, ponieważ plastikowa torba to uniemożliwi.

Gdyby spojrzeć na to z matematycznego punktu widzenia, mniej tlenu równa się większej panice. W odpowiedzi na to mózg kobiety zwielokrotni produkcję hormonów stresu i wyśle jeszcze bardziej naglący sygnał, który zmusi serce do szybszego bicia, a jej przeponę do gwałtowniejszych skurczów. Głębokie oddechy staną się płytkie i coraz bardziej desperackie, ale plastikowa torba nadal będzie odcinać dopływ powietrza, zatem panika sięgnie zenitu.

Pozbawiony tlenu mózg nie jest już nawet w stanie kontrolować wysyłanych przez siebie impulsów, dlatego też Lucien mógł spokojnie zwolnić na chwilę chwyt, aby unieruchomić również drugą rękę swojej ofiary, nie tracąc przy tym nad nią władzy. Organizm dopiero po kilku sekundach uświadomi sobie, że

przeszkoda nie została co prawda usunięta, ale znacznie poluzowana, dzięki czemu da się zaczerpnąć wreszcie tchu.

Kiedy Folter upewnił się, że więzy mocno trzymają, okrążył fotel i stanął przed ofiarą.

Nadal szarpała głowę, starając się jeszcze bardziej poluzować plastikową torbę. Powietrze wypełniło jej płuca, ale panika ani trochę nie osłabła.

– Oddychaj – polecił stanowczo.

Ogrom strachu, jaki przeżywała, uczynił ją głuchą na jego słowa.

Lucien ściągnął jej torbę z głowy i powtórzył:

– Oddychaj.

W końcu zrozumiała, że nic już jej nie dusi.

– Oddychaj.

Powoli zaczęła robić głębsze i spokojniejsze wdechy.

– Właśnie tak, powoli... przez nos... – Lucien nabrał powietrza, gestykulując rękami, aby jej pokazać, co ma robić. – A teraz wypuść ustami. Potrafisz.

Kobieta była posłuszna. Wpatrywała się w niego z przerażeniem szeroko otwartymi oczami. Pomimo usilnych starań i tak nie mogła zrozumieć, co się właściwie dzieje.

– Zakładam, że chciałabyś usłyszeć jakieś wyjaśnienia, prawda? – zapytał.

Ofiara była jak sparaliżowana, nie potrafiła odpowiedzieć ani nawet skinąć głową. Mogła jedynie oddychać, jej pierś unosiła się w bardzo gwałtownym rytmie.

– Ależ oczywiście, że chcesz – ciągnął Folter. – To jest bardzo proste. Kiedy odciąłem ci dopływ tlenu – podniósł dłoń, w której trzymał plastikową torebkę – twój mózg wyczuł niebezpieczeństwo. Największe możliwe niebezpieczeństwo: zagrożenie życia. Wówczas neurony w pniu mózgu zaczęły produkować noradrenalinę i kortyzol, czyli hormony strachu. Ich połączenie nazywamy adrenaliną. Owe neurony mają długie włókna, aksony, które rozciągają swoje rozgałęzienia na całej powierzchni mózgu, uwalniając adrenalinę we wszystkich miejscach jednocześnie.

W jej oczach oprócz strachu pojawiło się również niedowierzanie.

*Ten wariat robi mi teraz wykład z biologii?*

Morderca widział jej zwątpienie, ale mówił dalej. Lubił wyjaśniać dręczonym przez siebie ludziom, co im zaraz zrobi, albo tłumaczyć zachodzące w nich procesy fizjologiczne i psychiczne. To wzmagало ich przerażenie, a im większy był ich strach, tym potężniejszą czuł satysfakcję.

– Adrenalina dostaje się w przerwy pomiędzy neuronami, zwane synapsami. Chwyta taki neuron i prosi o pomoc. On wówczas prosi o pomoc swojego sąsiada, który przekazuje to jeszcze dalej. Mówiąc najprościej, adrenalina jest posłańcem, który ostrzega mózg przed niebezpieczeństwem. Wówczas wysyłane są impulsy nerwowe do całego ciała, komórki regulujące pracę serca zmuszają je do szybszego bicia, aby przygotować wszystko do działania. Nadnercza również zaczynają uwalniać adrenalinę, tylko że w o wiele większych ilościach, i kierują ją do krwioobiegu. Kiedy dotrze ona do płuc, przyczepia się do receptorów komórkowych. Ma w ten sposób poszerzyć drogi oddechowe, aby zapewnić więcej tlenu, który napędzi mięśnie i mózg, żebyś mogła walczyć lub uciekać. Tutaj właśnie był problem.

Oddech kobiety niemalże wrócił do normy.

– Owszem, twoje drogi oddechowe się rozszerzyły, ale nie mogły dostać więcej tlenu. Wręcz przeciwnie, dostarczały go mniej, ponieważ pozbawiłem cię dostępu do niego. Mózg się tego nie spodziewał: miał dostać duży zastrzyk energii, a tymczasem nie otrzymał prawie nic. Wtedy zrozumiał, że przegrywa walkę o twoje życie.

To zdanie sprawiło, że w serce ofiary wbiło się kolejne ostrze strachu.

Lucien przyjrzał się jej.

– Po co jednak ci to wyjaśniam? Przecież ty to wiesz, prawda?

Nadal nie potrafiła nic odpowiedzieć, jej umysł próbował zrozumieć cokolwiek z tej absurdalnej sytuacji.

– A przynajmniej powinnaś, biorąc pod uwagę wielką liczbę książek o psychologii na twoim regale. Tak czy siak, nie takiej odpowiedzi oczekujesz, czyż nie? Chciałabyś się dowiedzieć, dlaczego tu jestem i dlaczego ci to robię?

W końcu udało jej się przełamać lęk i pokiwać głową. Zrobiła to bardzo niepewnie.

– Cóż, jestem tutaj tylko z jednego powodu. – Nachylił się nad nią, żeby wyszeptać jej do ucha. – Z jednego, najśłodsze na świecie powodu... dla zemsty.

Zmarszczyła brwi.

– Tak, wiem. Nie winię cię. Masz prawo czuć zdziwienie. Moja zemsta nie ma z tobą nic wspólnego. Jesteś tylko nieszczęsnym produktem ubocznym. Niemniej... morderca musi zrobić to, co do niego należy, prawda?

W oczach kobiety pojawiły się łzy. Zanim jednak panika zawładnęła nią ponownie, Folter spoliczkował ją tak mocno, aż głowa odskoczyła jej do tyłu i uderzyła w oparcie fotela. Z górnej wargi trysnęła krew. Kilka kropel wylądowało na czole i policzku oprawcy. Kiedy ofiara zaczęła krzyczeć z bólu i przerażenia, on powoli stał palcem czerwony płyn i zbliżył dłoń do ust. Niczym wąż, wysunął język i oblizał palec.

– Twoja krew jest słodziutka – oznajmił, po czym złapał jej stopy i związał je ciasno razem. Odwrócił się w kierunku kuchni.

– Założę się, że masz tam jakieś niesamowite noże. Może tasak? To mój ulubiony.

Kobieta spojrzała na niego. Widział, że jej źrenice rozszerzają się pod wpływem strachu. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął długi, przezroczysty plastikowy kombinezon.

– To mój jedyny garnitur – wyjaśnił, wkładając na siebie strój ochronny. – Nie chciałbym go poplamić, wiesz?

Zaczęła otwierać usta, by wydać z siebie wrzask przerażenia, który od jakiegoś czasu w niej wzbierał, ale Lucien tylko na to czekał. Zanim struny głosowe zdołały wyprodukować jakikolwiek dźwięk, uderzył ją z ogromną siłą w żołądek, całkowicie ją pacyfikując. Zamiast krzyku z jej ust popłynęły wymiociny. Zjedzone dopiero co babeczki znalazły się teraz na jej sukience, fotelu i podłodze. Część płynu trafiła również na oprawcę, ale kombinezon spełnił swoje zadanie.

– Nie radzę krzyczeć. To może być dla ciebie niezwykle bolesne.

Zgięta wpół pod wpływem cierpienia ofiara mogła jedynie kaszleć.

– A teraz poszukam tych noży – oznajmił Folter z uśmiechem. – Nigdzie się stąd nie ruszaj. Zaraz wracam.



## Sześćdziesiąt siedem

To nie tajemnica, że nocne życie w Los Angeles jest jednym z najbardziej ekscytujących na świecie: od luksusowych i modnych klubów, gdzie bawią się najbardziej znani celebryci, po ponure i obskurne mordownie (gdzie również bawią się niektórzy najbardziej znani celebryci, ale zazwyczaj robią to incognito). Bary tematyczne są rozsiane po całym mieście, nie wspominając już o wielu pojawiających się nagle z dnia na dzień pijalniach, które po kilku miesiącach znikają bez śladu. Tutaj można się bawić w mobilnym laboratorium do produkcji metamfetaminy, wyjętym żywcem z serialu *Breaking Bad*, gdzie koktajle są serwowane w probówkach, razem z niebieskim cukrem, przeznaczonym do wciągania nosem, albo na oddziale szpitalnym, w którym kelnerki noszą obcisłe lateksowe stroje. Każdy szalony pomysł może służyć do przyciągnięcia klientów – im jest bardziej dziwaczny lub symboliczny, tym lepiej. Jednym z takich miejsc jest właśnie restauracja Królicza Nora w Alhambrze.

Hunter kilka razy przejeżdżał koło tego miejsca, ale nigdy nie wszedł do środka. Z uwagi na tłumy, które przyciągały podobne lokale, starał się ich unikać jak ognia, ale *Alicja w Krainie Czarów* to ulubiona powieść Tracy, więc po prostu musiała przyjść do tego baru. Nieraz prosiła Roberta, aby wybrał się razem z nią.

Gdy zaparkował na West Main Street, naprzeciwko numeru dwadzieścia cztery, spojrzął na zegarek: wskazywał dokładnie dwudziestą trzydzieści, czyli właśnie od tej chwili zaczynała obowiązywać ich rezerwacja.

Detektyw uśmiechnął się, jak tylko wysiadł z auta. Na chodniku, tuż przy samym lokalu stał tekturowy drogowskaz, do którego przybito cztery strzałki. Każda wskazywała inny kierunek. Na najwyższej napisano „Królicza Nora”, na następnej „Mordor”, dalej „Hogwart” i na ostatniej „Narnia”. Spodobało mu się to poczucie humoru.

Drzwi restauracji stały otworem zaledwie od godziny, ale w środku już brakowało wolnych miejsc. Nic dziwnego, w końcu happy hour trwa od

dwudziestej do dwudziestej pierwszej trzydziści, a wtedy wszystkie drinki kosztowały pół ceny.

Gdy Hunter szedł w stronę wejścia, przywitał go krzykliwie udekorowany korytarz, w którym neonowe światła ożywiały dwa murale sięgające od podłogi do samego sufitu. Przedstawiały kilka postaci z *Alicji w Krainie Czarów*, łącznie z królikiem niosącym roztopiający się zegar, Dyludyludim i Dyludyludamem, oraz oczywiście samą Alicję.

Poszedł dalej i trafił do głównej sali, oświetlonej wyłącznie przygaszonym fioletowo-zielonym blaskiem. Bar znajdował się po lewej stronie, jego tylną ścianę zdobiło wielkie lustro i liczne półki, na których stała imponująca kolekcja butelek. Wielobarwne światła odbijały się od lustra, przenikały przez najróżniejsze trunki i tworzyły hipnotyzujący i psychodeliczny efekt, z którego Lewis Carroll byłby dumny.

Sufit wyglądał jak odwrócony do góry nogami ogród. Wyłożono go sztuczną trawą, z której zwisały kwiaty, białe króliki, lampy, dwie ławki i niewielki staw.

Na ceglanej ścianie naprzeciwko baru znajdował się zbiór powieszonych do góry nogami obrazów.

Muzyka dobiegała ze strategicznie umieszczonych głośników, ale lokal wypełniały przede wszystkim rozmowy.

Hunter minął bar i udał się do części restauracyjnej, gdzie niezwykle atrakcyjna hostessa, przebrana za Królową Kier, stała za drewnianym pulpitem. Ustawiała się przed nią niewielka kolejka osób czekających na wskazanie właściwego stolika.

Detektyw stanął za dwiema blondynkami i mężczyzną, który bycie hipsterem wziął sobie najwidoczniej bardzo mocno do serca. Włosy miał klasycznie podcięte i zaczesane do tyłu, prawdopodobnie przy użyciu połowy słoika żelu. Krzaczasta broda sięgała mu poniżej kołnierzyka koszuli, zaś wąsy wywinął do góry, aby tworzyły idealne pętelki. Włożył koszulę w szachownicę, z czerwonymi mankietami, i czarną muszkę. Granatowe jeansy podwinął powyżej kostek, przez co dało się zauważyć, że nie nosi skarpetek, a na stopach ma mocno zużyte trzewiki. Paplał coś do dwóch wyraźnie tym niezainteresowanych blondynek – wcale to Roberta nie dziwiło. Hipster wyglądał na osobnika absolutnie pozbawionego charyzmy.

Jedna z kobiet uśmiechnęła się do Huntera, który odpowiedział tym samym.

– Bardzo tu tłoczno – zagaił.

– Jak zawsze – odparła, uśmiechając się szerzej. – Jesteś tu pierwszy raz?

Przytaknął.

– Miejsce wygląda fantastycznie – dodała. – Jedzenie też jest całkiem spoko.

Król hipsterów zlustrował Roberta wzrokiem. Nie był zadowolony, że ktoś odciąga od niego uwagę blondynek. Nieznaczące uniesienie brwi powiedziało detektywowi, że nie podoba mu się również jego ubranie.

Niedługo później nadeszła jego kolej na rozmowę z hostessą.

– Witam – rzuciła radośnie. – W czym mogę pomóc?

– Jestem tutaj umówiony na kolację – odparł, nie mogąc pozbyć się uśmiechu wywołanego jej strojem.

– Ma pan rezerwację?

– Tak, na ósmą trzydzieści. Na nazwisko Adams. Tracy Adams.

Kobieta sprawdziła coś w komputerze.

– Tak, oczywiście. Dla dwóch osób, prawda?

Detektyw przytaknął.

– Przyszedł pan pierwszy. Mogę wskazać panu stolik, chyba że woli pan napić się przy barze, czekając na panią Adams.

– Jest pani pewna? – zapytał, marszcząc brwi. Była dwudziesta trzydzieści siedem.

Tracy to najbardziej punktualna osoba, jaką w życiu spotkał. Zawsze przychodziła na czas albo kilka minut wcześniej. Od kiedy zaczęli się spotykać, nigdy nie pojawiła się nawet chwilę po czasie.

Hostessa ponownie sprawdziła coś w komputerze, a następnie cofnęła się kawałek i zerknęła do sali restauracyjnej.

– Tak, jest pan pierwszy – potwierdziła.

– W porządku – Hunter odwrócił się i spojrział na zatłoczony bar. – Chyba poczekam przy stoliku.

– W takim razie proszę za mną – odparła i wzięła do ręki kartę dań.

Poprowadziła go do stolika przy południowej ścianie.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła, kładąc menu na blacie. – Czy podać coś do picia? Może jeden z naszych koktajli?

– Poproszę wodę.

– Zaraz przyniosę.

Gdy hostessa odeszła, Hunter ponownie spojrzął na zegarek: dwudziesta trzydzieści dziewięć. Sprawdził komórkę, ale nie znalazł żadnych wiadomości ani nieodebranych połączeń.

Po chwili zjawiała się kelnerka z dzbankiem wody i dwiema szklankami.

– Podać coś jeszcze?

– Nie, na razie dziękuję.

– W razie czego proszę mnie zawołać. Mam na imię Julie i dzisiaj będę pana obsługiwać.

Kiedy kobieta odeszła, Robert napił się, po czym rozejrzał po restauracji. Wszystkie stoliki były zajęte. Aby zabić czas, zaczął przeglądać kartę dań i drinków. Rzeczywiście serwowano tutaj bardzo ciekawe koktajle i potrawy.

Upił kolejny łyk wody i jeszcze raz spojrzął na zegarek: dwudziesta czterdzieści siedem.

Ani śladu Tracy.

Zerknął na telefon. Żadnych wiadomości. Odwrócił się w stronę wejścia. Królowa Kier informowała właśnie nowo przybyłą parę o braku wolnych miejsc.

Ani śladu Tracy.

Nagle ogarnęło go straszne uczucie. Pojawiło się gdzieś głęboko we wnętrzościach, a potem rozprzestrzeniło się na całe ciało. Nie wiedział do końca, o co chodzi, ale miał wrażenie, że stało się coś złego. Tracy nigdy się nie spóźnia. Powinna już tutaj być. Gdyby coś jej wypadło, zadzwoniłaby.

Złapał komórkę i od razu wybrał jej numer. Kiedy miał wcisnąć przycisk „zadzwoń”, zobaczył Tracy podchodzącą do hostessy.

Hunter poczuł ogromną ulgę, a potem zrobiło mu się głupio.

*Za dużo się martwisz*, pomyślał, chowając telefon do kieszeni, po czym wstał.

Ani on, ani Tracy nie zauważyli dobrze ubranego mężczyzny, który chwilę później wszedł do restauracji Królicza Nora.

## Sześćdziesiąt osiem

Lucien śledził Tracy od chwili, gdy opuściła parking dla pracowników na kampusie UCLA w Westwood. Podróż drogą I-10 West zajęła im jakąś godzinę. Morderca zakładał, że pani profesor nie ma żadnego powodu podejrzewać, że ktoś ją obserwuje, ale na wszelki wypadek zachowywał odpowiednią odległość pięciu lub sześciu samochodów.

Myślał, że Tracy zmierza do swojego mieszkania w West Hollywood, tak jak kilka razy wcześniej, kiedy za nią jechał, ale tym razem zamiast w lewo, skręciła na Sunset Boulevard w prawo.

Gdy parkował swojego vana, czekała na niego wspaniała niespodzianka – zauważył starego buicka lesabre, należącego do Huntera. Auto stało naprzeciwko lokalu Królicza Nora w Alhambrze.

– To będzie znacznie lepszy dzień, niż przypuszczałem – powiedział do siebie na głos, kiedy obserwował, jak jego cel wysiada z samochodu i po chwili znika w barze.

Folter cieszył się, że dalej jest przebrany za Jamesa Mitchella.

Podjechał kawałek i stanął dosłownie kilka metrów za buickiem Roberta, po czym przejrzał się dokładnie w lusterku wstecznym. Poprawił nieco perukę i okulary, a następnie ruszył w kierunku restauracji.

Uśmiechnął się, kiedy zobaczył podwieszony do góry nogami ogród na suficie.

– Fajny pomysł – skomentował i zatrzymał się na końcu korytarza prowadzącego do głównej sali. Rozejrzał się po zatłoczonym barze. Trzech barmanów przygotowywało drinki tak szybko, jak tylko byli w stanie. Nie udało mu się wypatrzeć w tłumie rudowłosej profesor ani swojego dawnego przyjaciela. Wtedy dostrzegł wejście do części restauracyjnej.

– Ależ oczywiście. Wpadłeś na kolację ze swoją dziewczyną, prawda? – wyszeptał do siebie.

Wziął kartę drinków i przeszedł na drugą stronę pomieszczenia. Zatrzymał się kilka kroków od hostessy przebranej za Królową Kier i zaczął udawać, że studiuje menu, a tymczasem dyskretnie spoglądał na siedzących przy stolikach ludzi. Szybko dojrzał interesującą go parę. W takiej sytuacji włosy Tracy działały jak flara sygnałowa.

– O, tu jesteście, gołąbeczki.

Opuścił nieco trzymaną w dłoniach kartę drinków, aby lepiej ich widzieć. Pani profesor siedziała tyłem do wejścia, ale Lucien miał ze swojego miejsca idealny widok na Huntera. Widział jego uśmiech, wyraz twarzy i niezaprzeczalny błysk w oczach, kiedy pocałował Tracy.

Poczuł dreszcz ekscytacji. Kiedyś już widział identyczny błysk w spojrzeniu dawnego przyjaciela... i wiedział, co on oznacza.

– Och, Robercie... ty idioto o miękkim sercu. Sprawiasz, że ta gra jest dla mnie zbyt prosta.

– Słucham? – zapytała hostessa.

Folter nie zdawał sobie sprawy, że ostatnie zdanie wypowiedział nieco zbyt głośno.

– Przepraszam, to nie do pani. Po prostu myślałem na głos.

Kobieta uśmiechnęła się w odpowiedzi i ponownie skierowała swoją uwagę na monitor komputera.

Morderca odłożył menu i wyszedł na zewnątrz. Wsiadł do swojego vana, po czym wyciągnął telefon.

– Zacznijmy zabawę, Świerszczu. – Wybrał numer, który znał na pamięć. – Zacznijmy zabawę.

## Sześćdziesiąt dziewięć

– Bardzo cię przepraszam – zaczęła Tracy, kiedy zbliżyła się do stolika. – Jeden z moich studentów mnie zatrzymał, kiedy już wychodziłam z uczelni – wytłumaczyła, po czym pocałowała go w usta. – Czemu ci tak wesoło?

Hunter nie zdawał sobie z tego sprawy, ale cały czas jego wargi rozciągały się w pełnym ulgi uśmiechu.

– Po prostu cieszę się, że cię widzę.

Kobieta również uśmiechnęła się promiennie i znowu go pocałowała.

– Miło mi to słyszeć. – Postanowiła spróbować szczęścia z kolejnym pytaniem. – Czy... tęskniłeś za mną?

– Tak – odparł Robert ku jej całkowitemu zaskoczeniu.

Uśmiechnęła się jeszcze promiennie.

– To jeszcze milej słyszeć. Bardzo mi przykro, że się spóźniłam. Powinnam zadzwonić, ale myślałam, że zdążę na czas. Totalna klapa.

– Nic się nie stało, nie przejmuj się. – Obszedł stolik i podsunął jej krzesło.

– Jak zawsze dżentelmen – skomentowała i usiadła.

– Co tam słyszać na uczelni?

– Nic nowego... ale zbliżają się egzaminy, co oznacza panikę wśród studentów. A kiedy studenci panikują, zaczynają mnie nachodzić.

– Wyobrażam to sobie – powiedział Hunter i podał jej menu.

Wzięła od niego kartę dań i zmarszczyła brwi, zobaczywszy stojącą na stole szklankę.

– Pijesz wodę?

– Nie chciałem zaczynać bez ciebie.

Tracy po raz kolejny się uśmiechnęła.

– Tak, dżentelmen w każdym calu. To co dzisiaj weźmiemy? – Szybko przejrzała dwie pierwsze strony. – Wow, rzeczywiście mają tutaj całkiem ciekawe

kombinacje. „Skrócić o głowę” brzmi smacznie, podobnie jak „Śmiech Alicji”.

– Ja chyba po prostu zamówię szkocką zamiast koktajlu. Nie bardzo mam ochotę na coś słodkiego.

– To zawsze dobra decyzja.

Ona również uwielbiała whisky i miała tak szeroką wiedzę na jej temat, że mogła konkurować z każdym ekspertem. Przewracała kolejne kartki, aż trafiła na listę gatunków whisky, jakie serwowano w restauracji.

– Wybór nie jest szczególnie bogaty, ale oferują całkiem dobry towar – oznajmiła. – Jak bardzo kiepski miałeś dzień?

To pozornie dziwne pytanie wcale nie było pozbawione sensu. Tracy po kilku randkach zauważyła, że Robert wybiera trunki zależnie od tego, jak ciężki okazał się dany dzień: im był gorszy, tym bardziej wyrazistą w smaku wolał whisky.

Detektyw uniósł w odpowiedzi brwi.

– Tak kiepski? – Wróciła do listy. – Cóż, mają caol ila i... bingo. Mają caol ila moch.

Hunter poczuł się mile zaskoczony.

– W takim razie po problemie.

– Też tak myślę.

Caol ila to szkocka whisky destylowana na wyspie Islay. Trunki z tamtego regionu są znane z mocno torfowego posmaku i dość ciemnego koloru, jednak caol ila to prawdopodobnie najlżejsza pozycja w ich ofercie – ma bledszy odcień od pozostałych, ale nadal posiada fantastycznie wędzony i pieprzny aromat, z lekko słodkawym finiszem.

Kelnerka Julie podeszła do ich stolika, aby mogli zamówić drinki. Kiedy się oddaliła, rozdzwoniła się komórka detektywa. Od razu przeszył go dreszcz niepokoju.

Posłał Tracy przepaszające spojrzenie.

Jej jedyną odpowiedzią był pełen niedowierzania śmiech, po którym zwiesiła głowę. Niemożliwe, że to się działo po raz kolejny.

Większość ich randek przerywał niespodziewany telefon, po którym Robert musiał wybiegać w pośpiechu. Potwornie ją to irytowało, ale wiedziała, że tego wymaga jego praca i żadne z nich nie mogło nic na to poradzić.



Hunter spojrział na wyświetlacz i potwierdziły się jego obawy: „numer nieznany”.

Odebrał połączenie i przystawił aparat do ucha.

– Cześć, Robert! – rzucił radośnie na przywitanie Lucien. – Wybacz, że tak długo musiałeś czekać, ale załatwiałem kilka spraw.

Detektyw nie tylko nie chciał, ale również nie wiedział, jak ma odpowiedzieć, zatem milczał.

– Tak czy siak, nadeszła chwila, żebyśmy wrócili do naszej małej gry, nie uważasz? – Nastąpiła długa, celowa pauza. – Mam dla ciebie nowe pytanie, Świerszczu.

Robert zerknął na Tracy, która wpatrywała się w niego uważnie.

– Jak zamordować kogoś, nie mordując go tak naprawdę? – zapytał Folter, ale o dziwo nie dał rozmówcy szansy na odpowiedź. – To proste. Musisz mu opróżnić duszę, tylko po to, żeby napełnić ją bólem. Zabierasz tej osobie to, co ona kocha najmocniej.

Hunter zmarszczył brwi.

– Nie przejmuj się, jeśli nie wiesz, o co mi chodzi. Wkrótce się dowiesz. – Morderca zamilkł na moment. – Powiedzmy, że za jakieś piętnaście sekund.

Rozłączył się.

Detektyw popatrzył na komórkę całkowicie zagubiony. Zupełnie nieświadomie zaczął odliczać w myślach.

Piętnaście... czternaście...

Tracy nadal się w niego wpatrywała, pewna, że zaraz poderwie się do góry i wyjdzie, ale on ani drgnął, gapił się tylko na wyświetlacz.

– Wszystko gra? – zapytała.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Dwanaście... jedenaście...

– Robert?

Dziesięć... dziewięć...

– Co się dzieje?

Spojrział na nią w końcu.

– Nie jestem pewny.

Sześć... pięć...

– Co masz na myśli? Dzwonili z komendy?

– Nie.

Trzy... dwa...

– To kto to był?

Jeden... zero.

Telefon Tracy zaczął dzwonić.

## Siedemdziesiąt

Hunter z zasady nie wierzył w zbiegi okoliczności, a już na pewno nie zgrane w czasie co do sekundy. Spojrzał jeszcze raz na swoją komórkę, a potem na Tracy. Poczuł coś, co nie podobało mu się ani trochę.

Kobieta nie przejmowała się dzwoniącym telefonem.

– Kto to był? – zapytała raz jeszcze.

Detektyw ją zignorował.

– Twój telefon dzwoni.

– Tak, wiem. To pewnie kolejny spanikowany student.

– Mają twój prywatny numer?

– Niektórzy.

Robert pokiwał głową.

– Nie odbierzesz? To może być ważne.

Patrzyła na niego przez chwilę. Bez wątpienia po tamtej rozmowie zaczął się dziwnie zachowywać.

– Jasne. – Otworzyła torebkę. – Nieznany numer – rzuciła, pokazując mu wyświetlacz. – To na pewno student.

Do ich stolika podeszła kelnerka i postawiła szklanki na blacie.

– Dwa razy cao i la moch. – Wymówiła to absolutnie niepoprawnie.

Kiedy odeszła, Tracy w końcu odebrała połączenie.

– Profesor Adams – przedstawiła się i przez chwilę słuchała w milczeniu. – Przepraszam, kto mówi?

Robert zmarszczył brwi.

Kobieta słuchała przez kolejną chwilę.

– Co? – skrzywiła się. Spojrzała na Huntera. – O co chodzi?

– Co się dzieje? – zapytał detektyw bezgłośnie.

– Kto mówi? – ponownie spytała Tracy. – Jeśli to ma być żart, to jesteś chory. Idź się leczyć.

Policjant widział, że stara się zachować spokój, ale bez wątpienia targał nią gniew.

– Jeśli jesteś moim studentem, to przysięgam, że cię znajdę. Skreślę cię z moich zajęć i zgłoszę do dziekana, rozumiesz?

Na jej twarzy malował się gniew, który po chwili ustąpił miejsca niedowierzaniu. Potem pojawił się strach.

– Co? Kto?

Robert dostrzegł w jej oczach błysk żelaznej determinacji.

– Jesteś chory... ty... – Zerknęła na wyświetlacz.

Połączenie zostało przerwane.

– Co się stało? – zapytał detektyw.

– Jakiś debilny żartowniś – odparła nieco roztrzęsiona. – Mój student... albo były student. – Pokręciła głową. – Nie wierzę, żeby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógł pomyśleć, że to jest zabawne.

– Co? Co powiedział? – Robert pochylił się do przodu i oparł łokcie na stole. Starał się mówić spokojnie.

– Jakieś pierdoły. Nic śmiesznego. Nic, co chciałabym powtarzać.

– Tracy... – zaczęła błagalnie. – Co dokładnie powiedział?

Popatrzyła na niego. Wzruszyło ją, jak bardzo się przejął. Zrobiła głęboki wdech, po czym sięgnęła po szklankę i jednym haustem wypila połowę jej zawartości.

Hunter czekał.

– Powiedział, że właśnie... – przerwała i zrobiła jeszcze jeden głęboki oddech. – Zamordował moich rodziców.

## Siedemdziesiąt jeden

Te słowa sprawiły, że we wnętrzościach Huntera otworzyła się bezdenna otchłań, która wysssała całą krew z jego twarzy i wszystkie słowa z jego gardła. Przez kilka sekund potrafił jedynie wpatrywać się w Tracy w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. A przynajmniej nie u niego.

– Co za chory, kretyński żart – ciągnęła. – Nie wiem nawet, dlaczego pozwoliłam mu się tym zdenerwować. Może przez ten jego głos. Był taki... zimny, pozbawiony emocji...

– Proszę, spróbuj sobie przypomnieć dokładnie, co ci powiedział, słowo w słowo – przerwał jej Robert.

Jego ton sprawił, że zaczęła się jeszcze bardziej niepokoić.

– Dlaczego? To tylko kawał. Bardzo niesmaczny. Zaraz ci udowodnię. – Sięgnęła po telefon. – Zadzwońię do mamy i się przekonasz.

– Proszę, zanim do niej zadzwonisz, powtórz mi dokładnie jego słowa.

Tracy uniosła brwi, ale po chwili się poddała. Dopięła szkocką.

– W porządku. Powiedział, że dzisiaj po południu odwiedził moich rodziców w ich domu i ich zabił.

Detektyw miał wrażenie, że otchłań w jego wnętrzościach zaczyna pożerać mu duszę.

– Dodał, że to bardzo nieprzyjemny widok i było przy tym od cholery krwi. – Przerwała na chwilę, walcząc z napływającymi jej do oczu łzami. – Znał nawet ich adres, dasz wiarę? Kiedy mu oznajmiłam, że to chory żart, wyrecytował mi go, zupełnie jakby to miało stanowić potwierdzenie, że nie kłamie.

– Gdzie oni mieszkają?

– W Downey.

– Podał ci poprawny adres?

– Tak – potwierdziła i podyktowała mu go. – Jakim pojebem trzeba być, żeby coś takiego zrobić? – Zaczynała się znowu wściekać. – Uwierz mi, dowiem się, kim on jest. Gorzko tego pożałuje.

– Co jeszcze powiedział? – dopytywał Hunter.

Posłała mu surowe spojrzenie.

– Proszę.

Opadła na oparcie krzesła.

– Żebym koniecznie poinformowała „Świerszcza” o tym telefonie.

Detektyw zamknął oczy.

Tracy wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, co to niby znaczy. Na koniec podał jeszcze jakieś wymyślone imię.

Robert znał odpowiedź, ale i tak zapytał.

– Jakie imię podał?

– To bez znaczenia, przecież na pewno jest fałszywe. Chyba że ten gość jest nie tylko walnięty, ale również głupi.

– Proszę, powiedz mi, jakie imię podał?

Westchnęła ze złością.

– Powiedział, że nazywa się Lucien.

## Siedemdziesiąt dwa

Hunter zerwał się na równe nogi i sięgnął po telefon.

– Co ty robisz? – spytała Tracy.

– Muszę to zgłosić – odparł.

Profesor Adams znała policyjny protokół. Wiedziała, w jaki sposób pracują tryby biurokratycznej maszyny i co wprawia je w ruch. Właśnie powiedziała detektywowi dowodzącemu jednostką SO o osobie przyznającej się do podwójnego zabójstwa. Nieważne, czy to tylko głupi żart, czy nie, jako funkcjonariusz Robert musiał postępować zgodnie z przepisami: należało zgłosić tę informację, żeby wysłano pod wskazany adres radiowóz, który potwierdzi prawdziwość doniesienia.

– Nie musisz tego robić – zapewniła, również biorąc komórkę do ręki, ale Hunter podawał już adres dyspozytorowi. Uniósł dłoń, prosząc, żeby mu nie przerywała.

Nie zamierzała go słuchać.

– Ja znam wasz protokół, ale zamiast marnować czas policji, pozwól mi po prostu zadzwonić do mamy. Zobaczysz, że nie ma się czym przejmować, to tylko głupi żart jakiegoś idioty.

Spojrzała na wyświetlacz i zaczęła wybierać numer domowy rodziców.

Detektyw zakończył rozmowę poleceniem natychmiastowego poinformowania Garcii i agenta specjalnego Petera Holbrooka. Schował aparat do kieszeni i złapał Tracy za rękę.

– Nie rób tego – rozkazał jej.

– Co?

Utkwiła w nim spojrzenie. W jej oczach czaiły się niepokój i zagubienie.

– Muszę – powiedziała nieco bardziej roztrzęsionym głosem niż jeszcze przed chwilą. – Żebyśmy mogli to wyjaśnić. Jestem naprawdę zdenerwowana, w dodatku wmieszałeś w to policję. Chcę porozmawiać z mamą, usłyszeć jej głos, rozumiesz?

Zacisnął swoją dłoń na jej ręce nieco mocniej, po czym odwrócił wzrok. Otchłań w jego wnętrzu groziła pochłonięciem go w każdej chwili. Poczuł, że gardło mu się zacisnęło. Przez chwilę rozważał, czy nie pozwolić jej się połączyć. Zapewne nikt by nie odebrał, a to tylko zwiększyłyby niepokój. Wtedy wybrałaby numery komórkowe obojga rodziców, a to właśnie martwiło go najbardziej. Wiedział, że Lucien to zło w ludzkiej postaci. Z całą pewnością założył, że ona spróbuje potwierdzić jego słowa. Co, jeśli zabrał komórki ofiar? Jeśli odbierze? Jeśli puści Tracy ich nagrane krzyki?

– Co się stało? – zapytała nie tylko dlatego, że widziała, jak jest przejęty. Czuła również, że jego ręka drży.

Ponownie na nią spojrzał. Widziała w jego oczach smutek.

– Robert?

– Nie mogę cię okłamywać – wydusił w końcu.

– Co? – Wyrwała się z jego uścisku. – Okłamywać mnie? O czym ty mówisz?

Serce Huntera przeszło ostrze bólu. Wiedział, że to wszystko jest jego winą. Folter musiał w jakiś sposób się dowiedzieć, że Tracy się z nim spotyka, chociaż widział się z nią tylko raz od jego ucieczki z więzienia.

*Jak zamordować kogoś, nie mordując go tak naprawdę? Takie pytanie mu zadał. To proste. Musisz opróżnić jego duszę, tylko po to, żeby napętnić ją bólem. Zabierasz tej osobie to, co ona kocha najmocniej.*

Taki miał plan. Zabierał nie tylko to, co Robert kochał najbardziej, ale również to, co kochała Tracy. Opróżniał ich dusze, aby wypełnić je bólem. Nigdy niekończącym się bólem.

Kiedy wszystko wyjdzie na jaw, a na pewno wyjdzie, ponieważ nie mógłby jej okłamywać, nieszczęsna kobieta dowie się, dlaczego jej rodzice zostali brutalnie zamordowani. Nie miał wątpliwości, że Lucien obszedł się z nimi w okrutny sposób. Tracy się dowie, że jej najbliżsi stracili życie nie ze swojej winy, tylko przez nią, ponieważ ona umawia się z Hunterem. Taka jest prawda. To właśnie jest ten powód: ich córka spotyka detektywa... Zakochuje się w nim... Umawia się z nim. Kiedy ona się o tym dowie, znienawidzi go z całego serca. Co do tego również nie miał żadnych wątpliwości.

Próbował sięgnąć po szklankę wody i wówczas zauważył, że trzęsą mu się ręce. Nieważne, jak było to trudne, musiał spojrzeć jej w oczy.



– Lucien istnieje naprawdę – powiedział, próbując zapanować nad głosem.

– Istnieje naprawdę? – powtórzyła po nim. Dla odmiany ona mówiła coraz głośniejsze i z coraz bardziej wyraźnym lękiem. – Co to, do cholery, ma znaczyć?

Detektyw wytrzymał jej badawcze spojrzenie.

– Możemy wyjść na zewnątrz?

– Nie, nie możemy wyjść na zewnątrz – odparła z narastającą złością. – Chcę się dowiedzieć, o co ci, do cholery, chodzi. Natychmiast. – W jej oczach pojawiły się łzy. – To wcale nie jest zabawne.

– Proszę, wyjdź ze mną na zewnątrz – błagał, wyciągając do niej dłonie, ale ona się odsunęła.

– Nie. – Popatrzyła na niego niemalże z odrazą. – Powiedz mi, o co tu chodzi.

Jej słowa dotarły do okolicznych stolików. Para po prawej stronie spojrzała na Roberta z wyrzutem, wyraźnie zakładając, że cokolwiek się między nimi wydarzyło, jest jego winą.

Hunter nie mógł tracić więcej czasu. Musiał wszystko wyjaśnić.

– Facet, który uciekł z więzienia i wysadził w powietrze Ateneum Whisky, nazywa się Lucien Folter. On istnieje naprawdę.

Wtedy do niej dotarło.

Nie widzieli się od tego zamachu bombowego. Oczywiście rozmawiali przez telefon, ale on nigdy nie dyskutował z nikim z zewnątrz na temat prowadzonego śledztwa, nawet z nią. Oglądała go jednak w telewizji po tej eksplozji. Czytała też o tym w gazetach. Pamiętała, jak agent FBI, stojący obok Roberta podczas konferencji prasowej, zapewniał obywateli, że wybuch nie był dziełem grupy terrorystycznej, tylko zbiegłego więźnia, który postanowił dokonać aktu zemsty. Nie wyjaśnił, na kim właściwie ten przestępca się mści, ale wymienił jego nazwisko: Lucien Folter. Telefon tak ją wstrząsnął, że aż do tej chwili nie powiązała ze sobą informacji.

– Co? – Gniew wyparował, jego miejsce zajęła niewyobrażalna rozpacz. Łzy w końcu rozbiły tamę i popłynęły z jej oczu strumieniem. – To jakiś żart?

Detektyw niemal niezauważalnie pokręcił głową.

– On nigdy nie żartuje.

– Co ty mówisz? – Zrobiła głęboki wdech, ale zdawało się, że tlen w ogóle nie dotarł do płuc. Głos jej się łamał. – Czyli moi rodzice naprawdę zostali zamordowani we własnym domu, a on zadzwonił do mnie... dla zabawy?

Inni goście zaczęli zwracać na nich uwagę.

Hunter czuł, że całe jego ciało dygocze. Widok Tracy w takim stanie rozrywał mu serce na kawałki, ale nic nie mógł na to poradzić. Najgorsze, że to dopiero początek jej bólu. Będzie cierpieć mocniej. O wiele mocniej.

– Dlaczego? Dlaczego jakiś szaleniec wysadzający w powietrze bar miałby teraz zabijać moich bliskich? To w ogóle nie ma sensu.

Odwrócił się od niej na chwilę. Kiedy ponownie na nią spojrział, miał zaczerwienione oczy. Niemalże czuł, że jego dusza właśnie umiera.

– Przeze mnie. – Gdy wypowiedział te słowa, gardło wyschło mu na wiór.

Tracy się w niego wpatrywała, ale widać było, że nadal nie jest w stanie pojąć znaczenia wypowiedzianych właśnie słów. Nagle w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Zemsta. – Łzy ciekły jej po twarzy. – Na konferencji prasowej... tydzień temu... Agent FBI powiedział, że ci wszyscy niewinni ludzie zginęli w wybuchu bomby, ponieważ morderca jest zafiksowany na jakimś planie zemsty. Nie wyjaśnił tylko, na kim i za co się mści. – Przerwała na chwilę, aby przełknąć łzy. – On się mści na tobie?

Robert zamrugął. Węzeł w jego gardle zacisnął się jeszcze bardziej. Pokiwał głową.

– Tak.

– Czyli moi rodzice nie żyją, bo ktoś ma do ciebie jakąś pieprzoną urazę?

*No i proszę*, pomyślał detektyw. Gniew w jej głosie. Nienawiść w jej oczach. Wyrok wydany na jego duszę.

– Ale... dlaczego? – Spojrzała gdzieś w dal, zupełnie jakby tam szukała odpowiedzi. – Dlaczego miałby krzywdzić *moich rodziców*, jeśli mści się na tobie?

Mógł próbować jej to wyjaśnić, ale co dobrego by z tego przyszło?

– Nie – oznajmiła, kręcąc głową. To wszystko było zbyt absurdalne, aby mogło być prawdziwe. – Nie... nie... nie. To tylko bzdury. Jakiś durny kawał, za którym stoi jeden ze studentów. Jak możesz przytakiwać, skoro siedzisz tutaj ze mną

przez cały ten czas? Nie możesz mieć pewności. – Głos jej się łamał. – Po prostu nie możesz. Wyślij radiowóz do ich domu, zobaczysz, że mam rację. – Wyciągnęła telefon. – Dzwonię do rodziców, zaraz ci udowodnię, że się mylisz. To wcale nie jest śmieszne. Nie wierzę, że mi to robisz.

Jeszcze raz wybrała numer.

Hunter już jej nie powstrzymywał.

## Siedemdziesiąt trzy

Telefon w domu jej rodziców zadzwonił raz... potem drugi... i trzeci... i dzwonił dalej. Im dłużej dzwonił, tym więcej łez wyplakiwała Tracy. Poddała się po dwunastym sygnale.

– Spróbuję na komórkę mamy – oznajmiła załamana. Nie spojrzała nawet na Roberta.

Hunter zerknął szybko na wyświetlacz swojego aparatu: nie dostał żadnych wiadomości od Garcii. Mógł jedynie mieć nadzieję, że Lucien nie zabrał telefonów ofiar.

Profesor Adams czekała. Po pięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Mamo? To ja. Zadzwoń do mnie najszybciej, jak możesz, dobrze? Kocham cię. – Rozłączyła się. – Teraz tata.

Detektyw czekał. Czuł, jak coś w nim powoli umiera.

Tracy wybrała numer ojca i czekała, aż ten odbierze. Nie zrobił tego. Również w tym przypadku po pięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Gdzie jesteście? – ledwie zdołała wykrztusić. – Proszę, zadzwońcie do mnie zaraz. Chcę tylko wiedzieć, czy wszystko z wami w porządku. Dajcie znać. Kocham was.

– Tracy – zaczął po cichu Robert. Bardzo chciał wziąć ją za rękę... przytulić... pocieszyć. Nie miał jednak odwagi spróbować ponownie. – Muszę iść.

– Co? Iść? Dokąd? – Zaczęła się rozglądać. Oszołomienie i zaprzeczanie jasno wskazywały na to, że cała sytuacja stanowi dla niej ogromny wstrząs.

Detektyw nie chciał używać terminu „miejsce zbrodni”, dlatego odparł:

– Do domu twoich rodziców. Muszę tam pojechać. – Wyciągnął z kieszeni dość banknotów, aby zapłacić za drinki, po czym położył je na blacie.

– Jak chcesz tam pojechać, skoro nie wiesz, gdzie mieszkają?

Bez wątpienia była oszołomiona.

– Jadę z tobą – oznajmiła po chwili i zerwała się na równe nogi.

Nie musiał objaśniać jej protokołu policyjnego, doskonale wiedziała, że nie może wejść na miejsce zbrodni, ale dopóki dom jej rodziców oficjalnie nie zostanie za takie uznany, Hunter nie mógł jej w żaden sposób powstrzymać.

– W porządku. Pojedziesz ze mną – zgodził się.

– Nie. – W jej głosie brzmiał ogromny smutek, ale dało się w nim także usłyszeć wściekłość. – Pojadę sama. Moje auto stoi przed restauracją.

– Nie możesz teraz prowadzić, jesteś zbyt roztrzęsiona. Proszę, pojedź ze mną.

– Nie. Nic mi nie jest. Poradzę sobie. – Wzięła torebkę i ruszyła w stronę wyjścia.

Robert pognał za nią. Towarzyszyły mu pełne potępienia spojrzenia pozostałych gości.

## Siedemdziesiąt cztery

Funkcjonariusze Brian Stone i Pedro Ramos siedzieli właśnie w radiowozie, trzymając w dłoniach kubki świeżo zaparzonej kawy, kupionej w otwartej do późna kawiarni przy Firestone Boulevard w Downey.

– Chyba wezmę sobie jeszcze pączka – oznajmił Ramos, gładząc krzaczaste wąsy w kształcie podkowy. – Też chcesz?

– Nie, chłopie, ja sobie odpuszczę – odparł Stone i popatrzył wymownie na swój brzuch. – Wczoraj poszliśmy z Debrą i dzieciakami na obiad do Dal Rae w Pico Rivera. Jak skończyliśmy, zapytałem: „Kto ma ochotę na lody?”. – Przerwał na chwilę i się skrzywił. – Debra obrzuciła mnie tym swoim beznamiętnym spojrzeniem, poklepała mój brzuch i powiedziała: „Nie ty, kotku. Może przez kilka miesięcy powinieneś ograniczyć się do owoców”.

Pedro parsknął śmiechem.

– Chyba miała rację, balonie!

– Ta, spieprzaj, imitacja Village People... Y.M.C.A. – Zaczął nucić piosenkę, jednocześnie pokazując rękami kolejne litery.

– W takim razie nie dostaniesz pączka – skwitował Ramos i otworzył drzwi. – A może przynieść ci... banana?

Zanim kolega zdążył się odgryźć, z policyjnego radia rozległ się komunikat.

– Do wszystkich jednostek w pobliżu Albia Street i Marble Avenue. Mamy zgłoszenie możliwego podwójnego sto osiemdziesiąt siedem. Wysoki priorytet, kod drugi. Konieczna IWD.

IWD oznaczało interwencję w domu.

– Podwójne zabójstwo? – spytał Pedro, zamknąwszy ponownie drzwi. Oczy aż mu się zaświeciły. – Marble Avenue to zaledwie kawałek stąd.

– Bierzemy to – zdecydował Stone, po czym wsadził kubek do uchwytu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Kiedy włączał się do ruchu, jego partner sięgnął po radio.

– Tu patrol B7602, jesteśmy jakieś trzy minuty od Marble Street. Podaj dokładny adres.

Dyspozytor odpowiedział błyskawicznie.

– Przyjąłem – potwierdził policjant. – Jedziemy. Jakies informacje na temat sprawcy? Może nadal przebywać w domu?

– Nic więcej nie wiadomo. Zachowajcie najwyższą czujność.

– Przyjąłem.

Kod drugi oznaczał zakaz włączania syren i sygnalizacji. Ramos odłożył radio i zapiął pasy.

Stone włączył syreny, ale tylko po to, aby mogli przejechać przez dwa skrzyżowania na czerwonym świetle, potem je wyłączył. Potrzebowali dokładnie dwóch i pół minuty, aby dotrzeć na miejsce.

– To ten dom – oznajmił Pedro, wskazując na parterowy budynek z podjazdem, bez garażu. Na zewnątrz nie paliło się żadne światło.

– Ruszamy – rzucił Brian i wysiadł z radiowozu z bronią w dłoni.

Partner poszedł w jego ślady.

Obaj policjanci zachowywali się niezwykle ostrożnie i cicho, zbliżając się do drzwi wejściowych.

– Kurwa! – wyszeptał Ramos pod nosem, kiedy stanęli przy drzwiach. Były uchylone.

Ustawili się po obu ich stronach, plecami do ściany.

Pedro pokazał partnerowi na migi, że zaraz otworzy drzwi, na co tamten przytaknął bezgłośnie.

Policjant trzymał gotowy do strzału pistolet w prawej dłoni, lewą zaś powoli popychał drzwi, aż otworzyły się na całą szerokość. Pochylił się nieco, aby móc zajrzeć do środka. Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, co zasygnalizował partnerowi, kręcąc głową.

Z wnętrza budynku popłynął obrzydliwy, niemalże powalający smród, od razu atakując ich nozdrza.

Obaj mężczyźni natychmiast się cofnęli, zupełnie jakby zostali spoliczkowani.

Ramos zasłonił usta dłonią, aby powstrzymać kaszel.

Żaden z nich nie miał pojęcia, co stanowiło źródło tego odoru, ale jednego byli pewni: to bardzo źle wróżyło.

Stone pokazał partnerowi, że pierwszy wejdzie do środka. Na palcach zaczął odliczać: trzy... dwa... jeden.

Na „zero” obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Nogi miał rozstawione na szerokość ramion, obie ręce wyciągnął przed siebie, trzymając mocno pistolet. Jego oczy wypatrywały celu.

Nie widział niczego poza nikłym światłem majaczącym za kolejnymi uchylonymi drzwiami, które znajdowały się po przeciwnej stronie holu.

Pedro wykonał identyczny ruch, aby znaleźć się w środku, po czym stanął tuż za kolegą. Również nie zauważył żadnego ruchu.

Brian ostrożnie ruszył naprzód. Nadszedł czas, aby obwieścili swoje przybycie.

– Policja! – krzyknął stanowczo. – Ktoś tu jest?

Cisza.

– Widzisz włącznik światła? – zapytał.

– Tak – potwierdził Ramos, po czym nacisnął przełącznik.

Żadna żarówka się nie zapaliła.

Policjant nacisnął włącznik jeszcze kilka razy, ale z tym samym skutkiem.

– Nic z tego, nie ma światła. – Lewą ręką sięgnął po latarkę przy pasku.

Stone poszedł w jego ślady.

– Nie podoba mi się to – wyszeptał Pedro. – Wcale mi się to nie podoba. I zaraz się porzygam od tego smrodu.

Światła latarek skrzyżowały się kilkukrotnie, kiedy przeczesywali pomieszczenie, próbując dostrzec coś więcej.

Wyglądało na ładnie urządzonej salon z błyszczącą drewnianą podłogą.

– Policja! – ponownie krzyknął Brian. – Jeśli tam jesteś, wyjdź powoli z podniesionymi rękami. *Natychmiast.*

Nic. Żadnego ruchu.

– Jeśli nie wyjdiesz po dobroci, możemy być zmuszeni otworzyć ogień.

Policjanci czekali, omiatając pokój blaskiem latarek.

Nadal nie było żadnego ruchu.



– Światło po drugiej stronie – wskazał Ramos.

– Taa, widzę. Ruszamy.

Szli powoli, rozglądając się na prawo i lewo. Musieli mieć pewność, że nic nie przeoczą. Potrzebowali dwudziestu trzech kroków, aby przemierzyć salon.

Blask za drzwiami nieco zamigotał, wskazując, że jego źródłem najpewniej są świece. Im bardziej się zbliżali, tym silniejszy stawał się smród.

Policjanci ustawili się tak samo jak przy poprzednich drzwiach. Również tym razem to Ramos miał je otworzyć.

Zrobił to w identyczny sposób jak wcześniej, jednak kiedy zajrzał do środka, stanął jak wryty. Odruch wymiotny ścisnął mu gardło jak imadło.

Stone obserwował partnera uważnie, gotowy wskoczyć za próg. Nagle zauważył, że oczy kolegi stały się wielkie niczym spodki, a jego usta otworzyły się szeroko.

– Pedro, co jest grane?

Policjant przełożył broń do lewej dłoni, zaś prawą się przeżegnał... dwukrotnie.

– *Santa Madre de Dios* – wyszeptał te słowa nieświadomie. Coś poruszyło się w jego żołądku.

Brian nie zamierzał ponownie pytać, zatem jeszcze raz wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, aby płynnym ruchem stanąć w progu. Przez ułamek sekundy na jego twarzy malowała się identyczna reakcja jak u kolegi.

– Jezu Chryste! – Rozejrzał się po pomieszczeniu z przerażeniem. Głos zaczął mu drżeć. – Kto, kurwa, mógł zrobić coś takiego?

– *El Demonio* – odparł równie roztrzęsiony partner. – Diabeł.

## Siedemdziesiąt pięć

Po wyjściu z restauracji Hunter raz jeszcze spróbował przekonać Tracy.

– Proszę, zostaw swój samochód i pojedź ze mną albo chociaż pozwól sobie zamówić taksówkę. Nie powinnaś prowadzić w takim stanie.

W ogóle go jednak nie słuchała – pognała na drugą stronę ulicy i wsiadła do auta.

To oczywiste, że obecnie stanowiłaby za kierownicą zagrożenie nie tylko dla siebie, ale także dla innych. Drżała na całym ciele, wzrok miała rozmyty przez potoki łez, a na domiar złego nie potrafiłaby skupić uwagi na drodze. Robert doskonale zdawał sobie z tego sprawę i chociaż czas naglił, zrobił jedyną rzecz, jaką mógł, aby mieć ją na oku: jechał bezpośrednio za nią.

Niedaleko miejsca, gdzie zaparkowała Tracy, czaił się Lucien, który obserwował ich ze złośliwym uśmiechem na ustach.

– Och, nie – powiedział do siebie, kiedy oboje odjechali. – Czy to możliwe, że ona jest na ciebie zła? Czy to możliwe, że na zawsze cię znienawidzi? Czy to możliwe, że obwini cię za śmierć rodziców? Czy to możliwe, że do końca życia będzie przeklinać dzień, w którym się poznaliście? Tak, Świerszczu, moim zdaniem to bardzo możliwe.

Chciałby zobaczyć, co się wydarzy, kiedy dotrą do domu jej rodziców. Jak zareagują na dzieło sztuki, które tam zostawił. Mógłby za nimi pojechać i przyglądać się potajemnie, ukryty w tłumie gapiów, którzy niechybnie zbiorą się przy taśmie policyjnej, ale to stanowiło zbyt wielkie ryzyko.

– Nie – rzucił pod nosem. – Skończyłem już tutaj. – Spojrzał na przedmiot leżący na miejscu pasażera i się uśmiechnął. – Przynajmniej na razie.

## Siedemdziesiąt sześć

O tej porze podróż z Alhambry do Downey powinna zająć około dwudziestu pięciu minut, może trochę dłużej, w zależności od natężenia ruchu, ale Tracy była na tyle rozkojarzona, że trzy razy błędnie skręciła, z czego raz na niewłaściwą autostradę. Koniec końców jej chaotyczna jazda kosztowała ich kolejne osiemnaście minut, co wcale Hunterowi nie przeszkadzało.

Detektyw nie chciał znaleźć się w sytuacji w której musiałby osobiście powstrzymać Tracy przed wejściem do domu rodziców. Bez wątpienia jednak musiałby to uczynić, gdyby przyjechali za wcześnie: jeszcze przed ogłoszeniem, że budynek stał się miejscem zbrodni, i przed odgradzeniem go taśmą policyjną.

Jako policjant nie mógł dopuścić do tego, aby ktoś zanieczyścił miejsce zbrodni, nawet jeśli i tak znali tożsamość mordercy.

Robert wiedział, do czego zdolny jest Folter. Miał takie przerażające przeczucie, że morderca tym razem zrobił coś jeszcze gorszego niż do tej pory. Dla niego to już przestały być badania. Teraz to zemsta, a on chciał dać Hunterowi nauczkę.

Aby ochronić Tracy przed widokiem najbardziej groteskowej i makabrycznej sceny w życiu, która bez wątpienia pozostawiłaby nieodwracalne blizny na jej duszy, zniszczyłaby ją psychicznie i dręczyła aż do śmierci, Hunter gotowy był zrobić wszystko, co w jego mocy, by powstrzymać ją przed wejściem do tego domu. Nawet jeśli go za to znienawidzi.

Kiedy znajdowali się już niedaleko, detektyw zadzwonił do partnera.

– Cześć, dotarłeś na miejsce?

– Będę za jakieś pięć minut. Mieszkam w North Hollywood, pamiętasz? – Przerwał na chwilę. – Zaraz, skoro pytasz, czy dotarłem, to znaczy, że ciebie jeszcze nie ma?

– Nie, ja też potrzebuję jeszcze z pięć minut.

– Myślałem, że jadłeś kolację z Tracy gdzieś w Alhambrze.

– Jadłem.

– Ale przecież wezwali mnie ze czterdzieści minut temu. – W jego głosie brzmiało zdziwienie. – Powinieneś dojechać stamtąd znacznie szybciej ode mnie. Co jest grane?

Hunter zrobił głęboki wdech. Miał gardło tak ściśnięte, że niemal się dusił.

– Ofiarami są rodzice Tracy.

– Co? – Zdziwienie przerodziło się w osłupienie.

– To są rodzice Tracy – powtórzył łamiącym się głosem. – Żeby uderzyć we mnie, Lucien skrzywdził jej bliskich.

– Ja... – Garcia nie mógł znaleźć słów. – Jesteś pewny?

– On do niej zadzwonił. Kiedy byliśmy w restauracji. Właśnie dostałem potwierdzenie od dyspozytora, że na miejscu znaleziono dwa ciała.

– On do niej zadzwonił? Skąd, do kurwy nędzy, miał...? – Przerwał i przemyślał swoje słowa. – Kurwa! Ona jest z tobą?

– Nie, jadę swoim autem tuż za nią. Dlatego jeszcze nie dotarłem na miejsce. Długa historia. A co z Westem i Holbrookiem?

– Nie wiem, nie rozmawiałem z nimi.

– OK. Słuchaj, cokolwiek się stanie, nie możemy pozwolić, żeby Tracy weszła do domu rodziców. Nie wiem, co Folter zrobił, ale... – nie potrafił dokończyć.

– Jasna sprawa. Będę tam za trzy minuty.

– Jeśli znowu gdzieś źle nie skęcimy, to pewnie dojedziemy w tym samym czasie.

Rozłączył się.

## Siedemdziesiąt siedem

Kiedy w końcu skręcili w prawo w Marble Avenue, Hunter zauważył błyskające zza domów niebiesko-czerwone światła. Uliczka, przy której mieszkali rodzice Tracy, znajdowała się zaraz po lewej stronie. Detektywowi ulżyło, gdy zobaczył, że policjanci zdążyli już odgrodzić teren. Kiedy profesor Adams spróbowała na niego wjechać, drogę zastąpił jej funkcjonariusz. Robert zatrzymał się zaraz za nią.

– Ona jest ze mną – powiedział, wychyliwszy się przez okno, po czym pokazał odznakę.

Policjant przyjrzał się jej i pokiwał głową.

– Pan tutaj rządzi – odparł, a następnie dał znać partnerowi, żeby ten uniósł taśmę, umożliwiając autom przejazd.

Trzy radiowozy blokowały podjazd przed domem, Tracy zaparkowała więc w pośpiechu częściowo na chodniku, a częściowo na ulicy.

Hunter zatrzymał się na ulicy, po chwili zobaczył, że właśnie nadjeżdża Carlos.

Tracy wyskoczyła z samochodu i popędziła do domu.

Detektyw pognał za nią.

Kobieta dotarła zaledwie do trawnika, kiedy na jej drodze stanęło dwóch policjantów.

– Przykro mi, dalej pani nie pójdzie – oznajmił wyższy z nich. – To jest miejsce zbrodni.

– Tam mieszkają moi rodzice – wyszlochała. Oczy miała czerwone i spuchnięte od płaczu.

Mężczyźni wymienili zatroskane spojrzenia.

– Rozumiem i naprawdę bardzo mi przykro, ale nie mogę pani przepuścić – odparł po chwili ten sam funkcjonariusz.

– TAM MIESZKAJĄ MOI RODZICE! – wrzasnęła Tracy i spróbowała się przepchnąć między nimi.

Bezskutecznie.

– Bardzo nam przykro – powiedzieli obaj, trzymając ją mocno w miejscu.

Tracy się odwróciła i spojrzała błagalnie na Roberta stojącego parę kroków za nią.

– Proszę... powiedz im, żeby mnie wpuścili... proszę.

– Nie mogę. – Jego głos przepełniał ból. – Nie teraz.

– Proszę... – Próbowała dalej. Jej ciało zaczęło drżeć. – Muszę ich zobaczyć. Muszę zobaczyć rodziców.

Garcia stanął obok nich.

Profesor Adams spojrzała na niego.

– Carlos, proszę, pomóż mi. Muszę ich zobaczyć.

Detektyw zerknął na partnera, po czym podszedł bliżej.

– Tracy, nie możemy tego zrobić. Wiesz o tym. To jest miejsce zbrodni, znasz przecież regulamin.

– Pójdziemy pierwsi, a potem po ciebie wrócimy – zaproponował Hunter.

– Muszę ich zobaczyć. – Szloch jeszcze się nasilił. – Muszę.

W tym momencie dostrzegli agenta specjalnego Petera Holbrooka, wychodzącego przez frontowe drzwi. Miał na sobie białe ochraniacze na buty, lateksowe rękawiczki i niebieski czepki szpitalny. Przystanął na dworze, ściągnął czepki i wytarł nim pot z czoła. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem, zupełnie jakby nie wierzył w to, co się działo. Dopiero po kilku sekundach zauważył Roberta i Carlosa. Ponownie użył czepki do wytarcia twarzy i ruszył w ich stronę.

– Jezu! Nie uwierzycie... – Zauważył, że Garcia kręci powoli głową, wpatrując się w Tracy.

Holbrook zamilkł.

Pełne łez oczy profesor Adams spoczęły na nim.

– To dom moich rodziców. – Głos jej się załamał. – Muszę wejść do środka. Muszę ich zobaczyć. Niech mi pan pomoże.

Peter dostrzegł smutek malujący się na twarzy Huntera.

– Nazywam się Peter Holbrook, jestem agentem specjalnym FBI – zwrócił się do kobiety. – Jest mi strasznie przykro, ale niestety nie mogę pozwolić pani wejść do

środku. Nie teraz. Obecnie dom pani rodziców został uznany za miejsce zbrodni, zatem muszę postępować zgodnie z przepisami.

– Pieprzyć przepisy – odparowała. – To dom moich rodziców. Nie możecie mi tego zrobić. Muszę ich zobaczyć. Robert, proszę cię, pomóż mi – zwróciła się do detektywa. – Nie rób mi tego. Błagam.

Tym razem Holbrook pokręcił głową, wpatrując się w nich z przerażeniem. Bezgłośnie powiedział: „Nie wpuszczajcie jej do środka”.

Funkcjonariusze stojący przy taśmie policyjnej przepuścili białego vana techników kryminalistyki.

– Pani Adams, niech pani pójdzie ze mną – zaczął Peter, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Usiądźmy na chwilę. – Wskazał na jeden z radiowozów stojących na ulicy.

Tracy strząsnęła jego rękę.

– Nie chcę siadać. Chcę zobaczyć moich rodziców.

– Obiecuję, że po ciebie wrócę, daj mi pięć minut – błagał Hunter. – Nawet gdybym chciał, to nie mógłbym ci teraz pozwolić wejść, to jest śledztwo FBI i szeryfów federalnych. Za pięć minut będę z powrotem, obiecuję.

Holbrook wpatrywał się na przemian w obu detektywów, jego pełen zaskoczenia wzrok zdawał się mówić: *Naprawdę nie chcecie, żeby ona to zobaczyła.*

Tracy w końcu dała za wygraną i pozwoliła zaprowadzić się do radiowozu.

– Zostanę z nią – zaoferował się agent specjalny.

Detektywi podążyli w kierunku domu.

– Spotkałeś przedtem jej rodziców? – zapytał Garcia.

– Nie.

Przedostali się przez taśmę policyjną zagrządzającą drzwi i weszli do pogrążonego w mroku salonu. Natychmiast ich nozdrza zaatakował przyprawiający o mdłości smród. Zatrzymał ich w miejscu, zupełnie jakby wpadli na ścianę.

– O w mordę! – wykrzyknął Carlos i natychmiast zasłonił nos dłonią.

Robert zamknął oczy, jakby to mogło mu pomóc przyzwyczaić się do fetoru.

– To nie jest zgniłe mięso – oznajmił Garcia.

Partner przyznał mu rację i powoli pokręcił głową. Doskonale znał źródło smrodu.

W milczeniu przemierzali pomieszczenie, kierując się do następnego. Zrobili dwadzieścia trzy kroki, zanim stanęli w drzwiach.

Carlos bezwładnie opuścił trzymaną przy twarzy dłoń. Rozglądał się dookoła, próbując zrozumieć to, co zobaczył.

– Co... do... chuja?



## Siedemdziesiąt osiem

Hunter stanął w progu i poczuł, jak opuszczają go wszystkie siły.

W jadalni było tyle krwi, że aż trudno uwierzyć, iż pochodziła tylko od dwóch osób. Czerwień pokrywająca większą część podłogi, ściany, meble, zasłony, a nawet sufit, stanowiła jedynie ułamek horroru rozgrywającego się przed ich oczami.

Na środku stał duży stół i sześć krzeseł – po dwa wzdłuż boków i po jednym u szczytu. Właśnie na nich siedzieli rodzice Tracy. Lucien ustawił ciała tak, jakby para akurat jadła wspólnie ostatnią w życiu kolację. Matka miała na sobie jedwabną czerwoną sukienkę, jej mąż zaś czarny prążkowany garnitur.

To dzięki ubraniu dało się ich na pierwszy rzut oka rozróżnić, ponieważ żadne nie miało twarzy... ani głowy.

George i Pamela Adamsowie zostali brutalnie zdekapitowani. Po groteskowo odrąbanych głowach pozostały widoczne mięśnie, arterie, żyły i kręgosłup. Odślonięte tkanki zaczynały nabierać ciemnobrązowego koloru, ale nadal wydawały się nieco wilgotne, co oznaczało, że rany powstały w ciągu minionych sześciu godzin.

Ilość krwi w pomieszczeniu, a w szczególności plamy na suficie, stanowiła dowód na to, że rany zadano tutaj oraz że zrobiono to, gdy ofiary jeszcze żyły.

– To jest ponad... – Garcia usilnie próbował, ale nie potrafił znaleźć słów.

Na stole przed każdym z ciał stały talerz i kieliszek wina. Właśnie tutaj splatały się ze sobą zło i obrzydliwość: na talerzach leżały głowy, zupełnie jakby stanowiły posiłek tej makabrycznej wieczerzy.

Pani Adams miała przed sobą zalany krwią talerz, a na nim spoczywała niemożliwa do rozpoznania głowa jej męża. Nie dało się zidentyfikować twarzy, ponieważ skóra została spalona do tego stopnia, iż przerodziła się w jeden wielki popękany pęcherz, miejscami twardy i zwęglony. To wyjaśniało mdlący odór.

Podobny fetor unosił się na miejscu eksplozji, które kilka dni wcześniej odwiedzili detektywi. Tak śmierdziało pieczone ludzkie mięso.

Oczy pana Adamsa eksplodowały w oczodołach, zostały po nich tylko dwa czarne kratery.

Przed jego ciałem spoczywała głowa jego żony, dla odmiany ani trochę niepoparzona.

Jej włosy o podobnie czerwonym odcieniu jak u Tracy zostały zaczesane do tyłu i ułożone dookoła talerza na zakrwawionym blacie. Niegdyś piękne zielone oczy nabrały mlecznej barwy i zaczęły powoli zapadać się w głąb czaszki. Nadal jednak były otwarte i wpatrywały się prosto w bezgłowe zwłoki George'a.

Czaił się w nich niewypowiedziany wprost strach, czyste przerażenie, zupełnie jakby zapamiętały ostatnie obrazy widziane przed śmiercią. Morderca nie poprzestał na zaserwowaniu głów niczym głównego dania. Przy zwłokach znajdowały się sztucce: widelec z lewej strony, nóż z prawej. Widelce wbito głęboko w leżące na talerzach głowy, zaś noże wsadzono w ich usta. Wyglądało to tak, jakby nieżyjący małżonkowie właśnie je kroili.

– Folter upiekł jedną z głów? – zapytał szeptem Carlos. W jego głosie brakowało przekonania. – Dlaczego?

Robert nie potrafił odpowiedzieć. Nie mógł nic z siebie wykrztusić. Czuł się pusty. Był w stanie tylko wpatrywać się w tę przerażającą scenę. Jedyna myśl w jego głowie to... Tracy.

– Peter miał rację. Nie możemy pozwolić jej zobaczyć rodziców. Nie może ich tak zapamiętać. To by ją zniszczyło psychicznie.

– Co my tutaj mamy?

Pytanie padło zza ich pleców. Detektywi doskonale wiedzieli, do kogo należał ten głos: do doktor Susan Slater, jednej z najlepszych techników kryminalistyki w Kalifornii. Pracowała z nimi już kilka razy.

– Z zapachu wnioskuję, że ktoś został poparzony... bardzo poważnie – ciągnęła.

Hunter odwrócił się do niej. Ich spojrzenia się spotkały. Kobieta zobaczyła w jego oczach rozpacz, której nigdy wcześniej nie widziała. Nie u niego.

– Robert, wszystko w porządku?

– Susan, muszę cię prosić o przysługę – odparł, zerkając na niesioną przez nią walizkę.

## Siedemdziesiąt dziewięć

Zgodnie z obietnicą niemalże dokładnie po pięciu minutach Hunter wyszedł na zewnątrz i podszedł do Tracy siedzącej w radiowozie.

– Proszę, napij się. To woda z cukrem – powiedział, wręczając jej kubek.

Spróbowała mu go wytrącić, ale detektyw w ostatniej chwili cofnął dłoń.

– Nie chcę żadnej wody z cukrem. – Nadal drżał jej głos, ale teraz dało się w nim usłyszeć również złość. – Chcę natomiast wejść do domu moich rodziców. – Poderwała się. – Poprosiłeś mnie o pięć minut. Właśnie dobiegły końca. Wchodzę. – Próbowała przepchnąć się obok niego, ale Robert ani drgnął.

– Wiem, że poprosiłem o pięć minut, ale potrzebuję jeszcze chwili – odparł z żalem i spojrzał w kierunku budynku. – Technicy dopiero dotarli na miejsce, doskonale o tym wiesz. Muszą ustawić reflektory, zebrać dowody, sfotografować wszystko. Nie mogą zaryzykować, że ktoś zanieczyści miejsce zbrodni albo dotknie czegokolwiek.

– On ma rację – poparł go Peter.

– Proszę, napij się i daj mi jeszcze trochę czasu – nalegał Hunter, po czym kiwnął do Holbrooka. Liczył na to, że kolega będzie czytał między wierszami.

Nie zawiódł się.

– Jak tylko wszystko sfotografują, sam panią zaprowadzę do środka. W porządku? – zwrócił się do Tracy.

Kolejny strumień łez popłynął po jej twarzy. Serce detektywa pękło. Wiedział, że ona nigdy mu nie wybaczy tego, co zaraz zrobi, ale był gotów zapłacić tę cenę, byleby tylko nie zobaczyła, co Lucien zrobił jej najbliższemu.

– Napij się wody – poprosił ponownie.

Kobieta w końcu dała za wygraną i wypila wszystko małymi łydkami.

Silny środek usypiający, zmieszany z cukrem przez doktor Slater, zaczął działać po trzech minutach. Gdy dziesięć godzin później Tracy się obudziła, znajdowała się

już we własnym mieszkaniu w West Hollywood. Robert zabrał ją do domu i czuwał przy niej aż do rana.

Otrząśnięcie się ze snu potrwało znacznie dłużej niż normalnie – winę za to ponosiły pozostałości leku, krążące jeszcze w jej organizmie. Gdy tylko uchyliła powieki, poczuła się zdezorientowana. Potrzebowała kilku minut, aby rozpoznać otoczenie – wówczas uświadomiła sobie, że leży we własnym łóżku.

Na szafce nocnej dostrzegła szklankę mleka i kanapkę, które wcześniej przygotował dla niej Hunter.

Po kolejnych dwóch minutach Tracy dała radę usiąść, jednakże nie bez pomocy. Rozglądała się dookoła zaspanymi oczami. Mgła zapomnienia powoli zaczęła się rozwiewać.

– Dlaczego tu jestem? – zapytała słabym głosem. – Dlaczego jestem we własnej sypialni?

– Zostałaś uśpiona. – Ta odpowiedź nie padła z ust Roberta, tylko jej najlepszej przyjaciółki, Amber Webster. Detektyw zadzwonił do niej poprzedniego wieczora i poprosił, aby przyjechała.

– Amber? – Do tej pory Tracy nie zauważyła koleżanki. – Co... co ty tu robisz? – Zamilkła na chwilę, ponieważ nagle wszystko zrozumiała. Widać było, że nadzieja gaśnie w jej oczach. – To nie był sen – powiedziała znacznie głośniej. – Gdzie są moi rodzice?

– Zostałaś uśpiona – powtórzyła Amber i podeszła bliżej, żeby położyć jej rękę na ramieniu. – Robert cię tu przywiózł. – Zaczęła płakać. – Przykro mi.

Profesor Adams spojrzała na niego i zalała ją lawina wspomnień. W jej oczach zalśniły łzy, po chwili pojawił się w nich również gniew.

– Okłamałeś mnie.

Huntera dręczyło ogromne poczucie winy, ale nie odwrócił wzroku.

– Przepraszam, ale musiałem to zrobić. – Mówił słabym głosem... pokonany.

– Dlaczego nie pozwoliłeś mi ich zobaczyć?

– On próbował cię ochronić. – Amber starała się pomóc, ale Tracy jej nie słuchała.

– Muszę iść do ich domu. Muszę ich zobaczyć. – Spróbowała wstać, jednak zawroty głowy powaliły ją z powrotem na łóżko.

– Już ich tam nie ma.

– Co? Dlaczego? Gdzie są?

Amber spojrzała na Roberta.

– Ich ciała przewieziono do kostnicy – wyjaśnił.

Tracy zaczęła szlochać.

Zrobił krok w jej kierunku, ale zatrzymało go pełne niedowierzania i wściekłości spojrzenie, jakie mu rzuciła.

– To wszystko przez ciebie? – zapytała.

Detektyw milczał, czuł, że miękną mu nogi.

– Moja matka nie żyje... mój ojciec nie żyje... i to wszystko przez ciebie? Wszystko przez jakąś głupią zemstę?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

Tracy odwróciła głowę.

– Robert, proszę, wyjdź. – Drżącą dłonią wskazała mu drzwi.

Amber spróbowała jeszcze raz:

– Proszę, posłuchaj...

– Nie. Nie chcę niczego słuchać. – Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała wymiotować. – Robert, wyjdź. Po prostu wyjdź, dobrze?

– Strasznie mi przykro – odparł Hunter i się odwrócił. – Gdybym za życie twoich rodziców, mógł oddać swoje, zrobiłbym to. – Zerknął na Amber. – Zaopiekuj się nią – wyszeptał. – Daj mi znać, jeśli będzie czegoś potrzebowała.

Gdy wyszedł z pokoju, usłyszał niemalże histeryczny płacz.

Po chwili wsiadł do samochodu, nie włączył jednak silnika. Ukrył twarz w dłoniach.

*Jak zamordować kogoś, nie mordując go tak naprawdę? To proste. Musisz mu opróżnić duszę, tylko po to, żeby napętnić ją bólem. Zabierasz tej osobie to, co ona kocha najmocniej.*

## Osiemdziesiąt

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił Hunter, kiedy w końcu dotarł na spotkanie zespołu odbywające się w gabinecie kapitan Blake.

Barbara, która właśnie skończyła rozkładać zdjęcia z miejsca zbrodni na swoim biurku, spojrzała na zegarek. Ponieważ detektyw spóźnił się niecałe pięć minut, postanowiła nie pastwić się nad nim zbyt wiele.

– Jakże miło, że wasza wysokość postanowił zaszczyścić nas swoją obecnością – odparowała stanowczo, jednak na tym poprzestała.

– Dasz sobie radę? – zapytał szeptem Garcia, kiedy partner stanął obok Westa i Holbrooka.

– Tak, wszystko w porządku.

– Skoro w końcu dotarłeś, pozwól, że zapytam: czy cokolwiek z tej rzezi ma dla ciebie jakieś szczególne znaczenie? – zaczęła pani kapitan głosem, w którym pobrzmiwało znacznie więcej niepokoju niż złości, a następnie wskazała na fotografię. – Dekapitacja? Spalenie jednej głowy? Inscenizowanie kolacji? Ciało, które wygląda, jakby miały zacząć jeść głowy? Cokolwiek?

Podwładny popatrzył na nią pustym wzrokiem.

– Pytam, ponieważ żadne z nas nie widzi w tym sensu, a w końcu ostatecznie, zanim wysadził w powietrze trzydzieści niewinnych osób, zadał ci tę absurdalną zagadkę, skierowaną bezpośrednio do ciebie. Cały ten jego popapwany plan zemsty jest skierowany przeciwko tobie. Czy którakolwiek z wymienionych przeze mnie rzeczy ma dla ciebie jakieś głębsze znaczenie?

Hunter zerknął na partnera, który wyczytał w jego oczach nieme pytanie i subtelnie pokręcił głową – nic im jeszcze nie wyjawiał.

Robert opowiedział zatem, kim były ofiary, a potem zrelacjonował treść rozmów, jakie on i Tracy przeprowadzili z mordercą.

– Jezus! – Barbara pierwsza przerwała niezręczną ciszę, jaka zapadła po słowach detektywa. – To jakieś totalne szaleństwo.

– Po co ten idiotyczny pokaz przemocy? – zapytał West. – Nie wspominając już o makabrycznej scenie rodem z horroru. Rozumiem, że chciał, żeby Tracy, czyli osoba, którą kochasz, cię znienawidziła, ale równie dobrze mógłby to osiągnąć, po prostu zabijając jej bliskich i wyjaśniając, że to ty jesteś winny. Nie musiał obcinać im głów, piec jednej z nich, ani układać potem ciał w tak dziwaczny sposób. Na pewno nie ma tu jakichś ukrytych wiadomości? Może to nawiązanie do waszych studiów?

– Na pewno nic więcej się za tym nie kryje – zapewnił Hunter.

– Czyli Folter zrobił to wszystko dla zabawy? – zapytała pani kapitan.

– Nie. On zrobił to wszystko, ponieważ nie my mieliśmy oglądać jego dzieło, tylko Tracy.

Ponownie zapadła cisza.

– Nie wiem, w jaki sposób Folter miałby się dowiedzieć, że wczoraj umówiła się ze mną na kolację. Udało jej się zrobić rezerwację tylko dlatego, że po południu ktoś inny odwołał swoją. Nawet Lucien nie zdołałby tego wszystkiego zaaranżować na ostatnią chwilę – wyjaśnił Robert.

– W takim razie jaki miał plan? – naciskał Tyler.

– Bardzo prosty: zabić jej rodziców w koszmarny sposób... taki, który zniszczy ją psychicznie. Następnie zamierzał śledzić ją tak długo, aż znajdzie odpowiedni moment, aby do niej zadzwonić. – Przerwał na chwilę, żeby pozostali mogli przetrwać jego słowa.

– Twoim zdaniem on pojechał za nią do restauracji? – włączył się Holbrook.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jestem pewny, że wszedł do środka. Wiedział, że siedzi tam ze mną, nie mógł się powstrzymać. Wyobraźcie sobie jego radość, kiedy mógł zadzwonić do Tracy, powiedzieć jej, że zamordował jej najbliższych, a potem się upewnić, że ona zrozumie, kto jest odpowiedzialny za to wszystko: osoba, która właśnie siedzi naprzeciwko niej. Osoba, w której ona jest zakochana.

– Kurwa! – warknął szeryf federalny, wyobrażając sobie tę scenę. – Czyli pewnie siedział tam i patrzył na was, kiedy wykonał ten telefon.

– Pewnie tak – zgodził się Robert. – Ale cieszę się, że właśnie wtedy do niej zadzwonił.

Cisza zapadła po raz trzeci.

– Jak myślicie, co by się stało, gdyby Tracy siedziała sobie wówczas w domu, sama? – zapytał pozostałych.

Wtedy zrozumieli, co miał na myśli.

– Zadzwończyłyby do rodziców – rzucił Peter. – Nie odebraliby, więc w końcu pojechałyby do ich domu.

– Czytaliście raport policyjny? – ciągnął detektyw. – Folter zostawił otwarte drzwi, prawdopodobnie dlatego, że nie wiedział, czy ona ma klucze. *Chciał*, żeby weszła do środka i zobaczyła, co zrobił jej najbliższym.

Wszyscy spojrzeli na zdjęcia z miejsca zbrodni.

– Mógł zaaranżować to na milion różnych sposobów – tłumaczył dalej Hunter. – To nie miało dla niego żadnego znaczenia, o ile tylko wyrządzi wystarczającą krzywdę Tracy... A on doskonale wie, jak roztrzaskać czyjś umysł. W tym celu oddziaływał zarówno na wzrok, jak i na węch: chciał mieć pewność, że ona już nigdy się nie otrząśnie z tego koszmaru. Jej podświadomość już zawsze łączyłaby zapach spalenizny z tym, co przydarzyło się jej rodzicom.

Zauważył, że jego partner instynktownie przyłożył dłoń do twarzy, identycznie jak na miejscu zbrodni.

– Może obwiniać mnie za śmierć najbliższych. Może mnie znienawidzić do końca życia, co stanowiło główny cel Foltera, ale przynajmniej nie będą jej nawiedzały te straszne obrazy i ten obrzydliwy smród. – Robert pokręcił głową. – Nie zniszczył jej psychiki. A z tym mogę żyć.

– Czyli w pewien pokręcony sposób udało ci się z nim wygrać: nie pozwoliłeś jej wejść do tego domu – podsumował West.

Detektyw nie nazwałby tego zwycięstwem, ale starał się tchnąć w swoje słowa nieco optymizmu:

– Chyba tak.

– To co teraz robimy? – zapytała kapitan Blake.

Wszyscy wiedzieli, że nie mogą nic zrobić, tylko czekać na kolejny telefon od Luciena, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego na głos. Sama myśl, że on znów zadzwoni, napawała przerażeniem każde z nich. Z wyjątkiem Huntera. On bał się czegoś wręcz przeciwnego. Bał się, że morderca już nigdy nie zadzwoni.

Folter przyjechał do Los Angeles w jednym jedynym celu: chciał się zemścić na dawnym przyjacielu. Zdaniem Roberta tak właśnie się stało. Czuł się pokonany,



złamany, pusty. Przestępca wygrał tę wojnę. Nie było już o co toczyć bitew. A w takim wypadku nie było po co zostawać w LA.

Detektyw bał się, że jeśli Lucien postanowi zniknąć, nikt go nigdy nie znajdzie.

## Osiemdziesiąt jeden

Od morderstwa rodziców Tracy minęły cztery dni, w tym czasie nie udało się ustalić niczego na temat miejsca pobytu Luciena. Jedynym sukcesem było utrzymywanie mediów w nieświadomości: do opinii publicznej nie przedostała się informacja, że podwójne zabójstwo w Downey zostało popełnione przez tę samą osobę, która wysadziła w powietrze Ateneum Whisky w Hollywood. Zważywszy, że dziennikarze w USA należą do najbardziej nachalnych i zaradnych na świecie, było to bardzo znaczące osiągnięcie.

W kwestii samego morderstwa patolog potwierdził, że dekapitacji na obu ofiarach dokonano, kiedy te jeszcze żyły. Sprawca posłużył się tasakiem znalezionym w kuchni – nie przyniósł go ze sobą. Sekcja zwłok wykazała, że dekapitacja nie została przeprowadzona czysto. Folter musiał uderzać trzy lub cztery razy, aby odciąć głowy, co wyjaśniało ogromną ilość plam krwi i rozprysk tętniczy.

Hunter wymógł na kolegach, którzy byli mu winni kilka przysług, by utrzymali większość szczegółów w tajemnicy przed Tracy. Zwłaszcza to, że głowy jej rodziców obcinano za ich życia. Taka wiedza przynosi o wiele więcej cierpienia niż ukojenia – doskonale zdawał sobie z tego sprawę – dlatego też robił wszystko, co mógł, aby ulżyć ukochanej. Nietrudno się domyślić, że ten proces zachodził bardzo powoli.

Szanował jej decyzję i nie próbował się z nią w żaden sposób kontaktować, ale codziennie rozmawiał z jej przyjaciółką Amber. Powiedziała mu, że Tracy większość czasu spędza, płacząc albo bezmyślnie wpatrując się w krajobraz za oknem lub w zdjęcie rodziców. Czasami płacz powodował, że zapadała w sen, innym razem doprowadzał ją do hysterii i jedynym sposobem, by ją uspokoić, było podanie leków.

Garcia właśnie skończył pisać e-mail, kiedy usłyszał donośne burczenie dobiegające z brzucha Huntera, który siedział przy swoim biurku.

– Jasna cholera – powiedział, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – To z twojego żołądka?

Robert milczał.

– Myślałem, że nadeszło trzęsienie ziemi. Cały budynek zadrżał. Kiedy ostatni raz jadłeś? Wiem, że nie byłeś na lunchu, bo cały dzień tutaj siedzisz.

– Miałem duże śniadanie.

– Nie wątpię. Co to było? Super-duper-deluxe proteinowy koktajl?

Nie wywołał tym pytaniem nawet cienia uśmiechu na twarzy partnera.

Carlos wstał.

– Wiesz co? Ja też się robię głodny. Może skoczmy coś przegryźć, zanim ten dinozaur w twoich bebechach pożre nas obu?

Hunter spojrzał na niego smutno.

– Oj, daj spokój, to był całkiem niezły żart – bronił się Garcia, po czym przybrał poważny ton. – Dobra, jest już po siedemnastej, a ty nic dzisiaj nie jadłeś. Nie dziwię się, że żołądek się wnerwił. Idziemy. – Kiwnął głową w kierunku drzwi. – Coś sobie wszamiemy i fajrant. Obaj jesteśmy głodni, a mnie już mdli od patrzenia w monitor. Robimy to od czterech dni i nie posunęliśmy się nawet o milimetr, a tak szczerze mówiąc, to chętnie chociaż raz wróciłbym do domu przed dziewiątą. No to bierz rzeczy i spadamy, ja stawiam.

Robert rozparł się na krześle.

– A gdzie chcesz pójść?

– Wybieraj. Znasz mnie, ja mogę zjeść wszędzie. Może być Blue Cube, Senior Fish, Redbird...

Hunter nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– To może Five Star Bar? – zapytał Carlos. – Lubisz to miejsce, prawda? Puszczają dobrą muzykę, a ich burgery i kanapki są całkiem niezłe.

To prawda, detektyw lubił to miejsce.

– Dawaj, ruszamy – naciskał przyjaciel. – Przecież i tak nie mamy tutaj za wiele do roboty. Siedzimy na dupach od czterech dni, jedyne, co osiągamy, to coraz większa frustracja. Poza tym wyglądasz jak facet, który od tygodnia nie miał nic w ustach. Dziwię się, że jeszcze nikt nie podszedł do ciebie na ulicy, nie dał ci

kanapki i kubka kawy i nie powiedział „Trzymaj, kolego, nie załamuj się, będzie dobrze”.

Carlos wpatrywał się w partnera, ale nie doczekał się żadnej reakcji.

– Nic? Nawet cienia uśmiechu?

– Może to nie było śmieszne?

– Nie było śmieszne tylko dlatego, że było prawdziwe. A teraz już bez żartów, chodź coś zjeść. Nie każ mi dzwonić do Anny, bo ona cię skrzyczy, że zrobiłeś się takim niejadkiem.

Robert się uśmiechnął i sięgnął po kurtkę.

– Wow. Ze wszystkich moich żartów tylko ten o mojej żonie cię rozbawił?

– Ten był śmieszny – odparł ze wzruszeniem ramion Hunter.

## Osiemdziesiąt dwa

Five Star Bar znajdował się pod adresem 267 South Main Street, niemalże przy samej komendzie. Garcia i Hunter weszli do środka o wpół do szóstej, ludzie właśnie wychodzili z pracy i lokal zaczynał się powoli zapęłniać. Wysoka czarnowłosa kelnerka z kolczykami w nosie i wardze wskazała im stolik na końcu, niedaleko sceny.

– Zostajecie na koncercie? – zapytała, wręczając im karty dań.

– A kto dzisiaj gra? – zapytał Robert.

Kobieta się rozejrzała, jakby się bała, że ktoś ich podsłucha, po czym po cichu powiedziała:

– To sekretny występ kapeli Demotional.

Detektyw uniósł brwi.

– Tego szwedzkiego zespołu?

Kelnerka nie kryła zaskoczenia, ponieważ Robert w ogóle nie wyglądał na kogoś, kto słucha death metalu.

– Znasz tę kapełę?

– Oczywiście. Mam kilka ich winyli. – Zauważył jej minę i postanowił wyjaśnić. – Jestem staroświecki: wolę winyle od CD, zaś CD od MP3.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Ja też.

– Czyli dzisiaj jest sekretny występ Demotional, tak?

– Zgadza się – odparła podekscytowana kelnerka. – Zaczynają o dziesiątej. Powinieneś zostać. Słyszałam ich dzisiaj na próbie, tak dawali czadu, że mało dachu nie wyrwało. Nie mogę się doczekać. Zastanówcie się nad zamówieniem, wrócę za kilka minut.

– De-motional? – zapytał po chwili Garcia.

– Tak. To deathmetalowa kapela ze Szwecji. Bardzo dobra.

– Death metal? Bardzo się różni od... life metalu?

Robert się nie zaśmiał.

– Tylko marnuję na ciebie moje żarty – skwitował Carlos. – Dobra, to co pijesz?

– Chyba wezmę wodę.

Przyjaciel odłożył menu i spojrzał na niego.

– Wodę? Jaja sobie robisz? Jest piątek, koniec cholernego tygodnia. Potrzebujesz kielicha niemal tak samo pilnie, jak jedzenia. Może szkocka? – zasugerował, wiedząc, że Robert nie jest fanem piwa. – Mają tutaj całkiem niezły wybór.

– Whisky nie pasuje do burgera.

– W porządku. To wybierz coś innego. Coś, co chociaż trochę pomoże ci się zrelaksować.

– Dobra, to wezmę... kieliszek wina.

– No, już lepiej. Czerwone czy białe?

– Czerwone.

– Już się robi.

Kelnerka podeszła ponownie do ich stolika.

– Mogę przyjąć zamówienie?

– Tak. Ja poproszę piwo, obojętnie jakie. Kolega natomiast myśli o czerwonym winie.

– Dobra decyzja – odparła i posłała Robertowi kolejny uśmiech. – Jakieś preferencje? Mamy spory wybór, od napa valley przez malbec, zinfandel, cabernet sauvignon, ale moje ulubione to pinot noir, które przyjechało do nas w zeszłym miesiącu. Lekkie, ale jednocześnie o bardzo wyrazistym smaku i niezwykle łagodne.

– W takim razie biorę – powiedział Hunter.

Detektywi zamówili jeszcze jedzenie: Garcia skusił się na cheeseburgera z frytkami, zaś jego partner wybrał samego cheeseburgera.

– Jak radzi sobie Tracy? – zapytał Carlos.

Robert na chwilę odwrócił wzrok.

– Tak, jak można się spodziewać. Minie wiele miesięcy, zanim się pozbiera. Była bardzo blisko z rodzicami, zwłaszcza z matką, ale poradzi sobie. Jest silna.

Potrzebuje po prostu czasu. Na szczęście nie będzie musiała mierzyć się z tymi obrzydliwymi obrazami, które nawiedzałyby ją w koszmarach.

– To akurat duży plus.

Hunter pokiwał głową.

Kelnerka przyniosła napoje. Garcia od razu wziął porządnego łyka ze swojego kufła, jego przyjaciel natomiast pozwolił winu jeszcze nieco pooddychać.

Carlos widział smutek w jego oczach, powiedział więc:

– Powtarzam ci to po raz kolejny i zrobię to jeszcze tysiąc razy: nie jesteś winny niczemu, co się wydarzyło. Wiesz to, prawda?

– Tak, wiem – odparł, po czym wreszcie się napił. – Nawet gdybym spróbował przewidzieć jego ruch, to, że zaatakuje kogoś mi bliskiego... kogoś najbliższego. I tak stawiałbym wtedy na Tracy, a nie na jej rodziców. Przecież nigdy ich nie widziałem. Nie przypuszczałbym, że mogłby chcieć ich skrzywdzić. A nawet jakbym jakimś cudem to przewidział, i tak znalazłby inny sposób, żeby mnie dopaść.

– Tracy jest nie tylko silna, ale również bardzo inteligentna i ma głowę na karku. Oczywiście, że teraz bardzo cierpi, ale w końcu się z tego otrząśnie, a wtedy nie będzie cię obwiniała. Jest na to za mądra. Daj jej trochę czasu.

Wysoka czarnowłosa kelnerka wskazała czarnoskóremu mężczyźnie sąsiedni stolik, po czym spytała Huntera:

– Wino smakuje?

– Jest fantastyczne. Dziękuję za sugestię.

– Zamówienie do odbioru! – Usłyszeli głos dobiegający z kuchni.

– Coś czuję, że to dla was – rzuciła kelnerka. – Zaraz wracam.

Istotnie, niecałe trzydzieści sekund później była z powrotem.

– Proszę bardzo, cheeseburger z frytkami i cheeseburger bez frytek.

– Może wpadniesz dzisiaj do nas? – zaproponował Carlos, kiedy zabrali się do jedzenia. – Pewnie będziemy oglądać jakiś film, chociaż to i tak lepsze niż siedzenie samemu.

– Może innym razem – odparł Robert, po czym odłożył kanapkę, zjadłszy zaledwie dwa kęsy. – Ale chyba przyjdę tutaj na występ.

– Demotional, tak? Death metal?

– Zgadza się. Nie widziałem ich nigdy na żywo, a to naprawdę dobry zespół. Na dodatek są ze Szwecji, więc za często nie koncertują w Stanach, zatem to wyjątkowa okazja. Pewnie skoczę jeszcze na chwilę do biura albo do domu. Koncert jest dopiero o dziesiątej. – Zerknął na zegarek. – Czyli mam ponad cztery godziny. Za dużo czasu, żeby po prostu czekać.

– Racja. Moim zdaniem to bardzo dobry plan.

Kiedy skończyli jeść, Carlos zapłacił rachunek i wrócili w milczeniu na komendę.

– Myślisz, że Lucien nadal może chcieć zapolować na Tracy? – zapytał nagle Garcia, kiedy weszli na parking.

Hunter spojrział w niebo. Słońce zbliżało się do linii horyzontu, szykując się, by całkiem zniknąć, zupełnie jak co dzień.

– Z nim nigdy nic nie wiadomo na pewno. Ale nie wydaje mi się. Po co miałby zadawać sobie trud i ponosić ryzyko, sprawiać, żeby ona obwiniała mnie za śmierć rodziców, niszczyć jej psychikę, a kilka dni później i tak ją po prostu zabić?

Partner przytaknął.

– To ma sens. – Otworzył drzwi auta, odpiął kajdanki i latarkę od paska i wrzucił je na siedzenie pasażera. – Ale znam cię przecież nie od dzisiaj. Ktoś ją obserwuje, prawda?

– Parę osób wisiało mi przysługę – przyznał Robert.

Carlos się uśmiechnął.

– Do zobaczenia rano. Baw się dobrze na tym deathmetalowym koncercie.

Hunter również się uśmiechnął.

– Nie znasz tego gatunku. Mam rację?

– Nie, ale poszukam sobie w necie, jak tylko dojadę do domu. Sprawdzę też tę całą kapelę.

– Zawsze możesz wpaść tutaj i zobaczyć ją na żywo. Weź ze sobą Annę. Może jej się spodoba.

Garcia się skrzywił.

– Na death metal? Taa, jestem pewien, że będzie zachwycona. – Zaśmiał się. – Kiedyś uwielbiała NSYNC. Nie żartuję. Bez wątplenia niewiele się od tego różni.



Kiedy jego partner odjechał, Robert zaczął się zastanawiać, co teraz zrobić: wrócić do domu czy do biura? Naprawdę chciał być na koncercie w Five Star Bar, ale zamierzał najpierw zadzwonić do Amber i zapytać ją o Tracy. Sięgnął po komórkę, ale usłyszał, że sama rozdzwoniła się w jego lewej kieszeni. Zmarszczył brwi.

Dwie rzeczy się tutaj nie zgadzały.

Po pierwsze, zawsze trzymał telefon w wewnętrznej kieszeni kurtki, nigdy w zewnętrznej. Po drugie, to nie był dzwonek jego komórki.

## Osiemdziesiąt trzy

Zdumiony Hunter rozejrzał się dookoła, myśląc, że może ktoś zgubił telefon na parkingu. Niczego nie zauważył.

Dzwonek rozległ się ponownie i nie było już żadnych wątpliwości: dobiegał z jego lewej kieszeni.

Sięgnął do niej i ku swojemu zaskoczeniu natrafił na nokię 5160.

– Co jest, kurde? – Instynktownie spojrzął na kurtkę. Może przypadkiem zabrał czyjaś zamiast swojej, kiedy wychodzili z Five Star Bar. Był na tyle rozkojarzony, że mogło się tak wydarzyć. Jednak nie. Zdecydowanie to jego kurtka.

Komórka zadzwoniła raz jeszcze. Na wyświetlaczu pojawił się napis: „numer nieznany”.

Wtedy zrozumiał.

– Bez jaj.

Zaniepokojony ponownie powiódł wokoło wzrokiem. Z komendy wychodzili policjanci i zwykli obywatele. Detektyw spróbował przypatrzeć się ich twarzom, ale każdy zdawał się gnać gdzieś w pośpiechu.

Przy wejściu stała jakaś kobieta, która paliła papierosa i rozmawiała przez telefon, jednak była wyraźnie zbyt niska jak na Luciena.

Komórka zadzwoniła po raz kolejny... I ponownie... I jeszcze raz.

Robert nadal próbował wypatrzeć Foltera, ale w końcu nacisnął przycisk „odbierz”.

– Witaj, Świerszczu – powiedział morderca. Jak zawsze posługiwał się swoim normalnym głosem. – Zaskoczyła cię moja mała sztuczka z komórką w kieszeni?

Przy radiowozie na drugim końcu parkingu stał funkcjonariusz z telefonem w dłoni, ale on nie rozmawiał, tylko pisał SMS-a.

– Wybacz, że dałem ci takiego starego grata. Pamiętasz je jeszcze? Ten konkretny model jest z 1998 roku. – Lucien zaśmiał się beztrzesko. – W tamtych

czasach Nokia była liderem w tej branży... wyprzedzała resztę o lata świetlne. Co się stało z tą firmą?

Cały czas mówił uprzejmie, zupełnie jakby dalej się przyjaźnili, jakby nic się nie wydarzyło. To stara psychologiczna sztuczka, która niejednego potrafiła wyprowadzić z równowagi, ale Hunter nie dał się tak łatwo podejść.

– Powiem ci, co się z nią stało – ciągnął morderca. – Została zmiądzona przez sprytniejszego i silniejszego rywala. Kogoś, kto miał lepsze pomysły i lepiej je rozgrywał. Coś ci to przypomina?

Detektyw cały czas milczał i przyglądał się wszystkim w zasięgu wzroku.

Bez skutku.

Zaczął powoli oddalać się od parkingu w kierunku West 1st Street, jednocześnie rozważał wszystkie możliwości. Nie było ich wiele.

– Masz rację – odpowiedział w końcu. Stwierdził, że dalsza walka nie ma sensu, w jego głosie słychać było porażkę. – Ty wygrałeś. Ja przegrałem. Bez dwóch zdań. Co powiesz, żebyśmy wreszcie to skończyli, skoro i tak nie mam już nic, co mógłbyś mi odebrać?

Folter milczał przez chwilę, zastanawiał się.

– W porządku, przykułeś moją uwagę. Co proponujesz?

– Ty i ja. Twarzą w twarz. Nikt inny. Żadnych szeryfów federalnych. Żadnego FBI. Nikogo. Chcesz zemścić się na mnie, w międzyczasie skrzywdziłeś już mnóstwo niewinnych ludzi. Nikt więcej nie musi cierpieć. Załatwmy to sami. Ty i ja. Podaj czas i miejsce, a ja tam będę... sam. Masz moje słowo.

Lucien parsknął śmiechem.

– I co, mam ci tak po prostu zaufać?

– Nic więcej mi nie pozostało. – Hunter wyszedł na West 1st Street i zatrzymał się tuż przy wjeździe na parking przed komendą. Spojrzał w lewo, potem w prawo i pokręcił głową. W okolicy kręciło się za dużo ludzi, żeby mógł go wypatrzeć. Jeśli w ogóle gdzieś tu był.

Morderca znowu zamilkł, zupełnie jakby rozważał różne możliwości.

– Ja ustalam czas i miejsce? – zapytał w końcu.

– Tak.

– OK. W takim razie teraz. Dokładnie w tej chwili.

## Osiemdziesiąt cztery

Kiedy Garcia zjechał z North Broadway i ruszył Hollywood Freeway, spojrzął na zegar na desce rozdzielczej – wskazywał osiemnastą dwanaście. O tej porze ruch był duży, jak to w piątkowy wieczór. W tym tempie powinien dotrzeć do domu w ciągu trzydziestu, czterdziestu minut. Jak na niego to i tak dość wczesna pora na powrót z pracy.

Wrócił myślami do Huntera. Przez te wszystkie lata nie widział swojego partnera tak zranionego. Ale z drugiej strony nigdy nie widział też niczego bardziej przerażającego od tego, co zrobił Lucien Folter. Sam diabeł pewnie by się go bał.

Powędrował myślami ku Tracy i poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Nagle odniósł wrażenie, że coś ścisnęło mu serce – musiał sprawdzić, czy z Anną wszystko w porządku. Musiał sprawdzić to natychmiast.

Sięgnął po komórkę, która w tym samym momencie zaczęła wydawać z siebie piszczący dźwięk. Brzmiał trochę jak budzik, ale jednak niezupełnie. Ten zbieg okoliczności sprawił, że detektyw aż podskoczył.

– Co jest, kurde?

Wiedział, że nie ustawiał żadnych alarmów, w dodatku nigdy wcześniej nie słyszał tego sygnału – dwa wysokie tony, po których zaraz następował jeden niższy. Dzwoniły tak raz za razem, telefon w dodatku wibrował.

W końcu wyciągnął komórkę z kieszeni. Ruch był powolny, ale płynny, więc zerknął na wyświetlacz, zanim ponownie skupił uwagę na ciężarówce jadącej przed nim. Na wyświetlaczu pojawił się napis: „LOK SZER AKT”.

– Co to za cholerstwo? – zawołał na głos, marszcząc brwi. Przytknął palec wskazujący do czytnika linii papilarnych, żeby odblokować aparat, i spojrzął jeszcze raz.

– Lokalizator dla szeryfów federalnych aktywowany.

Neurony w jego mózgu potrzebowały chwili, żeby zacząć działać. Patrzył właśnie na aplikację, którą West zainstalował na ich smartfonach. Jej zadaniem było namierzanie lokalizatora, jaki dostał Hunter – na wypadek gdyby Lucien go dorwał. Miała zacząć działać tylko wtedy, gdy Robert sam włączy urządzenie.

– Co jest, kurwa? – Carlos jeszcze raz spojrzął na zegarek. Ostatni raz widział partnera na parkingu niecałe dziesięć minut wcześniej. *Na parkingu komendy*. To niemożliwe, żeby Folter uderzył w takim miejscu. Pewnie lokalizator włączył się przez przypadek.

Detektyw wybrał numer przyjaciela i czekał. Jeden sygnał... drugi sygnał... trzeci sygnał. Po piątym włączyła się automatyczna sekretarka.

– Co tu się, do ciężkiej cholery, dzieje? – Rozłączył się, zapalił światła policyjne i zaczął kierować się na pobocze, jednak zanim tam dotarł, zadzwoniła jego komórka. To był West. On i Holbrook również mieli zainstalowaną tę aplikację.

– Cześć, Tyler – rzucił do słuchawki, zatrzymując się na pasie awaryjnym.

– Carlos, jesteś z Robertem? Nie odbiera.

– Wiem, też próbowałem się do niego dodzwonić. Nie jestem teraz przy nim. Już nie. Dziesięć minut temu się pożegnaliśmy.

– Czyli to namierzanie jest na serio?

– Nie wiem.

– W dupę! Porusza się. Nadajnik się porusza – krzyknął West.

Detektyw spojrzął na wyświetlacz. Aplikacja pokazywała mapę, a także dwie kropki: czerwoną i niebieską. Pierwsza wskazywała pozycję Huntera, a druga położenie urządzenia, na którym działał program. W tym wypadku był to telefon Garcii. Czerwona kropka właśnie skręciła z West 1st Street w North Broadway.

– Niech mnie cholera – wyszeptał.

– Musimy założyć, że to prawdziwy alarm i Lucien właśnie dorwał Roberta. Mówiłeś, że widzieliście się dziesięć minut temu. Gdzie teraz jesteś?

– Na Hollywood Freeway, jadę na północ w kierunku wyjazdu 5A.

Cisza.

– Dobra, poczekaj tam chwilę, może on również uda się z North Broadway na Hollywood Freeway. Jeśli tak, będzie jechał w twoją stronę.

– A ty gdzie jesteś? – zapytał detektyw.

– Tu jest problem... W Santa Barbara.

– W Santa Barbara? Po kiego?

– Byłem w sądzie, składałem zeznania w jednej starej sprawie. Teraz pędzę do LA, ale dotrę na miejsce za ponad dwie godziny.

Telefon Garcii zapiszczał ponownie, oznajmiając kolejne połączenie – tym razem od agenta Holbrooka.

– Tyler, zaczekaj chwilę, Peter próbuje się ze mną skontaktować. Ustawię połączenie konferencyjne.

Włączenie odpowiedniej funkcji zajęło mu dwie sekundy.

– Carlos, co tam się, do cholery, dzieje? – spytał agent specjalny.

– Alarm jest prawdziwy – odpowiedział mu West. – Robert nie odbiera telefonu i cały czas się przemieszcza. Musimy założyć, że Lucien go dopadł.

– Rozumiem.

Detektyw przekazał mu, gdzie obecnie jest.

– W dupę! – warknął Holbrook. – Jestem jakieś czterdzieści pięć minut od ciebie, ale już jadę.

– Nie rozłączajcie się. Możemy koordynować działania w drodze – rzucił Carlos.

– W porządku – jednocześnie zgodzili się pozostali.

## Osiemdziesiąt pięć

– OK. W takim razie teraz. Dokładnie w tej chwili – powiedział Lucien.

Hunter nie spodziewał się takiej reakcji. Zakładał coś w stylu: „Oddzwonię do ciebie”.

– Teraz? – spytał z niedowierzaniem.

– Co? Za szybko?

Detektyw odetchnął głęboko.

– Nie, teraz mi pasuje.

Kiedy szedł w stronę West 1st Street, jakby nigdy nic, wsadził rękę do lewej kieszeni spodni. Chwilę później wcisnął przycisk uruchamiający lokalizator.

– Zrobimy to zgodnie z moimi zasadami. Jeśli złamiesz którąkolwiek z nich, to się rozłączę i zapadnę pod ziemię. Obiecuję ci jednak, że zanim wyjadę, zrobię takie rzeczy, przy których moje ostatnie dokonania będą ci się wydawały zaledwie przedszkolnymi zabawami. Rozumiemy się?

Robert wiedział, że nie ma żadnego wyboru.

– Sam to zaproponowałeś, Robert.

– Tak, rozumiemy się. Twoje zasady.

– W porządku – zaczął Folter po umyślnej przerwie. – Słuchaj uważnie. Pierwsza zasada: pod żadnym pozorem się nie rozłączasz. Cały czas trzymasz komórkę przy uchu, aż do naszego spotkania. Nie ma wyjątków.

– Bateria wytrzyma? – spytał detektyw.

Morderca parsknął śmiechem.

– To telefon z 1998 roku. Wtedy baterie starczały na cały tydzień, pamiętasz? Tak że spokojnie, wytrzyma. Druga zasada: ja wydaję polecenia, ty je wykonujesz. Bez pytania. Bez spierania się. Zasada trzecia: jeśli nabiorę chociaż cienia podejrzenia, że ktoś cię śledzi, przerywam rozmowę i sam dobrze wiesz, co potem się stanie, jasne?

Hunter zobaczył na końcu ulicy szesnastoletniego chłopaka z komórką przy uchu. To nie mógł być Lucien. Nie ma szans.

– Tak. Wiem.

– Dobrze. Jesteś gotowy?

Nie, nie był gotowy, ale nie miał wyboru.

– Bardziej gotowy raczej nie będę.

– W takim razie zaczynamy zabawę, Świerszczu. Gdzie masz odznakę? Przy pasku?

Detektyw zerknął w dół.

– Tak.

– Odepnij ją i schowaj do kieszeni kurtki. Już.

Robert spełnił jego żądanie.

– Gdzie masz portfel?

Hunter zmarszczył brwi.

– W kieszeni.

– Spodni czy kurtki?

– Kurtki.

– Lewą ręką wyciągnij go powolutku... tak, widzę cię: czarna kurtka, czarne spodnie, granatowa koszulka. Stoisz na West 1st Street na wprost wejścia do komendy, rozglądasz się dookoła, jakbyś mógł mnie rozpoznać.

Detektyw poczuł w gardle dławiącą kulę. Odruchowo rozejrzał się po raz kolejny, co wywołało atak śmiechu Luciena.

– Daj spokój. Przecież wiesz, że mógłbyś mnie rozpoznać tylko wtedy, gdybym sam tego chciał.

To prawda.

– Portfel. Wyjmij go powoli.

Robert spełnił polecenie i uniósł portfel nad głowę.

– Teraz go otwórz i wyjmij całą gotówkę. Przyda ci się. Ale tylko banknoty. Żadnych monet czy klipsów na pieniądze. Każdy banknot trzymaj w górze.

Hunter zmarszczył brwi, ale zrobił wszystko zgodnie z instrukcjami.

– Schowaj forszę do kieszeni spodni.



- Co jest, brakuje ci kasy? Potrzebujesz szybkiej pożyczki czy coś?
- Zobaczysz. Teraz schowaj portfel do kieszeni kurtki. Gdzie masz telefon?
- Też w kurtce.
- Wyciągnij go kciukiem i palcem wskazującym. Powolutku.

Detektyw sięgnął do kieszeni, po czym uniósł komórkę nad głowę.

- Dobrze. Schowaj ją tam, gdzie była. A teraz może się tego wszystkiego pozbędziemy? Kurtki, telefonu i broni. Zakładam, że masz też kaburę? Pozbądź się jej.

Musiał przełożyć telefon do drugiej ręki, żeby to zrobić.

- Zapasową broń też wywal – rozkazał Lucien.
- Nie mam zapasowej.
- Mam w to uwierzyć?
- Naprawdę. – Uniósł obie ręce wysoko i powoli się obrócił.

Kobieta idąca za rękę z ośmioletnią córką zmarszczyła brwi na widok wariata kręcącego na chodniku piruety z rękami w powietrzu. Przeszła na drugą stronę ulicy, żeby nie musieć się z nim mijać.

- Kabura na kostce? – spytał Folter.

Hunter uniósł obie nogawki, aby pokazać, że nie ma broni.

- Gliniarz bez zapasowej giwery. Wiem, że daleko ci do bycia idiotą, a to oznacza, że jesteś bardzo pewny siebie.

Robert uznał, że taki komentarz z ust Luciena to niezwykła ironia losu.

- Dobra, teraz pozbądźmy się kurtki i kabury. Rzuć je na ziemię.

Detektyw pokręcił głową.

- Nie mogę zostawić broni na ziemi.
- Lepiej rób, co mówię, albo koniec rozmowy.
- Nie na ziemi, jakiś dzieciak ją weźmie. – Spojrzał za siebie. – Położę pistolet na dachu radiowozu na parkingu. W ten sposób znajdzie go policjant, a nie cywil.

Cisza.

- Daj spokój, Lucien, przecież to nie jest żadna sztuczka.
- W porządku – zgodził się w końcu morderca. – Po prostu się tego pozbądź.

Hunter owinął kurtkę wokół kabury, poszedł na parking przed komendą i zostawił wszystko na dachu samochodu.

– Co teraz?

– Teraz wybierzesz się na przejażdżkę, ale nie swoim wozem. Zatrzymaj taksówkę.

Wreszcie Robert zrozumiał, dlaczego miał mieć pieniądze.

Na West 1st Street znalezienie taksówki zajęło mu raptem kilka sekund. Wsiadł do żółtej toyoty camry.

– Dobra, to gdzie jadę? – spytał detektyw.

Czterdziestoparoletni Jamajczyk zerknął na niego w lusterku wstecznym.

– Mie pytasz, chowie?

Hunter w odpowiedzi wskazał na telefon trzymany przy uchu.

– A, kumam. – Kierowca parsknął śmiechem. – Chowie, ta komórka to truuup.

Robert puścił ten komentarz mimo uszu.

– Gdzie mam jechać, Lucien?

– Hmm, pomyślmy... Może do... Echo Park. Lubię to miejsce.

Echo Park to gęsto zaludniona dzielnica, położona koło jeziora o tej samej nazwie. Znajdowała się na północ od centrum LA.

Detektyw pokiwał głową i podał kierunek taksówkarzowi.

– W jakieś konkretne miejsce, chowie?

Folter usłyszał to pytanie.

– Gdziekolwiek w tamtej okolicy. Dam ci nowe instrukcje, jak dojedziesz na miejsce.

Samochód ruszył w kierunku North Broadway.

Niecały kilometr dalej skręcili w prawo w Hollywood Freeway i skierowali się na północny zachód, w stronę Garcii.

## Osiemdziesiąt sześć

Carlos czekał w aucie na poboczu Hollywood Freeway, od taksówki, którą jechał Hunter, dzieliło go około trzech kilometrów. W skupieniu wpatrywał się w czerwoną kropkę przesuwaną się po mapie.

– Zbliży się do mnie.

– Czekaj tam – odparł West. – W razie czego pozwól im się wyminąć, nie musisz siedzieć im na ogonie. Mamy Roberta na radarze, więc go nie zgubimy. Trzymaj się jakieś piętnaście, dwadzieścia samochodów za nimi. Nie chcemy, żeby Lucien się zorientował. Spróbuj ustalić, jakim autem się poruszają.

– Postaram się. Peter, jak daleko jesteś? – zapytał agenta FBI. Wiedział, że Tyler nie dotrze na czas, aby mógł mu pomóc.

– Będę najwcześniej za trzydzieści pięć minut – odparł Holbrook.

Detektyw opadł na oparcie fotela i westchnął, po czym dalej wpatrywał się w ekran telefonu. Aplikacja pokazywała również odległość dzielącą go od lokalizatora. Obecnie wynosiła ona niecałe dwa kilometry.

Spojrzał przez tylną szybę. O tej porze ruch na Hollywood Freeway był największy. Zważywszy na obecną sytuację, to dobra wiadomość. Ponownie zerknął na wyświetlacz: czerwona kropka była półtora kilometra od niego.

Garcia czuł, że jego serce zaczyna bić szybciej i pocą mu się dłonie.

– Carlos, miej oczy otwarte. Spróbuj dojrzeć ich auto – powtórzył West.

– Pamiętam.

Tysiąc trzysta metrów.

– Mam cię, Robert. Mam cię – wyszeptał pod nosem.

Czerwona kropka skręciła w prawo i zjazdem 4A ruszyła w stronę Echo Park i Hollywood.

– Kurwa! – krzyknął detektyw.

– To było przed tobą? – zapytał Holbrook, który nie znał za dobrze ulic w Los Angeles.

– Tak – odparł detektyw, wsadzając komórkę w uchwyt na desce rozdzielczej. – Ponad osiemset metrów przede mną. Nie mogę zawrócić na autostradzie, ale pojedę zjazdem 5A do North Rampart Boulevard, a stamtąd na wschód w stronę Hollywood. Tam do nich dołączę.

Włączył syreny i ruszył przed siebie, po niecałych dwóch minutach dotarł do zjazdu.

Czerwona kropka przemieszczała się na północ Echo Park Avenue, aż dotarła do Sunset Boulevard. Tam skręciła w lewo.

– Gdzie ty jedziesz, pojebusie? – wymamrotał przez zaciśnięte zęby Carlos. – Gdzie ty jedziesz?

## Osiemdziesiąt siedem

Słońce chyliło się nad horyzontem, kiedy taksówka wjechała na Hollywood Freeway. Cztery pasy były praktycznie całkowicie zapchane samochodami.

– Sorki, chowie – rzucił kierowca, wzruszając ramionami. – Mogłem wybrać North Beaudry Avenue. Autostrada jest o tej porze zakłopsowana. Śpieszy ci się?

– Śpieszy mi się? – Hunter powtórzył jego pytanie Lucienowi.

– Niezbyt. Powiedz taksiarzowi, że może jechać, jak tylko chce. W końcu ty płacisz.

– Nie, nie ma pośpiechu – oznajmił detektyw.

– Zjazd 4A jest tuż przed nami, chowie. Zара się wydostaniemy z tego bajzlu.

– W porządku.

– Nie siedź tak cicho, Świerszczu – zaczął Folter. – Mów coś, żebym wiedział, że nic nie knujesz.

– A co mam knuć? Siedzę w taksówce. Nie mam telefonu... nie mam broni... co niby mógłbym zrobić?

Kierowca usłyszał słowo „broń” i natychmiast zerknął nerwowo na swojego pasażera.

– Zawsze byłeś sprytny i pomysłowy. Nie zamierzam ryzykować – ciągnął morderca.

– Dałem ci słowo, prawda?

– Wybacz, ale nie ufam ci w stu procentach, Świerszczu.

– Dobra. To co mam mówić?

– Zastanówmy się... – Lucien przerwał na chwilę, jakby naprawdę się zastanawiał. – O, już wiem. Powtarzaj za mną... gotowy?

Hunter czekał.

– *You are my fire.*

– Słucham?

– Powtarzaj. *You... are... my... fire.*

Robert pokręcił głową i spełnił polecenie.

– *My one desire.*

– *My one desire.*

Taksówkarz po raz kolejny spojrział na niego w lusterku. Miał bardzo dziwną minę.

– *Believe me when I say.*

– *Believe me...* – Detektyw zamilkł. Zrobił jeszcze dziwniejszą minę niż kierowca. – To jest tekst piosenki Backstreet Boys?

Lucien zaczął rechotać, zupełnie jakby usłyszał wyborny żart.

– Nie tak łatwo cię oszukać, co, Świerszczu?

Jamajczyk pokręcił głową i skierował całą uwagę na drogę.

– Pamiętasz Ducha? On zastrzelił twoją koleżankę z FBI, kiedy ostatni raz się spotkaliśmy.

Do Huntera powróciły nagle wspomnienia z tamtego koszmarnego dnia. Poczuli się, jakby ktoś przywalił mu z zaskoczenia w żołądek. Cała scena rozegrała się powoli przed jego oczami.

– Tak – potwierdził z powagą. – Pamiętam Ducha.

– To była jego ulubiona piosenka – wyjaśnił ze śmiechem Folter. – Skoro ją znasz, to możesz mi ją zaśpiewać. Dawaj, liczę na ciebie.

– Nie znam jej – odparował Robert.

Taksówka zjechała z autostrady.

– Dobra, już wiem, co możesz dla mnie zrobić – powiedział morderca po kilku sekundach ciszy. – Kiedyś czytałeś wręcz fanatycznie. To się nie zmieniło przez te wszystkie lata, prawda?

– Nie, nie zmieniło się, nadal czytam.

– W czasach studenckich znałeś większość wierszy Edgara Allana Poeego na pamięć.

– Znam na pamięć wszystkie jego wiersze.

– To prawda. Powiedziałeś mi, że zacząłeś je czytać, żeby odpędzić myśli o śmierci matki, mam rację?

Detektyw milczał. Wyrzwał przez okno. W samochodzie obok siedziały dwie osoby: trzydziestoparoletnia brunetka z krótkimi włosami i mały chłopiec. Wyglądał na siedem, osiem lat, całą uwagę skupiał na przenośnej konsoli do gier, którą trzymał w dłoniach.

– Założę się, że ta makabryczna poezja świetnie działa na laski, co? – rzucił Lucien, po czym znów wybuchnął śmiechem.

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Chłopiec z samochodu obok podniósł głowę i zerknął w prawo. Popatrzył na Huntera i uśmiechnął się do niego niewinnie, a następnie nieśmiało mu pomachał.

Robert odwzajemnił gest.

– Czyli problem rozwiązany – oznajmił nagle morderca. – Skoro nie chcesz śpiewać, to będziesz recytować wiersze. Może zaczniemy od *Kruka*. To chyba jego najbardziej znane dzieło?

Detektyw nadal milczał.

– Dalej, Świerszczu. Zamieniam się w słuch.

Hunter zauważył wzrok kierowcy i w odpowiedzi uniósł brwi, jakby chciał rzec: „Co mogę na to poradzić?”. Po chwili zaczął recytować poemat zatytułowany *Kruk*.

## Osiemdziesiąt osiem

Lucien siedział za kierownicą swojego vana dwanaście samochodów za taksówką Roberta – widział, jak przejechała zjazdem 4A w kierunku Echo Park i Hollywood. Ten manewr wydłużył podróż o co najmniej dziesięć minut, zastanawiał się więc, czy nie powiedzieć tego Hunterowi, ale uznał, że lepiej nie zdradzać swojego położenia tak łatwo. Nie śpieszyło mu się. Poza kilkoma drobnymi poprawkami wszystko już miał przygotowane. Dotarcie na miejsce trochę później albo trochę wcześniej w żaden sposób nie wpłynie na realizację projektu.

Ostatnie cztery dni spędził na upewnianiu się, że każdy najdrobniejszy szczegół jego skomplikowanego planu zadziała idealnie. Całość sprawdził kilka razy, zanim uznał, że nadeszła pora na działanie.

– Pewnego dnia wszystko musi się skończyć – powiedział do siebie, kiedy projekt nabrał w jego myślach kształtu. – Wszystko... nieważne, jak istotne czy dobre się wydaje. Zawsze to wiedziałeś. Od dnia, gdy rozpoczęłeś swoje badania... Od dnia, gdy postanowiłeś wkroczyć na tę ścieżkę... wiedziałeś, że kiedyś to się skończy.

Był doskonale przygotowany. Przeanalizował mnóstwo różnych scenariuszy i możliwości, jakie mogą się pojawić podczas realizacji planu. Do tej pory wszystko szło tak, jak przewidział.

Pamiętał dokładnie, że kiedy zadzwonił do Roberta i spytał o rozwiązanie zagadki, ten błagał go, aby nie używał C4 i zaproponował spotkanie twarzą w twarz.

„Chcesz wyrównać rachunki, proszę bardzo... ty i ja... nie musimy w to nikogo mieszać. Powiesz, gdzie i kiedy, a ja tam pójde. Bez wsparcia. Bez żadnych sztuczek. Masz moje słowo”.

Zakładał, że jego przeciwnik znowu spróbuje tego samego – spotkania, podczas którego zakończą grę.



Lucien nigdy nie brał niczego za pewnik, a już szczególnie w przypadku kogoś takiego jak Robert Hunter. Przez cztery lata studiów byli najlepszymi przyjaciółmi, praktycznie nierozłącznymi. Od tamtego czasu minęło wiele lat, ale Folter znał naturę dawnego przyjaciela. Rozumiał jego zasady i wyznawane wartości. Takie rzeczy rzadko ulegają zmianie, dlatego Lucien liczył na ponowienie oferty.

Robert go nie rozczarował, jednak w jego głosie pojawiło się wtedy coś dziwnego – prawdziwy smutek płynący z głębi. Smutek, który sugerował, że detektyw się poddał i zaakceptował swój los.

*Istotnie, pewnego dnia wszystko musi się skończyć.*

## Osiemdziesiąt dziewięć

– Powiedz kierowcy, żeby minął Echo Park – polecił Hunterowi Lucien, przerywając mu recytację wiersza. – Niech dojedzie do Sunset Boulevard.

Robert poczuł, że włoski na karku stają mu dęba. Spojrzał w lewo i zobaczył, że właśnie dotarli do parku. Natychmiast obejrzał się za siebie. Morderca musiał jechać za nimi, w żaden inny sposób nie mógłby znać ich położenia.

Jego starania były jednak bezowocne.

Bardzo duży ruch powodował, że widział jedynie kierowcę auta znajdującego się bezpośrednio za nimi – mercedesa, w którym siedziała sześćdziesięcioparoletnia kobieta. Wychylił się zatem w lewo, próbując spojrzeć dalej.

Nic to nie dało.

– Wszystko gra, chowie? – spytał taksówkarz, widząc jego nerwowe zachowanie.

– Tak, wszystko w porządku – odparł Hunter, patrząc znowu przed siebie. – Możemy pojechać na Sunset Boulevard?

– Jasna sprawa.

## Dziewięćdziesiąt

Gdy Garcii udało się w końcu zjechać z autostrady, czerwona kropka na wyświetlaczu jego telefonu minęła już Echo Park i skierowała się w stronę Sunset Boulevard. Zepsuta ciężarówka stojąca na zewnętrznym pasie mocno go spowolniła, mimo włączonej syreny.

– Jak ci idzie, Peter? – zapytał Holbrooka po poinformowaniu wszystkich o swoich kłopotach.

– Zbliżam się do nich, ale jest ciężko. Dogonię ich najwcześniej za trzydzieści minut.

Detektyw ścisnął kierownicę tak mocno, że pobiełały mu kłykcie. Znajdował się najbliżej, ale nawet jakby miał pustą drogę, to i tak przejazd zająłby mu jakieś osiemnaście do dwudziestu minut. Jeśli życie partnera zależało od tego, jak szybko do niego dotrze – a miał pewność, że tak właśnie jest – bardzo źle to wróżyło.

– Myślicie, że powinniśmy wysłać kilka radiowozów? Nadal jesteśmy daleko, a ja mam złe przeczucia.

– Nie możemy – odparł West.

– Dlaczego? – dociekał Carlos, trąbiąc jednocześnie na żółtego mustanga, którego kierowca zdawał się nie zauważać migających za nim niebiesko-czerwonych świateł.

Udało się, blokujący samochód zjechał na bok.

– Bo nie mamy potwierdzenia, że Robert jest z Lucieniem. Możliwe, że nie jadą tym samym samochodem.

Garcia zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tym.

– Co, jeśli morderca daje mu instrukcje przez telefon albo coś w tym stylu? Wiemy chociaż, czy Hunter jest w swoim własnym aucie?

Detektyw tak się przejął faktem, że przyjaciel włączył swój lokalizator, że nawet o tym nie pomyślał.

– Nie wiemy. Ale mogę się dow...

Przerwał mu sygnał połączenia. To była kapitan Blake.

– Poczekaj, szefowa dzwoni – powiedział, po czym odebrał telefon.

– Carlos, co tam się, do cholery, dzieje? – Sprawiała wrażenie bardziej zaniepokojonej niż wściekłej. – Robert jest z tobą? Jeden z funkcjonariuszy właśnie znalazł jego kurtkę, komórkę, kluczyki, portfel, odznakę i pistolet, leżące na dachu radiowozu pod komendą. Co jest grane?

Szybko wyjaśnił jej sytuację, po czym dołączył ją do telekonferencji.

Ona również zaproponowała zaraz wysłanie dodatkowych jednostek, żeby przechwyciły namierzany pojazd.

West dał jej tę samą odpowiedź.

– Wiemy, że on nie jedzie swoim samochodem, co oznacza, że Lucien go dorwał – odparła Barbara.

– Niekoniecznie – skontrował Tyler. – Możliwe, że zmusił go, aby prowadził jakieś inne auto i jechał zgodnie z instrukcjami. Może nawet siedzieć w taksówce albo radiowozie. Sprawdziliście wszystkie wozy policyjne?

Milczenie stanowiło wyraźną odpowiedź.

– Nie wykluczajmy też, że Folter zorganizował kogoś z zewnątrz: wysłał samochód z szoferem albo taryfę po Huntera. Jest zbyt wiele różnych scenariuszy, w których oni nie jadą tym samym pojazdem albo nawet nie są blisko siebie. Nie możemy ryzykować. Nie teraz.

Przerwał na chwilę i odetchnął.

– Pani kapitan, niech mnie pani posłucha – zaczął współczująco. – Wiem, że pani i Carlos jesteście znacznie bliżej z Robertem niż ja czy Peter. Dlatego rozumiem pani niepokój. To prawda, jest teraz w ogromnym niebezpieczeństwie, ale to szef jednostki SO. Ryzykuje życie zawsze, kiedy wstaje z łóżka i idzie do pracy. Jak my wszyscy. Taki mamy zawód, składaliśmy przysięgę, aby służyć i chronić.

Nie mogli się sprzeczać z tą argumentacją.

– Od ucieczki Luciena przed osiemnastoma dniami dążyliśmy do tej właśnie chwili: chwili, kiedy uda nam się jakoś do niego zbliżyć. Jak powiedział wcześniej Robert, on jest jak duch. Gdyby nie zdecydował się skontaktować z Hunterem... Gdyby nie chciał się na nim zemścić, pewnie nigdy byśmy nie mieli szansy go

złapać. Pierwszy raz trafiła nam się taka możliwość i jeśli ją zmarnujemy... coś mi mówi, że następna się nie pojawi.

Po wyprzedzeniu żółtego mustanga Garcia zaczął robić zdecydowane postępy, ale nadal pozostawało mu ze dwanaście minut do nadrobienia.

Na ekranie telefonu zobaczył, że czerwona kropka skręciła w lewo w Sunset Boulevard, a następnie ponownie w lewo w Lemoyne Street. Kiedy dotarła do Park Avenue, przestała się poruszać.

– Zatrzymali się – ogłosił detektyw. – Lokalizator się zatrzymał.

– Gdzie? – zapytała Barbara. Tylko ona nie miała zainstalowanej aplikacji namierzającej. – Gdzie on jest?

– Przy północnym wejściu do Echo Park. Koło jeziora. Na parkingu.

Wszyscy zamilkli.

– Chwileczkę – rzucił Holbrook. – Znowu się rusza... w stronę zarośniętego terenu. Idzie pieszo.

Carlos spoglądał to na drogę, to na komórkę, zupełnie jakby śledził najszybszy mecz tenisa w historii.

– Peter ma rację – powiedział po chwili. – Idzie przez trawę w kierunku jeziora.

Ponownie skierował uwagę na drogę. Wyminął gwałtownie motocykl i wcisnął gaz do dechy.

Od celu dzieliło go jeszcze jakieś dziesięć minut.

## Dziewięćdziesiąt jeden

– Powiedz kierowcy, żeby skręcił w lewo w Lemoyne Street – poinstruował Huntera Lucien. Detektyw miał właśnie zacząć recytować kolejny wiersz. Przejechali Sunset Boulevard jedynie dwie przecznice.

Spełnił polecenie i znowu spojrzął za siebie, próbując wypatrzeć Foltera, ale ruch nadal był zbyt duży.

– Na końcu tej ulicy, jak miniesz Park Avenue, jest parking przy Echo Park. Powiedz mu, żeby tam się zatrzymał – ciągnął morderca.

Niecałą minutę później taksówka dotarła na miejsce.

– Zapłać mu i wysiadaj – rozkazał Lucien. Robert posłuchał.

– Chcesz się spotkać w parku?

– Zobaczysz.

Detektyw obrócił się w kierunku wjazdu na parking, ale nie zauważył żadnego samochodu. Próbował dojrzeć coś na ulicy, lecz odległość i brak światła stanowiły pewien problem: widział poruszające się auta, ale nie miał żadnych szans, żeby rozpoznać któregokolwiek kierowcę.

– Teraz idź w stronę jeziora. Widać je z parkingu, będzie po twojej lewej.

Robert ruszył przez trawę na południowy wschód.

– Dobrze znam ten park – oznajmił, minawszy starszego mężczyznę z psem. – Możesz mi po prostu powiedzieć, gdzie mamy się spotkać, a ja tam trafię. Nie musisz prowadzić mnie za rękę.

– Och, czyżby nudził cię mój głos? Tak szybko? Mogę użyć innego, jeśli chcesz. Ten bardziej ci się podoba?

Ot tak, jego głos całkowicie się zmienił. W ułamku sekundy stał się o pół oktawy wyższy, pojawił się w nim też silny rosyjski akcent.

– Tak lepiej?

Hunter wzruszył ramionami.

– Jak wolisz.

Folter zaczął znów mówić normalnie.

– Jeśli nadal będziesz się kierował na południowy wschód, po chwili dojdiesz do krańca Echo Park Lake. To jedyny fragment jeziora, który ma wyspę.

– OK, i...?

– Na tej wyspie jest kilka drzew.

– Tak, wiem. – Widział je dokładnie przed sobą. Po pięciu krokach doszedł do brzegu jeziora. Stał na wprost wyspy. – Chyba mi nie powiesz, że siedzisz za jednym z nich?

Morderca parsknął śmiechem.

– To byłby dobry numer, co?

– W rzeczy samej.

Detektyw się rozejrzył. Mimo późnej pory park pozostawał otwarty i w okolicy kręcili się ludzie: niektórzy biegali, inni wyprowadzali psy, jeszcze inni po prostu spędzali wieczór wśród zieleni. Nigdzie nie dostrzegł Luciena.

– Co z tą wyspą? – zapytał.

– Zostawiłem ci prezent za jednym z tych drzew.

Słowo „prezent” zabrzmiało zbyt złowrogo jak na jego gust.

– Co masz na myśli?

– Zobaczysz. Musisz tam dotrzeć, ale jest jeden haczyk. Jak pewnie zauważyłeś, mostek prowadzący na nią jest zamknięty.

Hunter spojrzał w prawo: rzeczywiście, wejście na mostek zostało zablokowane. Stał przed nim znak „UWAGA Prace remontowe. Nie przechodzić”. Zerknął na wodę. Musiałby przepłynąć jakieś dziesięć metrów, a jezioro miało tutaj co najmniej dwa metry głębokości.

– Mam tam popłynąć?

– Taki jest plan, Świerszczu, ale najpierw musisz się rozebrać.

– Słucham?

– Moje zasady, pamiętasz? Masz dotrzeć na wyspę, ale ubrania zostają na brzegu. Nie zapominaj, proszę, że ja ciebie widzę, chociaż ty nie widzisz mnie. Jeden niespodziewany ruch i kończymy zabawę.

Robert doskonale wiedział, dlaczego Folter kazał mu się rozebrać: musiał się upewnić, że nie ma przy sobie żadnej elektroniki, żadnych mikrofonów, kamer czy lokalizatorów.

Rozejrzał się jeszcze raz. W okolicy było dość ludzi, żeby ktoś go zauważył.

– Mam wejść do wody nagi?

– To jakiś problem? Zresztą nie martw się, jestem pewny, że nie ma za wiele do oglądania.

– Zaraz ktoś mnie aresztuje.

– Dla twojego dobra miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. A teraz zdejmuj ciuchy i wrzucaj je do jeziora. Wszystko: koszulę, spodnie, gacie, buty i skarpety. Nie zostawiaj niczego na brzegu, jasne?

– A telefon?

– Do wody.

Na twarzy detektywa pojawił się wyraz zdumienia.

– To jak będziemy się komunikować?

– Zaufaj mi, Świerszczu. A teraz wrzucaj rzeczy i upewnij się, że zatoną. Jeśli za trzydzieści sekund nie dotrzesz do prezentu, który ci zostawiłem na wyspie, koniec zabawy. Zrozumiałeś?

– Jesteś popieprzony. Ale tak, zrozumiałem.

– No to do dzieła.

Na oczach kilku zszokowanych osób Robert rozebrał się do naga i wszedł do wody. Zawinął ubrania wokół butów i telefonu, a następnie upewnił się, że całość zatonęła. Potem popłynął na niewielką wyspę.



## Dziewięćdziesiąt dwa

Garcia przeciął Silver Lake, zmierzając na wschód w stronę Echo Park. Czerwona kropka poruszała się teraz w ślimaczym tempie, więc zaczął wyraźnie nadrabiać straty, ale i tak niewystarczająco szybko.

– Znowu się zatrzymał – ogłosił Holbrook. – Tuż przy północno-wschodnim krańcu jeziora Echo Park.

Detektyw zerknął na telefon.

– Co on tam, do cholery, robi?

– Wygląda na to, że podziwia widok. Albo z kimś rozmawia – odparł West.

– Z Lucieniem? – spytała Barbara.

– Być może. Ale jeśli tak, to Folter wybrał bardzo uczęszczane miejsce. Carlos, jak daleko jesteś?

– Siedem minut... może trochę mniej.

– Wysoki priorytet, kod drugi – ostrzegł Peter. – Żadnych syren, żadnych kogutów. Bądź niezwykle ostrożny. Nie możemy zdradzić, że Robert jest śledzony. Lokalizator się zatrzymał, ale nie wiemy, co tam się dzieje. Jak powiedział Tyler, możliwe, że po prostu Hunter stoi i czeka albo z kimś rozmawia. Musimy to zweryfikować, aby ustalić plan działania.

*Czy im się wydaje, że ja to robię po raz pierwszy?*, pomyślał detektyw, jednak zatrzymał tę uwagę dla siebie.

– Rozumiem – powiedział.

Kiedy wjechał na Glendale Boulevard, wyłączył policyjne światła. Piętnaście sekund później skręcił w Park Avenue. Po kolejnych pięciu zatrzymał się na tym samym parkingu, na którym wcześniej był Hunter.

– Dotarłem – oznajmił wszystkim, po czym wysiadł z samochodu.

– Robert się nie ruszył. Jest dalej na brzegu – poinformował ich West.

– Tak, widzę – potwierdził Carlos, spojrzawszy na aplikację.

Zrobił głęboki wdech, aby się uspokoić, i powoli ruszył w kierunku jeziora, zupełnie jakby był zwyczajnym wieczornym spacerowiczem. Przeszedł kilkanaście kroków i zatrzymał się niedaleko młodej pary, palącej skręta.

– Co się dzieje? – zapytała kapitan Blake.

– Nie widzę go – odparł detektyw, patrząc przed siebie. Czerwona kropka na wyświetlaczu komórki nadal migąca, wskazując miejsce oddalone zaledwie kilka metrów od niego. Rozejrzył się dookoła. Nadal ani śladu Huntera.

– Co masz na myśli, mówiąc, że go nie widzisz? Jest za jakimś drzewem czy coś? – dopytywał Tyler.

– Nie rosną tutaj żadne drzewa. W ogóle nic, co by go mogło zasłonić. Wyraźnie widzę brzeg i jezioro, ale nikogo tu nie ma. – Podeszedł kilka kroków bliżej.

– Co się dzieje? – powtórzyła nerwowo Barbara.

– Chwileczkę – rzucił detektyw i szybko wrócił do palącej dwójki.

– Przepraszam, widzieliście może wysokiego, mocno zbudowanego faceta, stojącego przed chwilą na brzegu?

– Nagiego, przypakowanego kolesia? – spytała z uśmiechem kobieta. Narkotyk sprawił, że mówiła rozwlekle. – Taa, ten typ stał tam z gołą dupą. – Wskazała ręką kierunek. – Potem wskoczył do wody i popłynął na wyspę.

– Wskoczył nago do wody i popłynął na wyspę? – powtórzył za nią zaskoczony Garcia.

– Dokładnie tak – potwierdziła. – Musiał mieć niezłą jazdę. Ale napakowany był konkretnie. Chcesz bucha? – Wyciągnęła w jego kierunku jointa. – To dobry towar.

– Nie, dzięki. Przyplłynął tutaj z powrotem?

– Nie widzieliśmy, żeby wracał.

Carlos podziękował i się oddalił.

– Wskoczył nagi do jeziora i popłynął na wyspę – poinformował wszystkich przez telefon.

– Co zrobił? – zapytali jednocześnie Peter, Tyler i Barbara.

– Rozmawiałem właśnie z ludźmi, którzy siedzieli na ławce tuż obok. Powiedzieli, że zobaczyli faceta pasującego do opisu Roberta, który rozebrał się do gołego tyłka, wszedł do wody i udał się na wysepkę.

– Popłynął? Czemu nie przeszedł przez most?

– Remontują go, nie można po nim iść – wytłumaczył Carlos.

– Co zrobił potem? Przyłynął z powrotem, udał się na drugą stronę, dalej siedzi na wyspie?

– Nie wiem – odparł detektyw i ruszył szybko na brzeg. – Nie widzieli, żeby wracał. – Zaczął posuwać się wzdłuż brzegu, okrążając wysepkę. Miała dwadzieścia metrów szerokości i czterdzieści długości. Z powodu ciemności i drzew nie miał stuprocentowej pewności, ale nigdzie nie widział przyjaciela, także po drugiej stronie jeziora.

– Zniknął – oznajmił pozostałym. Czuł, jakby mu serce pękło. – Robert zniknął. Właśnie okrążyłem tę wyspę. Patrzyłem wszędzie. Nie ma po nim śladu.

– Ale sprawdziłeś na samej wyspie? – naciskała kapitan Blake. – Na ziemi, za drzewami. Może został ogłuszony albo... – pomyślała o czymś znacznie gorszym, ale nie powiedziała tego na głos.

– Nie ma go tutaj. – W jego gardle pojawiła się gęsia skórka, która niemalże go dławiła. – Zniknął. Straciliśmy go. Koniec gry.

## Dziewięćdziesiąt trzy

Hunter potrzebował kilku sekund, żeby dopłynąć na niewielką wyspę na północno-wschodnim krańcu Echo Park Lake. Woda była zimna, zatem kiedy podciągnął się na usiany drzewami i krzewami brzeg, poczuł na skórze wiatr, który zmroził go do szpiku kości. Drżąc na całym ciele, zaczął się panicznie rozglądać za pakunkiem, który Lucien miał tu dla niego zostawić.

– Czego, do ciężkiej cholery, mam tutaj szukać? – zapytał otaczającej go roślinności, która o dziwo odpowiedziała.

Gdy zrobił kilka pierwszych kroków, aby zajrzeć za krzak, usłyszał dzwonek telefonu. Zatrzymał się natychmiast i obejrzał za siebie. Może dźwięk dochodził z tamtego brzegu?

Dzwonek rozległ się ponownie, ale nie z tyłu, tylko z prawej strony. Nadal stał w bezruchu i próbował coś wypatrzeć w ciemnościach. Sygnał brzmiał identycznie, jak ten z poprzedniej komórki. Bez wątpienia dobiegał zza niskiego, liściastego drzewa.

Detektyw ruszył w tamtym kierunku.

Kolejny sygnał.

Brak światła mocno utrudniał sprawę, ale w końcu Robert znalazł telefon: samsung SCH-N300 leżał na nieprzemakalnej plastikowej torbie.

Sięgnął po niego.

– Lucien? – rzucił niespokojnie do słuchawki.

– Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz, Świerszczu. Jak tam woda? – zarechotał morderca.

Hunter otoczył się lewym ramieniem i zaczął pocierać dłonią tors, aby chociaż trochę się rozgrzać.

– Może zatem przejdziemy do drugiej fazy naszego spotkania, co? – ciągnął Folter. – Tym razem bez żadnych nadajników, mikrofonów, kamer czy czegokolwiek innego, co mogłeś ze sobą wziąć.

Detektyw milczał.

– W plastikowej torbie znajdziesz stary dres.

Robert wziął torbę do ręki. Ubranie było różowe.

– Są tam jeszcze klapki do kompletu. Jestem pewien, że ci się spodobają. Wszystko powinno pasować na ciebie idealnie.

Było mu tak zimno, że zamierzał rozerwać plastik i wyciągnąć ubranie, ale Lucien go powstrzymał.

– Musisz znowu popłynąć na brzeg, zatem nie radzę się jeszcze ubierać.

Wiatr przybrał na sile. Przemarznięty Hunter westchnął.

– Torba powinna ochronić ciuchy przed zamoknięciem, jeśli zamierzasz razem z nią wejść do wody. Możesz też przerzucić ją na drugą stronę. Jest jednak pewien haczyk: nie kieruj się teraz na zachód, skąd przybyłeś, tylko na wschód. Włazisz do jeziora i płyniesz. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

– Decyzję, co zrobić z torbą, zostawiam tobie, ale masz tylko dwadzieścia sekund. Czas... start.

Detektyw pognął między drzewami na wschodni brzeg. Odległość do lądu była praktycznie taka sama, jak po przeciwnej stronie – jakieś dziesięć metrów. Znacznie łatwiej byłoby przerzucić zawiniątko i dopiero potem wskoczyć do wody, obawiał się natomiast o telefon – mógł się zniszczyć przy upadku. Nawet jakby wsadził go w dres, i tak istniało ryzyko, że się roztrzaska.

Uznał, że lepiej nie kusić losu i nie wsadzać tam komórki. Chwycił mocno plastikową torbę i silnym rzutem posłał ją na ląd. Jego nowe ubrania bez problemu pokonały ten dystans i wpadły w trawę pięć metrów od wody.

Teraz musiał tylko przepłynąć na drugi brzeg, nie pozwalając zamoknąć telefonowi.

*Bułka z masłem*, pomyślał.

Jezioro miało tutaj około dwóch metrów głębokości. On mierzył dokładnie sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, zatem trzymając aparat w wyciągniętej nad taflą wody ręce, powinien przejść po dnie, nie uszkadzając aparatu. Cała reszta nie stanowiła problemu.

Tak też zrobił. Po dziewięciu sekundach stał już na drugim brzegu.

Kiedy wydostał się z wody, przejechały koło niego na rowerach dwie mniej więcej dwudziestoletnie kobiety. O mało nie wpadły przy tym na siebie.

– Jasna cholera, nie wiedziałam, że w jeziorze pływają striptizerzy. Kilka lat temu miałam takie życzenie, trochę potrwało, zanim się spełniło – powiedziała jedna z nich.

– Jeśli zmarześ, kotku, to ja cię mogę rozgrzać – krzyknęła druga, po czym obie parsknęły śmiechem.

– Dobra – rzucił do słuchawki detektyw, jednocześnie rozrywając plastikową torbę. – Co teraz?

– Teraz proponuję, żebyś się ubrał. W kieszeni spodni znajdziesz trochę kasy. Idź na Echo Park Avenue i zatrzymaj taksówkę. Potem dam ci następne instrukcje.

## Dziewięćdziesiąt cztery

Hunterowi udało się zatrzymać taksówkę dopiero za czwartym razem. W takim mieście jak Los Angeles facet w starym różowym dresie nie jest wymarzonym klientem. Za małe o jeden rozmiar klapki, udekorowane dużymi, różowymi różami, również nie za bardzo pomagały.

– Dokąd jedziemy? – zapytała trzydziestoletnia czarnoskóra kobieta, przyglądając się Robertowi ciekawie z fotela kierowcy.

Ten czekał, wiedząc, że Lucien musiał usłyszeć pytanie.

– Powiedz, żeby ruszyła w kierunku Altadeny.

Detektyw przekazał jej instrukcje.

– Wybiera się pan na jakieś przyjęcie? – indagowała, spoglądając na niego w lusterku wstecznym.

– Nie, niezupełnie.

Pokiwała głową.

– Czyli sam pan wybrał ten strój? – Pokręciła gwałtownie głową. – Ten dres jest sexy, naprawdę. A klapki... mmhm, mmhm. – Nie przestawała kręcić głową. – Mówię serio, mmhm.

– Nie miałem zbyt wielkiego wyboru – odparł Hunter.

– Lubię ją. Jest zabawna – rzucił Folter.

Lucien upewnił się już, że Robert nie ma żadnej elektroniki przy sobie, nikt go też nie śledził, zatem sam również nie musiał za nim jechać.

Samsung SCH-N300, który zostawił dla niego na wyspie, to jeden z pierwszych modeli, jakie wyposażono w system GPS. Folter szukał takiego egzemplarza przez kilka dni, ale opłacało się: teraz mógł obserwować pozycję detektywa na własnym smartfonie, a to dawało mu dużą przewagę. W końcu musiał dotrzeć do magazynu przynajmniej dziesięć minut przed nim.

– OK, na jakim wierszu wtedy skończyliśmy?

– Wierszu?

– Tak, Świerszczu, recytowałeś mi poezję Poego, nie pamiętasz? Bardzo mi się to podobało, a z pewnością zostało jeszcze kilka strof do wysłuchania.

Hunter nie miał wyboru, opadł na oparcie i zaczął deklamować wiersze.

Taksówka przejechała przez Glassell Park i Pasadenę, po czym skręciła w North Lake Avenue.

– Przepraszam, że przerywam tę bardzo niepokojącą telefoniczną serenadę, ale dojeżdżamy do Altadeny. Mam się zatrzymać w jakimś konkretnym miejscu?

Folter przekazał Robertowi instrukcje, które ten z kolei powtórzył kobiecie. Pięć minut później z wyraźną ulgą wysadziła go w odludnej części dzielnicy.

Morderca nie zamierzał ryzykować, zatem przez kilka kolejnych minut kazał detektywowi spacerować, cały czas trzymając go na linii, zanim skierował go do właściwego miejsca.

– Ostatnia działka po lewej, na końcu ulicy. Budynek przypominający hangar. W ogrodzeniu jest dziura, kilka metrów od bramy. Wejdiesz nią.

Mimo ciemności Hunter przyglądał się uważnie budowli. Był to bez wątpienia jakiś magazyn albo fabryka, zamknięte z powodu recesji. Wiele podobnych można było znaleźć rozsianych po całym mieście. Nie dziwiło go, że Lucien zdecydował się wykorzystać jeden z nich.

Robert postępował zgodnie z wytycznymi i szybko przedostał się na drugą stronę ogrodzenia. Następnie szedł po popękanych betonowych płytach, które niegdyś wiodły odwiedzających od bramy aż do wejścia budynku.

– Drzwi do magazynu są otwarte – oznajmił Folter. – Na uchwycie znajdziesz latarkę czołówkę. Polecam ją założyć i włączyć. W środku jest dość ciemno.

Detektyw bez trudu odnalazł latarkę i po raz kolejny zrobił to, co kazał mu morderca.

Wewnątrz unosił się bardzo dziwny zapach: mieszanka drewna, środków czyszczących, jakichś kwiatów i czegoś mocno nieświeżego.

Zatrzymał się kilka kroków od wejścia i rozejrzał dookoła. Brak okien i jakichkolwiek źródeł światła powodował, że wszędzie panowały nieprzeniknione ciemności. Wyjątek stanowił wąty blask bijący z latarki na jego czole, ale pozwalał mu on widzieć zaledwie trzy metry przestrzeni przed sobą. Praktycznie całą podłogę pokrywało potłuczone szkło.



– Patrz pod nogi, Świerszczu. Nie chcę, żebyś krwawił. Jeszcze nie teraz – powiedział Lucien.

Hunter bardzo powoli i ostrożnie ruszył przed siebie.

– Bardzo dobrze, idź naprzód. Niebawem dotrzesz do piętrowej konstrukcji. To dawne biuro. Po prawej stronie znajdziesz spiralne schody, które zaprowadzą cię na drugi poziom. Wejdź nimi. Drzwi są otwarte – instruował go morderca.

Detektyw wypełnił polecenia co do joty. Gdy przekroczył próg pomieszczenia na drugim piętrze, odkrył tylko kolejne ciemności i dziwne zapachy.

Tym razem jednak wyczuł w powietrzu coś jeszcze, co go zaniepokoiło. Zapach benzyny.

Przystanął tuż za progiem i rozejrzał się dookoła. Tutaj również podłogę pokrywała warstwa potłuczonego szkła.

– Nie zatrzymuj się, Świerszczu.

Robert odwrócił się, aby spojrzeć na wrota magazynu. Folter cały czas go obserwował.

– Jakim cudem...

Wtedy wreszcie zaczął wszystko rozumieć.

Od początku tej maskarady, jeszcze na parkingu przed komendą, Hunter nie miał w ogóle czasu, aby pomyśleć. Morderca cały czas mu to uniemożliwiał, zmuszał go, żeby deklamował wiersze z pamięci albo gnał z jednego miejsca do drugiego. Cały czas z telefonem przy uchu. Non stop miał mówić. Ale teraz, w kryjówce Foltera, mózg detektywa w końcu zaczął właściwie pracować.

To on zaproponował, żeby się spotkali, żeby to wszystko zakończyli... ale Lucien to przewidział. Dlatego podrzucił mu komórkę do kieszeni kurtki. Dlatego zadzwonił. Gdyby nie usłyszał propozycji spotkania, sam zapewne by ją rzucił. Jak inaczej mógłby wszystko przygotować? Drugi telefon, ubrania w plastikowej torbie na wyspie w parku, latarkę wiszącą na drzwiach magazynu... wszystko.

Z pewnością go obserwował od samego początku. Dokładnie wiedział, kiedy detektyw będzie sam. Zmusił go, aby natychmiast pojechał dalej, w ten sposób uniemożliwiając mu zaalarmowanie kogokolwiek.

*Cały czas robił ze mnie wała, pomyślał Robert i przeklął własną głupotę.*

– Na co czekasz, Świerszczu? – Głos Foltera przywrócił go do rzeczywistości. – Trochę za późno, żeby się wycofać, nie uważasz?

Hunter w końcu ruszył dalej. Z każdym krokiem słyszał chrzęst szkła pod nogami.

– Dobra, możesz się zatrzymać – oznajmił Folter po chwili.

Detektyw spełnił polecenie.

– Teraz zdejmij klapki i rzuć je w lewo.

Robert upewnił się, że nie porani stóp, po czym zrobił, co mu kazano.

– Telefonu już też nie będziesz potrzebował. – Tym razem głos mordercy nie dobiegł z głośnika komórki. Lucien musiał stać gdzieś przed nim.

Hunter szybko spojrzał w tamtą stronę.

Powoli w świetle latarki z ciemności zaczęła się wynurzać ludzka postać.

Zmrużył oczy, aby lepiej widzieć. Kiedy w końcu zobaczył osobę przed sobą, ogarnęły go silne wątpliwości.

– Witaj, Świerszczu. – Folter zamiast telefonu trzymał w dłoni pistolet.

Głos bez wątpienia należał do Luciena, ale mężczyzna w niczym nie przypominał go z wyglądu. Robert poczuł jednak ciarki z zupełnie innego powodu. Widział już tę osobę.

Niecałe dwie godziny wcześniej.

## Dziewięćdziesiąt pięć

Ciemności uniemożliwiły Hunterowi dostrzeżenie wszystkich szczegółów, ale skłamałby, mówiąc, że nie oczarowała go transformacja Foltera. Włosy, skóra, nos, oczy, usta, dłonie, rysy twarzy... wszystko należało do kogoś zupełnie innego. Tak jakby morderca odebrał komuś nie tylko wygląd, ale również tożsamość. Mężczyzna stojący dziesięć kroków od detektywa mógłby spokojnie usiąść tuż koło niego w restauracji, a ten i tak w życiu by się nie domyślił, z kim ma do czynienia.

Zresztą dokładnie tak się stało.

Robert potrzebował zaledwie trzech sekund, aby rozpoznać tę twarz. Wówczas niemal się zakrztusił.

Miał przed sobą czarnoskórego mężczyznę, który siedział przy sąsiednim stoliku, kiedy razem z Garcia jedli w Five Star Bar.

Lucien uśmiechnął się z dumą, widząc minę dawnego przyjaciela.

– I jak, „zardzewiałem” czy nie? – rzucił, po czym ustawił się profilem, aby ten mógł dalej podziwiać jego dzieło. – Fascynujące, co człowiek może osiągnąć, jeśli ma wystarczające umiejętności, nie uważasz?

Detektyw szukał w jego twarzy czegokolwiek, co przypominałoby Foltera.

Nic takiego nie znalazł.

– Tak, stary druhu, to naprawdę ja – powiedział morderca, po czym pochylił się nieco i włączył lampkę postawioną na drewnianej skrzyni. – Siedziałem sobie obok ciebie w barze.

Lewą ręką ściągnął z głowy perukę i upuścił ją na ziemię. Włosy zgolił do samej skóry. Następnie złapał koniuszek fałszywego nosa i oderwał go od swojej twarzy. To samo zrobił z ustami, uszami, podbródkiem i czołem.

– O rany, po kilku godzinach to potrafi się zrobić bardzo niewygodne – oznajmił, kiedy pozbył się reszty lateksu. Kilka razy zamknął i otworzył usta, aby rozruszać mięśnie szczęki.

Hunter obserwował, jak mężczyzna powoli przeistacza się na powrót w Foltera.

– Zanim wpadnie ci do głowy jakiś głupi pomysł, chciałbym ci przypomnieć, że dzieli nas dziesięć kroków. Cała podłoga wysypana jest tłuczonym szkłem, które zmasakruje twoje gołe stopy dokumentnie, sugeruję więc nie ruszać się z miejsca ani na milimetr.

Robert zerknął pod nogi. Ze wszystkich stron otaczały go ostre odłamki. Rzucenie się na mordercę definitywnie odpadało.

Lucien przyglądał się przez chwilę dawnemu przyjacielowi. Kiedy znowu się odezwał, z jego głosu zniknęła wesołość.

– Przez ostatnie trzy i pół roku czekałem z utęsknieniem na ten moment. Marzyłem o nim w każdej sekundzie, każdej minucie i każdej godzinie dnia. Moment, w którym staniemy twarzą w twarz.

– To zabawne, bo ja w ogóle o tobie nie myślałem – odparował Hunter.

Folter wzruszył ramionami.

– Nie dziwi mnie to.

Wyciągnął z kieszeni mokrą chusteczkę i zaczął zmywać nią makijaż z twarzy.

– A tak swoją drogą, co tam słyhać u tej uroczej damy, z którą się spotykasz? Rozmawiałeś z nią ostatnio? Nienawidzi cię już?

Detektyw zachował pokerową twarz. Nie da mu tej satysfakcji.

– Będę z tobą szczery – ciągnął morderca. – Mój plan początkowo nie wiązał się z jej rodzicami. Siedząc zamknięty w klatce wielkości szafy, obmyślałem zemstę na tobie. Nie miałem wtedy pojęcia, czy się z kimś spotykasz, czy nie. Miałem nadzieję, że tak, ale zbyt na to nie liczyłem. Od kiedy odebrałem ci Jessicę wraz z twoim nienarodzonym dzieckiem, z nikim się na poważnie nie związałeś, prawda?

Hunter musiał wykorzystać całą siłę woli, żeby nie pokazać po sobie żadnych emocji, kiedy padło imię jego dawnej narzeczonej.

– Właśnie dlatego nie zakładałem, że masz jakąś dziewczynę. Tak, chciałem jeszcze raz odebrać ci kogoś bliskiego – tłumaczył Lucien. – Kogoś, na kim ci zależy. Może partnera z policji albo przyjaciela... Nie wiedziałem do końca, na kogo padnie. To był szczegół, który należało ustalić, jak już dotrę do Los Angeles. Wyobraź sobie zatem moje zaskoczenie, kiedy pierwszej nocy w mieście zobaczyłem Tracy.

Przerwał na chwilę i sięgnął po drugą chusteczkę, kontynuując zmywanie makijażu.

– Namierzenie twojego adresu po numerze telefonu nie stanowiło dużego problemu. Owszem, miałem pewną pomoc, ale tutaj tego typu usługę można zrealizować na każdym rogu, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Detektyw wiedział, że tak jest.

– Zatem owej nocy, kiedy już dostałem twój adres, stałem sobie pod twoim blokiem i myślałem. Widziałem, jak przyjechałeś, a po paru minutach pojawiłeś się w oknie. Zastanawiałem się, jak długo będę musiał cię śledzić, aby odkryć, kogo zabić. Czyja śmierć sprawi ci ból. I nagle zupełnie znikąd pojawiła się ta ruda ślicznotka i stanęła przy latarni. – Morderca się zaśmiał. – Nawet w najśmielszych snach bym nie podejrzewał, że może cię coś łączyć z kimś takim. Jej uroda od razu przykuła moją uwagę. Muszę ci przyznać, Robert, że ona jest absolutnie oszałamiająca.

Hunter czuł, że zaschło mu w ustach, ale zachował kamienną twarz.

– Widziałem, jak wyciąga telefon i gdzieś dzwoni, cały czas wpatrując się w twój blok. Podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem i *voilà*, ty stoisz w oknie i odbierasz telefon. – Zaśmiał się jeszcze raz, z zadowoleniem. – Resztę sobie możesz wyobrazić, prawda?

Robert nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Przyszło mi do głowy, żeby ją zabić – przyznał Folter. – Jednak coś takiego zrobiłem już kiedyś z Jessicą, a jednym z założeń moich badań jest ciągłe próbowanie czegoś nowego, innych metod. – Wzruszył bez troski ramionami. – Tym razem to miała być po prostu zemsta, a nie moje naukowe eksperymenty, ale uznałem, że właściwie warto połączyć przyjemne z pożytecznym.

Wreszcie skończył zmywać makijaż z twarzy.

– Od początku planowałem wprowadzić element poczucia winy do twojego życia. Winy, która zacznie cię zżerać od środka, której nigdy się nie pozbędziesz, która będzie ci towarzyszyć do samej śmierci. Śledziłem więc Tracy przez kilka wieczorów. Jednego z nich odwiedziła swoich rodziców w Downey, właśnie wtedy narodził się ten ciekawy pomysł. Wystarczyło tylko wszystko przemyśleć i wprowadzić w życie.

Lucien uniósł dłoń w geście oznaczającym częściową kapitulację.

– Przyznaję, nie miałem pojęcia, że tamtego dnia umówiliście się na kolację. To szczęśliwe zrzędzenie losu.

Detektyw spojrział na pistolet w dłoni mordercy. Zdawało się, że trzyma go dość beztrąsko.

– Gdybyś miał taką możliwość, oddałbyś swoje życie w zamian za ich, prawda? – zapytał Folter.

Robert nie odpowiedział. Nie musiał.

– Ależ oczywiście, że byś to zrobił. Zawsze miałeś takie wielkie serce. Problem z wielkimi sercami polega na tym, że można je złamać na jeszcze więcej kawałków. Nie nauczyłeś się tego do tej pory?

Mimo późnej godziny temperatura w pomieszczeniu wynosiła ponad dwadzieścia stopni. Huntera zastanawiało, czemu Lucien ma na sobie taki ciężki płaszcz.

– A teraz pozwól, że spytam o coś innego – ciągnął morderca. – Załóżmy, że jest pewien sposób, abyś mnie powstrzymał, naprawdę zakończył to wszystko... ale sęk w tym, że musiałbyś przy tym zginąć. Zrobiłbyś to? Poświęciłbyś własne życie, żeby mnie powstrzymać raz na zawsze?

– Tak – odparł bez wahania detektyw, z absolutną pewnością w głosie.

– Naprawdę? – dociekał Folter, kiwając głową. – Zrobiłbyś to, bo rzeczywiście chcesz, żebym przestał zabijać, czy nie możesz już dłużej żyć z poczuciem winy, które cię dręczy, bo nie rozwiązałeś mojej zagadki i nie ocaliłeś tych wszystkich ludzi w barze? Poczuciem winy wynikającym ze świadomości, że to przez ciebie zginęli rodzice Tracy?

Lucien był święcie przekonany, że przejrzał detektywa na wylot. Dawało to Robertowi pewną przewagę, dlatego nie zamierzał wyprowadzać go z błędu. Pozwolił, by jego oczy wypełnił smutek.

– Zrobiłbym to z obu powodów – odrzekł w końcu.

Morderca zastanawiał się przez chwilę.

– To ciekawe. Może dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień, ponieważ przygotowałem dla ciebie prezent.

Milczał przez chwilę, żeby spotęgować napięcie.

– Powiedz mi, co o tym myślisz.

## Dziewięćdziesiąt sześć

Mięśnie w ciele Huntera były tak napięte, że niemalże łapały go skurcze. Wiedział doskonale, że Lucien ma wszystko zaplanowane, i że musi się spodziewać jakiegoś nagłego zwrotu akcji, ale w życiu by nie przypuszczał, że to będzie coś takiego.

Morderca opuścił pistolet i płynnym ruchem rozchylił poły płaszcza, pokazując detektywowi przygotowany dla niego prezent.

Pod płaszczem znajdował się pas szahida.

Robert zamrugał, pełen niedowierzania.

W pięciu kieszonkach umiejscowionych na wysokości piersi Folter upchnął kawałki C4. Z każdego z nich wystawały różnokolorowe kable łączące całość. Poniżej znajdowała się jeszcze jedna kieszonka, która mieściła telefon komórkowy, połączony kolejnym przewodem z ładunkami wybuchowymi. Komórka stanowiła ostatni element bomby.

Lucien widział, jak z twarzy Huntera odpływa krew.

– Och, daj spokój. Naprawdę myślałeś, że miałem tylko kilogram tego towaru? – Zrobił taką minę, jakby karciał właśnie niegrzeczne dziecko. – Jesteś taki naiwny.

Detektyw przyglądał się dokładnie pasowi szahida.

– Jeśli się zastanawiasz, czy to jest prawdziwe, to możesz mi wierzyć: ma taką samą moc, jak ładunek z Hollywood – poinformował go morderca. – Ale jest znacznie bardziej zabójcze. Rozejrzyj się.

Robert ani drgnął.

– No śmiało. Rozejrzyj się – zachęcał go Folter.

W końcu Hunter uległ i zerknął w prawo, potem w lewo. Jego latarka dawała wąziutki snop światła. Kiedy powoli przyglądał się otoczeniu, zrozumiał, co Lucien miał na myśli. Pod ścianami stało co najmniej piętnaście czterolitrowych plastikowych kanistrów. Wszystkie pełne. To właśnie one sprawiły, że w pomieszczeniu unosił się zapach benzyny. To jednak nie koniec. Na podłodze leżało mnóstwo desek i tektury. Gdyby ładunek eksplodował, całe wnętrze

zmieniłoby się w mgnieniu oka w ognistą kulę, tworzącą ogromną temperaturę. Nikt i nic by tutaj nie ocalało.

Detektyw patrzył na Foltera z niemym pytaniem w oczach.

Ten bez trudu je odczytał.

– Zastanawiasz się, czy jestem na to gotowy? Straszny z ciebie naiwniak. Nie za stary na to jesteś? Wiesz, że ja nie wierzę w Boga, prawda? Nie wierzę w zaświaty, raj, przeznaczenie ani w to, że stanowimy część jakiegoś kretyńskiego wielkiego planu czy jakiegokolwiek inne pierdoły, które ludzie wymyślali przez całe stulecia. Powiem ci jednak, w co wierzę. Moim zdaniem każdy powinien znaleźć jakiś powód, dla którego żyje, coś, co nada egzystencji sens. Cokolwiek. Coś, co nas będzie popychało do przodu. Coś, dzięki czemu chcielibyśmy stawić czoło temu popierdolonemu światu, w którym egzystujemy. Coś, co zainspiruje umysł i nakarmi duszę. W to właśnie wierzę. I to też zrobiłem. Znalazłem cel życia, który napełniał mnie ekscytacją. Moje badania.

Przerwał na chwilę i rozejrzał się dookoła.

– Dobra, w oczach większości to było paskudne zajęcie, ale kogo my tu oszukujemy? – przyznał beztrąsko morderca. – Świat jest pełen paskudnych i obleśnych zawodów, dobrze o tym wiesz. Rządowe albo policyjne posady, stanowiska w wielkich korporacjach, w przemyśle farmaceutycznym... wszędzie, gdzie panuje bezgraniczna chciwość. Wszyscy mają wyprane mózgi przez kilka mających monopol firm, którymi kierują najwięksi megalomani, psychopaci i socjopaci w historii, a ty patrzysz na *mnie* z obrzydzeniem. – Pokręcił głową i się zaśmiał. – Przy nich jestem zaledwie pyłkiem na wietrze. Tak, *sam* postanowiłem robić to, co robiłem, i zapewne dalej bym się tym zajmował, gdybyś nie pojawił się trzy i pół roku temu.

Hunter zobaczył błysk ognia w jego oczach.

– Wtedy nikt nie wiedział o moim istnieniu. Do każdego z moich eksperymentów podchodziłem zupełnie inaczej: różne *modus operandi*, różne podpisy, różne stopnie brutalności i różne lokalizacje. Władze nigdy nie połączyły ze sobą choćby dwóch z moich zbrodni. Nigdy nikt mnie o nic nie podejrzewał. Mogłem sobie spokojnie chodzić po ulicach, pewny, że moje badania są bezpieczne... Ale to już minęło. Teraz jestem poszukiwanym zbiegiem. Nieważne, gdzie się udam, nigdy już nie poczuję się pewnie. Do końca życia będę się



rozglądał, zastanawiając się, czy ten facet czytający na rogu gazetę nie jest przypadkiem rządowym agentem. Nieważne, jak dobry jestem w zmienianiu swojego wyglądu i stawaniu się kimś innym. Nie odzyskam już spokoju ducha... a to żadne życie. Nie zgadzam się na to, żeby już zawsze uciekać, a już *na pewno* nie na to, aby spędzić kolejne lata zamknięty w klatce, badany jak szczur laboratoryjny przez tego grubego zjeba, Adriana Kennedy'ego.

Każde wypowiedziane przez niego słowo wprost ociekało żelazną determinacją.

– Moje badania są skończone – przyznał Lucien. – Może i zostało parę rzeczy, które bym jeszcze chciał sprawdzić, ale trudno. Osiągnąłem swój cel. Żyłem tak, jak chciałem. Ilu ludzi na świecie może powiedzieć o sobie coś takiego? Ty?

Zanim detektyw zdołał się odezwać, jego latarka zamigotała, po czym zgasła, pogrążając pomieszczenie w głębszych ciemnościach. Jedynym źródłem światła była teraz mała lampka stojąca obok Foltera.

– Wszystko pewnego dnia musi się skończyć, mój przyjacielu – oświadczył morderca. Po raz pierwszy Hunter usłyszał w jego głosie nutkę prawdziwego smutku. – Wszystko, łącznie z tobą i ze mną.

Nastąpiła pełna napięcia cisza.

– Zatem odpowiadając na twoje nieme pytanie: tak, jestem na to gotowy. Jestem gotowy, żeby umrzeć, tu i teraz. A ty?

Robert musiał zyskać na czasie. Jego plan wymagał zwłoki.

– Tak.

– Naprawdę? OK!

Pod czujnym okiem detektywa Lucien odłożył pistolet na skrzynkę koło lampki, a potem wyciągnął kolejny telefon z kieszeni płaszcza. Szybko wstukał numer, ale nie wcisnął przycisku „wyślij”. Następnie rzucił komórkę Hunterowi.

– Łap.

Ten chwycił ją w locie.

Morderca ponownie podniósł pistolet.

– Wszystko już jest ustawione – poinformował go, wskazując na swój pas szahida. – Wystarczy, że klikniesz „wyślij”. I tyle.

Robert spojrzał na aparat.

– A jeśli nie kliknę?

Lucien parsknął śmiechem.

– Już cię naszły wątpliwości? Wydawało mi się, że jeszcze sekundę temu byłeś pewny tej decyzji. Gotowy na to.

*Graj na czas*, pomyślał detektyw. *Graj na czas*.

– Znam cię – zaczął spokojnie. – Zawsze masz plan awaryjny. Z pewnością wziąłeś pod uwagę możliwość, że nie zdetonuję bomby. Co wtedy?

Folter znowu się zaśmiał.

– Dlatego właśnie cię lubię. Zawsze byłeś tak cholernie bystry. Oczywiście, że wziąłem taką możliwość pod uwagę.

– Wiem. Co zatem wymyśliłeś?

– Możesz wcisnąć zamiast tego czerwony guzik i skasować połączenie.

– I co wtedy się wydarzy?

– Nie będzie wielkiego bum. Nie będzie fajerwerków. Obaj wyjdziemy stąd żywi, ale różnica jest taka, że ja mam szybką drogę ucieczki, jak widzisz... – Wskazał na swoje stopy. – Noszę porządne robocze buty. Ty zaś musiałbyś na bosaka znaleźć drogę przez ocean tłuczonego szkła, pogrążony w totalnych ciemnościach. – Wzruszył ramionami. – Niezbyt wysoka cena, biorąc pod uwagę alternatywę, prawda? – Uśmiechnął się podstępnie. – Ale tak łatwo się nie wywiniesz, stary druhu.

Hunter jakoś się domyślił, że nastąpi zwrot akcji.

– To jedyna szansa na to, abyś mnie powstrzymał. Nigdy nie dostaniesz drugiej – ciągnął Lucien. – Jeśli postanowisz z niej nie skorzystać, jedyny logiczny wniosek jest taki, że nie chcesz, bym przestał... więc nie przestanę. – Pozwolił, aby jego słowa zawisły w powietrzu. – Jak stąd wyjdę, to zniknę i już nigdy więcej mnie nie zobaczysz... Ale obiecuję ci, kolego, że o mnie usłyszysz.

Robert nie potrzebował dalszych wyjaśnień, ale Folter nie należał do ludzi, którzy pozostawiają takie kwestie niedopowiedziane.

– W każdym mieście, miasteczku i wsi, do których dotrę, zabiję kolejną osobę. – Ponownie wzruszył beztrząsramionami. – A może i więcej, kto wie? I zrobię to tak, żebyś wiedział, dlaczego umarli: bo byłeś tchórzliwym kutasem, który bał się wcisnąć przycisk „wyślij”. I jak ci się podoba takie poczucie winy, które ciągle narasta?

– Rzeczywiście pomyślałeś o wszystkim, prawda? – Hunter cały czas starał się grać na zwłokę.

– Oczywiście. Nadeszła chwila prawdy. Czas podjąć decyzję. Masz pięć sekund.

Detektyw rozejrzał się po raz ostatni i poczuł, jakby coś ścisnęło go za serce. Wiedział, że ma bardzo ograniczone możliwości. Morderca stał dziesięć kroków od niego, w dodatku trzymał w ręku pistolet. Nawet gdyby Hunter miał na stopach buty, a podłogi nie pokrywałaby warstwa tłuczonego szkła, i tak nie zdołałby go dopaść. Przebyłby połowę odległości, a potem padł martwy, podziurawiony kulami.

– Pięć... – Folter zaczął odliczanie.

Robert zerknął na telefon. Kciuk trzymał nad obydwoma kluczowymi przyciskami. Jego plan zawiódł. Nikt nie przyjdzie mu z pomocą.

– Cztery...

Przeszył go potężny dreszcz.

– Trzy...

Popatrzył na Luciena i ścisnął mocniej komórkę.

– Dwa...

*Pewnego dnia wszystko się kończy... wszystko.*

– Jeden...

Rzucenie się przed siebie oznaczało niechybną śmierć... tak samo wciśnięcie guzika „wyślij”. Różnica polegała na tym, że albo po prostu umrze, albo poświęci się dla sprawy.

– Zero... koniec czasu.

Hunter żałował, że nie może pożegnać się z Garcia.

Żałował, że nie może pożegnać się z Tracy.

Jedyne pocieszenie dawała mu świadomość, że Folter już *nikogo* nie zabije.

Spojrzał w oczy swojemu dawnemu przyjacielowi po raz ostatni i zrobił głęboki wdech.

– Zobaczymy się w piekle, Lucien.

## Dziewięćdziesiąt siedem

Eksplozję słyszano na sąsiednich ulicach. Huk przebył odległość czterystu metrów w każdym możliwym kierunku. Tak jak poprzednim razem, Lucien wyliczył wszystko z idealną precyzją, najdrobniejszy nawet szczegół. Dokładną ilość materiałów wybuchowych i benzyny, dystans dzielący go od Huntera, szybkość, z jaką paliwo zapłonie, prędkość fali uderzeniowej... krótko mówiąc, każdy najmniejszy detal.

Chciał, żeby budynek wyleciał w powietrze i od razu stanął w płomieniach, ale zależało mu jednocześnie na ograniczeniu zniszczeń do magazynu i samego biura. Nie widział potrzeby, aby robić z tego przedstawienie. To sprawa pomiędzy nim a Robertem, nikt i nic poza nimi się nie liczyło. Nie dla niego.

Kiedy komórka zamontowana w pasie szahida się uaktywniła, w ciągu dwóch dziesiątych sekundy wysłała impuls elektryczny do detonatora znajdującego się w jednym z pięciu ładunków. Impuls odpalił detonator, który z kolei wytworzył dość ciepła, aby wywołać eksplozję C4.

Wtedy wszystko wybuchło dokładnie tak, jak Folter zaplanował.

Solidne drewniane płyty, którymi zabił okna, zostały brutalnie wyrwane ze ścian i gwałtownie rzucone przez całą długość magazynu. Podmuch wypchnął część dachu znajdującą się tuż nad epicentrum. Przez powstałą dziurę w powietrze wzbily się płonące płytki i kawałki metalu, które spadając dookoła, podpalały otaczającą budynek roślinność. Jednakże to właśnie w samym środku biura, gdzie stali Robert i Lucien, ujawnił się prawdziwy geniusz dokonanych przez mordercę obliczeń.

Z powodu bliskości pomiędzy materiałami wybuchowymi a benzyną, temperatura wywołana eksplozją momentalnie stopiła plastikowe kanistry i dotarła do płynnego paliwa – znacznie szybciej, niż zrobiłby to wystrzelony pocisk. W rezultacie całe górne piętro jednocześnie pochłonęła gigantyczna ściana ognia, tak gorąca, że mogła topić stal.

Hunter miał rację: żadna żywa istota nie mogłaby wydostać się z tej pułapki.

## Dziewięćdziesiąt osiem

Lucien nie należał do osób, które zostawiają cokolwiek przypadkowi, zatem oczywiście wziął po uwagę możliwość, że Hunter anuluje połączenie. Dlatego właśnie przygotował plan awaryjny.

Dobrze znał swojego dawnego przyjaciela i wiedział, że ten postąpi szlachetnie i spróbuje raz na zawsze powstrzymać go przed mordowaniem niewinnych ludzi. Wiedział jednak również, że Robert potrafi zachowywać się równie nieprzewidywalnie jak on sam.

Możliwe, że detektyw przygotował własny plan, że Folter coś jednak przeoczył – dlatego właśnie musiał go okłamać.

Kiedy Hunter pytał, co się stanie, jeśli wciśnie czerwony guzik, morderca odpowiedział, że wówczas nie będzie „wielkiego bum ani fajerwerków”.

Ale to nie była prawda.

On chciał, żeby magazyn wyleciał w powietrze.

Chciał fajerwerków.

Właśnie dlatego zadbał o to, żeby oba przyciski zadziałały w ten sam sposób.

To bez znaczenia, który z nich Robert naciśnie. Połączenie z komórką zamontowaną w pasie szahida i tak zostanie nawiązane. Magazyn wyleci w powietrze, choćby nie wiem co. Lucien nie mógł czuć się bardziej zadowolony.

Wszystko się opłacało: długie próby, niekończące się obliczenia i ponowne sprawdzanie, drobiazgowo planowanie każdego szczegółu. Jednak prawdziwym przejawem geniuszu była sama eksplozja.

Tak, Lucien przeciwiczył to tyle razy, że mógłby bezbłędnie przebrnąć przez wszystkie kroki od początku do końca i od końca do początku. Jednakże samego wybuchu nie mógł przeciwiczyć. Nie mógł go przetestować. Nie mógł go powtórzyć. Musiał wyliczyć wszystko z absolutną dokładnością, aby mieć chociaż cień szansy na wyjście z tego cało.

I udało mu się.

## Dziewięćdziesiąt dziewięć

Pomysł z pasem szahida zrodził się w głowie Luciena jakieś trzy lata wcześniej, kiedy zrozumiał, że ucieczka z więzienia federalnego może wcale nie być tak niewykonalna, jak początkowo zakładał. Od tamtej chwili tworzył rozmaite scenariusze, szukając planu, który pewnego dnia zrealizuje.

Ogólny zarys wcale nie okazał się skomplikowany. Przede wszystkim musiał zwabić Huntera do jakiegoś odizolowanego, kiepsko oświetlonego pomieszczenia, najlepiej za miastem albo na jego obrzeżach. Mrok stanowił ważny element. Następnie przemowa: jego spojrzenie, zachowanie i słowa muszą przekonać detektywa, że jest gotowy na śmierć, że nie chce spędzić reszty życia, ukrywając się, a przede wszystkim że nigdy już nie wróci do klatki. Mógł z całą pewnością powiedzieć o sobie, że w perswazji osiągnął mistrzostwo.

Ostatnią i, rzecz jasna, najbardziej istotną częścią planu był sam wybuch. Należało wyliczyć prędkość, siłę i dystans, jaki ma przebyć fala uderzeniowa z największą możliwą precyzją, aby upewnić się, że nic mu się nie stanie. A to zależało od jednej jedynej rzeczy: odległości pomiędzy bombą a nim samym.

Ładunek wcale nie został przypięty do ciała Foltera. Pas stanowił wyłącznie atrapę. Telefon to jedyny rzeczywisty element – C4 zastąpił kawałkami gliny. Prawdziwa bomba leżała po przeciwnej stronie pomieszczenia, jakieś pięć kroków za Hunterem i piętnaście kroków przed Lucieniem. W dodatku była przymocowana do zwłok anonimowego mężczyzny, którego morderca porwał kilka dni wcześniej. Nieszczęśnik miał podobny wzrost, wagę, wiek, budowę ciała i kolor skóry, chociaż to zupełnie bez znaczenia. Zgodnie z jego wyliczeniami płomienie w tym pomieszczeniu będą szalały tak długo i w tak wysokiej temperaturze, że nie uda się pobrać żadnej próbki DNA z jakiegokolwiek kawałka kości, znalezionej później przez techników. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Eksplozja wraz z gorącym wywołanym falą uderzeniową i pożarem całkowicie usunie tkanki miękkie tej anonimowej ofiary: skórę, mięśnie, ciało, mózg...

wszystko. Ponieważ C4 w momencie wybuchu będzie znajdowało się w bezpośrednim kontakcie ze zwłokami, pozostaną z nich jedynie fragmenty tkanek twardych, czyli kości i zębów, ale na wszelki wypadek Lucien wcześniej już usunął te ostatnie.

Pewność testów DNA pobranego z fragmentu kości zależy od stopnia uszkodzenia przez ogień. Wyróżniamy pięć stadiów: kość niespalona, delikatnie spalona, całkowicie zwęglona, częściowo zwapniona i kompletnie zwapniona. Kategoria czwarta i piąta oznacza, że pobranie markerów genetycznych jest praktycznie niemożliwe, ponieważ fragmenty tracą większą część swoich właściwości i stają się niezwykle podatne na skażenie.

Morderca musiał się zatem upewnić, że szczątki anonimowej ofiary będą płonąć wystarczająco długo, aby osiągnąć właśnie te stadia. Dlatego ustawił w pomieszczeniu tyle kanistrów z benzyną.

Teraz zostawał jeden, ostatni problem: jak samemu ująć z życiem z tej pułapki? Jak uciec z tego piekła, w które zamieni się drugie piętro biura?

Odpowiedź na te pytania można znaleźć w prostym równaniu: Lucien wychodzi z tego cało, a Hunter nie. Dlatego ich pozycje miały tak wielkie znaczenie. Z tego też powodu Folter utrzymywał wewnątrz pomieszczenia w ciemnościach i kazał Robertowi się zatrzymać w odpowiednim momencie: kiedy ten stanął w idealnym miejscu.

Jakieś sześć kroków za mordercą, ukryte za kartonami, znajdowało się wyjście ewakuacyjne. Nie musiał go samodzielnie budować, już tam było, zgodnie z przepisami. Jeśli w magazynie postawiono dwupoziomową część biurową, to wszystko musiało spełniać wymogi BHP.

Metalowe drzwi wiodły na schody pożarowe na tyłach budynku. Drzwi zaprojektowano tak, aby przez trzydzieści minut mogły zatrzymać choćby największe płomienie. Lucien dokładnie wyliczył, ile materiałów wybuchowych potrzeba i w jaki kształt je ułożyć, żeby fala uderzeniowa straciła większość swojej energii, zanim dotrze do wyjścia ewakuacyjnego, oddalonego o dwadzieścia jeden kroków. To oznaczało, że jeśli skryje się za tymi drzwiami w momencie eksplozji, nic mu się nie stanie. Jak jednak miałby się tam znaleźć, jeśli będzie stał przed Hunterem, który z kolei ma wywołać wybuch?

Odpowiedź ponownie nie jest zbyt trudna: kto powiedział, że detonacja ma nastąpić natychmiast po naciśnięciu przycisku?

Pięć sekund: tyle potrzeba, aby obrócić się na pięcie, przebiec sześć kroków, otworzyć drzwi i zatrzaskać je za sobą. Przetrenował to wystarczająco wiele razy, aby zyskać pewność.

Mając tę wiedzę, wystarczyło zaprogramować opóźnienie pomiędzy nawiązaniem połączenia a wysłaniem impulsu przez komórkę.

W skrócie plan wyglądał tak: Hunter wciska przycisk „wyślij” – nie ma eksplozji. Folter natychmiast się obraca i wybiega na zewnątrz. W ciągu pięciu sekund jest już w bezpiecznym miejscu.

BUM!

Cała reszta to już nie jego zmartwienie.



## Sto

Świadomość, że to nie jest kolejna próba, tylko wszystko dzieje się naprawdę, wywołała u Luciena tak ogromną ekscytację, że ilość krążącej w jego żyłach adrenaliny dała mu na krótką chwilę niemalże nadludzką szybkość i siłę. Zanim prawdziwa bomba wybuchła, zdążył nie tylko wybiec na zewnątrz i zatrzaskać za sobą drzwi, ale również pokonać większą część schodów ewakuacyjnych.

Mimo precyzyjnych wyliczeń eksplozja miała wystarczającą moc, aby wstrząsnąć zarówno samym budynkiem, jak i najbliższą okolicą – zupełnie jakby nadeszło niewielkie trzęsienie ziemi. Musiał chwycić poręcz z całych sił, aby utrzymać się na nogach.

– Jasna cholera! – wydyszał, zerkając w górę.

Biuro, w którym jeszcze kilka sekund wcześniej stał razem z Hunterem, zostało pożarte przez szalejącego, nieubłaganego ognistego potwora. Jego obleśny jęzor chłostał nocne niebo przez wielką dziurę, wybitą w dachu przez falę uderzeniową.

Folter przystanął i podziwiał przez chwilę swoje dzieło. Ledwie mógł uwierzyć, że rzeczywiście dokonał tego wszystkiego z tak nadludzką wprost precyzją.

Teraz nadszedł czas, żeby zniknąć.

Ukrył swojego vana na tyłach magazynu, za gęstymi krzakami – i tam właśnie miał pozostać. Porzucony samochód doda wiarygodności jego planowi, ponieważ policja bez wątpienia znajdzie na placu pełno śladów opon – gdyby nie znalazła również auta, do którego by pasowały, zrodziłoby się kilka pytań bez odpowiedzi, a to nigdy nie wróży nic dobrego.

Tak, stary van zostaje, ale to niejedyny pojazd, jaki w ostatnich dniach nabył. Miał jeszcze skuter, który zaparkował kilka przecznic dalej, koło Angeles National Forest. Wszystko dokładnie wyliczył: potrzebował trzech i pół minuty, żeby do niego dotrzeć. Później Lucien Folter przestanie istnieć.

Postanowił spojrzeć na magazyn po raz ostatni, zanim zniknie.

– Żegnaj, Robercie – powiedział do siebie. Czuł melancholię, której się nie spodziewał. – To zabrzmiało śmiesznie, stary przyjacielu, ale będę za tobą tęsknił. Naprawdę.

Właśnie zamierzał się odwrócić i ruszyć w drogę, kiedy usłyszał dźwięk, którego nie da się z niczym pomylić. Dźwięk odbezpieczanego pistoletu kalibru dziewięć milimetrów. Zaledwie kilka centymetrów od swojej potylicy.

– Jeśli choćby pomyślisz o tym, żeby się poruszyć, to klnę się na Boga, odstrzelę ci ten cholerny łeb, a potem zatańczę wokół twojego truchła – powiedział ktoś z wściekłością.

# Sto jeden

ECHO PARK, LOS ANGELES, NIESPEŁNA GODZINĘ WCZEŚNIEJ.

– Na końcu tej ulicy, jak miniesz Park Avenue, jest parking przy Echo Park. Powiedz mu, żeby tam się zatrzymał.

Niecałą minutę później żółta taksówka dotarła na miejsce.

– Zapłać mu i wysiadaj – rozkazał Lucien, zaś w głowie detektywa od razu pozapalały się czerwone lampki.

*Coś jest nie tak, pomyślał. Niemożliwe, żeby chciał się ze mną spotkać tak otwarcie w miejscu publicznym. Zbyt wielkie ryzyko. Albo to jakiś wybieg, albo kolejny środek bezpieczeństwa.*

Folter mógł obserwować taksówkę z zewnątrz, ale nie od środka. Detektyw nie miał wątpliwości. Musiał działać szybko.

Zanim zapłacił kierowcy, wyciągnął prędko mały lokalizator przyczepiony do wewnętrznej strony kieszeni i ukrył go pomiędzy telefonem a wnętrzem dłoni.

– A teraz zdejmuj ciuchy i wrzucaj je do jeziora – powiedział mu morderca chwilę później, kiedy Robert zbliżył się do wysepki. – Wszystko: koszulę, spodnie, gacie, buty i skarpety. Nie zostawiaj niczego na brzegu, jasne?

– A telefon?

– Do wody.

– To jak będziemy się komunikować?

– Zaufaj mi, Świerszczu. A teraz wrzucaj rzeczy i upewnij się, że zatoną.

Hunter musiał improwizować – w dodatku w wielkim pośpiechu. Nie miał pewności, ale zakładał, że nadajnik ulegnie zniszczeniu, kiedy zamoknie.

Gdy zdejmował ubrania, zręcznie trzymał lokalizator w prawej ręce, na sekundę przed wejściem do jeziora zatkał nos palcami, jednocześnie po kryjomu wsadził

urządzenie do ust. Tylko tak był w stanie ochronić je przez całkowitym zamoczeniem.

Językiem wcisnął nadajnik pomiędzy zęby a policzek, po czym wskoczył do wody. Modlił się, żeby urządzenie dalej działało.

## Sto dwa

Garcia dotarł na parking przy Echo Park dokładnie sześć minut i czterdzieści siedem sekund po tym, jak Hunter wsiadł do kolejnej taksówki.

– Zniknął – oznajmił pozostałym. – Robert zniknął. Właśnie okrążyłem tę wyspę. Patrzyłem wszędzie. Nie ma po nim śladu.

– Ale sprawdziłeś na samej wyspie? – naciskała kapitan Blake. – Na ziemi, za drzewami. Może został ogłuszony albo...

– Nie ma go tutaj – zapewnił. – Zniknął. Straciliśmy go. Koniec gry.

– Kurwa! – krzyknęła przelożona. – Powinniśmy byli wysłać kilka radiowozów, żeby go przejęły. Może i zmarnowalibyśmy przez to szansę na złapanie Luciena, ale przynajmniej uratowalibyśmy Roberta. Teraz nie mamy ni...

– Chwileczkę – ponownie przerwał jej detektyw, wpatrując się w ekran komórki. Głos drżał mu z podniecenia. – On się rusza. Lokalizator się rusza.

– Co? – spytała Barbara. – Jak to: się rusza? Gdzie?

– On ma rację – wtrącił się West, zupełnie zaskoczony. – Nadajnik znowu działa, ale sygnał przeskoczył z Echo Park na Montana Street... zaraz... znowu przeskoczył. Teraz jest na North Glendale Boulevard.

– Co jest, do cholery? Pokazuje pozycję Roberta czy to jakaś sztuczka?

– Nie wiem – przyznał Carlos.

– Powiedziałeś, że on wszedł do jeziora, tak? – dociekał Tyler.

– Tak twierdzą świadkowie.

– Może urządzenie zamokło i przez to nie działa poprawnie, ale dalej pokazuje położenie?

– Możliwe – zgodził się Holbrook. – To by wyjaśniało, czemu sygnał skacze z miejsca na miejsce.

– Tak czy inaczej, to wszystko, co mamy – rzucił Garcia i pognął w kierunku swojego samochodu. – Jadę za nim.

– Jeszcze raz się przemieścić. Teraz jest na Glendale Freeway – oznajmił szeryf federalny.

– W dupę! – warknął detektyw i zerknął na ekran komórki. – Znowu ma piętnaście minut przewagi nade mną.

– Peter, a ty gdzie jesteś? – spytał West.

– Na Golden State Freeway. Dwadzieścia dwie minuty od celu.

– Wysyłam patrol – powiedziała kapitan Blake. – Nie zamierzam więcej ryzykować.

– Nie! – krzyknął Tyler. – Nic się nie zmieniło, pani kapitan. Nadal nie mamy żadnego rozpoznania, działamy zupełnie na ślepo. Chyba nie muszę pani przypominać, że Lucien Folter uciekł z więzienia federalnego, więc złapanie go leży w gestii szeryfów federalnych, a nie policji. – Przerwał na chwilę, żeby się uspokoić. – Nie chcę tego robić, więc proszę mnie nie zmuszać, ale w tej sytuacji to ja przewyższam panią rangą. To moja operacja i nikt nie zbliży się do tej czerwonej kropki bez mojej zgody.

Przecinając Eagle Rock, Pasadenę i Altadenę, Garcia zdołał wyraźnie zmniejszyć odległość, jaka dzieliła go od lokalizatora. Obecnie znajdował się pięć minut jazdy od niego. Gdy minął Washington Park, czerwona kropka się zatrzymała. Piętnaście sekund później znów zaczęła się poruszać, ale zdecydowanie wolniej.

– Teraz przemieszcza się pieszo – oznajmił wszystkim detektyw.

– Tak, ale dokąd? – spytał Holbrook. – Proszę, nie mów, że tam jest jakiś kolejny park z jeziorem.

– Nie, nie ma tam żadnej wody, ale jeśli się nie mylę, w okolicy jest sporo starych magazynów i hangarów. Dużo z nich jest opuszczonych. Lucien może się tam ukrywać.

– Albo w pobliskim lesie – wtrąciła Barbara. – Spokojnie można stamtąd do niego dojść.

Carlos dodał gazu. Cztery minuty później zobaczył, że czerwona kropka skrzyła w lewo w ślepią uliczkę.

– Cel musi być na tej ulicy – powiedział detektyw i zatrzymał się przy krawężniku. – Jestem już blisko, ale dalej muszę iść pieszo. Tutaj nie ma żadnego ruchu. Jeśli Folter mnie nie zauważył, to z pewnością to zrobi, gdy podjadę jeszcze kawałek.

– Bądź bardzo ostrożny. Kto wie, czy to nie jest pułapka – ostrzegła kapitan Blake.

– Tak, wiem. Peter, gdzie jesteś?

– Zbliżam się, ale będę na miejscu za jakieś dziesięć minut.

Garcia spojrział znów na komórkę. Czerwona kropka dotarła do końca ulicy.

– Wybacz, nie mogę czekać.

– Spokojnie, dogonię cię.

Detektyw potrzebował niecałej minuty, aby dotrzeć do ślepej uliczki, którą przed chwilą przemierzał Hunter. W tym czasie czerwona kropka zmierzała do ostatniej nieruchomości po lewej. Zaledwie kilku sekund zabrakło, aby Carlos zobaczył, czy to na pewno jego przyjaciel ma przy sobie lokalizator.

– To musi być tam – stwierdziła kapitan Blake. – Nigdzie indziej stamtąd nie pójdzie.

– To prawda, to musi być tam – zgodził się agent specjalny.

– Wysłałam wsparcie – poinformowała Barbara.

– Jeszcze nie – powstrzymał ją ponownie West. – Nie możemy tego zrobić, dopóki nie będziemy mieli rozpoznania. – Westchnął nerwowo. – Proszę postawić ludzi w stan gotowości, jeśli to panią uspokoi, ale nikt nie może się zbliżyć do tego miejsca bez mojej zgody.

Kiedy tamta dwójka się sprzeczała, Carlos przemierzył uliczkę tak szybko i tak dyskretnie, jak tylko potrafił. Dotarł do ostatniego budynku po lewej i zauważył w ogrodzeniu dziurę, przez którą Robert chwilę wcześniej dostał się do środka. Garcia zrobił to samo i bardzo ostrożnie podszedł do opuszczonego magazynu. Stał przy wrotach w chwili, kiedy słabe światło zniknęło na szczycie czegoś, co przypominało schody.

– Wchodzę – rzucił detektyw, opisawszy wcześniej wszystko pozostałym.

– Nie ma mowy – odparował Tyler. – Odbiło ci? Właśnie powiedziałeś, że w środku nie zobaczysz nawet czubka własnego nosa. Jak chcesz niby się przemieszczać w tej ciemnicy, skoro nie masz nawet pojęcia o rozkładzie pomieszczeń? Kopniesz coś leżącego na ziemi, narobisz hałasu i jesteś ugotowany. Zapalisz zapalkę i jesteś ugotowany. Wpadniesz na ścianę, jakieś pudło czy cokolwiek innego i jesteś ugotowany.

Carlos milczał.

– Jeśli faktycznie Lucien jest tam razem z Robertem, to jak myślisz, co zrobi, kiedy się dowie, że ich śledzisz? – ciągnął szeryf federalny najspokojniej, jak potrafił. – Powiem ci: albo od razu go zabije, albo najpierw wykorzysta jako kartę przetargową, a potem go zabije.

– To co mam robić? Nic? – odparł szeptem detektyw.

– Za osiem minut na miejscu może być oddział SWAT – wtrąciła się Barbara. – Czekają na drugiej linii, wystarczy, że dostaną zielone światło.

Wszyscy ucichli, dając Tylerowi czas na podjęcie decyzji.

– Dobrze, pani kapitan. Niech oddział SWAT rusza do akcji.

Garcia zerknął na zegarek. W takiej sytuacji osiem minut to jak wieczność. A on nie zamierzał stać z założonymi rękami.

– Obejdę budynek dookoła, może znajdę jakieś tylne drzwi.

West nie skomentował tego w żaden sposób. Wiedział, że i tak nie powstrzymałby detektywa.

– Bądź ostrożny – upomniała przełożona.

– Zawsze jestem ostrożny.

Dwie minuty później magazyn wyleciał w powietrze.



## Sto trzy

Pistolet wycelowany w tył jego głowy sprawił, że Lucien stał zupełnie nieruchomo. Pożar szalejący w magazynie zagłuszył kroki podchodzącej do niego osoby.

– Trzymaj ręce tak, żebym je widział, gnoju – rozkazał Garcia.

*Jak? Folter próbował w myślach znaleźć miejsce, gdzie popełnił błąd. Jego plan był idealny. Na pewno. Jak on się tutaj znalazł? Jak Robert go poinformował? Nawet jeśli miał przy sobie jakieś urządzenie namierzające, musiało przestać działać, kiedy wskoczył do jeziora. No chyba że zostało wszczepione pod skórę.*

– Nie zamierzam się powtarzać. – Detektyw mówił z ogromną determinacją. – Ręce nad głowę albo rozwalę ci łeb.

– Nie powinieneś czasem próbować uratować życia swojemu partnerowi? – spytał morderca, powoli wypełniając polecenie. Rozpoznał Carlosa po głosie, słyszał go parę godzin wcześniej w Five Star Bar.

Przed chwilą detektyw znalazł samochód Luciena ukryty na tyłach magazynu. Właśnie go sprawdzał, kiedy zauważył Foltera wybiegającego na schody pożarowe. Moment później budynek wyleciał w powietrze.

Carlos upuścił telefon. Serce przestało mu bić na widok fragmentu dachu, wyrwanego do góry siłą eksplozji. W dziurze natychmiast pojawiły się płomienie.

Sam nie wiedział, jakim cudem udało mu się zachować milczenie, gdy zdał sobie sprawę, że Robert nie wydostał się tymi samymi drzwiami. Cały ten wybuch, to gorejące piekło, został stworzony dla Huntera. A jeśli on znajdował się w środku...

Detektyw czuł, że wnętrzności zawiązały mu się w supeł. Nikt nie wyjdzie żywy z tego budynku.

– Nie powinieneś czasem próbować uratować życia swojemu partnerowi? – słowa mordercy nadal odbijały się echem w jego głowie, chociaż doskonale wiedział, że to kłamstwo. Bez wątpienia.

Folter nie musiał się odwracać, by wyczuć wahanie policjanta.

– On żyje, wiesz? – powiedział z rękami uniesionymi nad głowę.

Mimo całego swojego doświadczenia Carlos nie potrafił powstrzymać drżenia rąk. Nie ze strachu. Nie mógł po prostu pogodzić się z myślą, że jego przyjaciel może leżeć martwy.

– Mówię prawdę – naciskał Lucien. – Robert nie umarł... jeszcze... Ale to niebawem nastąpi, jeśli mu nie pomożesz. – Przerwał na chwilę. – Wdychanie dymu zabija w ciągu dwóch do dziesięciu minut. Zależnie od jego gęstości i temperatury. Cóż, sam widzisz, co udało mi się stworzyć... Zapewniam, że dym jest dość gęsty... i dość gorący.

Spojrzenie Garcii instynktownie powędrowało w kierunku płonącego budynku.

– Kłamiesz. – Chciał w to uwierzyć, ale oczy mówiły mu coś zupełnie innego. – Jeśli Hunter był na drugim piętrze, a widziałem, że tam wchodził, sam wybuch by go zabił.

– To właśnie piękno mojego planu – przechwalał się morderca. – Nieważne, co widziałeś, ale Roberta nie było na drugim piętrze, kiedy doszło do eksplozji.

## Sto cztery

Lucien mówił prawdę. Robert nie znajdował się na drugim piętrze, kiedy bomba wybuchła.

Owszem, początkowo właśnie taki miał plan: rozerwać detektywa na strzępy siłą eksplozji, a potem zniknąć na zawsze. Jednak kiedy wszedł do tego magazynu po raz pierwszy i zobaczył dwupoziomowe biuro, w jego okrutnym umyśle zrodził się zupełnie inny pomysł. Po co zabijać Huntera?

Folter sprawdził dokładnie część biurową, dokonał obliczeń i doszedł do wniosku, że jego szalony plan – gdyż w istocie był on szalony – da się zrealizować. Wówczas zaczął wprowadzać niezbędne zmiany.

Pracował przez jakieś dwadzieścia godzin, aby sprawić, że wszystko zacznie działać dokładnie tak, jak tego chciał. Efekt końcowy napawał go przeogromną dumą.

– To jest dzieło prawdziwego geniuszu – powiedział do siebie, testując mechanizm po raz enty. Brakowało jedynie Roberta Huntera.

## Sto pięć

– Wszystko już jest ustawione – poinformował go, wskazując na swój pas szahida. – Wystarczy, że klikniesz „wyślij”. I tyle. Mówiłeś, że chcesz to zakończyć. Teraz masz szansę, przyjacielu.

– Zobaczymy się w piekle, Lucien.

Spojrzał mu w oczy i zrobił głęboki wdech, po czym wcisnął przycisk „wyślij”.

Żadnego huk.

Żadnej eksplozji.

Bomba nie wybuchła.

Komórka, którą Hunter trzymał w ręku, istotnie nawiązała połączenie z innym telefonem, ale nie tym w prawdziwym ładunku. Zamiast tego połączyła się z mechanizmem sterującym zapadnią, jaką Lucien zaprojektował i zamontował. Zapadnię, na której właśnie stał Robert.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Gdy detektyw wcisnął guzik, podłoga pod nim zniknęła. W ułamku sekundy poleciał w dół i spadł z łoskotem piętro niżej. Lewa kostka wygięła się w bardzo nienaturalny i zarazem niezwykle bolesny sposób przy kontakcie z betonową podłogą.

Folter podszedł do zapadni i spojrzał z góry na Roberta.

– Zaimponowałeś mi, przyjacielu. Naprawdę poświęciłbyś własne życie, aby mnie powstrzymać. – Wyglądał na nieco zamyślonego. – Rzeczywiście sądziłeś, że chcę twojej śmierci?

Hunter dotknął lewej kostki. Ból był tak dojmujący, że cały zadrżał.

– Nie, mój drogi, nie chcę, żebyś zginął – ciągnął morderca. – Chcę, żebyś żył. Chcę, żeby towarzyszył ci mój prezent: poczucie winy, że pozwoliłeś zginąć trzydziestu niewinnym ludziom, oraz świadomość, że nienawidzi cię kobieta, którą kochasz. Niech to wszystko siedzi w tobie i powolutku zżera twoją duszę od środka, dzień po dniu... aż w końcu całkowicie cię pochłonie.

Zamilkł na chwilę.

– Przyznaję, kiedyś się przyjaźniliśmy. Szczerze mówiąc, byłeś moim jedynym przyjacielem, dlatego też uszanuję te dawno minione czasy i dam ci jeszcze jedną szansę wyboru. Tym razem jednak będzie znacznie trudniej.

Detektyw rozejrzał się dookoła, ale nic nie potrafił dostrzec w nieprzeniknionych ciemnościach.

– Bomba jest prawdziwa – oznajmił Lucien. – Bardzo prawdziwa. Tak samo jak te wszystkie kanistry z benzyną. Eksplozja nastąpi za niecałą minutę. Fala uderzeniowa została bardzo precyzyjnie obliczona i nie powinna zabić cię tam na dole. – Skrzywił się z powątpiewaniem. – Tak na wszelki wypadek odturlałbym się kilka metrów w prawo, gdybym znalazł się na twoim miejscu. W każdym razie sam wybuch raczej ci nie zagrozi, natomiast płomienie i dym z całą pewnością cię wykończą. – Przechylił głowę na bok, żeby rozciągnąć zeszytniały kark. – Zatem przejdźmy do wyboru, jaki przed tobą stoi, Świerszczu. Jeśli chcesz żyć, to musisz przebrnąć przez dym, ogień, potłuczone szkło i wydostać się na zewnątrz. Czeka cię jednak droga naokoło, ponieważ na tym krańcu magazynu bez wątpienia będzie cholernie gorąco.

Hunter czuł, że upadek poważnie uszkodził jego kostkę. Jeśli dodać do tego bosa stopy, ocean szkła i pożar, jego szanse na przetrwanie nie wydawały się szczególnie duże.

– Jeśli natomiast istotnie chcesz śmierci, to po prostu połóż się na plecach i poczekaj, aż dym do ciebie dotrze. To nie potrwa długo, gwarantuję. Wtedy wystarczy tylko kilka głębokich wdechów. – Folter się uśmiechnął. – Tak czy siak, ja stąd spadam. Nasze ścieżki już nigdy się nie skrzyżują. – Mrugnął do niego. – Kto wie? Może rzeczywiście zobaczymy się kiedyś w piekle? Znajomość z tobą to była przyjemność, przyjacielu. Mam nadzieję, że dokonasz prawidłowego wyboru.

Jego twarz zniknęła z pola widzenia detektywa.

Kilka sekund później całe drugie piętro wyleciało w powietrze.

## Sto sześć

Gdy tak stali na tyłach płonącego magazynu, Folter niemalże czuł niezdecydowanie Garcii, jego niepokój. Wiedział, że musi dokończyć dzieła.

– Roberta nie było na drugim piętrze – zapewnił detektywa.

– Pieprzenie.

– Mówię prawdę. Sam pomyśl: po co miałbym zadać sobie tyle trudu, ponosić wielkie ryzyko i wykonać taki ogrom pracy, żeby sprawić Hunterowi ból i wywołać u niego poczucie winy, gdybym zamierzał go zabić kilka dni później? Czy to logiczne?

– Logiczne czy nie, jak niby miałby przeżyć w tym piekle?

– Chciałem, żeby przeżył – odpowiedział morderca, po czym wyjaśnił szybko część planu dotyczącą zapadni.

Carlos poczuł, że jego wnętrzności wiążą się w coraz ciaśniejszy supeł. Nie wiedział, co myśleć.

– Marnujesz czas – ostrzegł go Folter. – Dym robi się coraz gęstszy, ogień zaś... – Zaśmiał się. – Sam zobacz. Twój partner skręcił albo złamał nogę podczas upadku. Widziałem to na własne oczy. Nawet jeśli tego chce, wydostanie się z magazynu w takim stanie będzie bardzo trudne.

Detektyw miał niemal całkowitą pewność, że on kłamie, ale czy mógł pozwolić sobie na takie ryzyko? Chodziło o Roberta, jego najlepszego przyjaciela, partnera od dziesięciu lat, kogoś, kto więcej niż raz uratował życie zarówno jemu, jak i jego żonie, Annie.

Lucien miał rację: czas ucieka.

– Hunter tam umiera – naciskał morderca ze spokojem.

*Pieprzyć to*, pomyślał Garcia i sięgnął po kajdanki.

Żołądek podjechał mu do gardła.

Kiedy na parkingu przed komendą wsiadł do swojego auta, zrobił to, co zawsze, gdy jechał do domu: odpiął kajdanki i latarkę od paska i rzucił na siedzenie.

– Kurwa!

– Zrozumiem, jeśli nie spróbujesz go uratować. W końcu jak on zginie, to dostaniesz jego stołek, prawda? Szef wydziału SO. To całkiem niezły tytuł. Wiesz co? Jeśli ty nikomu nie powiesz, że nie poszedłeś po niego, to ja też nie puszcę pary z ust.

Zostawienie aresztowanego samego stanowiło naruszenie regulaminu. Nieważne, kim ten aresztowany był i jakie towarzyszyły temu okoliczności... Jednak technicznie rzecz biorąc, Garcia go jeszcze nie aresztował. Rozkazał mu się zatrzymać i podnieść ręce do góry, ale oficjalnie do aresztowania nie doszło. A w takim wypadku Carlos nie łamał przepisów.

Folter nadal stał z rękami w górze i patrzył przed siebie na płonący magazyn. Detektyw stał trzy kroki za nim i celował mu w głowę.

Garcia – w przeciwieństwie do Huntera – nie miał dyplomu z psychologii, ale nie potrzebował go, aby rozumieć działanie szantażu emocjonalnego i manipulacji. A to właśnie teraz stosował morderca. Problem polegał na tym, że bez kajdanek Carlos nie miał żadnego przyrządu, którym mógłby unieruchomić przestępcę.

Kto jednak powiedział, że jakiś przyrząd jest potrzebny?

– Pieprzyć to – powiedział na głos. Ułamek sekundy później z całej siły kopnął Luciena w dół podkolanowy.

Morderca poczuł, że kości w jego kolanie się przemieściły. Noga ugięła się pod jego ciężarem, a potem stała się całkowicie bezwładna. Runął na ziemię z krzykiem, który mógłby obudzić umarłego.

Leżał jak długi i trząsał się z bólu, w końcu odwrócił się na plecy i spojrzał na detektywa.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął, łapiąc dłońmi uszkodzone kolano. Z wściekłości z ust tryskała mu ślina. – Złamałeś mi pierdoloną nogę!

Garcia pokręcił głową.

– Nie, nie, chyba troszeczkę ci się pomyliło. Upadłeś przy próbie ucieczki i zrobiłeś sobie krzywdę. – Zamilkł na chwilę i się uśmiechnął. – A, jeszcze uderzyłeś się w głowę.

Błyskawicznie zadał potężny cios kolbą pistoletu.  
Światła zgasły.



## Sto siedem

Carlos dobiegł do wrót magazynu w ciągu dwunastu sekund. Wnętrze budynku jeszcze przed chwilą spowijały całkowite ciemności – teraz rozświetlała je fala płomieni, błyskawicznie pochłaniających wszystko na swojej drodze.

Stojąc w progu, detektyw musiał osłonić twarz przed gorącym i oślepiającym blaskiem, które atakowały go z wściekłością. Instynktownie zakrył dłonią usta i nos, ale dym okazał się tak gęsty i natarczywy, że momentalnie zaczął się krztusić.

Oczy zaszły mu łzami. Ogromna temperatura zmusiła go do niemalże całkowitego zaciśnięcia powiek.

Garcia cofnął się kilka kroków i wytarł twarz, próbując się jakoś otrząsnąć. Potem naciągnął koszulę na nos i usta. Spróbował jeszcze raz zajrzeć do wnętrza budynku. Płomienie i dym zdawały się wszechobecne, ale przynajmniej cośkolwiek widział.

Dostrzegł dziwne błyski na podłodze, zupełnie jakby wysypano ją różnego rozmiaru diamentami.

Zmrużył oczy.

Minęły dwie sekundy, zanim zrozumiał, co ogląda: tłuczone szkło odbijające blask płomieni. Pokrywało ziemię niczym dywan.

Zaczął się rozglądać, szukając najbezpieczniejszej drogi do części biurowej na tyłach. Nie znalazł żadnej. Próba dostania się tam zakrawała na samobójstwo.

Oczy znowu zaszły mu łzami. Tym razem jednak nie wywołało ich gorąco, tylko emocje.

– KUUUURWA! KUUUURWA!

Płomienie pochłaniały nawet jego wściekle wrzaski.

Bezradnie złapał się za głowę. Nic nie mógł zrobić.

Na ziemię spadł kolejny kawałek dachu, wyrzucając w powietrze chmurę iskier. Carlos spojrział w tamtą stronę.

Wtedy w końcu go zobaczył.

Hunter leżał twarzą do ziemi, kilkanaście metrów na prawo od niego. Jego ręce spoczywały nieruchomo przy ciele. Nogi były bezwładne.

Zamrugnął, aby upewnić się, że wzrok nie płata mu figli.

Robert się poruszył. Ledwie uniósł głowę, nic więcej.

Carlos poczuł dreszcz i wystrzelił do przodu jak rakieta. Nie myślał ani chwili, tylko pognął bez wahania przez ogień i dym. Po czterech sekundach stał nad partnerem.

Zaczął znowu kaszleć, ale improwizowana maska chroniła go w wystarczającym stopniu, aby nie dopadły go zawroty głowy.

Mechanizmy obronne zaczęły działać pełną parą, przyspieszając bicie serca, napinając mięśnie i zalewając całe jego ciało niesamowitą ilością hormonów: tego właśnie potrzebował, aby poradzić sobie w tej rozpaczliwej sytuacji.

Jednym szybkim ruchem pochylił się i podniósł przyjaciela z ziemi, zupełnie jakby ten skurczył się i schudł o połowę.

– Trzymaj się, Robert – powiedział pod nosem, zarzucając go sobie na ramię. – Wyciągnę cię stąd. Wyciągnę.

Wstrzymał oddech, aby nie zassać do płuc więcej dymu, i ruszył przez płonący magazyn. Tym razem zajęło mu to osiem sekund.

## Sto osiem

Carlos położył nieprzytomnego Roberta na trawie, zaledwie kilka kroków od ogarniętego szalejącymi płomieniami piekła. Kiedy patrzył na partnera, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Mężczyzna miał goły tors, ponieważ podarł ubranie na dwie części, którymi ciasno obwiązał stopy, próbując zabezpieczyć je przed niekończącym się oceanem tłuczonego szkła. Uciekając przed ogniem, kilka razy musiał się przewrócić: odłamki rozorały mu dłonie, ramiona, klatkę piersiową, barki, plecy, kolana i uda, zamieniając jego ciało w mieszankę krwi, ran i odprysków. Namiastka butów, jakie dla siebie stworzył, częściowo spełniła swoje zadanie, jednak kilka większych kawałków przecięło materiał i wbiło się głęboko w prawą stopę. Lewa kostka spuchła do rozmiarów grejpfruta.

Nieubłagany żar również zrobił swoje, zostawiając na jego ciele liczne poparzenia.

– Lepiej, żebyś zaczął oddychać – zaczął Garcia drżącym głosem. – Wolalbym, żeby obyło się bez reanimacji usta-usta.

Hunter ani drgnął.

– Robert? – rzucił z większą mocą.

Nic.

– Robert?

Brak odpowiedzi. Żadnego ruchu.

– Kurwa!

Detektyw natychmiast się poderwał i przyłożył nadgarstek prawej dłoni tuż poniżej mostka przyjaciela. Następnie dołączył lewą dłoń i zaczął masaż serca.

– Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... Nie rób mi tego, oddychaj, chłopie, proszę, oddychaj. Dwanaście... trzynaście... czternaście... piętnaście...

Przestał uciskać, odchylił nieco głowę Huntera do tyłu i uniósł mu podbródek – w ten sposób upewnił się, że język nie będzie przylegał do gardła i udrożni drogi

oddechowe. Następnie zatkał nos przyjacielowi i pochylił się, aby rozpocząć sztuczne oddychanie.

Robert się uśmiechnął.

– Mam cię – wyszeptał.

Garcia był zbyt zdumiony, żeby w jakikolwiek sposób zareagować. Mógł jedynie wpatrywać się w niego szeroko otwartymi oczami, podczas gdy jego ciałem targały dreszcze.

Hunter zaczął się zwijać w spazmach wywołanych atakami kaszlu, kiedy jego płuca próbowały pozbyć się tlenu węgla, cyjanku i innych trujących substancji, jakie uwolniły się podczas pożaru.

Szalony zastrzyk adrenaliny, który pozwolił Carlosowi na wydostanie partnera z płonącego budynku, właśnie przestał działać, pozostawiając go całkowicie bez sił. Zwalił się na ziemię tuż koło przyjaciela, niczym kukła, której ktoś przeciął sznurki. Do jego mięśni dotarło wyczerpanie wywołane nadludzkim wysiłkiem, na jaki dopiero co musiały się zdobyć.

Uplęnęło kilka chwil, zanim Garcia dał radę odwrócić głowę i spojrzeć na Roberta. Obaj oddychali z trudem, a twarze mieli pomazane sadzą.

– Jasna cholera, chłopie! – rzucił w końcu Carlos, dręczony atakami kaszlu. – Nigdy więcej tak nie rób.

Hunter popatrzył zaczerwienionymi oczami na przyjaciela, po czym resztką sił wyciągnął do niego zakrwawioną dłoń.

Partner z trudem podał mu swoją.

– Dziękuję – powiedział słabo Robert. – Dziękuję.

Garcia pokiwał głową i się uśmiechnął.

– Muszę cię o coś spytać... Co ty, kurde, masz na sobie? – Spojrzał wymownie na spodnie od dresu.

– Co tu się, kurwa, stało? – zagrzemiał Holbrook, który w końcu dotarł na miejsce. Oczy miał szeroko otwarte pod wpływem szoku, ciężko oddychał, bo gnał tu na złamanie karku.

Carlos spojrział na Roberta i wzruszył ramionami.

Gdzieś z daleka dobiegł ich wreszcie dźwięk syren.

– Lucien... – z trudem wydusił Hunter, nadal ciężko kaszłąc. – Miał pas szahida.

– Co? – Peter zerkał to na dwóch detektywów, to na płonący magazyn. –  
Wysadził się w powietrze?

Garcia zwiesił głowę, po czym powoli uniósł ją ponownie.

– Niezupełnie. Ale pewnie takie wrażenie chciał wywołać: samobójstwo.

Agent specjalny rozglądał się dookoła, szukając mordercy.

– Czyli uciekł? – spytał grobowym głosem. – Znowu?

Carlosem wstrząsnął kolejny napad kaszlu.

Syreny wyły coraz bliżej.

– Niezupełnie – odparł w końcu i z uśmiechem kiwnął głową. – Jest tam, z tyłu...  
i nigdzie się nie wybiera.

## Sto dziewięć

– Czyli Lucien chciał cię przekonać, że naprawdę wysadził się w powietrze? – zapytał Kennedy Huntera, kiedy usłyszał całą opowieść.

– Nie, nie mnie – wyjaśniał Robert, leżąc na szpitalnym łóżku. – Zanim zdetonował ładunek, powiedział mi, że ucieka i zamierza zniknąć na zawsze. Jego plan polegał na tym, żeby przekonać wszystkich innych.

Adrian przyleciał porannym lotem z Waszyngtonu i spotkał się z Garcia, Holbrookiem, Westem i kapitan Blake w sali 2B na drugim piętrze słynnego centrum medycznego imienia Ronalda Reagana, na kampusie UCLA w Westwood.

Pokiereszowany detektyw leżał na regulowanym łóżku: jego zabandażowane plecy spoczywały na oparciu uniesionym pod kątem pięćdziesięciu stopni. Jego stopy, dłonie, ręce i tors również pokrywały bandaże. Szkło poraniło go łącznie w trzydziestu siedmiu miejscach, chociaż i tak miał szczęście: pożar szalał z ogromną siłą, ale wywołał wyłącznie poparzenia pierwszego i drugiego stopnia.

– Kiedy technicy skończą przeczesywać pogorzelnisko, bez wątpienia znajdą strawione przez ogień ludzkie szczątki – powiedział Hunter.

– Czyje? – spytała Barbara.

– Jakiegoś nieszczęśnika, którego Folter zamordował i ukrył w magazynie – odrzekł detektyw.

– W porządku, ale przecież musiał wiedzieć, że każdy fragment kości, jaki znajdziemy, zostanie wysłany na badania DNA. Jego plan by się nie powiódł – oponowała przełożona.

– Jasne, że to wiedział. Ale zdawał sobie sprawę, że nie da się pozyskać próbek materiału genetycznego z czegokolwiek, co zostanie w tym magazynie.

– Co? Dlaczego nie? – dociekał West, marszcząc brwi.

Robert szybko wyjaśnił mu, jak dokładne są badania DNA, w zależności od stopnia uszkodzenia szczątków przez ogień.

Tyler spojrział na niego spode łba.

Detektyw wzruszył ramionami i odparł:

– Dużo czytam.

– Ale przecież powiedział ci, że zamierza uciec – wtrącił Carlos. – Powiedział, że zniknie na zawsze, czyli praktycznie przyznał się, że cała sprawa z samobójstwem to ściema. Chyba że liczył również na twoją śmierć. Wtedy nie ma żadnych świadków, żadnych wyznań, sprawa zamknięta.

– Możliwe – zgodził się Hunter. – Ale jakby stamtąd zwiął, to i tak nie miałyby znaczenia, czy mi się do czegoś przyznał, czy nie. Bez namacalnego dowodu to tylko spekulacje. Na miejscu mamy wysadzony w powietrze budynek, detektywa, który fartownie ocalał z wybuchu, i fragmenty kości, poważnie uszkodzone w pożarze. Skoro nie możemy potwierdzić tożsamości ofiary na podstawie DNA, zostaje nam tylko jedno.

– Przypuszczenia – dokończył za niego Kennedy. – Musielibyśmy założyć, że kości należą do Foltera, ponieważ według naszej wiedzy w chwili wybuchu bomby w magazynie znajdowały się tylko dwie osoby. To, że Robert czy ktokolwiek z nas nie wierzyłby w śmierć mordercy, dla prokuratora generalnego w ogóle nie byłoby istotne. Uznałby, że Hunter cierpi w wyniku stresu pourazowego. Skoro mamy szczątki bez jednoznacznego wyniku testów DNA, nie widziałby żadnych podstaw do przeznaczania kolejnych środków na szukanie zbiega. Wręcz przeciwnie: z ogromną radością zamknąłby tę sprawę raz na zawsze.

– W takim wypadku Lucien mógłby... narodzić się na nowo – wtrącił West. – Zyskałby szansę, żeby zacząć gdzieś zupełnie nowe życie, wiedząc, że nikt go nie będzie już nigdy szukał.

– Doskonale zdawał sobie sprawę, co musi zrobić – dokończył Hunter. – Kiedy szeryfowie federalni, FBI, Agencja Bezpieczeństwa Krajowego, Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, Departament Bezpieczeństwa Krajowego i w zasadzie każda możliwa organizacja depta ci po piętach, musisz mieć świadomość, że nigdy nie zaznasz spokoju.

– Chyba że przekonasz wszystkich o swojej śmierci – skwitował Peter.

– Muszę przyznać: to był świetny plan, zrealizowany niemalże idealnie – skomentował Adrian. – Gdybyś się nie zorientował w Echo Park, że on coś knuje, i nie wsadził tego lokalizatora do ust, udałoby mu się. Zapewne byś zginął, a my nie mielibyśmy żadnych powodów, by wątpić również w śmierć Foltera.

– A co się stało z tym urządzeniem? – zapytał Garcia. – Z tym lokalizatorem?

– Pewnie to, co sugerował wczoraj Holbrook – odparł Tyler. – Błąd w nadawaniu sygnału. Może ślina Roberta dostała się do środka i zaburzyła działanie sprzętu, ale nie na tyle, żeby całkiem się wyłączył.

– Być może – przyznał Hunter. – Cieszę się, że jednak funkcjonował.

– Dobrze to rozegrałeś – pogratulowała mu kapitan Blake. – Bardzo dobrze to rozegrałeś.



## Sto dziesięć

– Dyrektorze Kennedy, może mi pan poświęcić chwilę? – zapytała kapitan Blake, kiedy wyszli z sali, gdzie odpoczywał Hunter.

– Oczywiście – odparł Adrian.

Garcia, West i Holbrook podążyli na koniec korytarza, aby napić się kawy z automatu.

– Chciałabym zasięgnąć pańskiej opinii w jednej sprawie.

– W czym mogę pomóc?

– Wiem, że zna pan dobrze Roberta. On stąd jutro wyjdzie, czy lekarze się na to zgodzą, czy nie.

Kennedy parsknął śmiechem.

– To prawda.

– Wie pan zapewne również, że od razu pójdzie na komendę i siądzie przy biurku.

– To panią martwi. – Adrian nie sformułował tego jako pytanie.

– A pana nie? Słyszał pan o tym, co się stało?

– Ma pani na myśli tę kobietę, z którą się spotykał?

– Tak.

Dyrektor NCAVC oparł się o ścianę.

– Rozumiem pani troskę – zaczął. – Ale jedno mogę powiedzieć z absolutną pewnością: pod kątem psychicznym i fizycznym Robert jest najsilniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Oczywiście, jest człowiekiem, jak każdy z nas. On również cierpi. Jego umysł także dręczą niekiedy koszmary, chociaż on znacznie lepiej od innych wie, jak radzić sobie z psychicznym bólem i ze stresem.

– Zastanawiałam się, czy nie powinnam wysłać go na urlop... Dać mu dwa tygodnie wolne od pracy... żeby po prostu do siebie dochodził. Fizycznie i mentalnie.

Kennedy uśmiechnął się do niej.

– Mózg to najbardziej złożony organ, pani kapitan. Jest zajęty myślami, marzeniami, rozważaniami i tak dalej, ale cały czas pracuje... *cały czas*. Jeśli my nie wskażemy mu kierunku, on sam go sobie wybierze. W niezwykle traumatycznych sytuacjach ludzie tacy jak Robert, ja i zapewne pani, starają się zająć myśli w jakiś racjonalny sposób, żeby nie wracać do straszliwych wspomnień. Przeważnie wybieramy w tym celu coś, co sprawia nam przyjemność, co daje nam jakąś wartość. W jego przypadku tym czymś jest praca, on jest w tym dobry, on to kocha: rozwiązywanie zagadek i wsadzanie przestępców za kratki. Jeśli zabierze mu to pani w chwili, kiedy on tego potrzebuje najbardziej, czym zajmie się jego umysł?

– Traumatycznymi wspomnieniami – zrozumiała Barbara.

– Bingo. – Adrian znowu się do niej uśmiechnął. – Niech robi to, w czym jest najlepszy. Będzie dobrze.

– Ale on wcisnął przycisk „wyślij” na tamtym telefonie – odparła kapitan Blake. – Nie wiedział, że komórka jednak nie jest połączona z pasem szahida. Niektórzy mogą to uznać za próbę samobójczą, a jeśli funkcjonariusz ma myśli samobójcze... – Uniosła brwi. – Zna pan przepisy.

– On nie ma myśli samobójczych – oznajmił z całą pewnością Kennedy. – Nie zamierzał się zabić. Wcisnął ten przycisk, żeby powstrzymać psychopatę przed dalszym mordowaniem niewinnych. W dodatku nie mówimy tutaj o pierwszym lepszym psychopacie, tylko o najgroźniejszym przestępcy, z jakim policja i FBI miały kiedykolwiek styczność. Zamierzał poświęcić własne życie, żeby Lucien nikogo już nie skrzywdził. Nie zasłużył na zawieszenie, tylko na medal.

Barbara pokiwała głową i rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Dziękuję.

Carlos, Peter i Tyler podeszli do nich.

– Dobra wiadomość jest taka, że, niech mi pan wybaczy wyrażenie, Lucien ma przejebane – zwrócił się do Kennedy’ego West, upiwszy długi łyk kawy. – Aresztowano go w Kalifornii, gdzie nadal funkcjonuje kara śmierci. Gdyby to zależało ode mnie, poszedłby na krzesło już jutro.

Te słowa przypomniały Garcii moment, kiedy w końcu aresztowali Foltera na tyłach płonącego magazynu.

Kiedy mordercę prowadzono do radiowozu, ten zatrzymał się i spojrzał na Carlosa.

– Módl się, żeby mnie skazali na śmierć, detektywie – rzucił, w jego oczach płonął ogień. – Bo jeśli nie, to mogę ci obiecać, że pewnego dnia ucieknę, a wtedy... – Mrugnął do niego. – Przyjdę po ciebie i po każdą osobę, którą kochasz. Bądź tego pewny.

– Jeśli to zrobisz... – Garcia również do niego mrugnął. – Będę na ciebie czekał. *Bądź* tego pewny.

# Przypisy

[1] Psalm 56, Biblia Tysiąclecia, Poznań 2003.

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Piętnaście

Szesnaście

Siedemnaście

Osiemnaście

Dziewiętnaście

Dwadzieścia

Dwadzieścia jeden

Dwadzieścia dwa

Dwadzieścia trzy

Dwadzieścia cztery

Dwadzieścia pięć

Dwadzieścia sześć

Dwadzieścia siedem

Dwadzieścia osiem

Dwadzieścia dziewięć

Trzydzieści

Trzydzieści jeden

Trzydzieści dwa

Trzydzieści trzy

Trzydzieści cztery

Trzydzieści pięć

Trzydzieści sześć

Trzydzieści siedem

Trzydzieści osiem

Trzydzieści dziewięć

Czterdzieści

Czterdzieści jeden  
Czterdzieści dwa  
Czterdzieści trzy  
Czterdzieści cztery  
Czterdzieści pięć  
Czterdzieści sześć  
Czterdzieści siedem  
Czterdzieści osiem  
Czterdzieści dziewięć  
Pięćdziesiąt  
Pięćdziesiąt jeden  
Pięćdziesiąt dwa  
Pięćdziesiąt trzy  
Pięćdziesiąt cztery  
Pięćdziesiąt pięć  
Pięćdziesiąt sześć  
Pięćdziesiąt siedem  
Pięćdziesiąt osiem  
Pięćdziesiąt dziewięć  
Sześćdziesiąt  
Sześćdziesiąt jeden  
Sześćdziesiąt dwa  
Sześćdziesiąt trzy  
Sześćdziesiąt cztery

Sześćdziesiąt pięć  
Sześćdziesiąt sześć  
Sześćdziesiąt siedem  
Sześćdziesiąt osiem  
Sześćdziesiąt dziewięć  
Siedemdziesiąt  
Siedemdziesiąt jeden  
Siedemdziesiąt dwa  
Siedemdziesiąt trzy  
Siedemdziesiąt cztery  
Siedemdziesiąt pięć  
Siedemdziesiąt sześć  
Siedemdziesiąt siedem  
Siedemdziesiąt osiem  
Siedemdziesiąt dziewięć  
Osiemdziesiąt  
Osiemdziesiąt jeden  
Osiemdziesiąt dwa  
Osiemdziesiąt trzy  
Osiemdziesiąt cztery  
Osiemdziesiąt pięć  
Osiemdziesiąt sześć  
Osiemdziesiąt siedem  
Osiemdziesiąt osiem



Osiemdziesiąt dziewięć

Dziewięćdziesiąt

Dziewięćdziesiąt jeden

Dziewięćdziesiąt dwa

Dziewięćdziesiąt trzy

Dziewięćdziesiąt cztery

Dziewięćdziesiąt pięć

Dziewięćdziesiąt sześć

Dziewięćdziesiąt siedem

Dziewięćdziesiąt osiem

Dziewięćdziesiąt dziewięć

Sto

Sto jeden

Sto dwa

Sto trzy

Sto cztery

Sto pięć

Sto sześć

Sto siedem

Sto osiem

Sto dziewięć

Sto dziesięć

Przypisy